ZESZYT DZIEWIĘĆDZIESIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT LITERACKI
PARYŻ 1989

ZESZYT DZIEWIĘĆDZIESIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT LITERACKI
PARYŻ 1989

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 455

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0123-1

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Piotr EBERHARDT

JAK KSZTAŁTOWAŁA SIĘ WSCHODNIA GRANICA PRL[1]

Granice wschodniej Rzeczypospolitej po ponad 125-letniej niewoli zostały definitywnie ustalone w traktacie ryskim, podpisanym 18 III 1921 i ratyfikowanym przez Sejm Rzeczypospolitej Polskiej w dniu 15 IV 1921 r.

Granica polsko-sowiecka o długości 1.412 km przebiegała od ujścia Zbrucza do Dniestru na południu do Dźwiny na północy, stykając się z granicą polsko-łotewską. W ramach państwa polskiego znalazł się obszar tzw. Galicji Wschodniej, należące do zaboru austriackiego Wołyń, Polesie i Wileńszczyzna. Należy zaznaczyć, że w trakcie pertraktacji w Rydze Polska zrzekła się dobrowolnie dużych obszarów białoruskich. Strona sowiecka zamierzała oddać Polsce cały obszar między Dźwiną, Dnieprem i Berezyną. W momencie zawieszenia broni wojska polskie stały znacznie dalej na wschodzie i musiały opuścić m.in. Mińsk, Słuck, Wiznę, Płoskirów i Kamieniec Podolski.

Ustalona i wytyczona w terenie granica polsko-sowiecka była uznawana i niekwestionowana przez stronę sowiecką do dnia 17 IX 1939 r.

Wkraczając w dniu 17 IX 1939 r. do Polski i włączając polskie tereny wschodnie do swojego państwa, wojska sowieckie nie tylko pogwałciły podpisany przez obie strony traktat ryski,

1. Niniejsze opracowanie powstało z incjatywy profesora Jana Malanowskiego. Dzięki wspólnym owocnym dyskusjom oraz razem dokonywanym przeliczeniom demograficznym praca ta mogła się ukazać w obecnej formie. W związku z tym wyrażam Profesorowi głęboką wdzięczność i gorące podziękowanie.

uznany przez państwa alianckie uchwałą konferencji ambasadorów w dniu 15 III 1923 r., w wykonaniu art. 87 traktatu wersalskiego, ale pogwałciły też trzy dobrowolne zobowiązania, a mianowicie[2]:

— Pakt nieagresji między Polską a ZSSR, podpisany 25 VII 1932, a w dniu 5 V 1934 r. przedłużony do 25 VII 1945 r.

— Zobowiązanie do wyrzeczenia się wojny w stosunkach polsko-sowieckich z roku 1929.

— Konwencję ustalającą definicję agresora zawartą w 1933 r.

Najazd zbrojny ZSSR na Polskę został poprzedzony paktem o nieagresji między Rzeszą Niemiecką a ZSSR, zawartym w dniu 23 VIII 1939 r. w Moskwie, a podpisanym przez Ribbentropa i Mołotowa.

Pakt ten został uzupełniony tajnym protokołem wymazującym Polskę z mapy Europy. Protokół ten miał następującą treść:

„Z okazji podpisania paktu o nieagresji między Rzeszą Niemiecką a ZSSR podpisani pełnomocnicy obu stron przedyskutowali w ściśle poufnych rozmowach sprawę rozgraniczenia ich wzajemnych sfer interesów w Europie Wschodniej. Rozmowy te doprowadziły do następujących wniosków:

1. W wypadku przemian terytorialnych i politycznych na obszarach należących do krajów bałtyckich (Finlandia, Estonia, Łotwa i Litwa), północna granica Litwy będzie stanowiła granicę sfer wpływów Niemiec i ZSSR. W związku z tym interesy Litwy na obszarze Wilna są uznawane przez obie strony.

2. W razie terytorialnych i politycznych zmian na obszarach należących do państwa polskiego, sfery interesów Niemiec i ZSSR będą rozgraniczone w przybliżeniu wzdłuż linii rzek Narwi, Wisły i Sanu. Zagadnienie, czy interesy obu stron czynią pożądanym utrzymanie niepodległego państwa polskiego i jakie mają być granice tego państwa, może być ostatecznie rozstrzygnięte dopiero w toku dalszych wydarzeń politycznych. W każdym razie oba rządy rozwiążą tę sprawę w drodze przyjaznego porozumienia.

3. Jeśli chodzi o Europę południowo-wschodnią, to strona sowiecka podkreśla swoje zainteresowanie Besarabią. Strona niemiecka oświadcza, że jest całkowicie niezainteresowana tymi obszarami.

4. Ten protokół będzie przez obie strony traktowany jako ściśle tajny".

---

2. Kazimierz Klochowicz, *Cztery niedotrzymane pakty*, Londyn 1966.

Zrealizowanie tego protokołu miało doprowadzić do końca niepodległości pięciu państw europejskich. ZSSR otrzymywała Finlandię, Łotwę, Estonię oraz większą część Polski, natomiast Niemcy uzyskiwały Litwę i pozostałą część Polski. Dodatkowo Niemcy uznały prawa ZSSR do Besarabii (obecna Mołdawska SSR).

Linia rozgraniczenia na ziemiach polskich przechodziła rzeką San do Wisły, następnie nurtem Wisły do Bugu-Narwi i następnie rzeką Narwią. Ze względu na pośpiech obie strony się pomyliły i nie uwzględniły faktu, że Narew nie dochodzi do granicy Prus Wschodnich i nie została przez to wyznaczona ściśle granica między Narwią a granicą Rzeszy Niemieckiej.

Następnego dnia Mołotow interweniował w ambasadzie niemieckiej. W wyniku tego 25 VIII 1939 r. ambasador niemiecki meldował do Berlina[3]: „Mołotow zawezwał mnie dziś wieczorem i powiedział, że na skutek wielkiego pośpiechu, z jakim ustalano tajny protokół do jego tekstu wkradła się niejasność. Koniec pierwszego paragrafu punktu drugiego powinien brzmieć: „rozgraniczenie wzdłuż lini rzek Pissy, Narwi, Wisły i Sanu". Po tym uzupełnieniu o rzekę Pissę granica zachodnia ZSSR na terytorium Polski została dokładnie już ustalona. W wyniku traktatu rozbrojeniowego z dnia 23 VIII 1939 r. po stronie sowieckiej zostawało całkowicie woj. wileńskie, nowogródzkie, poleskie, wołyńskie, stanisławskie, lubelskie, białoruskie, większa część woj. lwowskiego oraz wszystkie powiaty woj. warszawskiego, położone po wschodniej stronie Wisły i jednocześnie po południowej stronie Narwi. Warszawa miała być podzielona. Lewobrzeżna część miasta przypaść miała Niemcom, zaś prawobrzeżna z Pragą, Grochowem, Saską Kępą itd. miała przypaść ZSSR.

W drugiej połowie września w wyniku działań zbrojnych obu agresorów armie sowiecka i niemiecka zaczęły się do siebie zbliżać z tym, że wojska niemieckie posunęły się dalej na wschód, niż to przewidywało ustalone 23 VIII 1939 r. rozgraniczenie terytorialne. Wojska niemieckie okrążyły Warszawę, zdobyły Lublin, zbliżyły się do Lwowa, który został ostatecznie zajęty przez ZSSR. Wojska sowieckie zajęły wschodnią Polskę, zdobyły szturmem Grodno i przekroczyły na środkowym biegu Bug, zajmując Siedlce a nawet zbliżając się do Mińska Maz.

Rozpoczęły się równocześnie dalsze pertraktacje. W dniu 19 IX 1939 Mołotow oświadczył ambasadorowi niemieckiemu w Moskwie von Schulenburgowi, że „rząd sowiecki obecnie uważa, iż nadszedł czas ustalenia definitywnie terytoriów polskich".

3. Aleksander Bregman: *Najlepszy sojusznik Hitlera* , Londyn 1974.

W odniesieniu do tego problemu Mołotow dał do zrozumienia, że początkowo skłonność rządu sowieckiego i Stalina osobiście, by pozwolić na istnienie szczątkowej Polski ustąpiła skłonności do podziału przez oba państwa Polski wzdłuż linii Pissa-Narew-Wisła-San. W następnym dniu (20 IX 1939 r.) Niemcy przedłożyli projekt, według którego linia demarkacyjna miała biec Sanem tylko do Przemyśla, a następnie przez miasto Turka do przełęczy Użockiej. Projekt ten został odrzucony przez ZSSR. Z kolei ZSSR obiecywał przekazać Niemcom Suwalszczyznę bez Augustowa. Następnie Ribbentrop zwrócił się 21 IX 1939 r. z projektem skrócenia granicy poprzez przekazanie Niemcom obszaru położonego po wschodniej stronie Sanu na południe od Przemyśla. Równocześnie stwierdził, że Rzesza Niemiecka gotowa jest zrezygnować z tego obszaru za Augustów z Puszczą Augustowską. Po tych drobnych przetargach 22 IX 1939 r. podpisany został układ o linii demarkacyjnej zgodny w zasadzie z ustaleniami zawartymi w dniu 23 VIII 1939 r. Według układu linia graniczna miała przebiegać wzdłuż Pissy, następnie wzdłuż Narwi do wpadnięcia jej do Bugu, Bugiem do Wisły w rejonie Nowego Dworu i Modlina, następnie wzdłuż Wisły do ujścia Sanu i dalej biegiem Sanu aż do byłej granicy polsko-czechosłowackiej.

W trzy dni później (25 IX 1939 r.) nastąpiła zmiana koncepcji ZSSR. Stalin i Mołotow po zawezwaniu ambasadora von Schulenburga zaproponowali całkowicie nową linię demarkacyjną. Strona sowiecka uważając za niecelowe pozostawienie jakiegokolwiek kadłubowego państwa polskiego zaproponowała stronie niemieckiej nowe rozgraniczenie stref wpływów. Strona sowiecka postanowiła zrezygnować z obszarów po lewej stronie Bugu, tzn. całej woj. lubelskiego oraz części woj. warszawskiego położonego po prawej stronie Wisły. W zamian strona niemiecka miała zrezygnować na rzecz ZSSR z roszczeń wobec Litwy. Obszar etnicznie polski liczący około 4 mln mieszkańców miał przejść pod kuratelę niemiecką, natomiast cała Litwa znalazłaby się w sowieckiej strefie wpływów.

Motywy sowieckie były złożone. W razie utrzymania granicy na Wiśle trudno byłoby część centralnej Polski z prawobrzeżną Warszawą włączyć do Ukrainy lub Białorusi, tworzenie zaś szczątkowej Polski o dziwnej konfiguracji granicznej z Lublinem i z częścią Warszawy, ale bez Krakowa, Kielc czy Radomia, byłoby trudne. Problem polski mógł się stać punktem zadrażnień między Niemcami a ZSSR. Z drugiej strony Stalinowi zależało na Litwie.

Tego typu propozycja została przedstawiona Ribbentropowi, gdy ten przyjechał w dniu 27 IX 1939 r. do Moskwy.

Rozmowy na tematy graniczne były skomplikowane i trwały przez cały dzień 28 IX 1939 r. Początkowo Ribbentrop wysunął propozycję, aby granica biegła od Brześcia przez Grodno do Niemna, a następnie do granicy łotewskiej. Dodatkowo domagał się zagłębia naftowego w rejonie Drohobycza i Borysławia, bez zmiany granicy na centralnym odcinku polskim. Propozycje te zostały odrzucone przez stronę sowiecką i ostatecznie została przyjęta propozycja sowiecka. Zaakceptowany projekt sowiecki przewidywał granicę przechodzącą przez środek państwa polskiego od Karpat na południe po Prusy Wschodnie na północy. Obszar państwa polskiego liczący 388 tys. km² został podzielony w ten sposób, że blisko 200 tys. km² przypadło ZSSR, zaś prawie 190 tys. km² znalazło się w posiadaniu Rzeszy Niemieckiej.

Granica na południu rozpoczynała się w górnym biegu Sanu w rejonie przełęczy Użockiej, następnie idąc Sanem pozostawiała po stronie niemieckiej Ustrzyki Górne, a po stronie sowieckiej Ustrzyki Dolne, w dalszym biegu Sanu umożliwiała pozostawienie w strefie sowieckiej dużego zakola Sanu z Birczą. San w tym miejscu dochodzi na zachodzie aż do miejscowości Dynów, położonej 40 km na zachód od Przemyśla. Następnie San płynie w kierunku wschodnim do Przemyśla. Prawie cały Przemyśl (z wyjątkiem dzielnic lewobrzeżnych) pozostawał pod okupacją sowiecką. Następnie San zmienia znowu kierunek; dało to możliwość zajęcia przez ZSSR obszaru na północ od Radymna i Jarosławia. W rejonie Sieniawy granica odchodziła od Sanu i w linii prostej dochodziła do miejscowości Bełz w rejonie ujścia Rzeczycy do Sołokij i następnie nurtem tej rzeki do Bugu w rejonie Krystynopola. Łącznie granica ta od Sieniawy do Krystynopola liczyła około 120 km, przebiegała po linii prostej przecinając miejscowości, pozostawiając po stronie sowieckiej Lubaczów, po stronie niemieckiej Tomaszów Lubelski. Następnie granica szła od wspomnianego Krystynopola nurtem rzeki Bug. W strefie sowieckiej pozostawał Sokal, zaś niemieckiej Hrubieszów. Początkowo granica na Bugu aż do Brześcia miała kierunek południowy, następnie do Brześcia Bug zmienia kierunek początkowo na północno-zachodni, a następnie płynie już w kierunku zachodnim. Granica na Bugu dochodziła do miejscowości Nur. W strefie sowieckiej znalazły się Siemiatycze, Drohiczyn, Ciechanowiec. Od miejscowości Nur położonej nad samym Bugiem przy drodze między Sokołowem Podl. a Zambrowem, granica odchodziła od Bugu, wytyczona była już wzdłuż linii prostej i dochodziła do Narwi w rejonie Ostrołęki, dzieląc w sposób sztuczny poszczególne wsie. W rejonie tym granica pozostawiła Zambrów po stronie sowieckiej, zaś Ostrowię Maz.

po stronie niemieckiej. Na dalszym odcinku granica szła wzdłuż Narwi, następnie docierała do Pissy i idąc dalej nurtem Pissy dochodziła na północ od Kolna do byłej granicy między Polską a Prusami Wschodnimi. Na skutek zamiłowań Ribbentropa do polowań ZSSR, na jego prośbę, odstąpił Niemcom Suwalszczyznę z Suwałkami i Sejnami. Granica na tym odcinku przebiegała równoleżnikowo bezpośrednio przy Augustowie, który pozostał po stronie sowieckiej.

Po ustaleniu szczegółów granicznych doszło do zawarcia 28 IX 1939 układu niemiecko-sowieckiego o granicach i przyjaźni podpisanego przez Ribbentropa i Mołotowa:

1. Rząd ZSSR i Rząd III Rzeszy Niemieckiej ustanawiają jako granicę interesów obu państw na terytorium byłego państwa polskiego linię wykreśloną na załączonej mapie, która będzie określona bardziej szczegółowo w załączonym protokole.
2. Obie strony uznają granice pomiędzy interesami obu państw ustanowioną w punkcie 1 jako ostateczną i wyeliminują wszelki wpływ trzecich mocarstw na tę decyzję.
3. Potrzebna reorganizacja państwowego obszaru leżącego na zachód od linii określonej w pkt. 1 będzie dokonana przez rząd III Rzeszy a na wschód od tej linii przez rząd ZSSR.
4. Rząd ZSSR i rząd III Rzeszy Niemieckiej uznają wyżej wymienioną reorganizację jako trwałą podstawę dla przyszłego rozwoju przyjaznych stosunków pomiędzy ich narodami.

Do układu był załączony tajny protokół o następującej treści:

„Niżej podpisani pełnomocnicy stwierdzają zgodę rządu II Rzeszy Niemieckiej i Rządu ZSSR na następujące zmiany: Tajny protokół dodatkowo podpisany dnia 23 VIII 1939 r. zostaje zmieniony w jego pierwszym punkcie w ten sposób, że obszar państwa litewskiego wchodzi w strefę wpływów ZSSR, podczas gdy z drugiej strony województwo lubelskie i część warszawskiego wchodzi w strefę wpływów III Rzeszy Niemieckiej (porównaj mapę dzisiaj podpisanej umowy granicznej i przyjaźni). Z chwilą, gdy rząd ZSSR poczyni specjalne kroki na terytorium litewskim, celem zrealizowania swych interesów, obecna niemiecko-litewska granica zostanie zweryfikowana w ten sposób, że terytorium litewskie, które leży na południe i południowy zachód od linii zaznaczonej na mapie, przypadnie III Rzeszy Niemieckiej".

Ustalona w trakcie układu granica przebiegająca przez terytorium Polski od Karpat w rejonie źródeł Sanu do granicy z Prusami Wschodnimi w rejonie Kolna została w literaturze

nazwana granicą IV rozbioru Polski[4]. Dalsze wydarzenia historyczne wpłynęły na to, że granica wytyczona dyktatem obu mocarstw rozbiorowych nie trwała zbyt długo. Faktycznie istniała jedynie od 28 IX 1939 r. do dnia 22 VI 1941, czyli tylko przez 21 miesięcy. Ustalenie tej granicy miało jednak duże znaczenie polityczne, gdyż władze sowieckie w następnych latach wojny ciągle do niej nawiązywały, traktując ją jako uzasadnioną i sprawiedliwą granicę zachodnią swojego imperium. Miała ona również poważne konsekwencje dla ludności polskiej. Inaczej się toczyły w ciągu tego okresu losy ludności przebywającej pod okupacją sowiecką, a inaczej pod okupacją niemiecką.

Wyznaczona granica między ZSSR a Rzeszą Niemiecką nie miała uzasadnienia historycznego. Nigdy w historii nie miała swojego odpowiednika. Nie miała również uzasadnienia etnicznego. Z wyjątkiem odcinka wzdłuż Bugu między Krystynopolem a Brześciem, który dzielił w pewnym stopniu zwarty obszar osadnictwa polskiego po lewej i ukraińskiego po prawej stronie Bugu, na pozostałych odcinkach trudno odnaleźć jakiekolwiek motywy etniczne. Na odcinku północnym między Bugiem a granicą Prus Wschodnich linia graniczna przecinała obszary czysto polskie. Dziwolągiem geograficznym była również enklawa wokół Suwałk, wyizolowana od pozostałego obszaru okupacji niemieckiej. Z kolei na południu przebiegała krętym nurtem Sanu, pozostawiając po stronie sowieckiej prawobrzeżne, a po stronie niemieckiej lewobrzeżne dzielnice Sanoka, Przemyśla i Jarosławia.

Wytyczona granica nie była również zgodna z tzw. Linią Curzona. W dalszym okresie czasu władze sowieckie starały się ją utożsamiać z linią Curzona, ale nie było to zgodne z prawdą. Ze względu na to, że problem linii Curzona będzie się później przewijał w rozmowach między wielkimi mocarstwami, warto przedstawić zarys linii Curzona i porównać jej przebieg z wytyczoną 28 IX 1939 r. przez Niemcy i ZSSR linią demarkacyjną.

Rada Najwyższa Sprzymierzonych w dniu 8 XII 1919 ustaliła na wschodzie pewną tymczasową granicę. Powstała ona na podstawie projektu opracowanego przez komisję do spraw polskich, która była jednym z organów konferencji pokojowej. Granica ta rozpoczynała się na północy przy ujściu kanału Augustowskiego do Niemna, następnie szła rzeką Niemen bezpośrednio przy Grodnie, następnie odchodziła od Niemna i idąc w kierunku południowym dochodziła do Bugu, pozostawiając po stronie zachodniej Indurę, Krynki, Białowieżę, Wysokie Lit. oraz Wołczyn. Następnie szła już nurtem Bugu, pozostawiając Brześć

4. T. Skałuba: *IV rozbiór Polski*, Warszawa, 1988.

po stronie wschodniej. Linią rzeki Bug dochodziła do rejonu Hrubieszowa i Sokala i w tym miejscu się kończyła, nie łącząc się z odcinkiem południowym, który biegł daleko na wschodzie wzdłuż Zbrucza. W czerwcu 1919 r. komisja do spraw polskich zajmowała się Małopolską Wschodnią. Przyjęto dwie linie graniczne w Polsce Południowej. Pierwsze rozgraniczenie, nazwane linią A, biegło na zachód od Lwowa i na wschód od Przemyśla, ale było to rozgraniczenie wewnętrzne, dzielące rejony administracyjne. Przy drugim rozwiązaniu, tzw. linii B, Polska miała obejmować Lwów i Zagłębie Naftowe. Ostatnie, trzecie rozwiązanie dochodziło do Zbrucza. W przyszłości zaczęto identyfikować południowy odcinek linii Curzona z niekorzystną dla Polski tzw. linią A[5].

Porównując linię demarkacyjną z dnia 28 IX 1939 r. z linią Curzona (tzw. linią A) też widać poważne rozbieżności. Jedynie na odcinku środkowym, przebiegającym biegiem środkowego Bugu między Brześciem a Hrubieszowem, było pełna zgodność. Odcinek północny różnił się bardzo poważnie. Granica demarkacyjna była wysunięta o dużo bardziej na zachód. Linia Curzona dochodziła do Niemna przy Grodnie, natomiast linia demarkacyjna przebiegała Pissą i Narwią. Odległość między Ostrołęką a Grodnem wynosi 150 km i o tyle na zachód była przesunięta granica rozbiorowa. Na odcinku południowym między Bugiem a Karpatami linia demarkacyjna w stosunku do linii Curzona była znacznie przesunięta na zachód. Rozbieżności te dochodziły od 10 km do 60 km.

W rezultacie paktu obszary na wschód od wytyczonej granicy rozbiorowej zostały włączone do republiki ukraińskiej i białoruskiej. Natomiast terytorium położone na zachód od linii demarkacyjnej zostało inkorporowane bezpośrednio do Rzeszy Niemieckiej, bądź też znalazło się w utworzonej później tzw. Generalnej Guberni.

Zgodnie z paktem sowiecko-niemieckim, pomimo neutralności Litwy podczas kampanii wrześniowej rząd litewski został zmuszony do przyjęcia ultimatum sowieckiego i za cenę eksterytorialnej linii kolejowej do Libawy oraz wpuszczenia 30-tysięcznej armii sowieckiej na swoje terytorium uzyskał rejon wileński. Litwni wkroczyli 18 X 1939 r. do Wilna. Nie miało to dużego znaczenia, gdyż już w następnym roku cała Litwa została włączona do ZSSR.

Ludność polska w wyniku podziału znalazła się pod okupacją sowiecką albo też niemiecką. Dla wszystkich bilansów ludnościowych, zwłaszcza zaś do oceny strat wojennych, ważną

5. K. Klochowicz: *Cztery niedotrzymane pakty*, Londyn 1966.

kwestią jest dokładne określenie liczebności Polaków, którzy znaleźli się w poszczególnych strefach okupacyjnych. W tym zakresie były wykonywane szacunki, lecz wyniki ich były rozbieżne. W dodatku autorzy przyjmowali często błędne założenia lub też niedokładnie określali przynależność poszczególnych obszarów.

W. Mołotow w swoim bezpośrednim przemówieniu po podpisaniu paktu rozbiorowego oceniał liczbę Polaków na terenach zajętych przez Armię Sowiecką na 1 mln mieszkańców. Była to tendencyjna i nieprawdziwa informacja, uzasadniająca tezę sowiecką o ukraińskim i białoruskim charakterze zagarniętych obszarów. Późniejsze wyliczenia polskich autorów różniły się między sobą znacznie i tak

wg wyliczeń I. Engelgarda	— 4,2 mln
wg Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego	— 6,2 mln
wg podanych przez I. Siedleckiego	— 6,7 mln

W związku z tym w niniejszym artykule postanowiono po raz pierwszy przeprowadzić dokładny bilans demograficzny, umożliwiający precyzyjne określenie liczby Polaków w strefie sowieckiej i niemieckiej.

Podstawą wyliczeń będzie spis powszechny przeprowadzony w 1931 r. Następnie doszacowano wyliczone dane liczbowe o przyrost naturalny w latach 1932-1939.

W rezultacie paktu Ribbentrop-Mołotow całe województwo wileńskie, nowogródzkie, poleskie, wołyńskie, tarnopolskie i stanisławowskie znalazło się w strefie sowieckiej. Natomiast całe woj. pomorskie, poznańskie, łódzkie, kieleckie, śląskie, krakowskie i lubelskie w strefie niemieckiej. Trzy województwa: lwowskie, warszawskie i białostockie zostały przecięte granicą demarkacyjną. Ze względu na fakt, że uzgodniona przez okupantów granica dzieliła nie tylko powiaty, ale i gminy, a nawet przechodziła przez poszczególne wsie, bardzo trudno jest przeprowadzić ścisłą delimitację terytorialną i dopasować do istniejącego w 1931 r. podziału administracyjnego. Stanowiło to wymóg poprawności wykonywanego bilansu demograficznego.

Autor przeprowadził wspólnie z prof. J. Malanowskim bardzo żmudne studia kartograficzne i statystyczne dla woj. warszawskiego, białostockiego i lwowskiego. W pierwszym etapie wykonano analizę wg powiatów, a w przypadku podziału powiatu linią demarkacyjną należało zejść do pojedynczych jednostek gminnych. W przypadku woj. lwowskiego w strefie sowieckiej znalazły się w całości następujące powiaty: Bóbrka, Dobromil, Drohobycz, Gródek Jagielloński, Jaworów, Lubaczów, Lwów, m. Lwów, Mościska, Rawa Ruska, Rudki, Sambor, Turka i Żółkiew. W strefie niemieckiej następujące zaś

powiaty: Brzozów, Kolbuszowa, Krosno, Łańcut, Nisko, Przeworsk, Rzeszów i Tarnobrzeg.

Określenie liczby ludności, a w tym ludności polskiej dla tych powiatów, tak jak dla jednostek wojewódzkich, nie było skomplikowane. Większe trudności wynikały w przypadku pięciu powiatów: Jarosław, Lesko, Przemyśl, Sanok i Sokal. Tu przeprowadzono wnikliwe studia w układzie gmin. W przypadku podziału gmin granicą demarkacyjną wykonywano orientacyjne szacunki i dzielono liczbę ludności gminy proporcjonalnie w stosunku do wielkości terytorium znajdującego się po jednej lub drugiej stronie granicy.

Woj. białostockie z wyjątkiem jednego powiatu tzn. suwalskiego zostało włączone do strefy sowieckiej, z tego powodu analiza statystyczna była stosunkowo prosta. W przypadku woj. warszawskiego należyło pokonać większe trudności. Jeden z powiatów woj. warszawskiego. tzn. powiat łomżyński, został w całości włączony do strefy sowieckiej. Wymagało to zejścia z obliczeniami w układy gminne. Po wykonaniu odpowiednich szacunków określono liczbę ludności woj. warszawskiego, które znalazło się pod okupacją sowiecką.

Nie jest celowe podawanie określonych przez autorów danych demograficznych wg jednostek powiatowych i gminnych. Podstawowe materiały są do ewentualnego wykorzystania. W poniższym wynikowym zestawieniu podano ostateczne wyliczenia[6].

Tabela nr 1

Podział ludności państwa polskiego wg stref okupacyjnych (dane z 1931 r.)

Strefy okupacyjne	Ludność ogółem (w tys.)	W tym ludność polska (w tys.)
Strefa niemiecka	19.699,0	17.068,5
Strefa sowiecka	12.219,8	4.924,9
Polska	31.918,8	21.993,4

6. Zbliżone wyliczenia wykonał Stanisław Nowak, „Ziemie wschodnie Polski". *Kwartalnik kresowy* nr 102, 103, 104, 105, Londyn 1985.

Pod względem terytorialnym oba państwa rozbiorowe podzieliły się mniej więcej równo. Polska zachodnia i centralna była jednak gęściej zaludniona i w ostatecznym rezultacie 61,7% ludności państwa polskiego znalazło się pod okupacją niemiecką, a jedynie 38,3% mieszkańców w okupacyjnej strefie sowieckiej. Jeżeli weźmiemy jedynie ludność narodowości polskiej, to 77,6% Polaków znajdowało się po zachodniej, a 22,4% po wschodniej stronie linii demarkacyjnej. Te dysproporcje wiążą się faktem, że w strefie sowieckiej Polacy stanowili 40,3% udziału ludności z tym, że rozmieszczenie tej ludności było poważnie zróżnicowane (patrz tabela nr 2).

Tabela nr 2

Liczba ludności w sowieckiej strefie okupacyjnej
(dane z 1931 r.)

L.p.	Województwo	Ludność ogółem (w tys.)	w tym ludność polska	
			w tys.	w %
1	Wileńskie	1.276,0	761,7	59,7
2	Nowogródzkie	1.057,0	553,9	52,4
3	Poleskie	1.132,0	164,4	14,5
4	Wołyńskie	2.085,0	346,6	16,6
5	Tarnopolskie	1.600,0	789,1	49,3
6	Stanisławowskie (cz)	1.480,0	332,2	22,4
7	Lwowskie (cz)	2.113,4	954,7	45,1
8	Białostockie (cz)	1.153,2	760,0	65,9
9	Warszawskie (cz)	323,2	262,3	81,1
	Ogółem	12.219,8	4.924,9	40,3

Jeżeli odliczymy trzy powiaty woj. warszawskiego, w którym Polacy stanowili zdecydowaną większość i woj. białostockie, w którym 2/3 ludności było narodowości polskiej, to w dwóch pozostałych województwach Polacy przekraczali połowę zaludnienia, a w dwóch zbliżali się do 50% ludności. Jedynie w trzech województwach Polacy byli wyraźnie zmajoryzowani przez ludność narodowości niepolskiej.

W przyszłej strefie sowieckiej zamieszkiwało w dniu spisu w 1931 r. 4.924,9 tys. Polaków. Przedstawione wyliczenia dotyczą grudnia 1931 r. Dodatkowo należy uwzględnić przyrost naturalny

do dnia 1 IX 1939 r., czyli dla okresu 7 lat i 8 miesięcy. Przyjęto jako podstawę szacunków średni przyrost naturalny ludności narodowości polskiej, wynoszący w okresie 1932-1935 — 13,1% i w okresie 1936-1938 — 11,5%. Liczba ludności polskiej w dniu 31 XII 1938 wynosiła więc 5.426,1 tys. osób. Można więc przyjąć, że w dniu wybuchu wojny wynosiła 5,450 tys. osób[7].

W celu sprawdzenia tej liczby można dokonać jeszcze jednego wyliczenia. Liczba ludności Polski w dniu 31 XII 1938 r. wynosiła 35,1 mln mieszkańców. Przy ujęciu tego samego udziału ludności polskiej kresów wschodnich jaki istniał w 1931 r. dochodzimy do liczby 5416,0 tys. Tylu bowiem Polaków mieszkało dnia 31 XII 1938 r. w przyszłej strefie sowieckiej przy przyjęciu niezmienności udziałów procentowych.

Małe różnice wskazują na poprawność rachunków. Określona w sposób dokładny liczebność Polaków znajdujących się pod okupacją sowiecką (5.450 tys. osób) ma istotne znaczenie poznawcze. Z jednej strony stanowi podstawę do badania losów tej ludności w latach II wojny światowej. Z drugiej strony uzmysławia znaczenie granicy wschodniej dla przyszłego państwa polskiego. Przy przyjęciu linii demarkacyjnej jako granicy wschodniej państwa Polska nie tylko straciłaby blisko 200 tys. km^2, ale również około 5,5 mln rodowitych Polaków stałych mieszkańców tej ziemi, czyli ponad 20% substancji narodowej. Do tego należy doliczyć dużą grupę ludności niepolskiej (Żydów, Białorusinów, Ukraińców, Ormian, Czechów, Tatarów), wśród których wielu utożsamiało się, a przy daniu im możliwości wyboru optowałoby również za państwem polskim.

Wydarzenia wojenne wywołały duże przemiany demograficzne na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej. Uciekając przed zbliżającą się armią niemiecką, około 50 tys. mieszkańców województw zachodnich centralnych znalazło się na kresach wschodnich. Równocześnie cofały się regularne oddziały Wojska Polskiego. Według danych sowieckich Armia Czerwona internowała około 250 tys. polskich oficerów i żołnierzy (wśród nich musiało być co najmniej 70% narodowości polskiej). Równocześnie polska ludność cywilna oraz wojsko poniosło poważne straty w rezultacie działań wojennych w walkach z armią niemiecką i sowiecką. W drugiej połowie września kilkunastu tysiącom żołnierzy polskich udało się przedostać do Rumunii i na Węgry. Natomiast internowani na Litwie i Łotwie dostali się później też w ręce sowieckie. Trudno przeprowadzić dokładny bilans demograficzny. Szacunkowo można przyjąć, że po zakończeniu działań wojennych we wrześniu 1939 r. pod okupacją sowiecką

7. Pominięto w tych wyliczeniach Polaków na Litwie, Łotwie i Estonii.

znalazło się 5.600 do 5.700 tys. obywateli polskich narodowości polskiej.

Ludność polska została poddana terrorowi i prześladowaniom. Jednym z celów tego terroru było osłabienie polskości na kresach wschodnich i wykazanie ich niepolskiego charakteru etnicznego. W pierwszym okresie nastąpiły masowe rozstrzeliwania, głównie objęły one oficerów, urzędników, ziemian, policjantów, żołnierzy KOP-u, właścicieli zakładów przemysłowych, osadników wojskowych, duchownych, przedstawicieli wolnych zawodów. W następnym etapie rozpoczęły się deportacje. Wywózki i aresztowania objęły już wszystkich bez względu na zawód i pozycję społeczną. Tyle, że nadal bardziej narażona na prześladowania była ludność bardziej świadoma swojej polskiej przynależności narodowej. Obok inteligentów wywożono masowo rzemieślników, robotników i chłopów.

Od zimy 1940 do pierwszej połowy 1941 r. władze sowieckie przeprowadziły cztery masowe deportacje ludności obejmujące ponad milion obywateli polskich.

Pierwsza deportacja dokonana około 10 II 1940 r. objęła 220 tys. osób. Druga deportacja dokonana około 13 IV 1940 r. objęła ponad 320 tys. osób. Kolejna wywózka była w maju 1940 r. Trzecia wielka deportacja przeprowadzona między czerwcem a lipcem 1940 r. objęła 300 tys. osób[8]. Z podanych szacunkowych liczb wynika, że w ramach deportacji wywieziono 1.080 tys. obywateli polskich, głównie do Kazachstanu i Syberii[9]. Dodatkowo 230 tys. obywateli polskich wcielono do Armii Sowieckiej. Ocenia się, że 760 tys. deportowanych zginęło w tragicznych warunkach.

Trudno określić, jaki był procentowy udział wśród deportowanych Polaków. Przypuszczać należy, że w granicach 60-70% (przy udziale w zaludnieniu 40%). Wielu autorów zwraca uwagę, że deportacje objęły w dużym stopniu ludność żydowską. Chociaż w mniejszym stopniu, ale ludność ukraińska i białoruska też była objęta deportacjami.

Należy jednak zaznaczyć, że prześladowania polskości na kresach wschodnich i deportacje Polaków nie wiązały się u władz sowieckich z brakiem pewności co do stałości granicy niemiecko-sowieckiej. Władze ZSSR były przeświadczone o stałości i niezmienności swojej zachodniej granicy i nie przewidywały

8. J. Siedlecki, *Losy Polaków w ZSRR w latach 1939-1986.*

9. Różne źródła podają odmienne liczby deportowanych. Np. Polskie Ministerstwo Sprawiedliwości w Londynie oceniało liczbę wywiezionych na 980 tys. „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej" — na 1050-1200 tys. osób. Niektóre źródła wyliczając aresztowanych i wcielonych do Armii Sowieckiej na 1500-1700 tys. osób.

jakiejkolwiek jej zmiany, a nawet w przyszłości drobnej jej weryfikacji. Co prawda rozpoczęły na dużą skalę budowę fortyfikacji wzdłuż granicy. Odbywało się to nawet kosztem osłabienie umocnień na granicy traktatu ryskiego, co się później odbiło niekorzystnie na przebiegu pierwszych tygodni wojny sowiecko-niemieckiej. Prace te miały jednak jedynie charakter odstraszający i nowa granica była dla ZSSR granicą przyjaźni dwóch zaprzyjaźnionych mocarstw.

Było to zgodne z układem o przyjaźni niemiecko-sowieckim zawartym dnia 28 IX 1939 r., w którym w pkt. 2 było ustalone: „obie strony uznają granicę pomiędzy interesami obu państw ustanowioną w pkt. 1 jako ostateczną".

O niezmienności granicy świadczyły liczne fakty. W wyniku porozumienia rozpoczęły się planowe przesiedlenia ludności narodowości niemieckiej do Rzeszy. Tylko z Wołynia, Małopolski Wschodniej, Białostockiego i Polesia wyjechało w ciągu 1940 r. do Niemiec 105,0 tys. przesiedleńców.[10] Zintensyfikowano wymianę gospodarczą. Za sowieckie surowce (w tym ropę naftową) strona niemiecka przekazywała wyposażenie fabryk zbrojeniowych oraz broń. Rozpoczęły się bezpośrednie kontakty między odpowiednimi służbami wywiadowczymi w celu wspólnego przeciwdziałania polskiej akcji niepodległościowej. Odbyły się między innymi trzy konferencje specjalistów NKWD ze specjalistami Gestapo (we Lwowie, w Krakowie i w Zakopanem). Na granicy przekazywano sobie obywateli polskich. Miało to wszystko świadczyć o wspólnocie interesów i zgodności co do przebiegu ustalonej linii granicznej.[11]

Zgodnie z podpisanym paktem niemiecko-sowieckim ZSSR zajmuje terytorium Litwy, Łotwy i Estonii. Najpierw zawiera tzw. układy przyjaźni, a następnie 20 VI 1940 r. wojska sowieckie wkraczają do wymienionych trzech państw bałtyckich. Na przełomie 1939 i 1940 ZSSR próbuje podporządkować sobie Finlandię. Na skutek jednak niepowodzeń militarnych ZSSR zmuszony jest zrezygnować z opanowania Finlandii, zyskuje jedynie pewne zdobycze terytorialne. Jednak ZSSR ponosi poważne straty prestiżowe. Liga Narodów potępia akt agresji i 14 XII 1939 r. usuwa ZSSR z Ligi Narodów. Rumunia jest natomiast zmuszona oddać ZSSR Besarabię oraz Północną Bukowinę. Wzajemnie ustalone strefy wpływów zostały (z wyjątkiem Finlandii) przez obie strony obsadzone. Między strefami wpływów ustaliła się wyraźnie ustalona przez obie strony uznawana granica. Centralna część granicy przechodziła przez

10. Liczbę tę podano z pracy: *Polska zachodnia i północna*, Poznań 1961.
11. Tadeusz Skałuba, *IV rozbiór Polski*, Warszawa 1988.

ziemie Polski. Pomimo stałych konsultacji zaczęły powstawać jednak między obu sojuszniczymi mocarstwami pewne rozdźwięki. Między innymi strona niemiecka wyraziła niezadowolenie z zajęcia przez armię sowiecką północnej Bukowiny, która nie była objęta porozumieniemi terytorialnymi.

W ciągu całego tego okresu stosunek władz sowieckich do Polski i Polaków był niezmienny i zgodny z przemówieniem Mołotowa w dniu 31 X 1939 r. w Radzie Najwyższej ZSSR. Znane są jego słowa, że „wystarczyło krótkie uderzenie wymierzone przeciwko Polsce, początkowo armii niemieckiej, a następnie radzieckiej, aby nic nie pozostało z tego poczwarnego bękarta traktatu wersalskiego" i dalej „o przywróceniu dawnej Polski, jak każdy rozumie, nie może być mowy. Toteż bezsensowne jest przedłużanie obecnej wojny pod hasłem odbudowania byłego państwa polskiego".

Z przemówienia Mołotowa wynikało przekonanie o trwałości *status quo* granicznego i o nieodwołalnym zlikwidowaniu państwowości polskiej. Decyzja o eksterminacji w marcu i kwietniu 1940 r. oficerów polskich znajdujących się w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku była konsekwencją założenia, że kwestia polska została ostatecznie rozwiązana i w najbliższym czasie nie należy oczekiwać nowych elementów politycznych w sprawie polskiej.

Dowodzi tego również rezerwa władz sowieckich w stosunku do komunistów polskich przebywających w ZSSR. Usiłowania ich zmierzające do tworzenia pewnych form organizacyjnych były odkładane i traktowane w sposób lekceważący.

Zwycięstwo Rzeszy Niemieckiej nad Francją jak i sam przebieg wojny francusko-niemieckiej wpłynął na zmianę sytuacji w Europie. Stalin oczekiwał długiej wojny i szybka porażka Francji stworzyła całkowicie nową sytuację w stosunkach sowiecko-niemieckich. Pakt nieagresji potrzebny Hitlerowi w trakcie wojny polsko-niemieckiej oraz francusko-niemieckiej tracił na znaczeniu. Sztab niemiecki rozpoczął w sierpniu studia nad planem ataku na ZSSR. Naczelne dowództwo niemieckie 27 VII 1940 r. zarządziło przesunięcie z zachodu do Generalnej Guberni 12 dywizji, w tych dwóch pancernych, gdyż w momencie zajmowania Francji w maju 1940 r. na granicy z ZSSR znajdowało się jedynie 7 niepełnych dywizji[12].

Następnym faktem wpływającym na stosunki sowiecko-niemieckie był tzw. arbitraż wiedeński. W dniu 30 VII 1940 r. okrojona przez ZSSR i Węgry Rumunia uzyskała gwarancję od Niemiec. Do Rumunii wkroczyły wojska niemieckie.

---

12. Aleksander Bregman, *Najlepszy sojusznik Hitlera*, Londyn 1974.

Pod koniec 1940 roku w stosunkach sowiecko-niemieckich następuje przesilenie. Na zaproszenie Ribbentropa przyjeżdża Mołotow w listopadzie 1940 r. do Berlina. Rozważano kwestię włączenie Moskwy do osi Berlin-Rzym-Tokio oraz przystąpienia ZSSR do wojny z imperium brytyjskim. Mołotow działając na zwłokę nie przyjął tej propozycji, wysunął jedynie konkretne postulaty strony sowieckiej wobec Finlandii, Rumunii i Bułgarii oraz w stosunku do Dardaneli. Tym razem nie doszło do porozumienia. Rezultatem całkowitej zmiany w koncepcjach militarnych Niemiec było podpisanie 18 XII 1940 r. przez Hitlera dyrektywy o przygotowaniu operacji „Barbarossa". Pakt zawarty 23 VIII 1939 r. zaczynał tracić na znaczeniu. Wojska niemieckie zaczęły zajmować pozycję wyjściową na linii demarkacyjnej z dnia 28 IX 1939 r. Równocześnie Hitler zaczął tworzyć koalicję antysowiecką z udziałem Finlandii i Rumunii.

Pomimo wyraźnych odznak zbliżającego się konfliktu Stalin nie wierzył w wojnę. Wskazują na to liczne fakty, w tym znany komunikat agencji TASS z dnia 13 VI 1941 r.

Dnia 22 VI 1941 r. rozpoczęła się wojna niemiecko-sowiecka. Na całej swej długości linia demarkacyjna ustalona w dniu 28 IX 1939 r. została przekroczona przez wojska niemieckie i faktycznie przestała istnieć. Wojska niemieckie w ciągu kilkunastu dni zajęły całe terytorium Polski Wschodniej zagarnięte przez ZSSR we wrześniu 1939 r.

Pakt sowiecko-niemiecki z dnia 23 VIII 1939 r. oraz ustalenia z dnia 28 IX 1939 r., które umożliwiły rozbiór Polski oraz wchłonięcie przez ZSSR trzech państw bałtyckich straciły rację bytu. Problem przyszłej niepodległości Polski jak i jej granic wschodnich stawał się znowu sprawą otwartą.

Napad Hitlera na ZSSR był wydarzeniem bardzo korzystnym dla Wielkiej Brytanii, która od razu stanęła po stronie ZSSR. W związku z tym rozpoczęły się naciski rządu brytyjskiego na Sikorskiego, ówczesnego premiera Rządu Polskiego, aby unormował stosunki polsko-sowieckie. Rozpoczęły się rozmowy między ambasadorem ZSSR w Wielkiej Brytanii Majskim a Sikorskim, w których czynny udział wzięła dyplomacja angielska. Po pertraktacjach został 30 VII 1941 podpisany przez Sikorskiego i Majskiego w obecności Churchilla i Edena, bez odpowiedniej procedury wymaganej przez konstytucję polską, układ polsko-sowiecki.

Najistotniejszy punkt dotyczący kwestii granicznej brzmiał „Rząd ZSSR uznaje, że traktaty sowiecko-niemieckie z 1939 r., dotyczące zmian terytorialnych w Polsce utraciły swoją moc". Układ nie przewidywał w sposób wyraźny zobowiązania ZSSR do przywrócenia w sprawie granic *status quo ante*. Układ w

dalszych punktach mówił o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych, o wzajemnym poparciu w kontynuowaniu wojny przeciw Niemcom i utworzeniu na terenie ZSSR Armii Polskiej.

Sformułowanie w kwestii granicznej było mało precyzyjne i od razu sprawa granic była przez obie strony odmiennie interpretowana. Nazajutrz Sikorski w przemówieniu do kraju stwierdził: „Układ obecny... nie dopuszcza nawet sugestii, by stawiać pod znakiem zapytania granice sprzed września 1939 r." Natomiast moskiewskie *Izwiestia* 3 VIII 1941 r. pisały, że sprawa granic Polski na wschodzie zostaje otwarta, że traktat ryski nie jest wieczny, że ziemie wschodnie Polski to obszary ukraińskie i białoruskie, a nie polskie[13].

Sikorski, zdając sobie sprawę z niejednoznaczności sformułowań układu wobec kwestii granicznej, domagał się od Edena, ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, publicznego poparcia stanowiska polskiego. Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych w swojej oficjalnej nocie stwierdziło: „Rząd Jego Królewskiej Mości nie uznaje jakichkolwiek zmian terytorialnych, które zaszły w Polsce od sierpnia 1939 r.". Równocześnie jednak Eden w Izbie Gmin odciął się od gwarantowania polskiej granicy wschodniej, odpowiadając na jedno z pytań powiedział, że „wymiana not pomiędzy rządami polskim i brytyjskim nie pociąga za sobą jakiejkolwiek gwarancji granic Polski. Co więcej, zgodnie z deklaracją Churchilla z 5 IX 1940 r., przyszła granica polsko-sowiecka zostałaby ustalona obopólnym porozumieniem". Podobne oświadczenie złożył amerykański podsekretarz stanu Summer Welles, który też nie potwierdził praw Polski do jej wschodniej przedwojennej granicy.

Sytuacja była więc dla Polski niekorzystna. Sikorski interpretował, że konsekwencją wypowiedzenia traktatów z Niemcami musi być powrót do granic ustalonych w Rydze w 1921 roku. Dla ZSSR anulowanie traktatów z Niemcami nie musiało się wiązać z powrotem do granic z sierpnia 1939 r. Ta nieprecyzyjność układu w kwestii najważniejszej, jaką była polska granica wschodnia, wywołała kryzys w Polskim Rządzie w Londynie. Ustąpili między innymi Sosnkowski z Ministerstwa Obrony i Zaleski z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Rezygnacja i sprzeciw wobec Sikorskiego były w pełni uzasadnione. Można sądzić, że można było wywalczyć bardziej korzystne sformułowania układu. Z drugiej jednak strony nawet bardziej korzystny tekst dokumentu zawsze byłby przez ZSSR interpretowany w sposób dogodny dla siebie.

---

13. W. Pobóg-Malinowski — *Najnowsza historia polityczna Polski 1939-1945*. Wydawnictwo „Głos", Warszawa 1981.

Pozytywnym rezultatem układu była amnestia dla więzionych i deportowanych Polaków w ZSSR. Rozpoczęło się formowanie Armii Polskiej w ZSSR na podstawie zawartej dnia 14 VIII 1941 r. umowy wojskowej. Dowódcą jej został gen. Anders.

Problematyka granicy polsko-sowieckiej wypłynęła w trakcie pobytu Sikorskiego w Moskwie. W pierwszym dniu jego pobytu w ZSSR (1 XII 1941 r.) ambasada polska została poinformowana, że mieszkańcy wschodnich ziem Polski narodowości ukraińskiej, białoruskiej i żydowskiej będą uważani za obywateli sowieckich i podlegali poborowi do Armii Sowieckiej; jedynie rdzenni Polacy mieli być uważani za obywateli polskich. Wyjaśniając motywy tej decyzji nota sowiecka wyjaśniała, że „kwestia granic pomiędzy ZSSR a Polską nie została uzgodniona i będzie przedmiotem porozumienia w przyszłości". Świadczyło to pośrednio o pewnym wycofaniu się z linii granicznej z 28 IX 1939 r., ale również o nie akceptowaniu granicy ryskiej.

W trakcie rozmów z Sikorskim Stalin sugerował, że należy jakoś uzgodnić sprawę powojennych granic bez interwencji mocarstw zachodnich, przed końcem wojny. Stalin powiedział Sikorskiemu: „Powinniśmy ustalić między sobą przebieg naszej wspólnej granicy, zanim dojdzie do konferencji pokojowej, jak tylko Armia Polska wejdzie do akcji. Przestańmy teraz o tym mówić. Nie martwcie się, nie skrzywdzimy was"[14].

Widać z tej wypowiedzi, że Stalin był zainteresowany w tym, aby załatwić z Sikorskim bez ingerencji mocarstw zachodnich przebieg granicy polsko-sowieckiej. Był to najlepszy moment, który się już później nie pojawił. Niestety Sikorski odmówił, argumentując, że nie mógłyby „zaakceptować, nawet teoretycznie, jakiejkowiek sugestii, iż granice państwa polskiego można by uważać za płynne". Rozmowa ta odbywała się w grudniu 1941 r. po odparciu Niemców spod Moskwy. Zbliżała się długa zima. Sikorski powinien był wiedzieć, że ZSSR przetrwał najbardziej krytyczny okres. Z drugiej strony Stalin zdawał sobie sprawę, że wojna zapowiada się długa, więc gotów był na ustępstwa. Stalin był gotów do polubownego załatwienia spornej sprawy. Wystarczyłoby, gdyby Sikorski zawarł porozumienie ze Stalinem, że terytorium Polski nie będzie mniejsze niż w 1939 r. lub chociaż uzgodnił problem przynależności do Polski Małopolski Wschodniej ze Lwowem. W przyszłych pertraktacjach między mocarstwami byłby to argument, który musiałby mieć swoje znaczenie. Sikorski uchylił się od konkretnej rozmowy.

14. J. Karski, *Wielkie mocarstwa a Polska*. Wydawnictwo KOS, Warszawa 1987.

Od tego czasu postawa sowiecka stawała się coraz pewniejsza i coraz bardziej sztywna. W nocie ambasadora Bogomołowa z dnia 23 I 1942 r. ZSSR ostro zaprotestował przeciwko kwestionowaniu przynależności do ZSSR Litwy, Łotwy i Estonii. Wymienienie Litwy nie mającej w sierpniu 1939 r. wspólnej granicy z ZSSR było wyraźnym potwierdzeniem stosunku sowieckiego do polskich kresów wschodnich. Po tej nocie sprawa państw bałtyckich została rozstrzygnięta zgodnie z postulatami sowieckimi. Rząd brytyjski w dniu 26 IV 1942 r. zaakceptował zachodnią granicę ZSSR na odcinku państw bałtyckich i Rumunii. W ten sposób bez żadnej dyskusji Anglicy uznali zmiany graniczne będące efektem porozumienia między Mołotowem a Ribbentropem. Stało się to pomimo, że rząd brytyjski utrzymywał przez cały okres międzywojenny stosunki dyplomatyczne z Litwą, Łotwą i Estonią. Nastąpił więc kres niepodległości tych trzech państw. Nie mówiąc o kwestii moralnej, był to błąd dyplomacji brytyjskiej, gdyż przekazała bez dyskusji obszar, na którym ZSSR bardzo zależało i gotów był zapłacić dużą cenę w innych spornych kwestiach. Było to również groźne memento dla sprawy polskiej.

W ciągu 1942 r. ZSSR niejednokrotnie dawał do zrozumienia, że uważa granice z czerwca 1941 r. za legalnie obowiązujące, nie na zasadzie porozumienia Ribbentrop-Mołotow, ale na podstawie wyniku plebiscytu przeprowadzonego miesiąc później pod kontrolą NKWD i Armii Sowieckiej.

Równocześnie ZSSR wystąpił z ostrym sprzeciwem przeciwko umowie polsko-czechosłowackiej z dnia 23 I 1942 r., przewidującej przyszłą konfederację obu państw. Była ona niedogodna dla imperialnych celów ZSSR, zmierzającego do opanowania środkowej Europy.

Sikorski będąc 24 III 1942 r. w Waszyngtonie próbował nakłonić Roosevelta do obrony polskiej granicy wschodniej. Uzyskał jedynie mglistą deklaracją, że „rząd USA nie odstępuje od zasady, że żadne kwestie terytorialne nie powinny być rozwiązywane przed zakończeniem wojny".

Pod względem deklaratywnym stanowisko brytyjskie wobec wschodniej granicy Polski na razie jeszcze nie uległo zasadniczej zmianie. Eden w odpowiedzi Raczyńskiemu w dniu 17 IV 1942 r. pisał m.in.: „jeśli chodzi o Wilno i każde inne terytorium znajdujące się 25 VIII 1939 r. w obrębie granic Polski, rząd Jego Królewskiej Mości zapewnił już Rząd Polski, że nie uzna jakiejkolwiek zmiany terytorialnej dokonanej w Polsce od sierpnia 1939 r. i zamierza respektować to zapewnienie w każdym porozumieniu, które może być zawarte z Rządem Sowieckim".

Stosunki polsko-sowieckie stale się pogarszały. Poważne

rozbieżności wynikły w trakcie organizowania Armii Polskiej w ZSSR. Rozpoczęły się utrudnienia przy poborze i formowaniu kolejnych dywizji wojska polskiego. Następnie zapadły decyzje w sprawie częściowej, a następnie całkowitej ewakuacji Armii Polskiej do Persji. Sprawa tej ewakuacji, w której była zainteresowana Wielka Brytania a później również ZSSR, była problemem dość złożonym. Niemniej Polska traciła istoty atut polityczny. Można przypuszczać, że gdyby armia ta walczyła z Niemcami na froncie wschodnim, miałoby to istotny wpływ na rozmowy w sprawie granic wschodnich.

Pod koniec 1942 r. rząd polski ponownie postawił na porządku dnia problem granicy polsko-sowieckiej. Reakcja sowiecka była już coraz bardziej agresywna i wroga. Rząd sowiecki dnia 16 I 1943 r. w nocie do ambasady polskiej w ZSSR powiadomił, że pozbawia obywatelstwa polskiego Polaków przebywających w ZSSR. Równocześnie przypomniał o „suwerennych prawach ZSSR do wymienionych obszarów", mówiąc o ziemiach opanowanych w 1939 roku.

Z tą interpretacją nie mogła się zgodzić Rada Narodowa Polskiego Rądu, która 20 II 1943 r. oświadczyła, że „integralność obszaru Rzeczypospolitej Polskiej w jej granicach z dnia 1 IX 1939 r. oraz jej suwerenność są nienaruszalne i niepodzielne". W miarę jednak czasu i wzmocnienia pozycji sowieckiej polskie oświadczenia zaczynały odgrywać coraz mniejszą rolę. Natomiast wypowiedzi sowieckie były bardzo zdecydowane i mniej pojednawcze. W oświadczeniu agencji TASS 1 III 1943 r. władze sowieckie wyraźnie już nawiązują do linii Curzona i oświadczają, że „rząd polski nie chce uznać historycznych praw narodu ukraińskiego i białoruskiego do zjednoczenia się w swoich państwach narodowych... Rząd polski wypowiada się w ten sposób za rozbiorem ziem ukraińskich i białoruskich, za kontynuowaniem polityki rozczłonkowania narodu ukraińskiego i białoruskiego".

Z kolei w odpowiedzi na komunikat agencji TASS, polska agencja PAT 5 III 1943 r. stwierdzała: „Traktat Ryski z 1921 r. i jego postanowienia graniczne usankcjonowane w 1923 r. przez Konferencję Ambasadorów i Stany Zjednoczone nie były przez Rosję kwestionowane, aż do układów zawartych przez ZSSR z Trzecią Rzeszą o podział ziem polskich, układów unieważnionych paktem polsko-sowieckim z 30 VII 1941 r. Nawiązywanie do niemiecko-rosyjskiej linii granicznej z tego roku nie wymaga żadnych komentarzy. Tak zwana linia Curzona była projektowana jedynie w czasie działań wojennych w latach 1919-1920 jako linia rozejmowa, a nie graniczna".

Stosunki między polskim rządem emigracyjnym a ZSSR

zbliżały się nieuchronnie do zerwania. Pretekstem bezpośrednim było oświadczenie rządu Sikorskiego i apel do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w sprawie odkrytych w Katyniu grobów polskich oficerów zamordowanych przez NKWD na wiosnę 1940 r. Rząd sowiecki urażony podejrzeniem o tę zbrodnię zerwał jednostronnie 25 IV 1943 r. stosunki dyplomatyczne z emigracyjnym rządem polskim, imputując mu współpracę z Hitlerem oraz „że ta wroga kampania podjęta została przez rząd polski po to, by wykorzystując oszczercze fałszerstwo hitlerowskie, wywrzeć nacisk na rząd sowiecki w celu wymuszenia na nim ustępstw terytorialnych kosztem interesów sowieckiej Ukrainy, sowieckiej Białorusi i Litwy sowieckiej".

Polski rząd w Londynie znalazł się w izolacji, a sprawy polskie uległy znacznemu pogorszeniu. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone podjęły się mediacji w celu zażegnania kryzysu w stosunkach polsko-sowieckich. Stalin domagał się zmian personalnych w rządzie Sikorskiego oraz uznania przez rząd polski „prawa do samookreślenia ludności zachodniej Ukrainy i zachodniej Białorusi", czyli akceptacji na przyłączenie wschodnich obszarów Polski do ZSSR.

Izolacja międzynarodowa rządu polskiego i poparcie jakie uzykał Stalin od Churchilla i Roosevelta zaczęły skłaniać Sikorskiego do ewentualnych ustępstw granicznych. Dlatego też rozważał możliwość oddania Polesia, Wołynia i części Podola Związkowi Sowieckiemu[15] w zamian za rekompensaty terytorialne kosztem Niemiec. W związku z tym zamierzał udać się do Moskwy na bezpośrednie rozmowy ze Stalinem, nim jednak zdołał zrealizować zamierzoną wizytę, tragicznie zginął 4 VII 1943 r. Nowym premierem rządu emigracyjnego został Mikołajczyk. Polski rząd emigracyjny w nowym składzie stał nadal na stanowisku utrzymania granicy ryskiej.

W toku przygotowań do moskiewskiej konferencji ministrów spraw zagranicznych trzech głównych mocarstw (19-30 X 1943) strona brytyjska próbowała narzucić rządowi Mikołajczyka konieczność uznania linii Curzona za granicę polsko-sowiecką. Minister Eden spotkał się jednak ze zdecydowanym stanowiskiem Mikołajczyka w sprawie polskiej granicy wschodniej.

W związku z przygotowaniami do spotkania wielkiej trójki w Teheranie polski rząd przysłał dnia 16 XI 1943 r. Churchillowi i Rooseveltowi memorandum, zawierające polskie dezyderaty i odrzucające możliwość zmiany przedwojennej granicy polsko-sowieckiej. Nie miało to już dużego wpływu praktycznego.

15. A. Albert, *Wschodnie granice Polski*, Warszawa 1984.

Na konferencji w Teheranie zapadła dnia 1 XII 1943 r. decyzja trzech mocarstw w sprawie wschodniej granicy Polski. Początkowo strona sowiecka postulowała, aby punktem wyjścia była granice z 22 VI 1941 r. Mołotow zaznaczył przy tym, że jest to linia graniczna nazywana linią Curzona. Brytyjczycy zakwestionowali tę tezę pokazując mapę, na której zaznaczona była różnica między linią Curzona pozostawiającą po stronie polskiej Białostockie i Przemyśl, a linią z 22 VI 1941 r., która pozostawiała te terytoria w granicach ZSSR. Mołotow zorientował się, że nie uda się wprowadzić w błąd strony przeciwnej. Następnie Stalin zakreślił na mapie różnicę między obu liniami granicznymi i przyznał, że są to obszary zamieszkałe przez ludność polską. Kolejną sprawą sporną była kwestia Lwowa. Eden przypomniał, że w Galicji linia Curzona nie została wyznaczona i problem Lwowa jest nadal otwarty. Mołotow odczytał pełny tekst noty Curzona do rządu Rosji Sowieckiej, w której mówi się o dwóch liniach rozgraniczenia; na zachód i wschód od Lwowa. Rozpoczął się spór interpretacyjny. Eden bronił interesów Polski. Churchill powiedział zaś do Mołotowa, że „nie będzie podnosić wielkiego lamentu z powodu Lwowa".

Dyskusja zakończyła się podjęciem konkretnych decyzji w sprawie wschodniej granicy polskiej. Ze względu na wagę tej decyzji warto podać wyjątki z decydującej już rozmowy między Stalinem a Churchillem.

Stalin: „Mowa jest o tym, że ziemie ukraińskie powinny wrócić do Ukrainy, a białoruskie do Białorusi, tzn. pomiędzy nami a Polską powinna istnieć granica z 1939 r., ustanowiona przez radziecką konstytucję". Na tę wypowiedź Churchill przedstawił następującą propozycję wniosku: „Przyjęto w zasadzie, że ognisko państwa i narodu polskiego powinno znajdować się między tak zwaną linią Curzona a linią rzeki Odra, z włączeniem w skład Polski Prus Wschodnich i prowincji opolskiej. Jednakże ostateczne wytyczenie granic wymaga dokładnych studiów i w niektórych punktach ewentualnego rozsiedlenia ludności". Stalin: „Rosjanie nie posiadają niezamarzających portów na Morzu Bałtyckim. Dlatego Rosjanom byłyby potrzebne porty niezamarzające Królewiec i Kłajpeda oraz odpowiednia część terytorium Prus Wschodnich. Tym bardziej, że historycznie są to odwieczne ziemie słowiańskie. O ile Anglicy zgodzą się na przekazanie wskazanego wyżej terytorium, to wyrazimy zgodę na zaproponowane przez Churchilla sformułowanie"[16].

16. Stenogram rozmów prowadzonych w Teheranie i w Jałcie pomiędzy Stalinem, Churchillem i Rooseveltem podano wg. opracowania Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych pt. *Sprawa polska w czasie drugiej wojny światowej na arenie międzynarodowej*, Warszawa 1965.

Granica wschodnia Polski została więc uzgodniona. Miała to być linia Curzona. Churchill w bezpośredniej rozmowie ze Stalinem przyjął nie tylko linię Curzona, ale jednocześnie przyznał ZSSR północne Prusy Wschodnie z Królewcem oraz dodatkowo Kłajpedę. Polska miała nie tylko utracić wschodni obszar kraju, ale też miała graniczyć również i na północy z ZSSR. W sprawach granicy polsko-sowieckiej żądania ZSSR zostały zaspokojone. Jedynym ustępstwem ZSSR była zgoda na linię Curzona zamiast na linię demarkacyjną z czerwca 1941 r. Mówiąc ogólnikowo o linii Curzona, nie poruszono w ostatecznej redakcji dokumentu kwestii Lwowa, który mógł się znaleźć zarówno po wschodniej, jak i po zachodniej stronie granicy. Stalin bez wątpienia zakładał, że Lwów znajdzie się po stronie sowieckiej. Dawało to jednak w przyszłości możliwości odmiennej interpretacji południowego odcinka linii Curzona.

Decyzje teherańskie zostały utajnione i nie przekazano ich do wiadomości rządu polskiego. Rząd Mikołajczyka był nieświadom, że polska granica wschodnia została poza plecami Polaków już w ogólnych zarysach rozstrzygnięta. W takiej sytuacji usiłowanie polskiej strony, zwłaszcza zaś interwencje u Roosevelta w sprawie jego pomocy w utrzymaniu przez Polskę granicy z traktatu ryskiego, miały być już bezskuteczne. Gołosłowne obietnice zaś Roosevelta wprowadzały tylko w błąd i utrudniały prowadzenie bardziej realistycznej polityki.

Ziemie wschodnie Rzeczpospolitej znajdowały się pod okupacją niemiecką od ostatnich dni lipca 1941 r. do pierwszej połowy 1944 r. W dniach 31-4 I 1944 r. Armia Sowiecka przekroczyła w rejonie Sarn granicę ustaloną w traktacie ryskim i w związku z tym polski rząd londyński opublikował deklarację, zawierająca postulat jak najszybszego przywracania polskiej administracji na wschodnich ziemiach Polski. W odpowiedzi nastąpiło oświadczenie agencji TASS, iż „granica polsko-sowiecka została ustalona w plebiscycie przeprowadzonym w szerokich ramach demokratycznych w r. 1939". Było to wyraźne nawiązanie do linii demarkacyjnej ustalonej w pakcie Ribbentrop-Mołotow, bez wspominania samego tego faktu.

W następnych miesiącach Armia Sowiecka kolejno zajmowała obszary kresów wschodnich. Wywołało to znane wydarzenia związane z akcją „Burza". Rozpoczęły się znowu rozstrzeliwania, internowania i deportacje. Nie przybrały one już tak wielkiej skali jak w latach 1939-1941. Dotyczyły one głównie żołnierzy Armii Krajowej jak również ludzi uznanych przez władze sowieckie jako „element antysowiecki". Według Siedleckiego do końca grudnia 1944 z województwa wileń-

skiego i nowogródzkiego deportowano około 80 tys. mieszkańców[17].

Między 18 a 20 VII 1944 r. Armia Sowiecka przekroczyła linię Bugu. Na tym odcinku granicznym było to przekroczenie zarówno linii Curzona jak i linii demarkacyjnej z 28 IX 1939 r. Wywołało to poważne konsekwencje polityczne. Dnia 20 VII 1944 powołano w Moskwie Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Ogłosił on manifest, na którym figurowała data 22 VII 1944 r., a jako miejsce jego wydania podano Chełm, pierwsze miasto położone na zachód od linii Curzona. Nowy ośrodek władzy został powołany z inicjatywy Stalina. W składzie jego znaleźli się działacze z Krajowej Rady Narodowej, Związku Patriotów Polskich oraz Centralnego Biura Komunistów Polskich. W Manifeście PKWN-u stanowisko wobec granicy wschodniej zostało podane w sposób następujący: „Krajowa Rada Narodowa i powołany przez nią Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego uznają, że uregulowanie granicy polsko-radzieckiej powinno nastąpić w drodze wzajemnego porozumienia. Granica wschodnia powinna być linią przyjaznego sąsiedztwa a nie przegrodą między nami a naszymi sąsiadami i powinna być uregulowana zgodnie z zasadą: ziemie polskie — Polsce, ziemie ukraińskie, białoruskie i litewskie — Radzieckiej Ukrainie, Białorusi i Litwie".

Za tym mało precyzyjnym sformułowaniem kryła się pełna rezygnacja z byłych ziem wschodnich Rzeczpospolitej. Mglista retoryka była przeznaczona dla krajowego odbiorcy. Wynikało z tekstu, że granica jeszcze nie jest ustalona. Było to niezgodne z prawdą, gdyż linia Curzona była już przez kierownictwo PKWN-u zaakceptowana. Zresztą wydarzenia te odbywały się już po konferencji teherańskiej, w której Stalin uzyskał zgodę Churchilla i Roosevelta na linię Curzona. Formalne podpisanie zgody na linię Curzona między PKWN-em a rządem sowieckiem odbyło się w Moskwie 25 VII 1944 r. Opis tej konferencji zawierają „Dzienniki" E. Osóbki-Morawskiego. Trudno ocenić, czy są one w pełni wiarygodne. Niemniej innych materiałów nie posiadamy. Delegacja PKWN-u postanowiła zgłosić poprawki do projektu sowieckiego, który nie został nigdy ogłoszony. Były one następujące:

1. Linia Curzona nie powinna ulec żadnym poprawkom na naszą niekorzyść
2. Rozgraniczenie terenu Prus Wschodnich na część polską i sowiecką powinno uwzględniać większy dostęp do morza od strony polskiej

17. J. Siedlecki, *Losy Polaków w ZSRR w latach 1939-1986*, Warszawa 1988.

3. Należy wystąpić o korektę linii Curzona, która uwzględniałaby prawo Polski do Puszczy Białowieskiej i ewentualne przyłączenie Lwowa i Zagłębia Naftowego do Polski.

Rozmowa ze Stalinem podana jest przez Osóbkę-Morawskiego w sposób następujący: „Rozmowa zaczęła się bardzo nieprzyjemnie. Marszałek Stalin z gniewem zagaił. O co tam jeszcze idzie. Czy Chełmszczyzna ma do nich należeć czy do nas". Zaczęliśmy szczegółowe rozmowy. Powoli atmosfera się uspakajała. Rozpoczęliśmy argumentację naszą, że w Polsce liczono ogólnie na całe Prusy Wschodnie. Żeby odłączyć Królewiec z nich do ZSRR nie trzeba aż tyle, ile przewiduje projekt odcinać z nich terenu. Marszałek Stalin zgodził się na zmianę w tym rejonie. Następnie zgodził się na zmianę kosztem terenów odłączonych od Litwy w rejonie suwalskim i augustowskim. Również ustąpiono tu i ówdzie na ścianie wschodniej, jakieś małe punkty. Wskazaliśmy jeszcze na stację rozjazdową Chyrów, która zostawała po stronie sowieckiej, co przecinało nam dwie linie kolejowe. Zupełnie do dziś dnia nie rozumiem, dlaczego na tym punkcie Rosjanie byli tak nieustępliwi. Jeszcze prezydent Bierut będzie w przyszłości próbował walczyć o Chyrów i nic nie uzyska a narazi się osobiście na duże przykrości z tego powodu". Dalej Osóbka Morawski pisze: „Gdy już dyskusja o granicach zdawała się wyczerpana, zabrałem głos w sprawie obiecanych poprawek linii Curzona na korzyść Polski i argumentowałem następująco: naród polski oczekuje jakiejś poważniejszej poprawki linii Curzona, są trzy możliwe poprawki, które miałyby jakiś poważniejszy wydźwięk. Ja wymienię jedną z nich, wydaje się najskromniejszą, mianowicie Puszczę Białowieską".

W dalszym ciągu swoich wywodów Osóbka-Morawski opisuje, że dzięki jego interwencji Stalin wyraził zgodę na przekazanie Polsce połowy Puszczy Białowieskiej.

Z dzienników tych wynika, że pierwotny projekt sowiecki odbiegał znacznie od linii Curzona na niekorzyść Polski. Dodatkowo widać z tego, że delegacja PKWN-u zastraszona nie miała odwagi występować o Lwów oraz Zagłębie Naftowe. Należy jednak się zgodzić, że Stalin występował z pozycji siły i nie zamierzał iść na jakiekolwiek większe kompromisy.

Druga konferencja przedstawicieli PKWN-u w sprawie granic odbyła się 16 VIII 1944 r. w Moskwie. Nie przyniosła ona jednak w kwestii granicy wschodniej żadnych zmian.

Uzgodniona granica nie była już kwestionowana ani podnoszona przez rząd lubelski. A nawet przedstawiciele rządu lubelskiego stali po stronie sowieckiej w pertraktacjach prowadzonych z polskim rządem londyńskim lub mocarstwami zachodnimi.

Świadczy o tym znane zdanie powiedziane przez Bieruta Churchillowi: „Jesteśmy tu, by w imieniu Polski zgodnie z wolą narodu polskiego żądać, by Lwów należał do Rosji". Stalin zaś w rozmowie z Mikołajczykiem dnia 18 X 1944 r. stwierdził: „Stanowczo obstaję przy natychmiastowym ustaleniu, które tak jak poprzednio mówiłem, ma biec wzdłuż linii Curzona... Przedstawiciele Komitetu Lubleskiego pp. Bierut i Osóbka oświadczyli mi, że ta nowa granica jest sprawiedliwa".

Nie należy jednak przeceniać znaczenia porozumień granicznych między rządem lubelskim a ZSSR. Wschodnia granica polska została ustalona na konferencji teherańskiej, a ostatecznie potwierdzona w trakcie rozmów trzech mocarstw w Jałcie. Związek Sowiecki wiedział, że nie utrzyma już granic z 28 IX 1939 r. Dowodzi tego odpowiedź Stalina na zapytanie Mikołajczyka w trakcie rozmów prowadzonych w Moskwie w dniu 13 X 1944: „Czy linia Curzona jest równoznaczna z linią demarkacyjną wprowadzoną w 1939 r.?" Stalin odpowiada: „Nie, to bynajmniej nie to samo. Białystok, Łomżę i Przemyśl linia Curzona oddaje Wam."

Ostateczne decyzje co do polskiej granicy wschodniej zapadły w trakcie spotkania Stalina, Churchilla i Roosevelta w Jałcie. Przyjęto za podstawę polskiej granicy wschodniej linię Curzona z pozostawieniem po stronie sowieckiej Lwowa. Decyzja ta nie wzbudziła specjalnych kontrowersji. Co prawda w pewnym momencie Roosevelt zaapelował do Stalina o rozważenie kwestii przyłączenia do Polski Lwowa. Nie stawiał tego jako postulatu, traktował jako sugestię do rozważenia i z góry zastrzegał, że nie będzie prowadzić żadnej polemiki. Uważał, że mogło to być traktowane jako rekompensata za Królewiec. ZSSR nie przyjął tej sugestii, a Roosevelt nie powrócił do tej kwestii. Natomiast Churchill zdecydowanie uznał sowiecką interpretację linii Curzona i wypowiedział się za włączeniem Lwowa do ZSSR. Ostatecznie przyjęto następującą propozycję w sprawie polskiej granicy wschodniej: „uzgodniono, że wschodnią granicą Polski powinna być linia Curzona, z odchyleniami, w pewnych rejonach od 5 do 8 km na korzyść Polski".

Ujawnienie tych postanowień wywołało 22 I 1945 r. protest polskiego rządu w Londynie, którzy stwierdził, że „decyzje jałtańskie zostały przygotowane i powzięte bez udziału, bez upoważnienia, nawet bez wiedzy rządu polskiego, metoda zastosowana w Jałcie jest zaprzeczeniem zasad obowiązujących sojuszników, jest wyrzeczeniem się Karty Atlantyckiej i pogwałceniem prawa każdego narodu do występowania w obronie własnych interesów, toteż decyzje jałtańskie w sprawach Polski nie mogą być uznane przez rząd polski i nie mogą obowiązywać

narodu polskiego; oderwanie od Polski wschodniej połowy jej terytorium naród polski przyjmie jako nowy rozbiór Polski, tym razem dokonany przez sojuszników Polski"[18].

Nowa granica Polski została wytyczona w sposób ścisły w 1945 roku. Jest ona powszechnie znana, więc nie ma potrzeby jej omawiać. Warto jedynie porównać jej przebieg w stosunku do tzw. linii Curzona oraz linii demarkacyjnej, powstałej w wyniku paktu Ribbentrop-Mołotow.

Przy dokładniejszym porównaniu obecnej granicy z linią Curzona uwidoczniają się małe rozbieżności. Analizując przebieg obu linii granicznych od północy ujawnia się pewna różnica. Linia Curzona rozpoczyna się od ujścia Kanału Augustowskiego do Niemna w pobliżu ujścia Czarnej Hańczy do Niemna, natomiast obecna granica Polski przecina Kanał Augustowski 15 km na zachód od jego ujścia do Niemna. Występuje więc wyraźne przesunięcie na niekorzyść Polski. Następnie linia Curzona idzie nurtem Niemna aż do Grodna, pozostawiając Grodno po wschodniej stronie. Aktualna granica Polski idzie po linii prostej i przechodzi w pobliżu Kuźnicy. W stosunku do linii Curzona przesunięta jest na zachód od 15 do 20 km. Przez ten fakt Polska utraciła obszar po zachodniej stronie Niemna w rejonie miejscowości Sopoćkinie. Linia Curzona w bezpośrednim sąsiedztwie Grodna przy miejscowości Łososna oddala się od Niemna i linią prostą dochodzi do rzeki Swisłocz w pobliżu dopływu Niestupy niedaleko od Krynek. W tym miejscu następuje zetknięcie linii Curzona z obecną granicą Polski. Na długości więc 70 km występuje rozbieżność obu linii, dochodząca do szerokości 20 km na niekorzyść Polski. Od Krynek do rejonu Białowieży występuje pełna zgodność linii Curzona i obecnej granicy Polski. Na południe od Białowieży obecna granica zmienia kierunek na południowo-zachodni i dochodzi do Bugu w pobliżu Niemirowa. Linia Curzona też zmienia kierunek bardziej na zachód, ale nie pod tak dużym kątem, dochodząc do Bugu w pobliżu ujścia rzeki Pulwy do Bugu, pozostawiając po stronie zachodniej Wołczyn. Te różnice znowu na niekorzyść Polski oscylują od 5 do 10 km. Przez ten fakt po stronie sowieckiej pozostała miejscowość Wysokie. Na dalszym odcinku granicznym przechodzącym rzekę Bug jest pełna zgodność między obu liniami granicznymi. Linia Curzona kończyła się obok Sokala, przechodząc dalej w tak zwaną linię A lub linię B. Jak wiadomo, została przyjęta tzw. linia A przesunięta bardziej na zachód, pozostawiająca Lwów i Zagłębie Naftowe po stronie sowieckiej. Trudno jest

18. W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski 1939-1945*. Wydawnictwo Głos, Warszawa 1981.

dokładnie porównać obecną granicę z wariantem A, gdyż ta linia graniczna zarysowana została w sposób mało dokładny. Niemniej wydaje się, że obecna granica państwa polskiego została przesunięta kilka kilometrów na zachód. Analiza całego przebiegu linii Curzona oraz granicy wytyczonej w 1945 r. ujawnia, że nastąpiły pewne modyfikacje na korzyść ZSSR. Było to więc niezgodne z ustaleniami konferencji w Jałcie, która wyraźnie stwierdzała, że powinny nastąpić przesunięcia od 5 do 8 km jedynie na korzyść Polski.

W stosunku do linii demarkacyjnej istniejącej od dnia 28 IX 1939 do 22 VI 1941 nastąpiły wyraźne zmiany na korzyść Polski. Dla określenia istniejących różnic podane zostaną obszary, które obecnie znajdują się na terytorium Polski, a w okresie obowiązywania paktu Ribbentrop-Mołotow były w sowieckiej strefie okupacyjnej. W przybliżeniu można przyjąć, że do Polski w 1945 r. wróciły (wg układu administracyjnego z 1939 r.) trzy powiaty woj. warszawskiego (liczące w 1931 323 tys. mieszkańców) oraz woj. białostockie bez dwóch powiatów (grodzieńskiego i wołkowyskiego) oraz suwalskiego znajdującego się latach 1939-1941 pod okupacją niemiecką (1931 — 622 tys. mieszkańców). W południowej części granicy odzyskano z woj. lwowskiego powiat lubaczowski, w dużej części powiat jarosławski, przemyski z Przemyślem i dobromilski i w niewielkiej części powiat sokalski, rawski i jaworowski (w 1931 — 340 tys. mieszkańców)[19]. Można założyć, że łącznie zamieszkiwało ten obszar w 1931 r. 1.295 tys. osób, w tym około 900 tys. Polaków.

Porównując wyliczone dane do danych demograficznych zawartych w tabeli nr 2, w której zaprezentowano ogólną liczbę ludności, w tym również polskiej znajdującej się w strefie sowieckiej w 1939 r., możemy określić ogólne straty demograficzne państwa polskiego wywołane zmianą granicy wschodniej. Wyniosły one 10.924,8 tys. mieszkańców, w tym ponad 4 mln

19. Mówiąc o kształtowaniu się granicy wschodniej Polski na tym odcinku należy również wspomnieć, że w 1951 r. nastąpiła między Polską a ZSSR wymiana terenów przygranicznych. Polska została zmuszona do oddania tzw. „kolana Bugu", obszaru leżącego po lewej stronie Bugu, na zachód od Sokala między Sołokiją a Bugiem. W zamian Polska dostała rejon o tej samej powierzchni w rejonie Ustrzyk Dolnych. Wymiana ta była spowodowana faktem występowania na terenie polskim pokładów węgla kamiennego. Po uzyskaniu żądanego obszaru ZSSR zbudował na tym terenie kilka kopalń węgla kamiennego, o zdolności produkcyjnej 15 mln ton rocznie. Na miejscu Krystynopola powstało duże miasto o nazwie Czerwonogród. Zabrany obszar cechował się również doskonałymi glebami. Otrzymaliśmy w zamian obszar mało atrakcyjny, podgórski, w rejonie górnego Sanu. Jako ciekawostkę można podać, że obszar uzyskany przez ZSSR był po zachodniej stronie linii demarkacyjnej między 1939 r. a 1941 r.

ludności etnicznie polskiej. Tyle bowiem ludności zamieszkiwało w 1931 roku na obszarach zawartych między granicą obecną a granicą traktatu ryskiego.

Doliczając przyrost naturalny w latach 1931-1939 dochodzimy do liczby ponad 12,0 mln mieszkańców, w tym ponad 4,3 mln Polaków[20].

Ostatnim wytyczonym odcinkiem granicy między ZSSR a Polską była granica północna, przecinająca Prusy Wschodnie. Granica ta zgodnie z obecnym przebiegiem idzie od Zatoki Gdańskiej, następnie dzieląc Mierzeję i Zalew Wiślany przechodzi na północ od Braniewa i dalej idąc po linii prostej dochodzi do Wiżajn na Suwalszczyźnie, przecinając drogi, linie kolejowe i miejscowości, pozostawiając po stronie polskiej Braniewo i Bartoszyce oraz Gołdap, po stronie sowieckiej Św. Siekierkę (obecnie Mamonowo), Frydland (obecnie Prawdinsk) i Darkiejny (obecnie Ozersk).

W wyniku drugiej wojny światowej Polska utraciła całą wschodnią część kraju, wynoszącą około 179 tys. km². Było to terytorium znacznie większe od powierzchni całej dzisiejszej Czechosłowacji (liczącej 128 tys. km²) lub NRD (108,3 tys. km²), lub Austrii łącznie z Węgrami (176,8 tys. km²). Polska utraciła 45% powierzchni swojego terytorium.

Straty były więc olbrzymie. Stało się to pomimo nieugiętej postawy polskiego rządu w Londynie i pomimo jednoznacznej opinii społeczeństwa polskiego w kraju. Stało się to pomimo stania od pierwszego do ostatniego dnia wojny po stronie

---

20. Trudno jest opisać w sposób dokładny losy ludności polskiej w latach 1939-1945. Dane spisu z 1950 r. wykazały, że blisko 2,2 mln mieszkańców Polski mieszkało w 1939 r. na obszarach odstąpionych ZSSR, czyli mniej więcej tyle osób repatriowało się do Polski. Dane spisu sowieckiego z 1959 r. wykazały, że w republikach ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej zamieszkiwało 1.132 tys. mieszkańców podających narodowość polską. Ponad 100 tys. wyszło z ZSSR z armią gen. Andersa. Z tych niewielu wróciło do kraju. Brakuje więc blisko 900 tys. osób, czyli 20% stanu z 1939 r. Sądzę, że są to straty wywołane wojną, terrorem stalinowskim, masowymi deportacjami, bratobójczymi walkami z Ukraińcami itp. Znany historyk Pobóg-Malinowski podaje za Wielhorskim, że ogólna liczba pomordowanych i zmarłych Polaków w ZSSR przed 1 X 1942 wynosiła około 900 tys. osób, nawet przy założeniu, że liczba ta jest zawyżona, to ogólny bilans mniej więcej się zgadza. Biorąc pod uwagę dane wyjściowe z 1939 r. nie można również kwestionować faktu, że pewna grupa osób narodowości żydowskiej, białoruskiej czy ukraińskiej ze względów koniunkturalnych podała w 1931 roku narodowość polską (w spisie było zapytanie o język ojczysty). Na terenach mieszanych narodowościowo istnieje zawsze pewna kategoria ludności o nie wyklarowanym poczuciu narodowościowym (np. dzieci z małżeństw mieszanych) lub niezdecydowana, która zazwyczaj optuje za narodowością wiodącą w państwie.

sprzymierzonych i znalezienia się w obozie zwycięskiej koalicji.

Postawa wszystkich ważniejszych ugrupowań politycznych kraju była w tej sprawie nieugięta. Można tu nadmienić, że spośród działających wówczas w podziemiu polskich organizacji politycznych Grupa Wielkiej Polski żądała na wschodzie granicy z 1772 roku; Konfederacja Narodu licznych poprawek granicy ryskiej na korzyść Polski. Stronnictwo Narodowe i Stronnictwo Pracy też korekty granicy ryskiej na rzecz Polski, sanacyjny Obóz Polski Walczącej, Stronnictwo Ludowe, grupa „Racławice", Polski Związek Wolności, Związek Odbudowy Rzeczpospolitej, Stronnictwo Demokratyczne, syndykaliści oraz socjaliści z PPS/WRN — granicy ryskiej[21].

Jedynie Polska Partia Robotnicza i komuniści w ZSSR stali na stanowisku odstąpienia ZSSR wschodnich obszarów kraju. Wiadomo, że ze względów taktycznych tego stanowiska nie eksponowali, używając pojęć wieloznacznych, takich jak „samookreślenie" czy „zjednoczenie". Podobnie też na zjeździe Związku Patriotów Polskich w ZSSR w dniach 9 VI i 10 VI 1943 r. przyjęto deklarację o uznaniu „praw Ukraińców i Białorusinów do zjednoczenia", bez podania, jak daleko to „zjednoczenie" ma sięgać.

Możliwości zrealizowania postulatów zarówno rządu polskiego w Londynie jak i ugrupowań politycznych w kraju w miarę upływu czasu i sukcesów militarnych ZSSR malały i przestały w pewnym momencie odgrywać istotniejsze znaczenie. Zajęcie terenów wschodnich Polski przez Armię Sowiecką zdeterminowało w całości sytuację. Należy wyraźnie stwierdzić, że Polska w walce o granicę wschodnią była całkowicie osamotniona. Churchill i Roosevelt stanęli zdecydowanie po stronie Stalina, a nie polskiego rządu w Londynie. Wiele się na to złożyło przyczyn. Wiązało się to z ich koncepcją oddania Europy Wschodniej do sowieckiej strefy wpływów. Rezygnacja ta była wynikiem ukształtowanej proporcji sił.

Postulaty Stalina odniesione do spraw Europy wschodniej były akceptowane przez Churchilla i Roosevelta. Można tu nadmienić, że nie dotyczyło to tylko polskiej granicy wschodniej. Bez sprzeciwu oddano Stalinowi Królewiec, czy też nie upomniano się o niepodległość Litwy, Łotwy i Estonii. Przy prowadzonych dyskusjach w Teheranie i w Jałcie Stalin był w silniejszej pozycji, był przekonany o swojej sile i racji. Równocześnie był lepiej przygotowany merytorycznie. Dzięki swojej konsekwencji, przebiegłości, przenikliwości a często i brutalności

21. A. Albert, „Wschodnie granice Polski". *Zeszyty Historyczne* nr 53, Paryż 1980 r.

osiągał zamierzone cele. Okazał się bezsprzecznie największą indywidualności polityczną w tych rozgrywkach. Churchill i Roosevelt zazwyczaj ulegali jego argumentacji. Będąc w słabszej sytuacji, łatwo poddawali się iluzjom. Można tu podać jako przykład postawę Churchilla, któremu się wydawało, że szybka zgoda Polaków na linię Curzona obroni niepodległość Polski i umożliwi zainstalowanie w Polsce rządu bardziej niezależnego i demokratycznego. Natomiast Stalin, wiedząc, że opanowanie przez niego Polski jest już w zasadzie przesądzone, całą swoją energię skoncentrował na sprawie akceptacji przez zachód zachodniej granicy ZSSR.

Przy takiej postawie Zachodu jakiekolwiek bardziej korzystne ustalenie granicy wschodniej stało się nierealne. W ostatecznym rezultacie przyjęto jako wschodnią granicę Polski mniej korzystny wariant A linii Curzona. Podstawowym błędem polskiego rządu było liczenie na pomoc Zachodu i oczekiwanie na interwencję Churchilla i Roosevelta. Należy sądzić, że lepszym rozwiązaniem byłyby bezpośrednie rozmowy ze Stalinem i wywalczenie lepszych granic na wschodzie za pewne koncesje polityczne wobec ZSSR i komunistów. Ten wariant był możliwy do 1943 roku. W późniejszym okresie sprawa polskiej granicy wschodniej stawała się coraz bardziej przesądzona. Nieuzgodniona z ZSSR akcja „Burza" na kresach wschodnich miała już tylko charakter demonstracji politycznej i prócz strat nie mogła niczego przynieść.

Walka dyplomatyczna polskiego rządu w Londynie i nieugięta postawa społeczeństwa, chociaż nie zdołały wpłynąć na wytyczenie granicy wschodniej, oddziałały pozytywnie na przebieg granicy zachodniej. Dla zneutralizowania silnego oporu polskiego i zmuszenia rządu polskiego do rezygnacji z granicy ryskiej trzy mocarstwa przyjmowały coraz bardziej przychylną postawę wobec polskich roszczeń terytorialnych na zachodzie. O ile silna pozycja Stalina miała niekorzystny wpływ na polską granicę, wschodnią, o tyle zadecydowała w Poczdamie o ustaleniu granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Walka o granice wschodnie zakończyła się ostatecznie klęską. Można się pocieszać, że mogło być jeszcze gorzej. W stosunku do linii demarkacyjnej istniejącej w latach 1939-1941 uzyskaliśmy pewne ustępstwa terytorialne (około 22 tys. km^2). Z punktu widzenia polskiej racji stanu ogólny rezultat był niepomyślny. Polska utraciła obszar, który przez ponad 400 lat historii (w przypadku Lwowa i Podola nawet 600 lat) stanowił integralną część Rzeczpospolitej. Terytorium, które nawet w okresie zaborów było traktowane przez społeczeństwo polskie jako obszar polski (tzw. ziemie zabrane). Na terenach które

odpadły od Polski znajdowały się dwa wielkie ośrodki polskiej kultury z siedzibami znanych uniwersytetów (Lwów, Wilno). Prawdą jest, że Polacy stanowili na straconym terytorium nieznacznie ponad 1/3 zaludnienia, ale stanowili warstwę wiodącą pod względem tradycji narodowych, wykształcenia i kultury. Należy zaznaczyć, że większość ziemi i obiektów materialnych stanowiła własność polską, która powstała w wyniku pracy wielu pokoleń. Znaczne obszary tych ziem miały zdecydowaną przewagę ludności ukraińskiej i białoruskiej (np. Wołyń, Polesie, Karpaty), ale były również obszary etnicznie polskie (Grodzieńszczyzna, Wileńszczyzna), jak i wiele miast miało charakter polski (Lwów, Wilno, Tarnopol, Brześć, Drohobycz, Borysław).

Sądzę, że gdyby straty terytorialne dotyczyły Polesia i Wołynia, w których liczba Polaków nie była duża, a nawet Wilna i Wileńszczyzny, a w ramach Polski pozostałaby Grodzieńszczyzna oraz Lwów z Zagłębiem Naftowym, strata nie byłaby tak bolesna i społeczeństwo polskie łatwiej by się pogodziło z nową granicą wschodnią, można nawet przypuszczać, że przeprowadzenie granicy wschodniej wg wariantu B linii Curzona i pozostawienie po stronie Polski jedynie Lwowa i Zagłębia Naftowego usatysfakcjonowałoby opinię społeczną. Pozostawienie po stronie sowieckiej Lwowa stanowiło w pewnym okresie dla Polaków szok, a następnie poczucie krzywdy.

Zmiany graniczne wywołały olbrzymie reperkusje demograficzno-społeczne. Przedwojenna Polska była krajem wielu narodów, wyznań i kultur. Polacy stanowili jedynie 69% zaludnienia kraju. Obok Polaków mieszkali Ukraińcy, Białorusini, Żydzi, Niemcy itd. Druga wojna światowa i zmiany graniczne wywołały olbrzymie przesiedlenia i ruchy migracyjne. Ponad 2 miliony Polaków opuściło kresy wschodnie przekazane ZSSR. Około 8 milionów Niemców odpłynęło na zachód. W wyniku eksterminacji przeprowadzonej przez hitlerowców przestała istnieć 3-milionowa mniejszość żydowska. Polska stała się krajem jednolitym narodowościowo (97% zaludnienia · stanowią Polacy). Zlikwidowało to konflikty narodowościowe, zubożyło natomiast kulturę, która najowocniej rozwija się na styku różnych grup etnicznych. Wzajemne kontakty grup ludnościowych o różnych kulturach, wyznaniach, językach, działają stymulująco na tworzenie się nowych wartości i idei. Zmiana granic i utrata kresów wschodnich wywołała więc olbrzymie zmiany nie tylko terytorialne, ale i demograficzne, ekonomiczne i społeczne. Równoczesna zmiana granicy wschodniej i zachodniej stała się punktem zwrotnym w dziejach narodu i państwa polskiego.

Doc. dr hab. Piotr EBERHARDT

Aleksander SUWOROW

OBRONA TWIERDZY BRZESKIEJ WE WRZEŚNIU 1939

W chłodny, wietrzny dzień 22 września 1939 roku generał Guderian i komendant brygady Kriwoszein wstąpili na zaimprowizowaną trybunę przy głównej ulicy Brześcia Litewskiego. Zabrzmiała orkiestra. Piechota przemaszerowała przed trybuną we wzorowym porządku. Koszącym lotem rozpruły chmurne niebo eskadrony samolotów bojowych. Następnie na bruk wypełzły pancerne wozy ze swastyką. Guderian z nieskrywaną dumą patrzył na kolumnę czołgów. Oddziały Armii Czerwonej, które kilka godzin wcześniej wkroczyły do miasta, oddawały im honory...

Parada ta, którą długo starano się wykreślić z oficjalnej historii, została obecnie przypomniana. W pięknym filmie W. Poznera „Świadek", pokazanym w centralnej telewizji, widać kadry ze starej kroniki: generałowie salutują, niemieccy żołnierze chwacko maszerują po starym Brześciu. Nie wszystko jednak pokazano. Co działo się na Zachodniej Białorusi w przeddzień tego spotkania? Wiadomo, że los kazał „pancernemu królowi Wehrmachtu" wrócić jeszcze w te strony. Ale przecież i wtedy, w 1939 roku, nie przyjechał nad Bug jako turysta...

W połowie września nikt już nie miał wątpliwości co do wyniku działań wojennych. Opuszczona przez sojuszników Polska była w agonii, na mapach rysowano linię demarkacyjną, wyznaczającą nową granicę sowiecko-niemiecką. Właśnie w tych dniach 19-ty korpus wojsk pancernych Guderiana błyskawicznie przeniósł się z Prus Wschodnich na przedmieścia Brześcia. Po południu 14 września niebronione miasto zostało wzięte. Bez oporu, nawet bez większej strzelaniny. Pozostawała do zdobycia twierdza.

— Tu się Niemcy potknęli. Zaczęła się zacięta walka. Z zachodu dobiegały odgłosy strzelaniny, salwy karabinowe. Miasto oczywiście zamarło. Ludzie bali się wyjść z domu. Następnego dnia

obudziła mnie kanonada. Gdzieś daleko waliły w cytadelę i forty armaty — wspomina rodowity brześcianin, G.M. Karpuk, który cudem przeżył okupację, a później, w 1944 roku, wyzwalał rodzinne miasto.

Mniej więcej to samo opowiadają i inni podeszli wiekiem ludzie. Zażarte walki trwały ich zdaniem dwa-trzy dni. Potem w spowitej dymem cytadeli zapadła cisza. Po kilku dniach w „prywatnej" rozmowie z komendantem brygady Kriwoszeinem Guderian przy filiżance kawy kilkakrotnie wspominał, że jego wojska poniosły w operacji brzeskiej duże straty.

Jak interpretować to powściągliwe wyznanie? Kim byli obrońcy twierdzy i jakie były ich dalsze losy? Przez długie lata wydawało się, że nie da się ustalić ich nazwisk ani szczegółów tej nierównej walki. Nawet w centralnych warszawskich archiwach (a Polacy, trzeba przyznać, bardzo pieczołowicie odnoszą się do swojej wojennej przeszłości) znaleziono tylko fragmentaryczne, bardzo różne informacje. Trzeba przyznać, że porażka poszukiwań archiwalnych jest w w tym przypadku więcej niż zrozumiała — jest normą: nie było przecież wówczas ani zjednoczonego dowództwa, ani łączności.

Mimo to z oddzielnych faktów, nazwisk i zdarzeń stopniowo wyłaniał się dość jasny obraz bitwy nad Bugiem.

Nieliczny garnizon twierdzy został pośpiesznie uformowany z odchodzących oddziałów grupy operacyjnej „Polesie". Dowodził nim generał Konstanty Plisowski (który *nota bene* zaczął karierę oficerską w armii rosyjskiej). Pod dowództwem Plisowskiego znajdowały się trzy bataliony piechoty, batalion ochrony i ponad dziesięć baterii artylerii, całkowicie pozbawionych broni przeciwpancernej. Poza tym Polacy mieli trochę uzbrojenia. Przeciw pancernemu taranowi Guderiana wystawili francuskie Renault z 1917 roku...

Dzięki wskazówce geografki T.M. Chodcewoj niedawno odnalazłem na tamtym brzegu Bugu człowieka, który w 1939 roku był w twierdzy i walczył z wrogiem.

Mikołaj Semieniuk (nie dziwcie się swojskiemu brzmieniu imion i nazwisk, we wschodnich rejonach Polski nie są one rzadkością) liczy dziś siedemdziesiąt sześć lat, ale wygląda silnie, jest po chłopsku żylasty. Mieszka w małej wiosce Bukinka Pańska, w której się urodził. Przez wszystkie powojenne lata pracował na roli. Do dziś sam prowadzi gospodarstwo. Posłuchajmy jego wspomnień:

— Byłem kapralem, dowódcą baterii karabinów maszynowych. Po raz pierwszy Niemcy uderzyli nocą. Od strony miasta nadeszły czołgi i piechota, zrzuciły naszych z wałów zewnętrznych, ale dalej nie udało im się przebić. Rano zaczęła grzmieć artyleria — to był prawdziwy koszmar. Pociski dosłownie przeorywały twierdzę na wylot. Potem ataki. Jeden, drugi, trzeci... Nasze karabiny maszynowe stały na warownych punktach i cięły ich piechotę skoncentrowanym ogniem. Ale w twierdzy wybuchały składy amunicji, wielu ludzi zginęło w czasie obstrzału. Szkoda, bitne były chłopaki,

do ataku stawali jak jeden mąż. Nocą wywoziłem wraz z kolegami zabitych do Terespolu, zaraz za rzekę. Terespolski most utrzymaliśmy do końca...

Według dokumentów, główny szturm hitlerowcy przypuścili 15 września. Tego dnia jedna dywizja zmotoryzowana i dwie pancerne zaczęły szturmować twierdzę z różnych stron. Czołgi dotarły prawie pod północne wrota. Wtedy obrońcy twierdzy zabarykadowali wrota wielkimi ciężarówkami, wytoczyli pozostałe im działa przeciwlotnicze wycelowane wprost na wroga. I wygrali śmiertelny pojedynek! Szturmowe oddziały Guderiana wycofały się, zostawiając za sobą zabitych.

16-go września o świcie na niebie nad twierdzą zagrzmiały bombowce. Obrońcom twierdzy zostało już wtedy tylko pięć baterii artylerii zdatnych do walki. Kazamaty i piwnice były przepełnione rannymi. Około dziesiątej rano zaczął się nowy atak. Dwa niemieckie bataliony wspomagane czołgami stanęły w pobliżu bram twierdzy. Część wałów obronnych została stracona. Rozpaczliwe wysiłki garnizonu, aby je odbić, spełzły na niczym, ale kosztowały drogo. Zginęło wielu oficerów. Generał Plisowski został ranny, a jego zastępca pułkownik Horak kontuzjowany.

Pozostawały dwie oczywiste możliwości: albo zginąć, albo próbować wyjść z cytadeli. Plisowski wybrał to drugie. Nocą, w łunie pożarów, pozostali przy życiu polscy żołnierze przeprawili się na zachodni brzeg Bugu jedynym nie zdobytym przez przeciwnika mostem. Tym właśnie, o którym wspominał Mikołaj Semieniuk.

Niemcy nie zauważyli ich wyjścia. Przez całą noc z 16-go na 17 września spadały na opustoszałą twierdzę ciężkie pociski, od których drżała ziemia i wypadały szyby w mieście.

Spoglądając dziś na ten epizod wojenny sprzed pół wieku, trudno się oprzeć porównaniom z rokiem 1941 i rozważaniom o pamięci.

Przyznam, że szukając w archiwach i rozmawiając potem ze starszymi brześcianami, z trudem opędzałem się od dziecinnie prostej myśli. Jak to się stało, że budując wspaniały memoriał, badając etapy budowy słynnej twierdzy w odległym XIX wieku, nikomu nie przyszło na myśl, żeby chociaż słowem wspomnieć o roku 1939? Czyżby naprawdę nikt niczego nie wiedział?

Ale skąd. Być może bez szczegółów, ale sam fakt, że tu, na tym skrawku ziemi, z godnością walczyli i umierali polscy żołnierze, był wiadomy i przedtem. Wiedzieli o tym na przykład pracownicy muzeum i przedstawiciele miejskich władz partyjnych. Mimo to nad pierwszą obroną twierdzy brzeskiej zalegała przez dziesiątki lat głucha cisza.

Nawet dziś niestety, kiedy jawność wymazuje jedną po drugiej „białe plamy", zbyt często przykrawamy przeszłość do ideologicznych wymogów, do których przywykliśmy. Na przykład w dowolnym podręczniku można przeczytać, że burżuazyjna Polska

szybko się rozpadła, bo nie była zdolna stawić czoła niemieckiemu napastnikowi. A przecież ta właśnie Polska była pierwszym krajem, który nie padł na kolana przed żelaznymi hordami Trzeciej Rzeszy. Kiedy mowa o gorzkich dla nas pierwszych miesiącach wojny, zawsze tłumaczymy się doskonałym wyszkoleniem i doświadczeniem bojowym niemieckich dywizji. Czy nie te same dywizje szturmowały twierdzę brzeską w 1939 roku?

Nie mogę twierdzić, że istniał jakiś zakaz co do Polaków, którzy bili się w twierdzy brzeskiej — mówi wicedyrektorka d/s naukowych Instytutu pamięci w Brześciu, E. W. Chariczkowa.

A jednak, a jednak. Starszy pracownik naukowy domu pamięci, W.P. Łaskowicz, skądinąd zasłużony obywatel Brześcia, od pięciu lat kołacze o umieszczenie jakiegoś znaku ku czci poległych tu Polaków, choćby skromnej tablicy pamiątkowej. Jako członek nielegalnej Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi Łaskowicz siedział w 1939 roku w więzieniu, aresztowany przez polską defensywę. W pierwszych dniach wojny wyrwał się na wolność, a już 6 września bronił jako ochotnik Warszawy wraz z innymi takimi jak on więźniami politycznymi. A teraz, znów jako ochotnik, śle listy do instancji...

Czymże nam zawinił stary żołnierz Mikołaj Semieniuk, dlaczego po dziś dzień nie znaleziono miejsca w naszej historii dla takich jak on? Czyż nadal będziemy uważać bohaterstwo za właściwe, a męstwo za prawdziwe tylko wtedy, kiedy świeci nad nimi gwiazda pięcioramienna?

Zresztą Guderian nie przesadzał: straty hitlerowców we wrześniowych walkach 1939 roku rzeczywiście były bardzo duże. Zaraz po szturmie na twierdzę brzeską pochowano wiele setek zabitych. Aż do wiosny 1941 roku znajdowała się w Brześciu specjalna misja, zajmująca się odkopywaniem grobów i odsyłaniem ciał żołnierzy do Niemiec. Opowiadają, że podczas parad 7 listopada i 1 maja dla przedstawicieli Niemiec ustawiano specjalną trybunę honorową...

Czyż naprawdę zblednie bohaterstwo Fomina, Zubaczowa i Gawriłowa, obrońców twierdzy w 1941 roku, jeśli obok ich nazwisk ludzie przeczytają nazwisko kapitana Radziszewskiego, który odważnie bił się w tym samym miejscu we wrześniu 1939 roku? Na razie wspominają o nim jednak tylko książki wydane w Londynie. A twierdzę odwiedzają przecież nie tylko nasi rodacy. Wśród milionów zwiedzających ją co roku turystów są dziesiątki tysięcy Polaków. Zdawałoby takich przypadkach bynajmniej nie jest złotem. Jakże jednak trudno nam to zrozumieć!

Historia nie bywa jednobarwnie dobra ani zła. Jest natomiast skomplikowana. Tym ważniejsze jest, byśmy o niej mówili całą prawdę. W przeciwnym przypadku grozi nam, że „miejsca pamięci"

obrócą się z czasem w „białe plamy". Tak się już częściowo stało z twierdzą brzeską. Ta twierdza to prawdziwa bohaterka. Uszanujmy więc wszystkie jej blizny.

Aleksander SUWOROW
specjalny korespondent *Literaturnoj Gazety*
Brześć — Warszawa — Moskwa

Literaturnaja Gazeta z 29.9.1989.

HORAK Alojzy, ur. 10.8.1891 — ppłk dyplomowany służby stałej, szef sztabu Zgrupowania „Brześć", stracony przez Niemców.

PLISOWSKI Konstanty, ur. 8 czerwca 1890 r. w Nowosiółce, pow. Bałta (Rosja). Rotmistrz kawalerii rosyjskiej; po rewolucji organizuje w Odessie polski szwadron i doprowadza go do I Korpusu Polskiego na Wschodzie; od marca do sierpnia 1918 r. dowódca szwadronu i p.o. zastępcy dowódcy 3 pułku ułanów I Korpusu Polskiego; od sierpnia 1918 r. do 1919 r. dowódca dyonu a potem pułku ułanów 4 Dywizji Strzelców gen. Żeligowskiego, z którą przybywa z Kubania do Polski. 1919 - 1920 r. — dowódca 14 pułku ułanów (pułkownik kawalerii z 1.VI.1919 r.); sierpień 1920 r. - kwiecień 1921 r. — dowódca VI Brygady Jazdy; kwiecień-listopad 1921 r. — dowódca VII Brygady Jazdy; listopad 1921 - grudzień 1927 r. — dowódca VI Brygady Jazdy; grudzień 1927 - marzec 1930 r. — dowódca V samodzielnej Brygady Kawalerii (generał brygady z 1 stycznia 1929 r.); od 31 grudnia 1930 r. stan spoczynku; wrzesień 1939 r. dowódca twierdzy Brześć nad Bugiem, a potem zastępca dowódcy Grupy Operacyjnej Kawalerii gen. Andersa; 25-28 września 1939 r. — dowódca Nowogródzkiej Brygady Kawalerii. Odznaczony: orderem Virtuti Militari, Krzyżem Niepodległości oraz cztery razy Krzyżem Walecznych. Po kampanii wrześniowej w niewoli sowieckiej, zginął w 1940 r. w Starobielsku, ZSSR (zatopiony na Morzu Północnym?).

RADZISZEWSKI Wacław, ur. 19.9.1894 — kapitan służby stałej, dowódca baonu marszowego 82 Syberyjskiego Pułku Strzelców im. Tadeusza Kościuszki w Brześciu nad Bugiem, zginął w Katyniu.

Kazimierz LESKI

„MUSZKIETEROWIE"*

3.1. POCZĄTKI

Tworzona przez Witkowskiego organizacja miała rzeczywiście zadania wyłącznie wywiadowcze. Witkowski nadał jej nazwę „Muszkieterowie" i objął stanowisko szefa — „Kapitana". Do pomocy przybrał sobie — jako członków „Kapitanatu" — „Brata Antoniego", który zarazem pełnił funkcję zastępcy „Kapitana" oraz „Karola" — dra inż. mech. Aleksandra Wielopolskiego. Wszyscy otrzymaliśmy kryptonimy liczbowe. Z tych, które pamiętam, Witkowski przyjął dla siebie liczbę „29". „Brata Antoniego" oznaczył jako „56". Karola jako „36". Skarbnikiem został Andrzej Lipkowski jako „13", również inż. rolnik, ówcześnie intendent Szpitala Maltańskiego. „41" — rtm. Czesław Szadkowski, prowadził jedno z biur organizacji. Mnie — jako „37" — obarczył zadaniem utworzenia sieci wywiadu komunikacyjnego, jako że na komunikacji, a raczej środkach transportu i ich współpracy, znałem się „z cywila" (pracowałem w tym zakresie naukowo jeszcze w czasie studiów w Polsce, a potem w Holandii równolegle do wykonywanego zarobkowo, zresztą z zamiłowaniem, zawodu konstruktora i budowniczego okrętów). Zadanie tworzenia sieci wywiadu wojskowego otrzymał major piechoty, „129" — Wincenty Mischke. Organizowaniem łączności wewnątrzorganizacyjnej zajął się kapitan „99". Doktor Zygmunt Dembiński (brat Stefana), ekonomista, jako „23" zajmował się opracowywaniem gromadzonych przez sieć

* Fragment książki Kazimierza Leskiego, pt. „Życie niewłaściwie urozmaicone, wspomnienia oficera wywiadu i kontrwywiadu", Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1989, str. 74-137.

wywiadowczą informacji o organizacji i działalności przemysłu niemieckiego oraz przemysłu pracującego dla Niemiec w krajach okupowanych. Sekretarzem „Kapitanatu" został Stefan Tarnowski. Organizacja rozrosła się bardzo szybko i siecią swoją objęła tereny polskie oraz niektóre zagadnienia z terenów Rzeszy.

Witkowski — „Inżynier", „Kapitan", „Doktor", „Tęczyński" itd. znany był oddziałowi II Ministerstwa Spraw Wojskowych już przed wojną. Istniała nawet pewna współpraca na płaszczyźnie jego wynalazków, a przede wszystkim „promieni śmierci", nad którymi prowadził pracę. O wynalazku tym pozytywnie wyrazić się miał ponoć Prezydent Rzeczypospolitej, prof. Ignacy Mościcki. Innym wynalazkiem Witkowskiego był wyjątkowo pojemny akumulator w postaci gruszki. Oba te wynalazki, jak zresztą i inne, skończyły się niewypałem. We wrześniu 1939 r. Witkowski — jak utrzymywał — był w armii gen. Kleeberga, który miał mu polecić dalszą akcję w konspiracji.

Postać Witkowskiego nie była charakterystyczna, był trochę więcej niż średniego wzrostu, o twarzy nalanej i stosunkowo małych oczach. Wymyślił dla siebie rodzaj munduru — bryczesy i kurtkę z czarnej skóry. Mawiał, że tak przedstawiać się będą „Muszkieterowie" po wojnie.

Dość dużą wagę przykładał do aspektu „teatralnego" organizacji. Oprócz munduru miała ona otrzymać również godło w postaci ryngrafu z wyobrażonym na nim Orłem Polskim, na którego tle miała być wyryta Matka Boska. Model takiego ryngrafu został wykonany i „Inżynier" umieścił go w swoim mieszkaniu przy ulicy Bartoszewicza 5.

Bardzo charakterystyczną cechą „Inżyniera" był sposób argumentacji. Gdy omawiał sytuację realną, istniejącą i dobrze mu znaną — był bardzo nieprzekonywający. Odnosiło się wrażenie, że jest znudzony. Gdy w grę wchodziła natomiast sprawa, którą dopiero projektował, gdzie właściwie nic nie było jeszcze ustalone, a tym bardziej zrealizowane, szczególnie, gdy jej pomysł rodził mu się dopiero w głowie, jego argumentacja była niesłychanie agresywna, przekonywająca. Mówił z wielką swadą, na każde pytanie lub uwagę znajdował natychmiastową odpowiedź. Oczy mu się świeciły. To był zupełnie inny człowiek.

Początkowo wprowadzało nas to w błąd: potrafił tak człowieka przekonać, że fantazję przyjmowało się za rzeczywistość. Wkrótce jednak poznaliśmy go dostatecznie dobrze, przyzwyczailiśmy się do jego sposobu bycia i mówienia. Współpraca zaczęła układać się nienajgorzej. Nie był zresztą szefem bardzo absorbującym i nie wiązał nikomu rąk swoją ingerencją.

Sam pracował wiele. Bywał w bardzo wielu placówkach „Muszkieterów" w terenie, także w Niemczech. Nie było to

całkowicie zgodne z regułami konspiracji, ale wiązało z nim ludzi. Jeżdżąc na takie inspekcje, w celu ułatwienia podróży występował w mundurze SS. Gdy w grę wchodziły jednak wyjaśnienia kontrolom w czasie jazdy, odpowiedzi na ich zapytania, jako rozmówcy występowali kierowcy „Inżyniera": Tadeusz Prechitko, „Tadeusz Czapski" lub Adam Steinbarth, operujący niemieckim znakomicie.

W pracy konspiracyjnej okazał się znakomitym organizatorem o kolosalnej dynamice. Co prawda, wkrótce zorientowaliśmy się, że jego doświadczenie wywiadowcze niewiele przewyższa nasze, to znaczy, że było prawie żadne, ale jego rozmach, energia, jak również tupet spowodowały, że ludzie szli do niego chętnie i wkrótce „Muszkieterowie" vel „Nurki" vel „Żupany" stały się silną i sprawną organizacją wywiadowczą, można chyba zaryzykować twierdzenie, że w latach 1940 — 1941 najskuteczniejszą z podziemnych organizacji wywiadowczych działających na terenie Polski, jak również dysponującą sporym aparatem wywiadowczym na terenie Rzeszy. Minusem naszej pracy był na pewno brak fachowości, szczególnie w analizowaniu uzyskanego materiału informacyjnego (brak odpowiedniego aparatu studialnego), którego następstwem była pewna chaotyczność raportów okresowych.

Każda działalność, a tym bardziej działalność wywiadowcza, wymagała nakładu środków, i to sporych. Chociaż większość z nas podchodziła do tych spraw ideowo, to znaczy nie tylko nie chciała żadnego wynagrodzenia za pracę, ale niejednokrotnie prowadziła ją pokrywając wydatki z własnych środków, to jednak zdobywanie informacji, techniki fałszerskie, materiały sabotażowe, łączność itp. wszystko to wymagało pieniędzy. Poza tym my sami, szukając na własną rękę źródeł utrzymania, stawaliśmy się siłą rzeczy mniej wydajni. Słusznie mawiał płk Wacław Berka, „Brodowicz", pierwszy szef Oddziału II Komendy Głównej ZWZ, że najskuteczniejsza jest praca ideowa poparta szczególnie dużymi pieniędzmi.

W pierwszym okresie pieniędzy tych nie mieliśmy zupełnie. Fakt, że jednak osiągaliśmy wyniki, i to istotne, zawdzięczać można jedynie niesamowitemu zapałowi ludzi i ich nieliczeniu się z własnymi siłami. Początkowo nikt z nas zresztą nie myślał, że ta zabawa potrwa dłużej niż kilka miesięcy.

Kolejne podboje niemieckie na zachodzie Europy ukoronowane upadkiem Francji były dla wszystkich w Polsce ciężkim ciosem. Tak było też i dla mnie. Pracując ostatnie lata przed wybuchem wojny w Europie Zachodniej, mimo potęgi linii Maginota, po wielu różnotematycznych rozmowach z Francuzami, jakoś nie mogłem wyrobić w sobie wiary w ich chęć walki. Na pewno

więc szok, który spotkał nas wszystkich w czerwcu 1940 r., odczułem lżej niż inni.

Wszystkie te sprawy zbiegły się dla mnie z okresem starań o zdobywanie współpracowników dla rozbudowywanej z polecenia Kapitana „Muszkieterów" w ramach „37" sieci wywiadowczej. Sukcesy niemieckie na pewno tego działania nie ułatwiały. Argumentacja moja musiała być z konieczności oparta na tezie, że jeśli nie będziemy się bronić, to wymordują nas szybciej i łatwiej. Twierdziłem też, że idylla radziecko-niemiecka, z ogromnymi transportami surowcowymi płynącymi do Niemiec, skończyć się musi, gdy tylko Hitler strawi zdobycze na Zachodzie i w krajach tych ustali jaki taki chociaż swój porządek. To było przecież jasno powiedziane w *Mein Kampf*. Żeby ten konflikt przewidzieć, wystarczało uważne przeczytanie tej książki i porównanie jej z zaszłościami na mapie Europy. Była to tylko sprawa czasu.

Oczywiście alternatywą odsuwającą ten konflikt mogła być inwazja na Wyspy Brytyjskie, nie zmieniająca jednak koncepcji, odsuwająca ją jedynie w czasie. Tę sprawę już w lecie 1940 r. wyjaśniła nieudana dla Niemiec bitwa o Anglię, a wkrótce nasza sieć wywiadów wojskowego i komunikacyjnego zaczęła gromadzić dowody przygotowań do przerzucania wojsk niemieckich na wschód.

3.2. BIURO POLITYCZNE

Nie mając zaufania do ZWZ jako — w jego ocenie — organizacji opanowanej przez ludzi nieprzyjaznych Sikorskiemu, przyjaciel generała, inż. Ryszard Świętochowski, chcąc stworzyć silny ośrodek łączący organizacje i ludzi myślących podobnie, zorganizował Biuro Polityczne, w skład którego weszli: były wiceprezydent m.st. Warszawy, działacz Polskiej Partii Socjalistycznej Tadeusz Szpotański*, reprezentujący Stronnictwo Pracy Franciszek Kwieciński, Marian Borzęcki (Stronnictwo Narodowe), Kazimierz Drewnowski (profesor Politechniki Warszawskiej), Romuald Tyczyński i Józef Marszałek („Racławice").

* Tadeusz Szpotański aresztowany został 19 grudnia 1941 r., przeszedł bardzo ostre śledztwo. W czasie pobytu na Pawiaku uzgodnił ze strażnikiem Bronisławem Kuczorskim ucieczkę, którą ten ostatni ułatwił, wpuszczając 3 marca 1942 r. Szpotańskiego, Henryka Boruckiego (organizator Korpusu Obrońców Polski — postać, której nie umiałem rozgryźć), Stanisława Dębskiego i Eugeniusza Filipowicza na swoją zwyżkę — wieżyczkę, umożliwiając im w ten sposób ucieczkę przez mur. Oczywiście uciec musiał i Kuczorski, który później ukrywał się pod Warszawą. Szpotański chciał mu ułatwić nowe życie i wypłacić 20 000 zł., ale Kuczorski odmówił przyjęcia jakichkolwiek pieniędzy.

Ważnym członkiem „Biura" był też „Jan Bezłaski", należący do władz Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie oraz Tadeusz Sławiński, znany publicysta antysanacyjny.

Jednym z zadań realizowanych przez Świętochowskiego za pośrednictwem Biura Politycznego było finansowanie organizacji, które nie chciały podporządkować się ZWZ. Do ułatwienia tego zadania zorganizowany został Centralny Komitet Organizacji Niepodległościowych (CKON). Dla zrzeszonych w nim organizacji Komitet nie był organem władczym, stanowił raczej forum porozumiewawczo-dyskusyjne. W jego skład weszło kilkanaście organizacji, m.in. Tajna Armia Polska (TAP), Grupa ABC Obozu Narodowo-Radykalnego, „Muszkieterowie".

Finansowanie tych, jak też i innych potrzeb Biura Politycznego wymagało sporych środków. Najważniejszym źródłem były przesyłki pieniężne otrzymywane przez Biuro za pośrednictwem tzw. Bazy w Budapeszcie, utworzonej opierając się na pracownikach b. Konsulatu Polski, a kierowanej przez byłego konsula Fietowicza.

Sytuacja polityczna w kraju, rozbicie ruchów niepodległościowych na wiele organizacji, grup i grupek, niejednokrotnie zwalczających się oraz — w jego mniemaniu — supremacja sanacji w postaci ZWZ, spędzały Świętochowskiemu sen z powiek. Widział konieczność uporządkowania sytuacji, zjednoczenia wysiłków pod kierownictwem i — w pewnym sensie — pod patronatem Sikorskiego, ale na pewno z uwzględnieniem odpowiedniej przeciwwagi dla ZWZ. Postanowił więc osobiście przedstawić Generałowi obraz polskiej konspiracji. W tym celu, w początkach 1941 r., prawdopodobnie w kwietniu, wyruszył przez „zieloną granicę", przez Słowację, mając zamiar dostać się do Budapesztu. Wychodząc na tę trasę, jako łącznika w Budapeszcie wskazał kierownika Bazy Fietowicza (Węgry były wtedy jeszcze niepodległe, przynajmniej formalnie). W swoim zastępstwie kierowanie Biurem Politycznym powierzył Tadeuszowi Szpotańskiemu („Błogosławiony").

Współpraca „Muszkieterów", a ściślej, reprezentujących organizację „Inżyniera" i „Brata Antoniego" z Biurem Politycznym ułożyła się dobrze, tym bardziej że wyniki działalności wywiadowczej „Muszkieterów" były coraz lepsze, choć ciągle jeszcze chaotyczne.

W ramach tej współpracy Witkowski podjął się przywozu pieniędzy z Budapesztu do Biura Politycznego. Zobowiązał się wobec Biura, że łącznicy „Muszkieterów", kursujący i tak regularnie do Budapesztu przez Słowację z comiesięcznymi raportami wywiadowczymi, przynosić będą w drodze powrotnej pieniądze dla Biura Politycznego. Zobowiązał się również udostępniać

Biuru wyniki działalności wywiadowczej „Muszkieterów" w zakresie mogącym interesować jego członków. W zamian Biuro Polityczne zobowiązało się do dotowania „Muszkieterów" w uzgodnionej wysokości. Obie strony wywiązywały się z zawartych zobowiązań, dzięki czemu powstała w miarę solidna podstawa finansowa (jeśli oczywiście w warunkach okupacji i konspiracji właściwe było stosowanie przymiotnika „solidny") dla działalności „Muszkieterów", którzy od zawarcia tej umowy, choć nie obfitowali w pieniądze i w dalszym ciągu w zasadzie opierali się na pracy nie wynagradzanej (poza kilkoma bezpośrednimi współpracownikami „Kapitana"), mieli jednak praktycznie zapewnione pokrycie wydatków związanych z samą działalnością wywiadowczą i organizacyjną.

3.3. DZIAŁALNOŚĆ „MUSZKIETERÓW"

Działalność ta objęła wkrótce cały teren Polski aż do ustalonej na Bugu granicy niemiecko-radzieckiej, a w odniesieniu do określonych zagadnień (porty morskie, niektóre zakłady przemysłu zbrojeniowego i produkcji środków transportu, niektóre węzły i szlaki komunikacyjne) również tereny samej Rzeszy.

„Kapitan" potrafił zgromadzić w kierowanej przez siebie organizacji wielu doskonałych ludzi i osiągnął przy ich współpracy naprawdę liczące się rezultaty. „Muszkieterowie" prowadzili z dużym powodzeniem różne gałęzie wywiadu, przede wszystkim ofensywnego. Major „129" (Wincenty Mischke „Henryk", „Antoni") rozbudował sieć wywiadu wojskowego do wielkości aparatu sprawnie działającego, dobrze instruowanego, dającego meldunki regularne i dość wyczerpujące. Informacje wojskowe analizował „31" — „referat wojskowy". W meldunkach tych zawarte były wykazy wojskowych jednostek niemieckich stacjonowanych na terenach polskich, zarówno w Generalnym Gubernatorstwie, jak i wcielonych do Rzeszy. Oddział II ZWZ, któremu raporty „Muszkieterów" były przekazywane, nie miał do nich zastrzeżeń i uważał je za wartościowe, choć w swoich raportach kierowanych do Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego w Londynie zarzucał im niedoskonałość, a przede wszystkim niedostateczną ścisłość oraz brak możliwości sprawdzenia. Działał wywiad przemysłowy również obejmujący te tereny, którego materiały były opracowywane i systematyzowane przez „23" (później wspólnie z „36"). Dużo informacji, i to cennych, dostarczał wywiad o ruchu jednostek morskich, przede wszystkim wojennych, w portach polskich oraz niemieckich.

Łącznikiem „Muszkieterów" objeżdżającym systematycznie odpowiednie punkty w portach, choć nie jedynym w tej roli, zbierającym od rezydentów informacje, był młody, chyba 19-letni chłopak, Marian Barthel de Weidental, zdolny, wyjątkowo sprytny i bardzo odważny. Naprawdę wspaniały pracownik. Jak zwerbowani zostali informatorzy, od których „Marianek" otrzymywał informacje, nie wiem („Inżynier" utrzymywał, że były to jego dawne, przedwojenne kontakty wywiadowcze), ale meldunki były i dobre, i dość regularne. Za któryś z tych meldunków, mówiący o rozlokowaniu w portach niemieckich ciężkich okrętów wojennych, dostaliśmy specjalne podziękowanie od Anglików za pośrednictwem Naczelnego Dowództwa w Londynie. Podobną rolę łącznika, chyba jednak w innych kierunkach, nie do portów, a do zakładów przemysłowych, spełniał w „Muszkieterach" drugi, również młody chłopak, którego nazwiska ani pseudonimu już nie pamiętam. Skrzynki łączności wywiadu na Rzeszę mieściły się:

— Skrzynka „Pomorzanin 1", przy ul. Kossaka 15, lewy dzwonek, mieszkanie żony oficera wywiadu będącego w Oflagu, Kuśmierka. Kontakt ten uległ likwidacji przez aresztowanie w 1941 r. jego żony Anieli, malarki.

— Skrzynka „Pomorzanin 2", przeznaczona dla łączników z Torunia, chyba przy ul. Chopina.

Pod kierunkiem „Brata Antoniego" działał wywiad społeczno-polityczny, naświetlający warunki życia społeczeństwa polskiego pod okupacją, stosowane przez Niemców metody nacisku i terroru, fakty z tego zakresu, współżycie ze sobą różnych warstw i grup społecznych, wpływy polityczne w społeczeństwie, działalność ważniejszych ugrupowań itp.

Sprawnie i szybko łączyła te wszystkie działania i jednostki kierowana przez kapitana WP sieć „99". Bardzo dobrze chodzili kurierzy przenoszący do Budapesztu raporty miesięczne „Muszkieterów". Pierwszym takim kurierem na trasie budapeszteńskiej był Sandor Benis, Węgier zamieszkały w Polsce i władający naszym językiem bez zarzutu, choć z wyczuwalnym akcentem. Pierwotnym zamiarem „Inżyniera" było osadzenie Benisa w Budapeszcie jako zalążka własnej bazy „Muszkieterów", po zawarciu jednak umowy z Biurem Politycznym, co było równoznaczne z wykorzystaniem również dla naszych przesyłek Bazy Fietowicza, tworzenie własnej placówki w Budapeszcie nie było już „Muszkieterom" potrzebne i Benis został wycofany do Polski. Jako kurier był w Budapeszcie chyba tylko jeszcze jeden raz. Kilkakrotnie chodził na tej trasie Włodzimierz Ledóchowski, ostatni chyba raz razem z Krystyną Skarbek „Muchą". Potem chodzili już stale: Wacław Felczak, którego bliższych

danych nie znałem oraz Włodzimierz Szyc „Biegacz", „Włodek" — porucznik piechoty służby stałej.

Raporty okresowe „Muszkieterów", wysyłane do Naczelnego Dowództwa w Londynie za pośrednictwem Bazy w Budapeszcie, w miarę możności comiesięcznie (te sprawy nie były zorganizowane tak precyzyjnie, jak później w Biurze Studiów Oddziału II Komendy Głównej Armii Krajowej), obejmowały przeciętnie kilkadziesiąt stron treści opisowej oraz plany, fotografie, schematy itp. Omawiane w nich były sprawy organizacji własnej i stosunki ze Związkiem Walki Zbrojnej (ZWZ), którego działalność „Inżynier" oceniał dość krytycznie. Dużo uwagi poświęcano dyslokacji i transportom wojsk niemieckich, sieci komunikacyjnej, włącznie z kolejkami wąskotorowymi, a nawet uruchamianiu komunikacji miejskiej (informacje te mogły mieć znaczenie istotne dla kurierów przysyłanych do Polski). Za informacje o sieci dróg żelaznych, a w szczególności o „Bauvorhaben Otto", obejmujące plany rozbudowy sieci komunikacyjnej na wschodzie okupacji niemieckiej (luty 1941 r.), dane o przebudowie i rozbudowie stacji towarowych, budowie krytych zbiorników itp. otrzymaliśmy od aliantów, za pośrednictwem Naczelnego Dowództwa WP w Londynie, specjalnie pozytywną ocenę.

W raportach „Muszkieterów" omawiane były także stosunki wewnętrzne, tak gospodarcze, jak i społeczne na terenach Generalnej Guberni i wcielonych do Rzeszy, prześladowania, represje, nastroje w Niemczech, sprawy polityczne itp. Całość była mikrofilmowana przez Stefana Plater-Zyberk w założonej przez niego jeszcze w latach trzydziestych firmie „Foto-Plat" mieszczącej się przy Nowym Świecie w Warszawie. Film tamże odpowiednio ścieniano i jego rolkę lub rolki ukrywano w różnego rodzaju przedmiotach codziennego użytku, jak pędzel do golenia, pióra wieczne, rączka torebki itp.

Kurierzy „Muszkieterów" pozostawali w bezpośredniej zależności od „Kapitana" i po powrocie z trasy zgłaszali się na specjalnie wyznaczone przez niego skrzynki.

Witkowski, jako „Kapitan", miał niewątpliwie, jak każdy człowiek, wiele przywar, popełniał błędy i nawet więcej niż błędy. Wywierał jednak ogromny, chyba decydujący, wpływ na działalność całej organizacji. Chociaż każdy z nas pracował jak najlepiej, jak potrafił, to jednak pierwszy impuls — i to w okresie, gdy konspiracja w Polsce dopiero zabkowała — założenia organizacji wyłącznie do celów wywiadowczych i przyciągnięcie do niej ludzi przeważnie nieprzeciętnych — wyszedł od Witkowskiego. Jego niesamowitej energii, sprytowi i umiejętności rozmawiania z ludźmi i ich przekonywania zawdzięczali „Musz-

kieterowie" środki umożliwiające rozwinięcie szerszej działalności.

Około połowy 1940 r. „Kapitanat" został zdekompletowany przez aresztowanie Aleksandra Wielopolskiego „Karola". Chociaż aresztowanie było zupełnie przypadkowe i Niemcy nie tylko nie znaleźli przy nim żadnych materiałów kompromitujących, ale w ogóle nie był o nic oskarżony, pewne ewentualne ślady trzeba było pozacierać. „Karol" już w najbliższym transporcie został wywieziony do Oświęcimia, z którego zresztą, za pośrednictwem rodzinnych powiązań arystokracji, po interwencji u Göringa, został po paru miesiącach zwolniony, ale oczywiście na eksponowane bądź co bądź miejsce w konspiracji wrócić nie mógł. Po pewnym czasie, bardzo ostrożnie, został włączony do „23" — komórki oceniającej informacje przemysłowe, a potem pracował przy produkcji materiałów wybuchowych. Jeśli pamiętam, do „Kapitanatu" wszedł ówczesny chyba „150", nieznany mi osobiście, były dowódca 8 Pułku Strzelców Konnych, płk dypl. Jan Jerzy Jastrzębski, który jednak bardzo szybko wyekspediowany został przez Witkowskiego do Paryża jako jego osobisty wysłannik do gen. Sikorskiego.

Chyba jeszcze zimą, a może wczesną wiosną 1940 r., do bliskich współpracowników „Kapitanatu" dołączony został Stefan Tarnowski, zamieszkały na Kolonii Staszica. Adres ten poznałem, bo w pewnym okresie jeszcze niepełnego rozwoju moich fałszywych nazwisk i odpowiednich do nich dokumentów, przy jakimś osobistym zagrożeniu, byłem tam ukrywany. Tarnowski miał bogatą bibliotekę sinologiczną, w której podczas przymusowo długich wieczorów godziny policyjnej z zapałem się rozczytywałem. Pełnił on przy „Kapitanacie" obowiązki kogoś w rodzaju sekretarza.

Do bliskich współpracowników „Inżyniera" należał m.in. również Ludwik Plater-Zyberk, brat Stefana, pełniący obowiązki osobistego sekretarza „Inżyniera". Wywodził się on, jak i wielu innych, z kręgu zgrupowanego dookoła pani Teresy Łubieńskiej, przez której mieszkanie przy placu Zbawiciela przewinęło się, szczególnie w pierwszym okresie okupacji (potem straciłem z tym kręgiem kontakt), bardzo wiele osób, tak cywilnych, jak i wojskowych. Był wśród nich m.in. płk Klemens Rudnicki, któremu „Muszkieterowie" coś załatwiali w związku z jego zamiarem udania się „za granicę", a który w swojej książce wspomnieniowej*, nie szczędził „Inżynierowi" pochwał. Rolę osoby znającej Witkowskiego jeszcze sprzed wojny i w pewnym sensie gwarantującej jego dobre imię, grała — przez cały okres istnienia

* Klemens Rudnicki, *Na polskim szlaku*, Warszawa 1952.

„Muszkieterów", a już w szczególności w trudnym okresie początkowym — Jadwiga Maksymowicz-Raczyńska, wdowa po gen. Maksymowiczu.

Oprócz korzystania z tego rodzaju „gwarantów" Witkowski wyznawał zasadę wzmacniania zaufania do siebie przez odkrywanie współpracownikom coraz większej ilości informacji o sobie samym. Mówił więc, że ojciec jego był lekarzem w Siedlcach, opowiadał o swoich studiach w Szwajcarii, o dokonanych tam wynalazkach. Wspominał swoją siostrę mieszkającą w Warszawie w domu narożnym na placu Inwalidów i Mickiewicza, nad sklepem spożywczym. Nie krył swoich powiązań z rodziną swojej żony, której dwaj bracia pełnili w „Muszkieterach" role jego bliskich współpracowników.

Do najbliższych współpracowników „Inżyniera" należeli m.in. wykonawcy pewnych funkcji technicznych: Stanisław Malinowski, „Elektryk", którego zawód awansował do godności pseudonimu, jego brat Piotr, „Gałus", przygotowujący materiały do wykonywania skrytek i wykonujący roboty ślusarskie i murarskie, kierowcy samochodów, którymi się posługiwał, zaufani pracownicy przedsiębiorstw oficjalnych i nieoficjalnych działający w ramach „Muszkieterów", łącznicy z placówkami informacyjnymi w Rzeszy, kurierzy dochodzący do bazy w Budapeszcie, radiotelegrafiści i inni.

Na I piętrze domu przy ul. Szkolnej 2 (wejście od ul. Szkolnej, ale z możliwością przejścia również na ul. Jasną) mieściło się Centralne Biuro Przedsiębiorstw Technicznych — inż. Stefan Kaniewski i S-ka (jedno z wielu nazwisk Witkowskiego). Pod tą firmą funkcjonowało biuro konstrukcyjne „Muszkieterów", wykonujące tak projekty na zlecenie, jak i prace konspiracyjne. Między innymi rozrysowane były tam przez inż. Tadeusza Prechitkę (po wojnie dyrektor CHZ „Centromor") i inż. Jerzego Potowskiego jakieś elementy nowej broni niemieckiej zdobyte przez wywiad „Muszkieterów". Ich rysunki wykreślał Roman Kosiński, oddelegowany w 1941 r. do pracowni przy ul. Natolińskiej 5. Z biurem przy ul. Szkolnej (i nie tylko) powiązany był wykorzystywany do różnych zadań Edmund Steinbarth („6-26", ur. 12 grudnia 1918 r.). Tam odbywały się również odprawy dla niektórych grup naszego wywiadu, jak np. grupy „Florian" prowadzącej wywiad na dworcach kolejowych i wskazane przez „Inżyniera" obserwacje w lokalach publicznych.

Na ul. Szkolnej zatrudnieni byli również współpracujący z „Muszkieterami" inż. Lech Bogusławski, Wincenty Szober „Wik", który wspólnie z Józefem Jezierskim „Szymonem" oraz Romanem Kosińskim od września 1940 r. zaspokajali potrzeby legalizacyjne Witkowskiego przygotowując dla niego odpowiednie

dokumenty. Kiedyś bawiąc się Szober narysował laurkę z jamnikiem z głową Hitlera i odpowiednim wierszem. W okresie już po śmierci Witkowskiego i rozpadnięciu się biura na ul. Szkolnej laurka ta wpadła w ręce Niemców, którzy gwałtownie poszukiwali jej autora (był nim Józef Krywojecki „Waldemar Arciszewski", „Pazio").

Przedsiębiorstwem kryjącym działalność „Muszkieterów" była również firma „Mira" — wyrób gaśnic, mieszcząca się przy ul. Wspólnej 3a. Jej kierownikiem był szwagier Witkowskiego inż. Stefan Falęcki, człowiek spokojny, zrównoważony, opiekuńczy. U niego pracował m.in. Konrad Trapszo. W jakimś zakresie współpracował tam również brat Stefana Falęckiego — Tadeusz. Oficjalnym właścicielem „Miry" był pan Haftke, cichym udziałowcem Mieczysława Ćwiklińska, powiązana zresztą w jakiś sposób z działalnością „Muszkieterów".

Inna duża ekspozytura „Muszkieterów", zakamuflowana jako przedsiębiorstwo prowadzące działalność gospodarczą, mieściła się na I piętrze domu przy Marszałkowskiej, pomiędzy Alejami Jerozolimskimi i ulicą Widok, kierował nią rtm. Czesław Szadkowski „41". W przeprowadzonych tam transakcjach, jak też w prowadzonej intensywnie działalności konspiracyjnej (m.in. był to lokal kontaktowy dla kurierów „Muszkieterów"), Szadkowski był wiernym wykonawcą poleceń „Inżyniera" i gdyby zaszła taka potrzeba, dałby się za niego porąbać.

W kierowanej przez Szadkowskiego ekspozyturze poznałem wspomnianego już ówczesnego kuriera „Muszkieterów" na trasie do Budapesztu — Sandora Benisa, mojego późniejszego znakomitego współpracownika w aparacie kontrwywiadowczym. Przez niego — z kolei — poznałem jego ówczesną kandydatkę na współpracowniczkę, znaną przed ' wojną pilotkę samolotową, Krystynę Ganowicz, która wkrótce została żoną Benisa.

Pewną rolę w otoczeniu Witkowskiego w „Muszkieterach" pełnili jeszcze starszy pan Szemiot oraz Aleksander Świerszcz. Kolegą Witkowskiego był również „Lewicki", mający pewne powiązania z Komitetem Ukraińskim.

W system konspiracyjno-gospodarczy „Muszkieterów" włączony był również Adam Hulanicki, prowadzący sklepik przy ul. Bagno. Pożyczył on również Witkowskiemu pieniądze, po których odbiór wielokrotnie przychodził na ul. Szkolną. Pewną rolę, której dziś już nie pamiętam, pełniła firma „Domena" zlokalizowana przy ul. Natolińskiej 5 w mieszkaniu pana Pomianowskiego (?). Przechowywane tam były m.in. pieczątki i druki potrzebne do „legalizacji". Na drugi dzień po śmierci Witkowskiego skrytka opróżniona została przez rozbicie i wszystkie materiały zabrano. W lokalu mieszczącym się przy narożniku

Zgody i Chmielnej pracował „Leon", organizujący przy pomocy organizacji Todt, z którą był w jakiś sposób powiązany, przerzuty „Muszkieterów" przez granice Generalnej Guberni tak na wschód, jak i na zachód.

Realnym przedsiębiorstwem dochodowym była fabryka lodów „Muszkieterów" mieszcząca się przy Dobrej 53. Prowadził ją pod policyjnym nazwiskiem Kreczmar mjr Franciszek Hynek*, zdobywca Pucharu Gordon-Benetta w zawodach balonów wolnych. Jego partner z tego zwycięstwa inż. Zbigniew Burzyński współpracował ze mną w ramach wywiadu lotniczego. Ta wytwórnia lodu, bardzo hałasująca, znakomicie kryła umieszczoną w podziemiu tego domu drukarnię „Muszkieterów", którą opiekował się również Hynek. Pracował tam również Józef Rojek.

Pewną rolę w działalności konspiracyjnej „Muszkieterów" odegrał również zakupiony w 1941 r. statek wiślany „Bocian". Opiekował się nim jako mechanik Smolka. Działalność dla „Muszkieterów", chyba w charakterze skrzynki łączności, prowadził przy ulicy Lwowskiej adw. Kisielewski. Pod koniec lata 1942 r. nastąpiły tam jednak duże aresztowania.

Samochody „Muszkieterów", pozostające praktycznie w dyspozycji „Inżyniera", garażowane były: czarny Chevrolet przy Kossaka 15, Opel Kapitan — na Solcu. Jako kierowcy jeździli nimi przeważnie Adam Steinbarth i Tadeusz Prechitko („Edmund").

Wynikiem działalności techniczno-gospodarczej naszej organizacji były również drobne wynalazki mające nam ułatwić pracę. Tak więc Witkowski skonstruował małą przyczepę do samochodów osobowych, na której zamontowany był gazogenerator dla tego samochodu (jeżdżenie samochodem spalającym paliwo płynne zwracało uwagę: paliwo to nie dla wszystkich było dostępne). Skonstruował on też parasol-skrytkę z możliwością, w razie potrzeby, niszczenia kwasem żrącym znajdujących się w niej dokumentów. Nie pamiętam jednak, aby parasole takie były w naszym użyciu. Udaną konstrukcją był natomiast opracowany przez inż. Bohdana Rowińskiego kieszonkowy grzejniczek „Calorex", wielkości małej płaskiej latarki, obszyty suknem. Po zapaleniu i włożeniu do środka umieszczonego w nagwintowanym korku sztyftu węgla drzewnego żarzył się przez 16-18 godzin znakomicie rozgrzewając ręce i najbliższą okolicę ciała. W fabryce przy ul. Czerniakowskiej 160 produkowane były

* Hynek współpracował z Witkowskim prawie od początku istnienia „Muszkieterów". Pod tym nazwiskiem zameldowany był w wilii Witkowskiego w Leśnej Podkowie.

także świece zapłonowe dla silników benzynowych „Stewit" (Stefan Witkowski).

Znanych mi mieszkań miał Witkowski kilka. Przy ulicy Bartoszewicza 5 na nazwisko jego żony pani Ziegler (z domu Falęcka), mieszkanie przy Wedlu przy ul. Wareckiej, w domu Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Vita-Kotwica" przy ulicy Jasnej 6 na najwyższym piętrze. Z mieszkania tego korzystał również „Pisarski", spokojny pan około 50-letni. Redagował tam „Biuletyn" przepisywany na maszynie przez sekretarkę. Chyba w 1941 r. „Biuletyn" ten wpadł, przy czym gestapo skonfiskowało ładne meble „Kaniewskiego" przeznaczając je, zdaje się, dla Stadthauptmanna. Witkowski miał też mieszkanie przy ul. Śmiałej, gdzie występował jako baron von Tierbach.

„Muszkieterowie" mieli również swoją filię w Krakowie prowadzoną przez Miączyńskiego, mieszkającego przy ul. Dietla. Był tam też kontakt w klasztorze Paulinów.

Podobnie jak i wiele innych organizacji, „Muszkieterowie" korzystali z „ogólnego nasłuchu" — inaczej mówiąc, z siatki informatorów chwytających każdą informację, jaka się tylko nawinęła. Większej wartości taki „koszyk na wszystko" sobą nie przedstawiał. Informacje były nie sprawdzane, nie sprecyzowane, powtarzały się, często nawet bez podania pseudonimu informatora. Niemniej jednak, czytając je uważnie, można było od czasu do czasu uchwycić ślad czegoś, co warto było rozpracować.

Dla „Muszkieterów" takie informacje gromadził Kazimierz Gorzkowski „As", „Andrzej Sokolnicki", „Godziemba". Oznaczony został kryptonimem „18". Zasięg jego informacji zasadniczo obejmował Warszawę i jej okolice.

Gorzkowski był z zawodu nauczycielem gimnazjalnym. Jeszcze z czasów młodości wyniósł przywiązanie do harcerstwa i jego zasad. Był to człowiek bardzo ideowy i wyjątkowo prawy, pełen różnych zainteresowań i niesamowitej energii. Z punktu widzenia konspiracji, a tym bardziej wywiadu, miał jednak wadę o znaczeniu praktycznie przekreślającym możliwości bezpiecznej z nim współpracy: pomimo swoich ówcześnie 40—50 lat oceniał ludzi według siebie i obdarzał ich od momentu poznania pełnym zaufaniem. Przyjmował też za dobrą monetę wszystko, co mówili. Zajmował się, oprócz wspomnianego powyżej ogólnego nasłuchu, jednocześnie wieloma rzeczami, m.in. wydawał też powielaną informację z nasłuchu radiowego.

Pracując w „Muszkieterach", był zarazem powiązany z różnymi organizacjami, m.in. z Oddziałem Informacji i Propagandy Komendy Głównej ZWZ, który obsługiwał w sprawach łączności z uwięzionymi. Nie ograniczał swych usług jedynie do potrzeb tego Oddziału. Pracował z pełnym poświęceniem dla wszystkich,

którzy w takim czy innym kontekście o tę pomoc się do niego zwracali. Oferował ją zawsze całkowicie bezinteresownie. Był po prostu uwielbiany przez grono swoich współpracowników, przeważnie zresztą kobiety. Jego zaufanie do ludzi i dobra wola doprowadziły jednak do sytuacji trudnych i stały się przyczyną bardzo wielu i bardzo poważnych komplikacji. Sprawy te omawiam w rozdziałach: „Walka o Pawiak" i „998".

W ramach „Muszkieterów" specjalnej komórki łączności z uwięzionymi nie było. W tym okresie aresztowania w naszym kręgu (poza zupełnie przypadkowym aresztowaniem Aleksandra Wielopolskiego „Karola", „36") praktycznie nie występowały: komórka taka nie była więc po prostu potrzebna. „Kapitan" liczył się prawdopodobnie też z faktem, że straż więzienna w tym czasie składała się jeszcze z personelu polskiego i ewentualne nawiązanie z aresztowanym kontaktu było raczej łatwe. Nam mówił również, że w momencie krytycznym pomoże jego kontakt w gestapo — „Szary". Posiadane przez „Asa" możliwości w tej dziedzinie nie były więc przez nas wykorzystywane.

3.4. DZIAŁALNOŚĆ „37"

3.4.1. Wywiad komunikacyjny

Moje zainteresowania w początkowym okresie działalności w „Muszkieterach" skierowane zostały na węzły oraz szlaki komunikacyjne i transportowe, przede wszystkim w aspekcie ich stanu, zdolności przepustowej, prowadzonych na nich prac i stosowanego sprzętu. Zadania takie postawiłem sobie zresztą we własnym zakresie. „Kapitan" w te sprawy zupełnie nie ingerował. Było to o tyle niedobre, że nie mając jakiegokolwiek doświadczenia wywiadowczego, hierarchię ważności zagadnień wyznaczałem jedynie na „chłopski rozum", a często także według zaistniałych w danym momencie możliwości. Zaletą tego systemu było, że nie miałem zadań nadmiernych czy też w założeniu niewykonalnych, a także, że zadania te nie wynikały z jakiejś koncepcji całkowicie oderwanej od rzeczywistości.

Praca podzielona była na cztery sektory: koleje, drogi kołowe, drogi wodne śródlądowe, porty lotnicze i lądowiska. Kierowali nimi: wywiadem o sieci kolejowej — specjalista od sieci trakcyjnej, mój kolega jeszcze z gimnazjum inż. elektryk Leon Piasecki „Springer", wywiadem o drogach kołowych — „Halicz", porucznik służby stałej kawalerii. Drogami wodnymi śródlądowymi, których sieć była bardzo słabo rozwinięta,

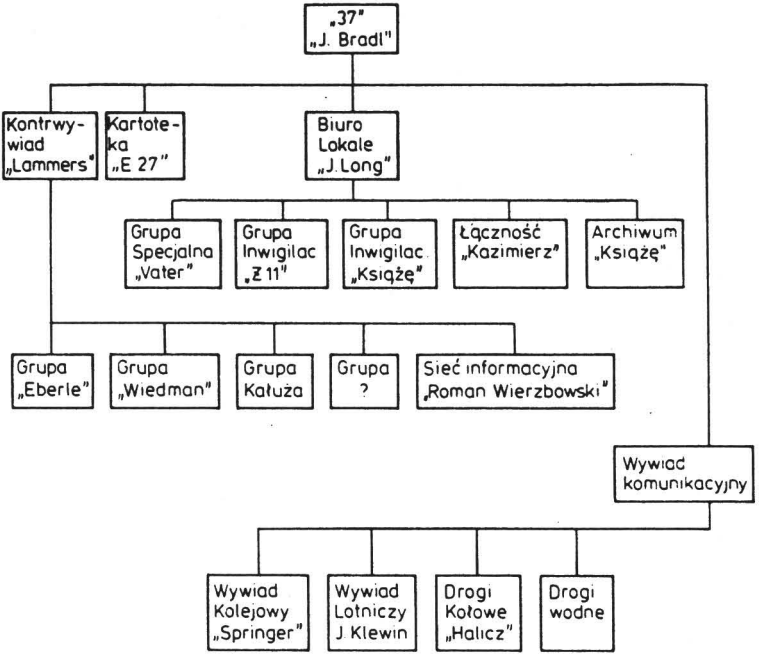

1. Organizacja „37"

zajmowałem się sam. Sprawy wywiadu lotniczego zorganizował i prowadził inż. arch. Jan Klewin. Współpracowali z nim m.in. Antoni Kocjan (z którym przez pewien czas, zarabiając na życie, w jego dawnym warsztacie przy Polu Mokotowskim, produkowaliśmy drewniaki i drewniane elementy riksz) oraz organizator lotnictwa harcerskiego Tadeusz Deręgowski. W sieci tej pracował również współzdobywca (z mjrem Hynkiem) Pucharu Gordon-Benetta — inż. Zbigniew Burzyński. Ludzi tych znałem, myślałem o nich po imieniu, więc nie pamiętam pseudonimów.

Materiały wywiadowcze gromadziliśmy powoli ucząc się na nich ich systematyki, logiki oraz stawiania sobie zadań — jak i czego trzeba szukać w pierwszej kolejności. Wynikiem tej działalności było opracowanie dość szczegółowych planów sieci połączeń szynowych, określenie przepustowości poszczególnych ważniejszych kierunków i linii kolejowych.

Dane o transportach wojskowych gromadziła sieć „129", my ze swej strony mieliśmy wycinkowe informacje o szczególnie dużych lub chronionych transportach. Uzyskaliśmy też możliwie

pełny obraz szlaków drogowych, w szczególności w relacjach wschód-zachód i północ-południe, jak też sieci dróg wodnych śródlądowych z określeniem ich stanu i przepustowości. Ewidencję obu tych sieci prowadziłem osobiście, nanosząc je na mapy w skali 1:1 000 000 oraz w postaci odnośników — kartotek poszczególnych elementów (opisy mostów, tuneli, stacji rozrządczych, bocznic, kanałów, urządzeń śluzowych itp.), oczywiście w zakresie informacji uzyskiwanych przez sieć informatorów Organizacji oraz wyspecjalizowanej sieci „37". W mojej ówczesnej ocenie działalność ta postawiona była metodycznie nie najgorzej, słabiej natomiast od strony realizacyjnej: moje sieci informatorów były zbyt słabe, a informacje tego typu dla sieci „129" stanowiły raczej margines.

W aspekcie kompletności informacji najlepiej postawiony był w „37", oprócz lotniczego, wywiad o sieci kolejowej. „Springer", pracując na początku wojny przy odbudowie trakcji elektrycznej Warszawskiej Dyrekcji Kolei, sieć tę znał dobrze. Miał też wśród kolejarzy wielu znajomych oraz dużą łatwość pozyskiwania sobie współpracy, będąc też dobrym organizatorem szybko zdobył pokrycie interesujących nas terenów siecią punktów informacyjnych. Dodatkowym plusem tej sieci było, że łączność informacyjną, a więc dostarczanie informacji do punktów zbiorczych, załatwiali sami kolejarze mający stosunkowo dużą swobodę poruszania się. Metodycznie gromadzenie tych informacji regulowały sporządzane przez „Springera" kwestionariusze-instrukcje. Wywiad lotniczy zorganizował siatkę własnych obserwatorów na wszystkich ważniejszych lotniskach i lądowiskach. Byli to mieszkańcy terenów sąsiadujących z lotniskami, pracownicy cywilni lotnisk itp. W celu uzyskiwania kontroli informacji, lub dla jej dublowania na wypadek wpadki, na ważniejszych lotniskach działali różni informatorzy wzajemnie nie wiedzący o swoich rolach. Przekazywali informacje w postaci szkiców sytuacyjnych i notatek bezpośrednio do Warszawy (często zmieniane „skrzynki", np. na ul. Złotej — sklepik w bramie, ul. Marszałkowska róg ul. Skorupki, obecnie ul. Sadowa — sklep p. Pekel). Z czasem wywiad lotniczy zorganizował własną łączność (grupa młodocianych pod kierunkiem pana Szatyńskiego). Dyżurowali w określonych porach i miejscach, czekając na kurierów z terenu.

Archiwum informacji w postaci dokładnie opisanych szkiców sytuacyjnych lotnisk prowadził inż. Klewin we własnym mieszkaniu przy ul. Madalińskiego. Szkice były stale uzupełniane i korygowane. Przedstawiały sytuację budynków, bocznic, niemieckich składów materiałów pędnych i amunicji.

W początkach czerwca 1941 r. armia niemiecka rozpoczęła

bardzo natężone gromadzenie bomb i materiałów pędnych, samolotów myśliwskich i bombowych, o czym natychmiast przekazaliśmy odpowiednie meldunki. W tym też okresie w mieszkaniu Klewina wykonana została specjalnie pojemna skrytka na materiały.

Późną jesienią Klewin, czując się zagrożony, przeniósł się ze swego mieszkania. W tym okresie inż. Antoni Kocjan, po zwolnieniu z Oświęcimia, uważając, że może być śledzony, przekazał mu swoje kontakty, co bardzo wzmocniło jego siatkę informacyjną.

Sieć ta działała do 19 lipca 1942 r. — dnia aresztowania Klewina w związku ze „sprawą szwedzką". Szczegółowa rewizja w jego mieszkaniu nie wykryła skrytki, z której materiały (około pięćdziesięciu planów i opisów lotnisk i ich obsad) przejąłem i przekazałem Oddziałowi II Komendy Głównej Armii Krajowej za pośrednictwem Bernarda Zakrzewskiego „Oskara".

Nasze meldunki miesięczne z zakresu sieci komunikacyjnych obejmowały, oprócz możliwie zwięzłej treści opisowej, mapy obserwowanych przez nas sieci kolejowych, drogowych, wodnych śródlądowych, lotnisk i lądowisk użytkowanych przez Luftwaffe, informacje o magazynach sprzętu, paliwa, materiałów, uzbrojenia itd., szkice sytuacyjne, rysunki i fotografie. Wnioskowanie na podstawie szczegółów o tendencjach wprowadzania zmian, rozbudowy, metod i zakresów wykorzystania, słowem to, co powinno zawsze towarzyszyć materiałom faktograficznym, było jeszcze na bardzo niskim poziomie. Niemniej jednak sama faktografia przedstawiała na pewno sporą wartość.

3.4.2. Kontrwywiad

Jeszcze w pierwszym okresie rozbudowy sieci wywiadu komunikacyjnego „Kapitan" obarczył mnie dodatkowym zadaniem: miałem zaprowadzić ewidencję osób podejrzanych o współpracę z okupantem, o których donosiła sieć wywiadowcza „Muszkieterów". Po zaprowadzeniu tej ewidencji okazało się, że przychodzące informacje są często niesprecyzowane lub nieścisłe, w stopniu niejednokrotnie przekreślającym ich wiarygodność, czasami sprzeczne, a więc praktycznie pozbawione wartości. Należało je sprawdzać i uzupełniać. Było to możliwe dwiema drogami: 1) przez odwrotne nadawanie zadań dla sieci wywiadu, 2) przez ich sprawdzenie we własnym zakresie. Wartość pierwszej z tych dróg była raczej iluzoryczna — po pierwsze sieć wywiadu dawała prymat informacjom o rozlokowaniu i ruchach wojsk, z zakresu przemysłu zbrojeniowego, ewentualnie o sieci

komunikacyjnej dopiero na dalszym planie, a po drugie nigdy nie można było mieć pewności, że informacja, powtórnie nawiązująca do danego tematu, nie pochodzi od tego samego informatora, a zatem nie stanowi realnego potwierdzenia informacji pierwotnej, a tylko je pozoruje. Przeciwnie — należało przypuszczać, że tak właśnie będzie. Jednocześnie cykl uzyskania odpowiedzi na zapytanie był długi — decydowała o nim z reguły wieloszczeblowa łączność — od „37" do „129" — przynajmniej trzy lub cztery szczeble. Przy optymalnym założeniu łączność mogła przerzucać materiał ze szczebla do szczebla raz dziennie. W sumie sama łączność zajęłaby tu minimum 10 dni. A rozpracowanie?

Pozostawało więc sprawdzanie informacji we własnym zakresie. Żeby to robić, trzeba było jednak mieć zespół ludzi, którzy mogliby wykonywać związane z tym zadania. Zaistniała więc konieczność zorganizowania odpowiednich grup ludzi pewnych i wiarygodnych, a zarazem mających umiejętności przenikania we wchodzące w grę środowiska, jak też łatwość nawiązywania kontaktów. O odwadze nie wspominam. Była niezbędna w każdej działalności konspiracyjnej i praktycznie sprawdzała się w znakomitej większości przypadków.

Decydującą rolę w tych sprawach, jak zresztą w całej działalności konspiracyjnej, grało nastawienie psychiczne. Ludzie wierzyli w celowość walki przeciw okupantowi i jej potrzebę. Niektórzy nie zdawali sobie sprawy z realiów niebezpieczeństwa, inni uznawali pierwszeństwo tzw. „Sprawy" przed losem jednostki, jeszcze inni myśleli, że jakoś z tego wyjdą. Oczywiście byli i ci, którzy nie chcieli ryzykować, ale na nich nic się nie budowało.

I tu znakomicie dopisało mi szczęście. Przez Stanisława Szteynera, mojego dość bliskiego kuzyna, zostałem skierowany do jego przyjaciela, który polecił mnie z kolei swojemu przyjacielowi — Henrykowi Fronczakowi, właścicielowi i głównemu pracownikowi małej fabryki papy dachowej przy ul. Podchorążych 57 w Warszawie.

Gdy przyszedłem tam po raz pierwszy na umówione spotkanie, oczekiwała mnie, obok Fronczaka, cała jego rodzina i przyjaciele. Znając już pewne podstawy konspiracji, byłem trochę przerażony tą masówką. Zawsze przecież staraliśmy się, żeby współpracownicy nasi wiedzieli wzajemnie o sobie jak najmniej — to była przecież podstawowa zasada bezpieczeństwa: o kim i czego nie wiem, tego — żeby mnie nie wiem jak męczono — nie powiem.

Robiąc dobrą minę do tej nie najlepszej gry, powiedziałem im o celu naszej konspiracji, o jej zasadach, o niebezpieczeństwach,

które niesie i trudności wyplątania się, gdy się ją raz rozpoczęło (wyłączone ogniwo przerywa często ogromną część sieci, a poza tym traci się bezpośrednią kontrolę nad jego losem; może to stać się przyczyną zagrożenia i wpadki ze strony zupełnie nie spodziewanej). Każdego indywidualnie zapytałem, czy w tych warunkach chce współpracować i w rezultacie zaprzysięgłem.

Henryk Fronczak, tak zwany „Wujo", przeciętnie kilkanaście lat starszy od nas, obrał sobie pseudonim „Vater". Był dawnym pepeesiakiem, pracował kiedyś jako drukarz w gazecie „Robotnik". Wśród kolegów partyjnych miał mnóstwo znajomych, a raczej przyjaciół, był lubiany i cieszył się dużym mirem. Był ochotnikiem Legionów z końca I wojny światowej i wojny 1919—1920. Lubił opowiadać o perypetiach i przewagach wojennych w ramach swojej „nieprzemakalnej baterii", jak to wpław forsowali Seret itp. Był również jednym z ówcześnie najstarszych polskich morskich żeglarzy jachtowych. Uczył go tego sportu jeszcze gen. Zaruski. Osiągnął zresztą w tej dyscyplinie najwyższą godność: został — już w PRL — przewodniczącym Rady Kapitanów. Wychował całe rzesze żeglarzy, m.in. wszystkie nasze późniejsze sławy, jak Teliga, Baranowski i in. Był skarbnicą wiadomości o zdarzeniach i ludziach, a gama tych, którzy przeszli przez jego ręce, obejmowała wszystkie klasy i stopnie społeczne. Odznaczył się również jako znakomity wioślarz, był członkiem polskiej ósemki na Olimpiadzie w Paryżu w 1924 r. Pływał, z zamiłowaniem uprawiał również narciarstwo. Kochał pszczoły.

Tak urozmaicone życie, styczność z różnymi środowiskami, sprawiły, że dla nas okazał się nabytkiem wprost bezcennym — w bogatym gronie swoich znajomych, uczniów, przyjaciół umiał znaleźć ludzi do każdego rodzaju pracy konspiracyjnej. Miał też inną nieocenioną cechę charakteru: nie było dla niego spraw nie do załatwienia. Można było do niego przyjść i powiedzieć: „Wujo", potrzebny mi samochód na akcję. Jedynym pytaniem było wtedy — „kiedy i jaki?" I samochód był. „Wujo", trzeba przewieźć drukarnię, i już „Wujo" organizował przewóz, włącznie z ubezpieczeniem transportu. „Wujo" — potrzebne jest dobrze zamaskowane i bezpieczne archiwum. I „Wujo" budował podziemne archiwum na terenie swojej fabryki, znakomicie zabezpieczone tak przed wilgocią, jak i przed możliwością przypadkowego odkrycia.

Nie liczyły się u niego pieniądze. Oczywiście miał ich sporo więcej niż my — chudopachołki. Ale wszystkie sprawy, o których przeprowadzenie się zwracałem, pokrywał z własnych funduszy, a niejednokrotnie, gdy były na coś potrzebne, pożyczał albo po prostu dawał. Tak samo traktował zresztą innych, również

swoją rodzinę. Ewentualna odmowa czegoś, jeśli oczywiście nie wykraczało to poza ludzkie możliwości, po prostu nie mieściła się w jego pojęciach.

Innym fantastycznym nabytkiem, już w początkowym okresie tworzenia sieci informatorów, był Józef Urbanek. Był to — jak na nasze ówczesne stosunki — człowiek już niemłody. Jeszcze w 1905 r., jako dorosły mężczyzna, pod pseudonimem „Książę", brał udział w organizacji słynnej ucieczki „dziesięciu z Pawiaka". Jak do tej znajomości doszedłem, już nie pamiętam, być może i on również pochodził z kręgu poznanych za pośrednictwem „Wuja".

W rozwiązywaniu naszych zadań pracował jednak osobno, przeważnie sam, z czasem zaczął znajdować sobie współpracowników we własnym zakresie. Z zawodu był kaletnikiem, wychowanym w tradycjach bezusterkowej pracy warszawskiego rzemieślnika. Każde zadanie wykonywał dokładnie, skrupulatnie, bez upiększania swoich osiągnięć.

Był człowiekiem niskiego wzrostu, bardzo szczupłym, nawet chudym, o twarzy drobnej, pełnej zmarszczek. Głowa stosunkowo niewielka, zawsze lekko pochylona na lewe ramię. Ubrany dość ubogo, ale czyściutko. Mimo tych cech, w zasadzie dość charakteryzujących, stanowił sylwetkę nie rzucającą się niczym w oczy, po prostu trudną do zapamiętania. Wszystko to predysponowało „Księcia", bo pseudonim ten zachował też w naszej pracy, do prowadzenia obserwacji w miejscach, w których postawienie każdego innego zwróciłoby uwagę. W tej też roli wykorzystywaliśmy go najczęściej. „Książę" niejednokrotnie godzinami stał w miejscu i obserwował wyznaczone mu punkty lub ludzi. W tej pracy wykorzystywał też swoich przyjaciół, przeważnie z jego generacji. Wyspecjalizowali się w niej i z biegiem czasu stali się naszym najlepszym zespołem inwigilacyjnym. Zawsze umieli się dostosować do tła, do okolicy i warunków, w których przychodziło im występować: jako żebracy, muzykanci, handlarze uliczni itp. Z prowadzonych obserwacji „Książę" zdawał sprawozdania szczegółowe, przy czym nigdy nie stwierdziliśmy w nich jakiejkolwiek nieścisłości. A regułą przecież było, że każda informacja o większym ciężarze gatunkowym była — w miarę możliwości — sprawdzana działaniem innego informatora.

Jak uprzednio wspomniałem, początkowo było nam materialnie bardzo ciężko. „Książę" był już po sześćdziesiątce, nawykły do solidności również we wszelkich sprawach finansowych. Z trudnością dawał sobie radę w dość przecież zwariowanych warunkach okupacji, w których szczególnie handel wydawał się mu jednym wielkim szachrajstwem. „Normalnie" zarobić na życie było w tych warunkach praktycznie niemożliwe.

Jednocześnie nasze prace, którymi był obarczany, były z natury rzeczy bardzo czasochłonne, co praktycznie uniemożliwiało systematyczne zarobkowanie. Trzeba było mu — gdy stało się to możliwe — jakoś pomagać. Z tym też zresztą były trudności, bo dopóki nie przekonało się „Księcia", że przekazywane mu pieniądze są pochodzenia „organizacyjnego", to brać ich w żaden sposób nie chciał. Gdy się więc udało czasem trochę tych pieniędzy dla niego wyskrobać czy to od „Kapitana", czy też z własnych „interesów", zanosiłem je „Księciu" z odpowiednim zapewnieniem: byłem przecież jego szefem organizacyjnym. I tu zaintrygowało mnie, a nawet z lekka zaniepokoiło postępowanie „Księcia". Ilekroć dostał trochę pieniędzy — znikał. Oczywiście, nie wchodził tu w grę jakikolwiek brak zaufania z mojej strony, ale „Książę" wychował się przecież w warunkach konspiracji przeciw aparatowi carskiemu, a warunki, w których działaliśmy ówcześnie, walka z niemieckimi policjami i wywiadem, stosującymi metody znacznie bardziej perfidne i brutalne, były zupełnie inne. Bałem się też trochę pewnej słabości „Księcia" do alkoholu, z którą się nie krył, choć zawsze twierdził, że właściwej miary nie przekroczy.

Postanowiłem więc sprawdzić, co się dzieje. Po przekazaniu „Księciu" pieniędzy zabawiłem się kiedyś w jego inwigilowanie. Wynik był dość nieoczekiwany: „Książę" bez chwili wahania, nie oglądając się nawet dla ostrożności, czy go kto nie śledzi, powędrował na ul. Senatorską 36 do Stowarzyszenia Byłych Więźniów Politycznych i wszystkim swoim kolegom, nie będącym jak i on krezusami, zafundował obiad.

Wiele można było się od „Księcia" nauczyć. Jego niesłychanie pozytywnego stosunku do ludzi oraz dużej znajomości ich psychiki. Oceniał ludzi bezbłędnie, a na tych ocenach, opartych na wskaźnikach niedostrzegalnych dla mniej bystrego i doświadczonego obserwatora, polegać można było całkowicie. Uczył mnie też, jak eliminować wszystko, co mogło powodować, że człowiek rzucał się w oczy.

Język „Księcia" był dla nas również trochę niezwyczajny: wiele w nim było wyrażeń już ówcześnie niespotykanych lub takich, którym życie nadało zupełnie inne znaczenie. Między innymi od „Księcia" dowiedziałem się znaczenia słowa „pętak", tak jak je rozumiała jego epoka. Czasownik „pętać" oznaczał czynność chodzenia po prośbie, a w konsekwencji określenie „pętak" — tego, który to czynił i nie miało w żadnym sensie znaczenia pejoratywnego, które nadajemy obecnie temu słowu, a tym bardziej jego przybliżonemu synonimowi „żebrak". „Pętak" to był po prostu ubogi.

Innym doskonałym współpracownikiem „37" był aspirant

Policji Polskiej, Kałuża. Człowiek o ogromnym tupecie i chyba nadmiernej odwadze, pewnego rodzaju brawurze. Miał niestety jedną, ale bardzo poważną przywarę — lubił alkohol. Znakomicie rozpracowywał zlecone mu środowiska i z prawdziwym nosem śledczym wyławiał w nich ludzi współpracujących z aparatem policyjnym niemieckim. Kiedyś jednak zbyt brawurowo próbował rozwiązać problem, w który włączeni byli bezpośrednio pracownicy tego aparatu i w walce zginął.

Gdy kartoteka nasza i przynależne do niej materiały zaczęły się rozrastać, trzeba było znaleźć dla nich odpowiednie pomieszczenie tak do pracy, jak i archiwalne. Dotychczas materiały operatywne gromadziłem u siebie w domu, w skrytce podłogowej. Gdy tylko wspomniałem o takiej potrzebie, „Książę" natychmiast zaoferował swój dom. Jako dawny działacz niepodległościowy Polskiej Partii Socjalistycznej i były więzień polityczny, otrzymał kiedyś parcelkę na piaskach ówcześnie podwarszawskiej osady Boernerowo (obecnie Bemowo). Tam żyjąc skromniutko ze swoich dochodów kaletnika oraz w wielkiej mierze własnoręcznie i przy pomocy syna Kazimierza postawił domek. Domek ten stał na szczerym piasku, a fundamentowane były jedynie jego ściany nośne. Pod głównym pokojem, wzmacniając leżącą prawie na piasku podłogę, wykopaliśmy we trzech z „Księciem" i jego synem sporą piwnicę, którą z pokojem połączyliśmy klapą w podłodze. W jednym z rogów tej piwnicy wykopaliśmy studnię o głębokości około półtora metra i powierzchni około 1 m^2. Ściany tej studni obmurowaliśmy i postawiliśmy na nich, na kółkach, skrzynię o wysokości ponad 10 cm. Podmurówka przedłużona została wzdłuż ścian, na których oparte były kółka jezdne skrzyni, tak by mogła się ona na nich przetaczać, odsłaniając studnię. Ponieważ dno piwnicy było piaszczyste, więc po zasypaniu skrzyni i podmurówki szynowej nikt nie mógł nawet przypuszczać, że niżej coś się tam jeszcze znajduje ani też oczywiście wystukać. Dochodzenie do archiwum było co prawda pracochłonne — trzeba było zebrać piasek z boków skrzyni i z jej „szyn", ale tylko wyjątkowo nieszczęśliwy traf mógł spowodować wpadkę archiwum. Trzymaliśmy tam spokojnie materiały nawet najbardziej niebezpieczne i cenne. Dzięki podłożu piaszczystemu, na którym stała kolonia tych domków, archiwum było idealnie suche. Wiedzieliśmy o nim jedynie my trzej. I rzeczywiście archiwum to przetrwało szczęśliwie całą okupację, tyle, że od połowy 1942 r. już w dyspozycji „Agatona" — Stanisława Jankowskiego, szefa Biura Legalizacyjnego Oddziału II Komendy Głównej AK, któremu przekazałem je wraz z Kazimierzem Urbankiem oraz innymi aktywami mojej komórki „legalizacyjnej". „Książę" tych czasów niestety nie doczekał. Zginął przy

przenoszeniu broni w okolicy pomnika Kopernika około połowy 1942 r.

Z wieloma wspaniałymi ludźmi dane mi było współpracować w czasie okupacji, ale — nawet wśród nich — „Wujo" i „Książę" stanowili klasę wyjątkową.

W sprawach „biurowych" — porządkowaniu papierków, często w organizowaniu bezpośredniej łączności, sprawach legalizacji, nawet w werbowaniu współpracowników — współdziałała ze mną od początku okresu „Muszkieterskiego" córka gen. Knolla-Kownackiego — Barbara, inżynier rolnik, pseudonim „Elżbieta". Wspólnie też, w celu zdobywania środków utrzymania, próbowaliśmy w 1940 r. hodować pomidory. Majątku na tej hodowli nie zrobiliśmy, tak ze względu na zbytnie zaangażowanie się nasze w pracy konspiracyjnej, jak też i na żyjącą dostatnio w sąsiedztwie na kilkuset metrach kwadratowych liczną — około dziesięcioosobową rodzinę.

Razem z innymi moimi współpracownikami z zakresu legalizacji „Elżbieta" przeszła w połowie 1942 r. do „Agatona".

Nasza działalność sprawdzania informacji o ludziach współpracujących z okupantem siłą rzeczy rozszerzała się i powiększyła swój zakres, a jednocześnie pogłębiała się. Już nie wystarczało proste, nawet udokumentowane, stwierdzenie takiej współpracy. Trzeba było śledzić dalsze losy sprawy, jej konsekwencje dla społeczności polskiej, a przede wszystkim ludzi i w miarę możności zapobiegać tragicznym skutkom. Powstać więc musiały nowe sektory naszej działalności: przechwytywanie donosów do gestapo, ostrzeganie osób w nich wskazanych, ustalanie — w miarę możności wspólnie z nimi — autorów donosów (w większości korespondencja taka była anonimowa). Jednocześnie trzeba było ustalać i identyfikować osoby pozostające w stałej współpracy z Kripo (Wydział V Sicherheitspolizei) oraz Gestapo (Wydział IV).

I tu znowu znakomicie dopisało mi szczęście. Już nie wiem, jaką drogą, poznałem chorążego żandarmerii Franciszka Knappa, w latach dwudziestych i trzydziestych członka ochrony osobistej Marszałka Józefa Piłsudskiego. Knapp, a w naszej nomenklaturze „Ernest" lub „Ż11", oprócz tego, że był człowiekiem dużej klasy (również i on nie dyskutował nad zadaniem: skoro je dostał, musiało być wykonane), miał dla naszej działalności dwie zalety bezcenne: z tytułu swej pracy w ochronie znał mnóstwo ludzi ze swojej służby i służb pokrewnych, tj. z żandarmerii, policji mundurowej i niemundurowej, Korpusu Ochrony Pogranicza itp. A przecież sporo tych ludzi pozostawało w kraju i było w Warszawie. Po drugie z konieczności znał się na pracy kontrwywiadowczej.

Dzięki znajomościom któregoś z ludzi „Ernesta" udało się nawiązać kontakt z polskimi pracownikami Poczty Głównej, którzy wychwytywali prawie pod okiem nadzoru niemieckiego korespondencję kierowaną do niemieckiej policji, adresowaną często do „Szanownego Pana Gestapo" i podobną. Nasz pracownik zgłaszał się po nią codziennie do określonego okienka Urzędu przy placu Napoleona (obecnie plac Powstańców Warszawy).

Jeden ze znajomych „Ernesta", pracujący przed wojną w policji kryminalnej, znalazł się jako jeden z nielicznych stosunkowo Polaków w Kripo. Wkrótce mieliśmy za jego pośrednictwem pewien wgląd w sprawy przychodzące do tego wydziału oraz informacje o akcjach, w których wykorzystywani byli jego pracownicy.

Przyjaciele „Ernesta", pozostający jeszcze w służbie w policji mundurowej, wykonywali dla nas, oprócz informowania, również pewne prace pomocnicze, szczególnie w zakresie ustalania autorów donosów, traktujących ich jako przedstawicieli „władzy", do której się zwracali. Niejednokrotnie w donosach chodziło o rzeczy pozornie błahe. „Sypała" się w nich często wzajemnie rodzina, oskarżając swojego krewnego itp. na przykład o „słuchanie radia angielskiego". W przypadkach anonimów ich autorów szukaliśmy też przeważnie wśród najbliższych osoby, na którą był donos. Na przykład, nasz policjant szedł sprawdzać zameldowania i przy okazji porównywał pismo donosu z pismem członków rodziny i sąsiadów. Po czym „pan policjant" tłumaczył temu, który pisał donos, że przecież i on jest winien, bo wiedział wcześniej, a nie zameldował od razu. W konsekwencji więc „tym razem" tylko surowo ostrzegał i sprawa kończyła się pokojowo, przy czym ten, który donosił, wiedział, że jest w swoim środowisku rozszyfrowany i sam dbał już, żeby nic podobnego w tym środowisku się nie zdarzyło. Zresztą donosy nie były sprawą masową. I pod tym względem nasze społeczeństwo zdało egzamin.

Policjanci granatowi dokonywali dla nas często również obserwacje w miejscach, w których obecność osób „cywilnych" nie była niczym usprawiedliwiona i rzucałaby się w oczy.

Przyjaciele „Ernesta", pozostający w służbie w Komendzie Policji Polskiej oraz w jej komisariatach, przekazywali nam wiele informacji o dużej wartości dla ogólnego bezpieczeństwa tak organizacji podziemnych, jak i mieszkańców miasta. Początkowo byli w pewnym stopniu włączani w akcje policji niemieckiej, dzięki czemu mieliśmy tą drogą niejednokrotnie cenne „przecieki" informacyjne. Informacje takie wykorzystywało się w miarę możności również dla ostrzegania. W późniejszym okresie, z biegiem czasu, Policja Polska wiedziała jednak coraz mniej:

Niemcy zwiększali stany swoich służb policyjnych, żandarmerii, SS, SD, służb pomocniczych, np. formacji ukraińskich itp. i Polaków ze swoich akcji coraz bardziej eliminowali. Pozostały jednak nasze wtyczki w Kripo, które umożliwiały nam dość szczegółowe odtwarzanie organizacji tego wydziału, jego metod pracy, ludzi oraz — dzięki powiązaniom Kripo z Gestapo i innymi wydziałami SiPo, jak też powiązaniom personalnym poszczególnych pracowników — dawały stale cenne informacje, dotyczące organizacji SiPo, jej zmian, metod pracy (regulaminy), jej pracowników i współpracowników, jak i niektórych akcji.

Jeden z ludzi „Ernesta" (Aleksander Skorupa „Olek") miał znajomego w Wydziale IV SiPo (Gestapo), strażnika Schmidta, który — co prawda w ograniczonym zakresie tematycznym — dostarczał informacji o aresztowanych, przetrzymywanych w gmachu SiPo przy alei Szucha (Strasse der Polizei).

„Ernest" czyli „Ż11" i jego ludzie wykonywali zadania bardzo różnorodne, różnego rodzaju inwigilacje, wywiady, obserwacje. W przypadkach koniecznych dokonywali ewakuacji zagrożonych lokali, przy czym niejednokrotnie było to połączone ze zrywaniem pieczęci nałożonych przez gestapo na lokal (najczęściej były to naklejone paski papieru z odbitymi w niewielkich odstępach pieczęciami odpowiedniego wydziału SiPo) i zastępowaniem ich, po dokonaniu akcji, odpowiednikami wyprodukowanymi przez nas: nie można było dopuścić, aby Niemcy zorientowali się, że ktoś interesuje się danym lokalem.

Zadania te wymagały sporego zespołu. Jego zbudowanie nie stanowiło jednak dla „Ż11" trudności. Wykorzystał do tego, wbrew zresztą zasadom konspiracji, swoich licznych znajomych z okresu przedwojennego. Było to oczywiście połączone z dużym ryzykiem: w przypadku wpadki któregokolwiek członka grupy zagrożony był oczywiście nie tylko jego szef — „Ż11", ale i wielu znających się wzajemnie kolegów. „Ż11" wierzył jednak w odporność swoich kolegów oraz chyba w swoje szczęście. Trzeba też przyznać, że grupa ta dotrwała, ciągle się rozbudowując, do końca okupacji. Jednego z członków grupy, który przeszedł na służbę niemiecką, po uzyskaniu wyroku, zlikwidowali we własnym zakresie.

W „Muszkieterach" grupa „Ż11"* pracowała pod jego wodzą we wspomnianych wyżej zakresach do momentu przejścia naszej organizacji do ZWZ i sukcesywnie Armii Krajowej. Została wtedy przydzielona do dyspozycji zastępcy szefa kontrwywiadu Stefana Rysia „Józefa", który wkrótce przekazał ją do budowanej na nowo przez Józefa Garlińskiego „Longa" komórki

* Grupę tę omawiam osobno w rozdziale 8.3.

łączności z uwięzionymi, noszącej od połowy 1942 r. kryptonim „998". W tym wydziale grupa ta pełniła rolę oddziału inwigilacyjnego i ewakuującego lokale spalone i zagrożone.

Moim „oficjalnym" i praktycznym zastępcą w kontrwywiadzie „37", w szczególności w kontaktach z grupami informatorów był Stanisław Koczalski „Oskar", „Polikarp", „Odrowąż", „Lammers"* — b. komisarz policji, nie będący już w służbie czynnej (nie pamiętam z jakiego powodu — na emeryturę był jeszcze zbyt młody, nie miał bowiem ówcześnie pięćdziesięciu lat), zamieszkały przy ul. Dobrej 53 lub 63. Jego kryptonim w mojej sieci był „P7". Był to mężczyzna średniego wzrostu, zaczesany do góry, z małym wąsikiem. Odważny i dokładny, zawsze bezwzględnie lojalny, jako oficer przywykły do przyjmowania rozkazów może trochę bezkrytycznie. Ta ostatnia cecha trochę mnie peszyła. Ja przecież dopiero ząbkowałem w pracy wywiadowczej, podczas gdy on miał za sobą sporo lat służby w policji, do kierownika komisariatu włącznie. Niemniej jako zastępca był dla mnie nieoceniony, wymagający wiele od siebie i od współpracowników, umiejący znakomicie przekładać moje polecenia, z konieczności często dość ogólnikowe, na język szczegółowych zadań dla poszczególnych grup i wykonawców. Znał ich przy tym dobrze i wiedział, co i od kogo może wymagać i czego oczekiwać. Znajdował też znacznie lepiej ode mnie wspólny język z naszymi sędziami śledczymi. Z reguły też przeprowadzał wstępne rozmowy z kandydatami na naszych współpracowników. Porównywanie jego wrażeń z moimi dawało lepsze podstawy do oceny kandydatów.

Jako były oficer policji, był w tych kręgach wysoko ceniony chyba w szczególności za ideowość, wielką prawość i uczciwość. Przez niego nawiązaliśmy współpracę z Komendą Policji Polskiej, płk. Reszczyńskim i płk. Kozielewskim. Dzięki temu otrzymaliśmy nie tylko wgląd w poczynania policji, która, szczególnie w pierwszych miesiącach okupacji, była przez Niemców wykorzystywana jako służba pomocnicza przy różnych akcjach, ale jej pracownicy, otrzymując polecenia od swoich bezpośrednich zwierzchników w aparacie policyjnym, równolegle wykonywali dla nas wiele różnych zadań, przede wszystkim w zakresie rozpracowywania ludzi podejrzanych przez nas o współpracę z Niemcami.

W okresie rozbudowy przeze mnie kontrwywiadowczego aparatu „37" chyba jesienią 1940 r. doszło do uzgodnienia pomiędzy Witkowskim a organizatorem i szefem TAP (Tajna Armia Polska), mjr. Janem Włodarkiewiczem, likwidującym

* Kryptonim jego poczty. Sprawy te wyjaśniam w rozdziale 9.

pewne agendy TAP w związku ze swoim przejściem do ZWZ. W wyniku tego porozumienia kontrwywiad TAP (lub jego znaczna część) na czele z kierującymi tym aparatem „P14"i „P15" został przekazany „Muszkieterom" i podporządkowany mnie. Jeden z nich był prawnikiem z wykształcenia i odznaczał się prawie idealną łysiną. Miał na imię Zygmunt, nazwisko zdaje się Iwicki, był chyba porucznikiem 8 pułku strzelców konnych. Używał pseudonimu „Roman Wierzbowski". Była to sieć liczbowo dość mocno rozbudowana, podzielona wewnętrznie na dość samodzielne grupy wywiadowcze. W ramach „37" spełniała zadania przede wszystkim nasłuchu ogólnego. Z biegiem czasu była jednak wykorzystywana przez „P7" do rozwiązywania zadań szczegółowych.

Jedną z większych grup tej sieci, oznaczoną kryptonimem „I", kierował inżynier z wykształcenia oznaczony jako „16". W tej grupie działał m.in. ze swoją bardzo rozgałęzioną siatką „17" inż. elektryk Michał Różycki, obdarzony kolosalnym tupetem, sporymi umiejętnościami wywiadowczymi i — chyba — dużą dozą szczęścia.

Zakres naszej pracy szybko się rozrastał. Przybywało materiałów, których sam nie byłem w stanie opanować. Trzeba było założyć normalną kartotekę ludzi, co do których były podejrzenia o współpracę z okupantem oraz odnoszących się do nich materiałów. Funkcję tę objęła Eugenia Szarek. Zdobyliśmy dla niej mieszkanie (do pracy o tym charakterze lokal musiał być całkowicie samodzielny) na pierwszym piętrze domu nr 22 przy ul. Podhalańskiej na Sadybie. Porobione tam zostały odpowiednio pojemne skrytki podłogowe. Miały tę zaletę, że — poza zasypaniem ze wskazania — wpaść mogły jedynie przy zrywaniu całej podłogi.

Pani Genia, oznaczona w naszym wykazie kryptonimem „E 27", była pracownikiem świetnym i dokładnym. Kartoteka została uporządkowana alfabetycznie i rzeczowo, dla każdego z „poważniejszych klientów" założone zostały teczki wszystkich meldunków i materiałów ich dotyczących.

W akcji wcielania kierowanego przeze mnie aparatu „Muszkieterów" do ZWZ włączona została razem z całym dobytkiem kartotecznym jako „993 E" do kontrwywiadu Komendy Głównej, gdzie wyznaczono kartotece pani Geni rolę centralnej kartoteki — ewidencji prowadzonej przez kontrwywiad. Pani Genia tam też wyszła za mąż za szefa „993", zastępcę szefa kontrwywiadu — „Józefa". Kartoteką tą kierowała (potem pracowały dla niej 4 osoby) do Powstania Warszawskiego.

Właściwe operowanie zadaniami dla naszej sieci oraz zadaniami nadawanymi sieci organizacyjnej, podział nadchodzących

meldunków, nadawanie zadań wynikających ze zleceń „Kapitanatu", opracowywanie raportów i syntez dla „Kapitanatu", przekraczało możliwości jednego człowieka. Tym razem pomogła mi droga organizacyjna. Za pośrednictwem „Brata Antoniego" i rotmistrza Czesława Szadkowskiego zaproponowano mi wykorzystanie w tej pracy młodego prawnika, oficera rezerwy 1 Pułku Szwoleżerów (jak się później okazało) Józefa Garlińskiego. Dogadaliśmy się szybko i wkrótce „W4", „Joachim Long", przejął całość spraw biurowych — przyjmowanie meldunków z terenu i od naszych informatorów, ich przekazywanie stosownie do przeznaczenia, do kartoteki lub do „Kapitanatu", przekazywanie naszym pracownikom zadań wymagających opracowania pisemnego, opracowywanie zestawień zbiorczych. Oczywiście, jako nowo wprowadzony i nie znający jeszcze ani całokształtu prac komórki „37" ani jej współpracowników, „Long" pracować musiał zgodnie z moimi wytycznymi, odciążając mnie jednak znakomicie. Pracował świetnie. „Biuro" mieściło się kolejno w różnych tak lub inaczej „uzasadnionych" lokalach, przeważnie prywatnych mieszkaniach, czasem — wbrew zasadom konspiracji, ale w przypadku konieczności — naszych współpracowników np. „Ż11" — Franciszka Knappa w małej uliczce poniżej Belwederu, w piwnicy sklepu państwa Granke mieszczącego się przy placu Unii, na rogu ul. Bagatela (obecnie MPiK), czasem w pokojach wynajętych (np. przy ulicy Lwowskiej 1, VI piętro), u zaprzyjaźnionych socjalistów w okolicy ul. Dobrej (ukrywających jednocześnie żołnierzy z Armii Czerwonej. Stanowiło to dodatkowe zagrożenie, ale też — w razie wpadki — więcej nas było do obrony), w okolicach Solca: czasami mieszkania udostępniali nam ludzie organizacyjnie nie związani, orientujący się jedynie, że chodzi o pracę niepodległościową (np. na ul. Czerwonego Krzyża, u pani Olgi Jabłkowskiej, żony współwłaściciela domu handlowego „Bracia Jabłkowscy"). Tacy „mieszkaniodawcy" często, po „przyzwyczajeniu się do nas", stawali się naszymi stałymi współpracownikami, jak to było i w przypadku pani Olgi.

Jednym z zadań „Longa" było właśnie organizowanie „lokali biurowych", pamiętanie o wykonywaniu w nich odpowiednich skrytek na materiały i ewentualnie broń, tworzenie dostosowanej do danych warunków „legendy" — kim są odwiedzający lokal, w jakim celu itp., włączenie lokalu do naszego systemu łączności, organizowanie systemu ostrzegawczego.

Przeważnie mieliśmy jednocześnie dwa lub trzy aktualne „lokale biurowe", z których jeden był eksploatowany w danym okresie, a pozostałe trzymane w rezerwie na wypadek konieczności szybkiego przeniesienia się. Zmienialiśmy je zresztą systematycznie, co pewien okres, aby ich „nie zadeptywać" i nie

koncentrować na nich zbyt długo uwagi otoczenia. Przeprowadzki takie załatwiał „Long".

Ze względu na ciągły brak dostatecznej liczby współpracowników oraz w przypadkach wyjątkowych był on również wykorzystywany przy organizowaniu poszczególnych akcji. Z okresu działań wojennych miał poważnie uszkodzoną nogę i chodził z laską, wskutek czego, wbrew wszelkim zasadom konspiracji, nazwany został przez kolegów „Lasecznikiem", do czego zresztą jego wysoka i szczupła sylwetka pasowała aż nazbyt dobrze. Bez względu na wszystkie przeszkody, nagromadzenie zadań, pracował niestrudzenie i wszystko, co leżało w zakresie jego prac, było dobrze zorganizowane i doprowadzone do końca. Ilekroć przychodziłem do „biura", zastawałem „Longa" pracującego nad materiałami i wystukującego potrzebne teksty na naszej płaskiej „Olivetti".

Aparat „37" w dziedzinie rozpracowania ewentualnych współpracowników okupanta rozrastał się szybko. Za zadaniami przyszły wyniki. Zaczęliśmy naprawdę rozróżniać ziarno od plew, czyli eliminować informacje nieistotne. Przyjęliśmy jednak zasadę, że każda otrzymana informacja musi być zanotowana (może przecież wypłynąć w jakimś innym zestawieniu czy naświetleniu), oczywiście z zaznaczeniem kryptonimu informatora, okoliczności jej zdobycia (osobiście, przez drugą osobę itd.), daty, miejsca, ewentualnie innych danych. Staliśmy się aparatem sporym, dość jednak sprawnym, a przede wszystkim operatywnym. Operatywność tę zawdzięczaliśmy w szczególności grupie kierowanej przez „Ernesta" oraz „Księciu" wraz z jego nielicznymi w tej pracy przyjaciółmi. W razie potrzeby, a takie pilne zadania przychodziły czasem od „Kapitanatu", można było rano nadać zadanie, np. wstępnego rozeznania sylwetki takiego a takiego to człowieka i już wieczorem lub następnego dnia otrzymywało się informacje dość sprecyzowane, tak formalne — dane personalne, miejsce i sposób zamieszkiwania, stopa życiowa, jak i dotyczące opinii, jaką dany człowiek cieszył się w otoczeniu, nawet kręgu jego znajomych itp.

Oczywiście w wielu przypadkach pewnych zadań nie można było, a w każdym razie my nie potrafiliśmy, wykonać dostatecznie szybko i dostatecznie dokładnie, niemniej jednak działalność ta została doceniona przez „Kapitanat Muszkieterów", który — chyba jeszcze wiosną 1940 r. — formalnie zaawansował komórkę „37" do funkcji kontrwywiadu organizacji. Było to może bardzo zaszczytne z punktu widzenia hierarchii organizacyjnej, pociągało jednak za sobą poważne zwiększenie obowiązków. Dotychczas zadania dla aparatu „37" ustalałem właściwie ja sam — łączność z górą ograniczała się praktycznie do

otrzymywania z sieci wywiadu organizacji informacji do sprawdzenia (ale naszej działalności w tym kierunku praktycznie nikt nie kontrolował) oraz do przekazywania „Kapitanatowi" raportów okresowych i specjalnych (w razie uzyskania przez nas informacji w mojej ocenie szczególnie ważnej). Zadania przekazywane przez „Kapitanat" były niesłychanie rzadkie. Teraz, gdy „37" stało się „oficjalnie" kontrwywiadem „Muszkieterów". zaczęto nas zasypywać zadaniami wynikającymi z jakichś potrzeb „góry" czy też prawdopodobnych zagrożeń organizacji.

Trochę mi to imponowało, że nagle stałem się taki cenny i ważny, ale zabierało coraz więcej czasu i praktycznie odrywało od mojej podstawowej i ulubionej tematyki, tj. zagadnień sieci komunikacyjnych. Szczerze mówiąc, funkcjonowanie tej sieci nie wymagało z mojej strony wielkiego nakładu czasu i pracy. Zarówno wywiad lotniczy, organizowany przez Jana Klewina, jak i dotyczący sieci kolejowej, którego duszą był Leon Piasecki „Springer", funkcjonowały i rozwijały się znakomicie. Słabiej może działał wywiad o sieci drogowej kierowany przez „Halicza". Praca ta, aby stała się naprawdę efektywna, wymagała jednak dostatecznego aparatu własnego do sprawdzania wszystkich elementów interesujących nas (np. mosty, stacje zaopatrzenia, magazyny, itp.), a aparatu takiego „Halicz" nie posiadał. Może nie był on też takim fanatykiem tej pracy, jak pozostali dwaj, a raczej oficerem liniowym. Osobiście zajmowałem się ewidencją sieci dróg wodnych śródlądowych, na naszych terenach dość słabo rozbudowanej i w tym czasie — do okresu przygotowań do wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej — prawie przez okupanta nie wykorzystywanej. Zagadnieniom komunikacji wystarczało więc poświęcenie tylko części długich wieczorów, kiedy godzina policyjna uniemożliwiała praktycznie spotkanie się z pracownikami i kierownikami grup wywiadowczych.

Oprócz wspomnianych grup była jeszcze grupa prowadzona przez „Eberle", zięcia naczelnego redaktora przedwojennego *Ilustrowanego Kuriera Krakowskiego* — Dąbrowskiego. Nazywał się, jeśli pamiętam, Jakubowski. Mieszkał z żoną w białym pałacykudworku pod numerem 3 przy ul. Nabielaka. Był to pan dość wysoki, szczupły, lekko przygarbiony, bardzo spokojny i kulturalny. Nie nadawał się nie tylko do wywiadu, ale do jakiejkolwiek wojny, tym bardziej w wydaniu niemieckim. Uważał jednak za potrzebne robić coś przeciw Niemcom i moją propozycję współpracy przyjął: to było realne działanie. Przychodziłem na rozmowy z nim zawsze chętnie. między innymi i dlatego, że w ich domu człowiek czuł się trochę jak gdyby wyłączony z wojny. Grupa ta spełniała zadania dobrze ustawionej i raczej nie podającej informacji niesprawdzonych ogólnego nasłuchu w środowiskach

robiących interesy z Niemcami, a więc dość podatnych do pewnej z nimi współpracy. Inną grupę o podobnym charakterze prowadził „Wiedmann", o którego personaliach nie wiedziałem i niestety do dziś nie wiem nic. A praca jego była na pewno wartościowa i zasługuje na przypomnienie. Gromadził informacje ogólne przede wszystkim specjalnie o volksdeutschach, wykonywał również sprawdzania zleconych mu ludzi i przedsiębiorstw.

3.4.3. Legalizacja

Praca nasza niejednokrotnie wymagała zdobywania dla naszych współpracowników różnego rodzaju dokumentów niezbędnych przede wszystkim do ich życiowej „legalizacji". Odpowiednie blankiety uzyskiwaliśmy z magistratu miasta Warszawy. Nazwiska najczęściej wyszukiwało się na cmentarzach, na grobach ludzi stosunkowo niedawno zmarłych, a których daty urodzenia odpowiadały naszym potrzebom. W Biurze Meldunkowym Warszawy sprawdzało się dane personalne (czyniły to policyjne wtyczki „Ż11") i — jeśli „pasowały" — to przy pomocy współpracujących z nami księży poszukiwało się w parafiach (tej, w której byli ochrzczeni) i wyciągało odpisy aktów urodzenia.

Tu krótka dygresja. Werbując współpracowników zostałem m.in. poznany z panem w średnim wieku, z którym uzgodniłem zasady współpracy, przy czym szczegóły jego zadań miałem mu podać na następnym spotkaniu. Spotkanie to wyznaczył mi w kościele na Tamce. W umówionym terminie wchodzę do kościoła. Dość pusto, ludzi niewielu, tak że łatwo mogę zaobserwować, czy któryś z nich jest moim przyszłym współpracownikiem. Żaden jednak nie przypomina „Wiktora" (taki przybrał pseudonim). Przy ołtarzu ksiądz, stojący tyłem do wiernych, kończy odprawiać mszę św. W momencie, gdy się odwrócił dla błogosławieństwa, zobaczyłem, że to jest właśnie „Wiktor". Pracował z nami znakomicie. I to nasunęło mi myśl wykorzystywania księży również do celów wspomnianych wyżej. Drugim takim księdzem współpracującym z nami był mój kolega szkolny, ks. Hoffman od św. Jacka (kontakt przez „Springera").

Usuwając z kartotek Biura Meldunkowego dane o śmierci człowieka (jeśli rzeczywiście tam dotarły), uzyskiwało się dla podstawionego w jego miejsce naszego współpracownika legalne podstawy istnienia. Pieczątki podrabialiśmy początkowo niesłychanie prymitywnie — po prostu odmalowując je lub wycinając z cienkiej gumy (dętek) podstawowe ich elementy. Te dokumenty może pomagały samopoczuciu człowieka, ale na pewno poważniejszej kontroli nie wytrzymałyby. Wkrótce zyskałem

nowego współpracownika, wywodzącego się — jak wielu innych z naszego kręgu — z dawnego PPS. Był to drukarz, pan już wtedy dobrze po czterdziestce, krępy, wzrostu trochę mniej niż średniego, z siwawą czupryną i sporymi siwymi wąsami. Nazywał się Aleksander Skrzyński. Ze względu na analogię nazwiska i imienia z byłym premierem, ministrem spraw zagranicznych i ambasadorem Aleksandrem Skrzyńskim, nazwaliśmy naszego nowego kolegę „Ambasadorem", a praktycznie jego pseudonim utrzymał się jako „Ambas". W okresie przedwojennym „Ambas" pracował jako drukarz w „Robotniku", był też działaczem związków zawodowych. Z tego tytułu miał rozgałęzione stosunki osobiste i w swoim kręgu cieszył się dużym poważaniem.

Do wykonywania prac rysunkowych koniecznych dla właściwej działalności naszej „legalizacji" potrzebna była odpowiednia „siła fachowa". Jeśli pamiętam, za pośrednictwem prof. Jana Zachwatowicza — „Profesora Jana" — skontaktowany zostałem z młodym doktorem Wydziału Architektury Polskiej Politechniki Warszawskiej — Piotrem Biegańskim, który przybrał pseudonim „Paweł".

„Paweł" był świetnym rysownikiem i znakomicie umiał odtwarzać na papierze każdy kształt. Rysował więc pieczęcie, a raczej ich odbicia lustrzane, pierwotnie na stemplach drewnianych, potem również i na gumie. Pracował z zasady we własnym mieszkaniu przy ul. Wiśniowej 48. Nie ułatwiało to z nim kontaktu (łącznik nie mógł dostawać adresu domowego). Wkrótce jednak, korzystając z zalegalizowanej przez Niemców na Wydziale Architektury jakiejś pracowni ewidencyjnej oraz za zgodą dziekana Tajnego Wydziału Architektury Polskiej „Profesora Jana", pracę swoją „Paweł" przeniósł w całości do pracowni na wydziale. Tam został normalnie włączony w nasz system łączności. Przyglądanie się jego pracy było taką przyjemnością, że mając chwilę wolną, wpadałem tam (miałem jakieś formalne uzasadnienie) trochę na nią popatrzeć. Czasami wykorzystywałem do tego celu pilną potrzebę dokumentu, przynosząc np. wzory podpisów, o których podrobienie chodziło.

„Paweł" długo przyglądał się takiemu podpisowi, po czym starannie dobierał narzędzie do jego wykonania: mogło to być pióro, przy czym ogromną rolę grał dobór stalówki, ołówek, patyk itp. Poświęcał temu bardzo wiele uwagi. Czasami przygotowywał zaostrzony patyczek, pióro ptasie itp., dobierał atrament lub tusz i powolutku odrysowywał żądany podpis, po czym porównywał swoje dzieło z oryginałem. Jeśli był zadowolony, czynność podrobienia podpisu wykonywał szybciej. Ponownie porównywał i dalej przyspieszał wykonanie. Gdy stwierdził, że podpis podrobiony został „nie tak", zmieniał lub

dopasowywał narzędzie i znów próbował. Dopiero, gdy którąś kolejną próbę uznał za w pełni zadowalającą, odważał się położyć podpis na dokumencie.

Z „Pawłem" współpracował Maciej Piechotka „Jacek", student tego wydziału. W pewnym okresie pieczątki techniką rycia w drewnie wykonywał dla nas również artysta grafik, profesor Akademii Sztuk Pięknych Stanisław Chrostowski.

Zaczęliśmy również wykonywać pieczątki metodą chemigrafii. Oczywiście zorganizował to „Ambas", wykorzystując do tego celu swoje kontakty fachowe, poparte znajomościami z okresu pracy w przedwojennych związkach zawodowych lub PPS.

Dalszy ogromnie cenny nabytek dla naszej pracowni wprowadzony został przez „Ambasa", Był to dawny pracownik Wojskowego Instytutu Kartograficznego, rzeczywista „złota rączka", człowiek, który potrafił ręcznie odrysować każdy dokument, pieczęcie itp. Nazwiska nie znałem. Na imię miał Henryk. U nas, już nie pamiętam dlaczego, nazwany został „Batah".

Pierwotnie przez nas nie w pełni wykorzystywany, wprowadzony również przez „Ambasa", był pracownik Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, zwany u nas „Batas"*. Zdobywał on wzory, a niekiedy i egzemplarze drukowanych tam dokumentów. W pełni zabłysnął dopiero u „Agatona", dla którego był rzeczywistą „złotą rączką".

Jakość podrabianych przez nas dokumentów nie była tak dobra, jak produkowanych później przez „Agatona". Może należy to przypisać również i szczęściu, ale koledzy w nie wyposażeni nigdy jednak nie mieli z ich powodu żadnych kłopotów. Ja sam posługiwałem się m.in. legitymacją członka Organizacji Ukraińskiej współpracującej z Niemcami, która kilkakrotnie wyciągnęła mnie z łapanki ulicznej. Legitymowałem się także dowodem pracownika kolei General Gouvernement, tzw. „Ostbahn". Blankiet legitymacji był oryginalny, autentyczne też były znaczki, które naklejało się na jej odwrocie do przedłużenia ważności o dalsze 3 miesiące. Oryginały te dostarczali współpracownicy „Springera". Pieczęcie i podpisy były oczywiście nasze. Dokumenty te były uzupełniane oryginalnym blankietem przepustki upoważniającej do poruszania się po godzinie policyjnej, wykończonym oczywiście w naszym własnym zakresie, m. in. wspaniałym podpisem dyrektora kolei w wykonaniu „Pawła". Byłem też oficjalnie zameldowany dzięki dokumentom naszej produkcji, m.in. jako Juliusz Kozłowski zamieszkały przy Alei 3

* Bliżej obu tych ludzi („Bataha" i „Batasa") omówił „Agaton", któremu około połowy 1942 r. zostali przekazani. Stanisław Jankowski, *Z fałszywym Ausweisem w prawdziwej Warszawie*, I wyd. Warszawa 1980, II wyd. Warszawa 1985.

Maja 14, lewa oficyna III piętro. Również legalnie żyłem jako Leon Juchniewicz, adresu zameldowania dziś już nie pamiętam. Używałem też innych nazwisk.

Oprócz dokumentów „legalizujących" w pracy naszej potrzebne były niejednokrotnie dokumenty specjalne — umożliwiające czy to dostanie się do określonego terenu wydzielonego (biura, magazynu, lokalu o dostępie ograniczonym itp.) czy też uprawniające do wykonywania pewnych czynności (rewizji, legalizacji transportu urządzeń itp.). Tu również posługiwaliśmy się blankietami instytucji (policji granatowej, kolei, różnych poważnych przedsiębiorstw, do których dzięki naszym współpracownikom mieliśmy dostęp). W wielu przypadkach dokumenty takie nie mogły w rzeczywistości stanowić prawdziwego i pełnego zabezpieczenia (np. przy przewozie drukarni, aparatury radiowej, broni), ale przy normalnej kontroli ulicznej wystarczały. Przede wszystkim jednak dawały posiadaczowi pewne poczucie bezpieczeństwa, ułatwiające mu zachowanie się z tupetem, który nie raz odpowiednio działał na Niemców i ratował w chwilach ciężkich.

Tak postawiona „legalizacja" działała aż do przejścia naszego do ZWZ a nawet i potem. Między innymi dokumenty, którymi posługiwałem się przy pierwszych wyjazdach moich i kolegów w ramach „666", były również naszej produkcji.

„Inżynier" jako szef „Muszkieterów" z pomocy naszego aparatu korzystał tylko dla swoich współpracowników. Sam zaopatrywał się w dokumenty innymi. własnymi drogami.

Charakterystyki wielu ludzi współpracujących ze mną w zakresie legalizacji w tym okresie znajdują się w książce „Agatona"*, do którego — w ramach wcielenia „Muszkieterów" do ZWZ, a następnie Armii Krajowej, zostali przydzieleni i który pracował z wieloma z nich i bliżej, i dłużej. Tam też dopiero, w rozbudowanym przez niego wyspecjalizowanym aparacie, prawdziwym wielozakładowym przedsiębiorstwie, zostali w pełni wykorzystani.

Mimo pewnego prymitywizmu i improwizacji nasza praca w tym zakresie w „Muszkieterach" dawała wyniki pozytywne i na pewno przyczyniła się do wzrostu bezpieczeństwa naszej działalności oraz umożliwiła osiągnięcie konkretnych wyników.

3.4.4. Organizacja rozpracowywania spraw bardziej złożonych

W miarę rozwijania się naszej działalności i gromadzenia materiałów, informacje o pewnych organizacjach (np. współpracujących z Niemcami Komitetach Białych Rosjan, Białoruskim,

* Ibidem.

Ukraińskim itp.) oraz ludziach zaczynały się nawarstwiać w większych ilościach, powtarzać, różnić w naświetleniach, wiązać itd. Samo pobieżne tylko ich przeglądanie nie mogło wystarczać do wyciągania właściwych wniosków ani do racjonalnego stawiania zadań mających na celu uzupełnianie materiałów, zdobywanie dodatkowych naświetleń itd. Zaistniała konieczność systematycznej pracy nad materiałami, ich analizowania, pogłębiania, syntetyzowania, wyciągania wniosków. Trzeba było poświęcić tej działalności znacznie więcej czasu niż było mnie na to stać, a więc przydzielić te zadania odpowiednim ludziom, którzy mogliby zająć się tym wyłącznie — pewnego rodzaju sędziom czy oficerom śledczym.

Przez jednego z moich współpracowników — inż. ogrodnika Bolesława Burskiego „Jasieńczyka" — poznałem jego przyjaciela pracującego ówcześnie w charakterze konduktora tzw. kolejki EKD, której trasa zaczynała się na ul. Nowogrodzkiej niedaleko Marszałkowskiej i łączyła Warszawę, tak jak obecna EKD z przystanku Ochota, z Komorowem, Podkową Leśną itd. Nowo poznanym był Stanisław Leszczyński — prawnik, przed wojną sędzia śledczy. Oznaczony został kryptonimem „L 11". Z zadań swych wywiązywał się dobrze, ale coś w nim czy jego zachowaniu było takiego, że zawsze miałem wobec niego pewne zahamowania. Po prostu jego typ psychiczny jakoś mi nie odpowiadał. Zdaje się, że w jakimś aspekcie ja jemu też nie odpowiadałem.

W okolicznościach, których sobie nie przypominam, trafiłem na kolegę jeszcze z gimnazjum im. Władysława IV — Henryka Ligęzę. Był również prawnikiem. Obydwaj zaczęli u nas pełnić rolę sędziów śledczych — dostawali całość posiadanych przez nas materiałów dotyczących pewnych spraw lub ludzi i — za pośrednictwem naszej łączności — kierowali do mnie wnioski lub zapytania uzupełniające. Praktycznie otrzymywał je „Long" i albo decydował sam, albo dawał mi do decyzji często z własnymi sugestiami. Zapytania kierowaliśmy do dalszego rozpracowania, najczęściej przez grupy „Ż 11" lub „Księcia", a wnioski — jeśli ich waga do tego upoważniała — do „Kapitanatu", który — w przypadkach krańcowej i niebezpiecznej współpracy z okupantem — uzgadniał je z Biurem Politycznym. W grupie tych sędziów był jeszcze i trzeci, jednak ani osoby, ani nazwiska, ani pseudonimu nie pamiętam.

3.4.5. Skrytki

Bardzo ważną gałęzią naszej działalności było urządzanie skrytek na materiały, tak stałych — wykonywanych w danym

mieszkaniu — jak i przenośnych, różnych w zależności od zakresu i sposobu ich użytkowania. Inny był typ skrytek dla łączników poruszających się po mieście, inny dla wyruszających na trasy dalekie, jeszcze inny nadający się do wykorzystania w lokalach zbyt małych (np. jednopokojowych), by wyjmowanie materiałów ze skrytek stałych nie zdradzało ich istnienia przed innymi osobami znajdującymi się w danej chwili w tym pomieszczeniu. Lepiej było, aby nawet bardziej pewni i zaufani współpracownicy nie wiedzieli więcej niż to wynikało z ich zadań.

Skrytki stałe wykonywał Stanisław Furmańczyk „Urban", z zawodu elektrotechnik, prawdziwa „złota rączka" w tej specjalności, nadzwyczaj dokładny, a przy tym niesłychanie solidny i skromny. Dodatkową zaletą „Urbana" była ogromna słowność: gdy już umówił się na termin i powiedział, kiedy skrytkę wykona, można było uważać sprawę za załatwioną. A przecież utrzymanie takiej punktualności w warunkach okupacji i konspiracji nie było sprawą łatwą i prostą.

Jego skrytki podłogowe, najchętniej wykonywane w parkiecie, nie były do rozpoznania nawet dla znających tę technikę. Wejście do skrytki stanowiły zazwyczaj dwie lub trzy klepki parkietu zespolone od spodu za pomocą kawałka deski zaopatrzonego dodatkowo w płytę z tektury, sklejki lub podobnego materiału tłumiącego dźwięk, tak że przy stukaniu w parkiet nie można było usłyszeć dźwięku charakteryzującego przestrzeń pustą. Zamykane były na zamek dociśnięty sprężyną. Otwieranie tego zamka odbywało się za pomocą specjalnej cienkiej blaszki z twardej stali zaopatrzonej w maleńkie nacięcie. Blaszkę wsuwało się w szczelinę pomiędzy określonymi klepkami i odpowiednio ją naciskając odchylało zacisk sprężyny i lekko unosiło klepki zamykające otwór. Dzięki niewielkiej grubości blaszki szczelina, w którą się ją wsuwało, niczym się nie różniła od zwykłych szczelin między prawie nigdy idealnie nie dopasowanymi klepkami.

Na podobnej zasadzie wykonywane były przez „Urbana" skrytki w łazienkach i innych pomieszczeniach, których ściany wykładane były kafelkami. Otwarcie stanowiły tu jeden lub dwa połączone ze sobą kafelki zamykane również na zamek sprężynujący.

„Urban" konstruował również schowki w meblach i innych ciężkich urządzeniach użytku domowego (np. skrzynia na węgiel).

Wszystkie te skrytki, dzięki zamkom sprężynowym i zatrzaskom, były tak skonstruowane, że przypadkowe otwarcie przez poruszenie, nacisk itp. nastąpić nie mogło.

„Urban" robił również skrytki przenośne, ale głównym specjalistą w tym zakresie był „Jasieńczyk", z zawodu inżynier rolnik.

Najchętniej robił on skrytki ruchome, przeznaczone do przechowywania stosunkowo niewielu dokumentów podręcznych. Były to np. tace ozdobne o podwójnym dnie, wazony, w których miejsce na kwiaty było ograniczone na rzecz schowka, przedmioty dekoracyjne z drewna, których elementy były tak dobrane, że nie wydawało się możliwe, aby w przedmiotach tych coś mogło być ukryte.

Z „Jasieńczykiem" współpracowała w tym zakresie Janina Siwińska „Anna", dawny działacz PPS i spółdzielczości mieszkaniowej (Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej), kobieta o niesamowitej energii i witalności, która współdziałała z nami również na polu wywiadu, łączności z uwięzionymi, pomocy więźniom itp.

Z „Jasieńczykiem", jako łącznicy, współpracowały dzieci Siwińskiej: Barbara Siwińska, ur. 10 listopada 1924 roku (zginęła w Powstaniu Warszawskim w Odziale „Żmii", na Marymoncie 15 sierpnia 1944 r.) oraz Witold Siwiński, ur. 23 października 1928 r. (ciężko ranny 27 września 1944 r. odłamkami pocisku granatnika w brzuch i prawą rękę, którą amputowano.)

Skrytki dopasowane były do ich roli i przeznaczenia. Dla łączników kursujących po mieście wykonane były np. w dnie termosu, który w czasie okupacji u nikogo nie budził zdziwienia, w rozszczepionej ściance teczki skórzanej, w dnie koszyków na wiktuały itp. Inne — w postaci pędzla do golenia, pióra wiecznego, skórzanej rączki teczki itp. — służyły do jednorazowego użytku: kurierzy „Muszkieterów" przenosili w nich raporty wywiadowcze organizacji kierowane do bazy w Budapeszcie.

Oczywiście skrytkarze „37" nie byli w tej dziedzinie jedynymi specjalistami pracującymi w „Muszkieterach". W bezpośredniej dyspozycji „Kapitana" znajdowała się ich mocna grupa. Pracował w niej m.in Stanisław Malinowski, specjalista elektryk o podłużnej twarzy przypominającej głowę konia, a którego zawód zaawansował do pseudonimu — „Elektryk". Wykonywał on dla „Kapitanatu" wszelkie prace z zakresu elektrotechniki, zmontowywał i obsługiwał instalację elektryczną drukarni „Muszkieterów", robił oświetlenie dużych skrytek i wiele podobnych. Roboty murarskie i ślusarskie wykonywał jego brat Piotr „Gałus", niewielki, szczupły mężczyzna. Obaj bracia zaspokajali w tym zakresie wszelkie potrzeby „Kapitanatu". M.in. w mieszkaniu „Inżyniera" wykonali tajemne pomieszczenie, w którym pracowała drukarnia organizacji, usytuowana w którymś z domów po nieparzystej stronie ul. Dobrej. Wykonali też skrytki w mieszkaniu żony mjra Strynkiewicza znajdującego się w Oflagu (plac Inwalidów 6 m 26). Mieszkanie to było również punktem kontaktowym dla „Wojciecha" (Stefan Tarnowski?)

„Jana" (lat ok. 45), a od początków 1942 r. także dla poczty Szefa Oddz. II Kom. Gł. Armii Krajowej — „Dzięcioła".

3.5. STOSUNKI ZE ZWIĄZKIEM WALKI ZBROJNEJ

Od momentu utworzenia „Muszkieterów" „Inżynier" jako linię wytyczną, od której nie uznawał odstępstw, przyjął zasadę całkowitej niezależności naszej organizacji. Tę postawę wyznawał także wobec ZWZ. Jednakże — również prawie od początku istnienia „Muszkieterów" — „Inżynier" nawiązał współpracę z tym Związkiem, a ściślej mówiąc z jego Oddziałem II, na którego czele początkowo stał płk Berka „Brodowicz", a po jego odejściu ze względu na stan zdrowia (zginął później przypadkowo zasypany, jako że żadnej oficjalnej funkcji już wtedy nie pełnił, w Otwocku, gdzie przebywał na leczeniu) płk Marian Drobik „Dzięcioł". Bliżsi współpracownicy „Inżyniera", m.in. i ja, wiedzieliśmy o wspólnej działalności i rozmowach z ZWZ, których zresztą nie taił, pomstując na „zaściankowość" Związku, jego opanowanie przez legionistów przeciwnych gen. Sikorskiemu, z którego ramienia on sam organizował przecież i prowadził naszą działalność wywiadowczą.

Na przeciwstawnym stanowisku stał natomiast ZWZ. Wychodzono z założenia, że w kraju może istnieć tylko jedna organizacja wojskowa formalnie uznawana przez Naczelne Dowództwo w Londynie, stwierdzając, że właśnie ZWZ jest taką organizacją. Dlatego też wywierano na „Inżyniera" nacisk, żądając podporządkowania się. Odpowiedni rozkaz wydany został przez „Grota" 16 lipca 1940 r., a w pierwszym kwartale 1941 r. Witkowski został zaprzysiężony, o czym „Grot" zameldował naczelnemu Wodzowi 1 kwietnia 1941 r.

Mimo formalnego podporządkowania „Muszkieterów", „Inżynier" ciągle dążył do całkowitego uniezależnienia się od ZWZ. Usiłował też zbudować własną łączność radiową ze sztabem gen. Sikorskiego. Miał dwóch dobrych radiotelegrafistów („Stasio" i „Bruno" vel „Benno"), odpowiednią aparaturę radiową zlokalizowaną w wilii „Moja Mała" w Leśnej Podkowie. Tam też znajdowało się archiwum „Inżyniera", a również przez jakiś czas ukrywani byli lotnicy angielscy (do chwili wyprawienia ich do Budapesztu). Do obrony mieli oni karabin maszynowy, pistolety maszynowe, granaty itp. Chyba jeszcze wiosną 1940 r., przez swego emisariusza płka Jastrzębskiego przekazał „Inżynier" do Naczelnego Dowództwa (ówcześnie w Paryżu) swój szyfr (dwa

maleńkie kalendarzyki oraz słownik polsko-niemiecki). Płk Jastrzębski zabrał chyba dwa komplety tego szyfru, a dwa dodatkowe zabrał „Biegacz" do przekazania przez Budapeszt. Nie jest mi jednak wiadomo o nawiązaniu łączności. „Inżynier" chyba nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Otrzymał natomiast od „Dzięcioła" formalny nakaz przerwania wszelkich prób tego rodzaju samodzielnych usiłowań na własną rękę.

Pomimo to, wobec nas „Inżynier" stale podtrzymywał swoją tezę o samodzielności, ograniczonej bezprawnie przez „obsadzony przez senatorów ZWZ". Niemniej jednak razem z „Bratem Antonim" regularnie utrzymywali współpracę z kierownictwem Oddziału II Komendy Głównej. Na ręce jego szefa — „Dzięcioła" — przekazywane były przez nich nasze okresowe raporty oraz ewentualnie pilne materiały wywiadowcze. W zamian „Muszkieterowie" otrzymywali od ZWZ dotację finansową w określonej wysokości.

Pod koniec 1940 r. albo na początku 1941 r. również i ja zostałem skontaktowany z ZWZ, a ściślej z zastępcą szefa kontrwywiadu Komendy Głównej Stefanem Rysiem „Józefem". Ustaliliśmy, że spotykać się będziemy regularnie raz na tydzień, a dodatkowo zorganizowana została nasza łączność alarmowa. Współpraca ta przetrwała przez cały okres mojej pracy w „Muszkieterach". Stroną dającą więcej informacji byłem raczej ja, „Józef" przekazywał mi je jedynie tam, gdzie miały istotne znaczenie, pomagał mi za to w zakresie metod pracy i tu zawdzięczam mu wiele.

Ogólnie rok 1940 i pierwsza połowa 1941 r. stanowiły okres ciągłego i konsekwentnego rozwoju działalności tak mojego wycinka — „37" — jak i całej organizacji. Uczyliśmy się pracy wywiadowczej, jej metod i techniki, podwyższaliśmy jakość. Szliśmy wyraźnie „do góry". Mieliśmy wiele zadowolenia z naszej pracy i jej osiągnięć. Chyba słusznie ocenialiśmy naszą pracę jako najlepszą ówcześnie działalność wywiadowczą w Polsce. Męczyło nas jednak, że praca ta napotkała niezrozumiałe dla nas trudności natury organizacyjnej, trudności, które — zamiast maleć — stale się nasilały. Obejmowały one nie tylko kłopoty finansowe, ale — i to może przede wszystkim — problemy ściśle organizacyjne.

Chyba przez około roku — gdzieś do jesieni 1940 r. — współpraca z szefem — „Inżynierem" — układała się dobrze. Nauczyliśmy się nakładać odpowiednie filtry na jego wypowiedzi i staraliśmy się realnie oceniać jego pomysły. Ceniliśmy, że krytykę przyjmował jako rzeczową, a nie uważał wszystkiego za zarzuty osobiste. Już dawno przestaliśmy wierzyć w doszkalanie nas przez niego w technikach i metodach wywiadu, a staraliśmy

się radzić sobie sami. W tym świetle docenialiśmy wolną rękę, jaką dawał nam w pracy.

Naszą współpracę z ZWZ uważaliśmy za oczywistą. Wydawało nam się, że współpracować należy ze wszystkimi. Rozumieliśmy też, że we współpracy tej występują pewne trudności. Przecież każda prawie organizacja niepodległościowa powoływała się na autorytet Rządu RP czy też Naczelnego Dowództwa w Londynie. Wychodziliśmy jednak z założenia, że sprawy te zostać muszą uregulowane w rozmowach „na górze".

Większość z nas nurtowało jednak pytanie, dlaczego w tak trudnych warunkach konspiracji i walki istnieją obok siebie dwie (nie licząc pomniejszych) organizacje wywiadowcze, kontaktujące się jedynie na szczeblu uogólnionych wyników pracy wywiadów (raporty miesięczne „Muszkieterów" — oprócz egzemplarza wędrującego via Budapeszt do Naczelnego Dowództwa w Londynie oraz pewnych wycinków tych raportów interesujących Biuro Polityczne, przekazywanych mu do końca jego istnienia, przedstawiane były również ZWZ), bez możności sprawdzenia, czy źródła informacji „Mu" i ZWZ się nie pokrywają. Początkowo „Kapitan" potrafił nas jednak zawsze przekonać o celowości takiego postępowania, tym bardziej że w rozmowach z Oddziałem II ZWZ brał również udział jego zastępca i członek „Kapitanatu" — „Brat Antoni", człowiek na pewno poważny i uczciwy. I chociaż nie podtrzymywał on zarzutów politycznych stawianych ZWZ przez „Kapitana" to jednak tego ostatniego nie dezawuował. Niemniej jednak wątpliwości raz zaistniałe fermentowały w nas z upływem czasu coraz intensywniej i wielokrotnie sprawy te między sobą dyskutowaliśmy.

3.6. WĄTPLIWOŚCI

Nachodziły nas także wątpliwości natury hierarchicznej. Jeśli — jak mówił „Inżynier" — wywiad organizował z polecenia gen. Sikorskiego, to dlaczego trudności, na które natrafił we współpracy z innymi organizacjami, a przede wszystkim ze Związkiem Walki Zbrojnej, który miał przecież pewien charyzmat Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego w Londynie i który posiadał własną organizację wywiadowczą, choć w tym okresie na pewno mniej efektywną od „Muszkieterów", były nie tylko duże, ale wcale się nie zmniejszały. Argumenty „Inżyniera", że „Muszkieterowie" zostali utworzeni, żeby kontrolować również działalność ZWZ, musiały odpaść w świetle faktów. Współpraca „Kapitanatu" z Oddziałem II ZWZ co prawda

istniała, ale — jak wiedzieliśmy od biorącego w tych rozmowach udział „Brata Antoniego" — wcale nie polegała na jakiejkolwiek nadrzędności „Muszkieterów". Przeciwnie, istotą tej współpracy był raczej stosunek kupna-sprzedaży, przy czym chcącymi sprzedać (swoje raporty lub ich części) byli „Muszkieterowie", a chcącym kupić chętnie, choć bez specjalnego entuzjazmu, i to stawiając dodatkowe warunki, był II Oddział ZWZ. A przecież „Inżynierowi" na kwotach otrzymywanych od ZWZ bardzo zależało, bo „Muszkieterowie" byli stale w trudnościach finansowych. Formalnie zapewniona była dotacja z Biura Politycznego, ale — jak znów wynikało z relacji „Brata Antoniego" — dotację tę musiał Witkowski w pewnym sensie wydzierać. Właściwie nie była to nawet dotacja, tylko odpłatność za usługi. Z tym wszystkim „Kapitan" zupełnie się zresztą nie krył i kłopotami swoimi dzielił się nie tylko z „Kapitanatem". Znali je nawet jego współpracownicy techniczni. W celu uniezależnienia się finansowego, spróbował w pewnym okresie, chyba już w początkach 1941 r., wydrukować we własnym zakresie banknoty — „młynarki" 50-złotowe. Sprawa ta jednak nie wypaliła ze względów technicznych — jakość falsyfikatów pozwalała odróżnić je dość łatwo od oryginalnych banknotów. Ponieważ pieniądze z Budapesztu dla Biura Politycznego przynoszone były dość nieregularnie, a ZWZ nie kwapił się ze swoimi wpłatami, w momentach kryzysowych, do których zaliczał chyba również braki finansowe swoje i swojej rodziny, Witkowski ratował się pożyczkami. Między innymi i ja byłem jednym z tych, którzy na mieście pożyczali dla niego, a raczej jak mówił na potrzeby organizacji. Nie były to nigdy sumy duże — kilka, kilkanaście tysięcy złotych, ale i o te trzeba było z Witkowskim walczyć, aby je zwrócił.

Trudności finansowe rozumieliśmy dobrze — miał je każdy z nas indywidualnie w dostatecznym stopniu. Niezwracanie pożyczek nie mieściło się jednak w naszych kategoriach myślenia. Ta cecha Witkowskiego — spora przecież niesolidność — bardzo obniżała w naszych oczach jego autorytet.

Drugim faktem, który autorytet ten podważył szczególnie u mnie, było przekazane mi przez niego polecenie zaprojektowania i zbudowania wyrzutni dla ulotek o treści patriotycznej. Założył, że wyrzutnia ta miotać powinna paczkę ulotek na wysokość około 500 metrów, przy czym ciężar paczki, wraz z opakowaniem zapobiegającym jej rozpadowi zaraz po wystrzeleniu, miał wynosić 2—3 kg. „Kapitan" zastrzegał sobie przy tym, że sam wystrzał następować ma praktycznie bez jakiegokolwiek huku i dlatego sugerował użycie, dla nadania ładunkowi odpowiedniego impulsu, nie materiałów wybuchowych (tu huk musiałby być dość znaczny), ale pary.

Ostatecznie byłem inżynierem i miałem pewne wyczucie zagadnień technicznych, toteż na pierwszy rzut oka zorientowałem się w nierealności przedsięwzięcia, nie mówiąc już o niemożliwości uzyskania przez nas potrzebnego tak wysokiego ciśnienia pary. Każde gwałtowne rozprężenie się ośrodka gazowego musiało przecież wywołać huk, którego uniknięcie było jednym z podstawowych warunków stawianych przez Witkowskiego. Starałem się mu to wytłumaczyć, ale uparł się i kazał zadanie wykonywać. Siedziałem całą noc, przywoływałem z niepamięci całą moją byłą i dość przecież ograniczoną wiedzę z zakresu termodynamiki, dynamiki gazów, rozchodzenia się dźwięku itp. (Ciekawy problem dla psychologów i innych znawców działalności ludzkiego mózgu: jak to się dzieje, że rzeczy dawno zapomniane i znane tylko z uczelni — w pracy jako inżynier miałem do czynienia przede wszystkim ze statyką, dynamiką, wytrzymałością materiałów, mechaniką — w momencie krytycznym, kiedy człowiek jest w sytuacji przymusowej, jakoś można sobie jednak w potrzebnym zakresie przypomnieć). W rezultacie nieprzespanej nocy potrzebne dla Witkowskiego obliczenia przeprowadziłem.

Ich wyniki przedstawiłem mu nazajutrz w jego mieszkaniu przy ul. Bartoszewicza 5 (życzył sobie otrzymać sprawozdanie z samego rana), wykazując całkowitą nierealność takiego przedsięwzięcia. Pokazałem mu obliczenia — wynik przepracowanej nocy i ciężkiej, wielogodzinnej mordęgi z niewydolnością pamięci. Nawet na nie nie spojrzał. Był jedynie dość niezadowolony, ale odniosłem wrażenie, że ta sprawa właściwie przestała go interesować, że teraz miał w głowie już zupełnie coś innego.

Ta historia dość mnie do Witkowskiego zraziła: co z niego za inżynier, a przede wszystkim, co za wynalazca (jak o sobie utrzymywał, opowiadając o swoich patentach uzyskanych w Szwajcarii), jeśli nie ma zupełnie wyczucia technicznego. A poza tym, co za szef, który tak lekkomyślnie szasta siłami swojego współpracownika, obarczonego przecież przez niego samego w tym samym okresie zadaniami kontrwywiadu — nieporównywalnie w naszej sytuacji ważniejszymi.

Następnym problemem, który sumując się z poprzednimi, mocno już podkopał nasze zaufanie do „Inżyniera" i wywołał w naszej organizacji wiele poważnych fermentów, była tzw. „sprawa Świętochowskiego".

Wybierając się do Francji przez Węgry, jako „bazę" dla swej łączności Świętochowski wyznaczył pracownika byłego Konsulatu RP w Budapeszcie — Fietowicza. Dlaczego nie prowadził go żaden z naszych kurierów, chodzących przecież do Budapesztu właśnie tymi drogami, tego nigdy się nie dowiedziałem.

Idącemu więc o własnych siłach starszemu panu szczęście nie dopisało. Został aresztowany przed granicą, jeszcze po stronie polskiej i osadzony w więzieniu na Podhalu. Szczęściem, Niemcy nie orientowali się, kogo chwycili — papiery na inne nazwisko miał w porządku — i starszy pan siedział dość spokojnie w więzieniu, choć oczywiście w nienajlepszych warunkach.

W Warszawie powstał alarm. Biuro Polityczne zwróciło się natychmiast do „Muszkieterów" o pomoc, której miało prawo oczekiwać. Witkowski obiecał sprawę zbadać i po pewnym czasie otrzymałem polecenie zorganizowania odbicia Świętochowskiego z więzienia. Zadaniem tym obarczyłem „Longa", zamierzając dać mu do pomocy „Ernesta" i jego ludzi.

Ostatecznie „Long" wybrał się na rekonesans z Adamem Steinbarthem, człowiekiem starszym (rocznik 1894-1896), 170 cm wzrostu, spore wąsy), mającym pewną rutynę w sprawach wywiadowczych. Zwrócił on m.in. uwagę „Longowi" na niebezpieczeństwo, szczególnie w tak trudnym terenie (dość blisko granicy, miasto stosunkowo małe, obcy rzuca się w oczy), wskazania wyraźnym gestem na interesujący go obiekt.

Na miejscu, na podstawie skierowania otrzymanego w Warszawie, nawiązali kontakt z członkiem tamtejszej organizacji terenowej Zaprawą-Ostromeckim „Jerzym", który miał już kontakty w więzieniu i prowadził korespondencję grypsową ze Świętochowskim. Jeszcze przed wyjazdem „Longa" „Jerzy" przygotował plan ucieczki lub wykupienia Świętochowskiego z więzienia. Miał w tym celu umówionego zaprzyjaźnionego strażnika.

Przedstawiony przez „Jerzego" plan akcji ocenialiśmy jako całkowicie realny, praktycznie nie wymagający zmian. Brał pod uwagę wariantowo możliwość wykupienia lub dobrze zorganizowanej ucieczki i prawie nie wymagał użycia siły. Biorąc jednak pod uwagę wszelkie ewentualności opracowany był również wariant uwolnienia Świętochowskiego z więzienia siłą — obsada więzienia była nieliczna. Dobrze przemyślany był również plan ewakuacji dla tych wariantów.

Sprawę przedstawiłem „Kapitanowi", prosząc o wyrażenie zgody na akcję i proponowany termin. Jednocześnie do „Kapitana" poszedł znający go dobrze z organizacji Adam Steinbarth, który zarzucił Witkowskiemu lekkomyślność i nieostrożne narażanie ludzi — członków „Muszkieterów". W jego ocenie ucieczkę zorganizować powinien i miał ją już opracowaną „Jerzy" (tamtejszy oddział ZWZ). Wciąganie w tę sprawę „Muszkieterów" uznał za niewłaściwe. W rezultacie tej wymiany zdań wycofał się całkowicie ze współpracy z „Kapitanem" i zabierając rodzinę (żonę i dwóch synów) wyjechał do Sterdyni. I tu zaszła rzecz zupełnie nieoczekiwana. Witkowski zmienił front

i orzekł, że Świętochowski jest człowiekiem i niemłodym, i schorowanym (elementy te były uwzględnione w naszym planie uwolnienia), i że on dogadał się z Szarym, który Świętochowskiego wypuści legalnie za spore co prawda pieniądze potrzebne do przekupienia decydenta.

„Szary" — jak mówił Witkowski — był to „jego człowiek" w warszawskim gestapo, Alzatczyk Müller. Zgodnie z informacjami sieci „37" w Wydziale IV warszawskiej SiPo, a więc w tzw. Gestapo, na jednym z wyższych stanowisk był rzeczywiście oficer o nazwisku Müller. Moje ówczesne wiadomości o warszawskiej SiPo były jeszcze bardzo skromne i w pochodzenie Müllera ani jego powiązania, jak też możliwości, nie miałem żadnego powodu wątpić. Zresztą szef decydował.

Zgodnie z poleceniem „Kapitana" przygotowania zaniechaliśmy i z naszej strony sprawę zamknęliśmy. Pozostała jedynie nitka informacyjna od „naszego strażnika", którą od czasu do czasu otrzymywaliśmy wiadomości o pogarszającym się stanie zdrowia starszego pana. Moje pytania, kiedy nastąpi zwolnienie Świętochowskiego, „Kapitan" kwitował wyjaśnieniami, że „Szary" musiał właśnie służbowo wyjechać, że nastąpiły pewne, niegroźne zresztą komplikacje itd. Ostatecznie, nie moją sprawą było kontrolowanie szefa. Miałem dość swoich zadań własnych.

Czas jednak mijał i nic się nie działo, aż pewnego dnia przyszła wiadomość, że Świętochowski został wywieziony do obozu, gdzie warunków życia nie wytrzymał i zmarł. Oprócz straty dla polskiego życia politycznego było to bardzo poważne podważenie autorytetu „Kapitana" wśród współpracowników, szczególnie z sieci „37", zaważyło ono również na jego stosunkach z Biurem Politycznym. Nikt z nas nie posądzał Witkowskiego o świadomą złą wolę: jaki rzeczywiście interes miałby w śmierci Świętochowskiego? Ale sprawy tej do dziś nie rozumiem. Jego współpraca z „Szarym" wydała mi się natomiast wątpliwa. Ostatecznie — nawet abstrahując od „sprawy Świętochowskiego" — jaki pracownik wywiadu, a Witkowski był nie tylko pracownikiem, ale i szefem organizacji wywiadowczej, nie wykorzystałby takiego kontaktu do zgromadzenia informacji o organizacji i ludziach SiPo, jeśli nawet nie o jej działaniach?

Inny problem, o wiele zresztą mniejszym ciężarze gatunkowym, ale pozostawiający przykry osad, wykwitł na tle trudności finansowych Witkowskiego.

Do przyjścia „Biegacza" (naszego łącznika z bazą w Budapeszcie) brakowało jeszcze kilku dni, a „Muszkieterowie", zgodnie z relacją „Kapitana", potrzebowali pieniędzy na akcje i Witkowski zwrócił się z prośbą o ich pożyczenie. Jednym z przyjaciół „Wuja" był skarbnik jednego z banków warszawskich

— Lewandowski, znany w światku żeglarskim jako „Bulina". Zrobił on coś, na co jego etyka w zasadzie w żadnym razie nie pozwalała, ale cel — działalność niepodległościowa — przełamał widocznie jego skrupuły. Pieniądze zostały pożyczone z kasy banku do bezwzględnego zwrotu w poniedziałek rano (była sobota). Każdy orientuje się, co znaczy dla kasjera banku niemożność wyliczenia się z pieniędzy, toteż Witkowski zobowiązał się do ich bezwzględnego zwrotu w terminie. Słowa jednak nie dotrzymał i tylko dzięki temu, że „Wujo" sprzedał akurat porcję papy, udało się „Bulinę" uratować. Dla dalszych pożyczek droga ta jednak raz na zawsze została zamknięta.

Sytuacja z pożyczaniem pieniędzy za moim pośrednictwem powtórzyła się raz jeszcze. I znów Witkowski pożyczonych pieniędzy na czas nie zwrócił, ale było to znacznie później i ostatecznie tę, zresztą niewielką kwotę, potrącił „Dzięcioł" z dotacji dla „Muszkieterów".

Wszystkie te historie nie tylko nadwątliły nasze zaufanie do „Kapitana", ale nasiliły również dążenia do podporządkowania się „wojsku", za które uważaliśmy Związek Walki Zbrojnej, kierowany przez „Grota". W czasie wojny chcieliśmy być w wojsku, a nie w pewnym sensie w prywatnej inicjatywie, choćby nawet o celu najwłaściwszym i najlepiej prowadzonej.

Dla mnie, i nie tylko dla mnie, współpraca z Witkowskim stawała się coraz trudniejsza. W „Muszkieterach" nasilał się ruch dążący do „przejścia do wojska". Wszystkimi siłami wywieraliśmy na „Kapitana" nacisk o podporządkowanie nas ZWZ. Ruch ten objął nawet „górę" tj. „Brata Antoniego", bezpośredniego zastępcę „Kapitana", „13" — skarbnika organizacji, oczywiście cały wywiad wojskowy „129", łączność „99" (to byli przeważnie wojskowi ze służby czynnej), analizatorów informacji przemysłowych „23" itd. Rzecz jasna do tej grupy należałem także i ja z moimi współpracownikami, tak z kierunku wywiadu komunikacyjnego, jak i kontrwywiadu. Było nas więc bardzo dużo, ale jednak nie całość organizacji: za pozostaniem w postaci wywiadu niezależnego od ZWZ była grupa bezpośrednich współpracowników Witkowskiego, wierzących w niego bez zastrzeżeń.

Szalę przeważył ostatecznie zespół wydarzeń, których chronologii ustalić dziś już nie potrafię. Zachodzące jednak między nimi związki i powiązania łączą je w pewien logiczny ciąg.

W pewnym okresie, było to chyba wiosną 1941 r., sieć informacyjna „37" przyniosła wiadomość o przybyciu do Warszawy poszukującego właściwego kontaktu wysłannika wywiadu angielskiego — Intelligence Service. Informacja została zewidencjonowana bez specjalnego zainteresowania, jednakże — czując

się, jako wywiad polski, gospodarzem w naszym domu — poleciłem dalsze jej rozpracowanie, jeśli nie będzie ono wymagało dużego nakładu sił. Chociaż był to przedstawiciel aliantów, i to w tym czasie jedynych liczących się w walce z Niemcami, chcieliśmy jednak wiedzieć, co u nas robi. Ku mojemu zdziwieniu dowiedziałem się wkrótce, że ten wysłannik prowadzi m.in. rozmowy z niejakim inż. Witkowskim, a więc moim szefem. Tu trzeba pamiętać o naszym ówczesnym nastawieniu: uważaliśmy, że praca wywiadu, nasza praca, stanowi jeden z poważniejszych wkładów Polski w wojnę przeciw Niemcom i wkład ten daje naszemu Rządowi na emigracji poważny materiał przetargowy we współpracy z innymi aliantami. Chodziło więc o to, żeby wyniki tej pracy trafiły bezpośrednio do Polskiego Naczelnego Dowództwa w Londynie. Po co więc przyszedł tu „specjalny wysłannik IS"? Z zapytaniem tym zwróciłem się do „Brata Antoniego" całkowicie podzielającego zresztą moje nastawienie co do wartości naszej pracy i wkrótce... zostałem zaproszony na spotkanie u „Kapitana" właśnie z tym agentem. Okazała się nim Krystyna Skarbek, śliczna, zgrabna, bardzo inteligentna i absolutnie urocza dziewczyna. Przeszła przez Słowację razem z księdzem jezuitą idącym do Jezuitów Polskich, zresztą też Polakiem, którego „Brat Antoni" nazywał „Bidulą". Jak się później okazało, wyszła z Budapesztu razem z „Biegaczem" i jego żoną, ale od Koszyc szli już osobno.

„Mucha" — taki był pseudonim Krystyny — pracowała od początku wojny dla SI w różnych krajach, m.in. na Bliskim Wschodzie. Do Witkowskiego trafiła, gdyż podobno znali się jeszcze z okresu jego pobytu w Szwajcarii. Rozmowa na naszym spotkaniu była ogólno-polityczna. „Mucha" opowiadała o swoich spostrzeżeniach i doświadczeniach w Turcji. Witkowski mówił ogólnie o warunkach i stosunkach w Polsce, o siłach niemieckich tu zaangażowanych. Oczywiście rozmawialiśmy też o wojnie i jej ewentualnym rozwoju. Przyglądając się ślicznej dziewczynie przez cały czas zastanawiałem się, po co ja, przeciwnik bezpośredniej współpracy na szczeblu przekazywania raportów jakiemukolwiek wywiadowi obcemu, zostałem na to spotkanie zaproszony. Czy chodziło Witkowskiemu o pochwalenie się znajomościami, czy też o uśpienie moich niepokojów? Że to jest sprawa „towarzyska" i że nic się za nią nie kryje? „Mucha" zresztą opuściła wkrótce Warszawę i Polskę — doniosła mi o tym sieć „37". W tym okresie żadnego raportu nie przygotowywaliśmy, nie było zestawień zbiorczych mogących interesować obcy wywiad na tym szczeblu. A poza tym przecież to „Brat Antoni" miał pieczę nad ostatecznym zestawianiem raportów, ich mikrofilmowaniem przez „Foto-Plat" i pakowaniem mikro-

filmów w skrytki zabierane przez kurierów do bazy w Budapeszcie.

Dziwić może to moje całe zastanawianie się, zwłaszcza że jego obiektem był mój bezpośredni przełożony, a zarazem szef „Muszkieterów". Ale, po opisanych powyżej wyczynach Witkowskiego, wydawało mi się, że można się po nim było spodziewać różnych wyskoków.

W moim podejściu sporą rolę grało także prawie już półtoraroczne doświadczenie kontrwywiadowcze, którego konsekwencją była m.in. rosnąca nieufność do ludzi. Niejednokrotnie łapałem się na tym, że nawet w najbardziej zwykłej, codziennej rozmowie zaczynałem się zastanawiać nie nad tym, co partner powiedział, ale dlaczego tak powiedział.

Pamięć odwiedzin „Muchy" zbladła. Zatarły ją zdarzenia i prace codziennego kołowrotka. Zbliżał się następny termin zestawiania materiałów do comiesięcznego raportu wywiadowczego dla Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego. Jak zwykle było z tym wiele roboty, uzgodnień, ile, w przybliżeniu, klatek filmu każdy z działów ma prawo zająć dla swoich spraw (całość była w pewnym stopniu limitowana objętością rolek filmu, które trzeba było przecież odpowiednio zapakować) itp.

Raport został zestawiony, doprowadzony do właściwie zminiaturyzowanej postaci, zapakowany przez „Brata Antoniego" i w obecności Witkowskiego przekazany „Biegaczowi". W ostatniej chwili Witkowski, który osobiście dysponował naszymi kurierami, zawiadomił jednak „Brata Antoniego", że „Biegacz" z jakichś powodów wyjdzie w drogę dopiero następnego dnia i że on skrytkę z raportem odbierze i do tego czasu przechowa.

Nazajutrz, przed wręczeniem „Biegaczowi" skrytki, „Brat Antoni" stwierdził naruszenie znaczków, które zawsze robił na rolce dla stwierdzenia, czy nie była ona rozwijana. Witkowski jakoś sprawę wytłumaczył i „Biegacz" przygotował się do drogi. Wracając, miał jak zwykle przynieść z bazy w Budapeszcie pas z zaszytymi w nim dolarami.

Prawie od początku okupacji, jako bądź co bądź pilot wojskowy, współpracowałem z grupą dawnych lotników skupiających się wokół płk. pilota Juliusza Gilewicza, jednego z byłych kierowników „Lotu" oraz szefa pilotów tego przedsiębiorstwa, Kazimierza Chorzewskiego. Biuro będącego w likwidacji przedsiębiorstwa lotniczego „Lot", które reprezentowali, mieściło się na V piętrze w domu „Romy" przy ul. Nowogrodzkiej. W praktyce współpraca nasza polegała na tym, że oni gromadzili młody personel latający i techniczny lotnictwa (oficerów, podchorążych, podoficerów itp.), a ja — za wiedzą i zgodą „Kapitana" —

chłopców tych dołączałem do idących na Węgry naszych kurierów, którzy w miarę możności pomagali im w przedostawaniu się do Budapesztu. I tym razem „Kapitan" wyraził zgodę i dwóch młodych chłopców poszło z „Biegaczem".

W Warszawie „Biegacz" zjawiał się z powrotem przeważnie po około trzech tygodniach od momentu wyjścia z raportem. Jak zawsze i tym razem w powrotnej drodze przynieść miał pas z dolarami. „Biegacz" był rzeczywiście fantastycznym chłopcem. Wysoki — powyżej 180 cm wzrostu — wysportowany, proporcjonalnie, ale bardzo mocno zbudowany, wyjątkowo silny i wytrzymały, pokonywał trudności trasy, przed którymi wielu stanęłoby bezradnie, ze wspaniałą łatwością. Trasę tę miał oczywiście dobrze opracowaną w wariantach — chodził nią przecież tyle razy — kursował między Warszawą a Budapesztem tam i z powrotem z dużą regularnością. Miał na niej swoje własne punkty oparcia. Znał lokalizację wszystkich posterunków granicznych, cykl prowadzonych przez nie obchodów granicy i terenów przygranicznych. Orientował się, skąd mogło mu ewentualnie zagrozić niebezpieczeństwo.

Oczywiście „wypadki chodzą po ludziach", ale nie mieściło nam się w głowach, aby „Biegacza" mogło spotkać coś złego. A jednak w czasie którejś wędrówki i jemu powinęła się noga. Wracając z Węgier chyba jeszcze w 1940 r. wszedł w Zakopanem do willi „Dafne" do mieszkania dentystki dr Skąpskiej przy ul. Krupówki (jego „melina") i wpadł w kocioł. Właścicielka mieszkania wraz z córką były już aresztowane. „Biegacza" z rękami skutymi z przodu zabrano do „Palace". Tam, w czasie przesłuchania, wyrwał rewolwer Niemcowi, który uderzył go w twarz, i postrzelił Niemca, kopnął w głowę gestapowca siedzącego za biurkiem, skutymi rękami uderzył piszącego na maszynie, wybił sobą okno i wyskoczył na zewnątrz. Ze skutymi rękami uciekł do Murzasichla i tam kowal Łukaszczyk rozkuł kajdanki, które wrzucono do studni (w latach sześćdziesiątych kajdanki wyciągnięto na prośbę matki „Biegacza" — Julii Szycowej. Ma je syn „Biegacza" — Włodzimierz Szyc)*. Wrócił do Warszawy, przynosząc nienaruszony ładunek poczty i pieniędzy. Po takim wyczynie wierzyliśmy bez zastrzeżeń, że nie ma takiej opresji, z której „Biegacz" nie potrafiłby się wydostać. Po całej tej historii był jeszcze na tyle bezczelny, że — zmieniwszy trochę wygląd (przefarbował włosy na czarne) — niejednokrotnie poruszał się swobodnie po Zakopanem.

---

* Listy wuja Włodzimierza Szyca — Andrzeja Majcherczyka, brata stryjecznego Włodzimierza Szyca — dra Ryszarda Głowali z 10 września 1986, w posiadaniu autora, informacja żony Włodzimierza Szyca — Kazimiery Lewańskiej z października 1986.

Aż tu grom z jasnego nieba. Najpierw Witkowski zawiadomił, że z ostatniej wyprawy (tej po wyjściu z Polski „Muchy") „Biegacz" pieniędzy z Budapesztu nie przyniósł. A chodziło tym razem, jak mówił Witkowski, o kwotę sporą, nawet jak na zasilanie organizacji niepodległościowych — około 40 000 dolarów. Sprawdzenie radiowe potwierdziło, że „Biegacz" pas z pieniędzmi zabrał. Wkrótce Witkowski podał krótko, że sprawdzenie naszego raportu w Budapeszcie wykazało, że był on otwierany i fotografowany (technika pakowania przewidywała pakowanie mikrofilmu — opowiadał mi o tym „Brat Antoni" — tak, aby niewtajemniczony, otwierając raport w sposób niewłaściwy, automatycznie powodował jego wyświetlenie. Sprawy te znałem zresztą jedynie z opowieści nadzorującego pakowanie „Brata Antoniego").

Po pewnym czasie okazało się, że rzeczywiście kopia raportu znalazła się bezpośrednio w rękach Anglików. Wówczas Witkowski złożył na ręce przewodniczącego Biura Politycznego oficjalne oskarżenie „Biegacza" o sprzeniewierzenie przyniesionych z Budapesztu pieniędzy oraz o sprzedanie raportu „Muszkieterów" obcemu wywiadowi. Jak się sprawa odbyła, nie wiem, nikt z nas nie miał też kontaktu z „Biegaczem". W jej wyniku Witkowski uzyskał jednak na „Biegacza" wyrok śmierci.

W tym okresie inny kurier, którego nie znałem, miał zabrać do Budapesztu następny raport wywiadowczy. Jak zawsze, zaproponowałem „Kapitanowi" zabranie przez tego kuriera następnych młodych lotników. W odpowiedzi „Kapitan", zupełnie niespodziewanie, zawiadomił mnie o wyroku na „Biegacza" i postawił warunek, że chłopcy ci, przed pójściem na Węgry, będą z nim współpracować przy wykonaniu tego wyroku. Sprawa była dla mnie takim zaskoczeniem, że poszedłem zasięgnąć języka u „Brata Antoniego". Sprawę wyroku na „Biegacza" potwierdził on bez żadnych wątpliwości.

Warunek „Kapitana" przekazałem więc lotnikom. Zgodzili się. Dalszy ciąg tej historii znam tylko z ich opowieści.

Pojechali więc samochodem Witkowskiego (czy też ukradzionym na tę akcję). Na życzenie siedzącego obok „Kapitana", wóz prowadził „Biegacz". Dwaj lotnicy zajęli miejsca na siedzeniu tylnym. Pojechali gdzieś w okolice Leśnej Podkowy (Nadarzyn?), w teren zalesiony. Nie wiadomo, jak Witkowski uzasadnił tę wyprawę wobec „Biegacza", ale zachowywał się on zupełnie normalnie, a nie jak człowiek mający nieczyste sumienie i mogący z tego tytułu spodziewać się jakichś kłopotów.

Przed wyjazdem „Kapitan" ustalił z lotnikami, że na dany przez niego znak „Biegacza" zastrzeli siedzący bezpośrednio za nim. Gdy jednak nadszedł przewidziany moment (zatrzymali się

w młodniaku na wąskiej dróżce), chłopak nie mógł zdecydować się na strzał w tył głowy. Wówczas Witkowski wyjął swój pistolet (chyba 9 mm) i zastrzelił wyraźnie nie spodziewającego się niczego „Biegacza". Obu chłopcom zrobiło się niedobrze na widok roztrzaskanej głowy. Pomogli jednak Witkowskiemu zakopać ciało.

Wobec nich „Kapitan" słowa dotrzymał i wysłał ich na Węgry razem z odchodzącym kurierem. Wiadomo było, że do Budapesztu doszli. Dalszych ich losów niestety nie znam.

3.7. ROZPAD „MUSZKIETERÓW"

Pomimo, że wtedy jeszcze „Kapitan" był naszym szefem, sprawa ta rzuciła cień na nasz stosunek do niego. Nie można jej jakoś było zapomnieć.

Po kilku miesiącach dowiedziałem się od „Brata Antoniego", że są pewne poszlaki, że „Biegacz" nie sprzeniewierzył przyniesionych pieniędzy, lecz oddał je „Kapitanowi"*. Byłem w tej sprawie wezwany do „Dzięcioła", który — w obecności szefa kontrwywiadu Bernarda Zakrzewskiego „Oskara" i samego Witkowskiego — polecił mi przedstawić moje jej naświetlenie oraz ewentualne inne zarzuty pod adresem Witkowskiego. Nie była to rozmowa przyjemna, mam w ogóle awersję do wszelkich tzw. rozróbek. Uważałem jednak, że powiedzieć muszę wszystko. Podczas gdy mówiłem, Witkowski ani razu się nie odezwał. Nie powiedział również nic na zapytanie „Dzięcioła", czy chce skomentować moją wypowiedź, żądać ode mnie dodatkowych wyjaśnień. Przez cały czas siedział z głową opartą na rękach i stawał się coraz bardziej czerwony.

W tym okresie, a tym bardziej po tym spotkaniu, wśród „Muszkieterów" umocniła się tendencja jak najszybszego podporządkowania się ZWZ. To było przecież przez nas wszystkich uznawane „wojsko". Rozmowy z Oddziałem II Komendy Głównej przeprowadził w naszym imieniu „Brat Antoni". Zostało w nich ustalone, że będziemy przejęci nie jako całość organizacji, ale poszczególne nasze komórki zostaną przydzielone zgodnie z ich kwalifikacjami.

Pewna grupa ludzi, związana z „Inżynierem" bezpośrednio, wierzyła mu jednak w dalszym ciągu bezkrytycznie, nie zgodziła się na jakiekolwiek podporządkowanie i pozostała z nim.

---

* Na prośbę wdowy po Włodzimierzu Szycu, doc. dr Kazimiery Lewańskiej, wydane zostało oświadczenie przez tych oficerów Armii Krajowej, którzy ówcześnie znali sprawę jego śmierci.

Jeszcze przed rozpadem naszej organizacji, w maju 1941 r., za pośrednictwem ściśle z nim współpracującego mjr. Lipińskiego, „Inżynier" nawiązał dość luźny kontakt z Włodzimierzem Bondorowskim, szefem bezpieczeństwa Komitetu Białych Rosjan, grającym w tym Komitecie wobec Niemców tłumacza. Za pośrednictwem Bondorowskiego oraz kapitana Dembickiego, byłego (przedwojennego) oficera Oddziału II Sztabu Generalnego WP, a następnie członka grupy Bałachowicza, „Inżynier" poznał Borysa Smysłowskiego, z wykształcenia inżyniera, w tym okresie kapitana Wehrmachtu i oficera Abwehry. W Komitecie Białych Rosjan pełnił on funkcję szefa sztabu. W przedstawianym nam swoim planie „Inżynier" zamierzał za ich pośrednictwem rozpracować to środowisko, a przede wszystkim powiązania jego członków z wywiadem niemieckim. Niezależnie od „Inżyniera" i raczej nie meldując mu o tym, starałem się w tym czasie uzyskać własny wgląd w środowisko Komitetu.

W okresie rozpadania się „Muszkieterów" „Inżynier" wykorzystał dotychczasowe nasze informacje i w listopadzie 1941 nawiązał ze Smysłowskim współpracę. Zamiarem jego było, wykorzystując możliwości Smysłowskiego jako oficera Abwehry, zorganizowanie przerzutu przez front wschodni do gen. Andersa, tworzącego Armię Polską na terenach ZSRR, trzech oficerów ze swego najbliższego otoczenia (na czele z rotm. Czesławem Szadkowskim). Za ich pośrednictwem „Inżynier" zamierzał uzyskać aprobatę gen. Andersa dla swojej działalności, niezależnej od ZWZ. Wyszli oni z Warszawy 3 grudnia 1941 r. Wyprawa ta odbyła się w całkowitej tajemnicy przed Komendą Główną ZWZ. Rzeczywiście dotarli oni do Sztabu gen. Andersa i tam, po wymianie depesz pomiędzy tamtejszym dowództwem a Naczelnym Dowództwem WP w Londynie i gen. „Grotem", zostali aresztowani i postawieni przed sądem wojennym. Sprawa była jeszcze o tyle trudniejsza, że strona radziecka postawiła przy tej okazji tezę, że przerzucanie tych oficerów przez linię frontu przy pomocy Abwehry odbyło się w pewnym sensie jeśli nie pod patronatem Armii Krajowej, to przynajmniej za jej wiedzą, a w rezultacie rozciągnęła zarzut współpracy z Abwehrą również na Armię Krajową.

Przewód sądowy wykazał jednak jednoznacznie, że oficerowie ci działali wyłącznie z polecenia i z ramienia „Inżyniera". Wykazał też, że byli przez niego wprowadzeni w błąd i działali z pełną dobrą wiarą. Skazani zostali na karę więzienia.

Po powrocie do Warszawy na jesieni 1941 r. marszałka Rydza-Śmigłego do pomocy w jego urządzeniu włączył się również Witkowski. Według relacji Jadwigi Maksymowicz-

Raczyńskiej, wdowy po gen. Maksymowiczu*, wysłanie do Andersa rotm. Szadkowskiego odbyło się również z błogosławieństwem marszałka Rydza-Śmigłego, który tą drogą chciał nawiązać porozumienie z gen. Sikorskim.

Mniej więcej w tym samym okresie, pod koniec listopada 1941 r., „Inżynier", szukając prawdopodobnie źródeł finansowania swojej działalności, wysłał do Londynu, jako swego osobistego emisariusza, panią Mańkowską z zadaniem nawiązania bezpośredniej współpracy z IS. Dla podkreślenia wagi swojej propozycji „Inżynier" wyposażył panią Mańkowską w najbardziej aktualne materiały wywiadowcze z października i listopada 1941 r.

Po naszym gremialnym przejściu do ZWZ przy Witkowskim pozostała niewielka grupa ludzi, m.in. „N-150"**, działający najpierw z własnej inicjatywy, a następnie z polecenia Komendanta Głównego ZWZ i — sukcesywnie — Armii Krajowej. Miał on dopilnować przekazania pozostałych jeszcze agend „Muszkieterów" do Armii Krajowej tak, by w ramach „Mu" pozostała jedynie sieć wywiadu w Rzeszy. Takie warunki zostały ustalone na spotkaniu Witkowskiego, „N-150" z „Dzięciołem", a następnie z „Grotem".

Pomimo starań „N-150" warunki te nie zostały przez Witkowskiego dotrzymane.

W konsekwencji wszystkich tych posunięć wydany został rozkaz „Grota" pozbawiający Witkowskiego kierownictwa „Muszkieterów", zabraniający utrzymywania z nim kontaktów, a ostatecznie nie istniejący już praktycznie „Muszkieterowie" rozkazem z 27 sierpnia 1942 r. zostali formalnie rozwiązani. Sprawa „Inżyniera" przekazana została Wojskowemu Sądowi Specjalnemu.

Latem 1942 r. „Long" natknął się w Warszawie na ulicy na „Inżyniera", który zapytał go: „Pan też na mnie dybie?".

---

* Relacja Jadwigi Maksymowicz-Raczyńskiej, wdowy po generale, z okresu pobytu marszałka Rydza-Śmigłego (30 X 1941 do 2 XII 1941) w Warszawie w czasie okupacji hitlerowskiej, zamieszkałego przy ulicy Sandomierskiej róg Racławickiej (18 m. 6 II p.). Spisana z zachowaniem sformułowań z rękopisu pozostałego po śmierci J. Raczyńskiej. Relację spisała autorka. „Niezależnie od tego Marszałek pragnął własnego porozumienia z gen. Sikorskim. W tym celu za pośrednictwem inż. Witkowskiego, który miał kontakty z wyższymi oficerami niemieckimi — antyhitlerowcami, wysłano oficera por. Szadkowskiego, którego (skierowano) do gen. Andersa, po przedarciu się przez front niemiecki z pomocą w/w wojskowych. Przedsięwzięcie to powiodło się, lecz fatalne nieporozumienie zniweczyło jego trud. Por. Szadkowskiemu nie uwierzono, wzięto za szpiega. Marszałek nie żył już wtedy, ale przynajmniej było wiadomo, jakie były tego cele i zamiary". Relacja w posiadaniu autora.

** Mjr Wincenty Mischke, poprzednio oznaczany „129".

Mając już w ZWZ i sukcesywnie w Armii Krajowej zadania absorbujące mnie całkowicie, szczęśliwy przy tym, że nie muszę już walczyć przeciwko jego dziwnym posunięciom, „Inżynierem" przestałem się zajmować i interesować. Po kilku miesiącach, chyba późnym latem 1942 r., zostałem oficjalnie zawiadomiony przez „Dzięcioła", a także i przez „Józefa", o zatwierdzeniu przez „Grota" wyroku Wojskowego Sądu Specjalnego skazującego „Inżyniera" — Witkowskiego na karę śmierci. Wyrok ten został wykonany we wrześniu 1942 r. przez zastrzelenie Witkowskiego w bramie domu przy ul. Wareckiej (nr 9) przez policjantów z Kripo pozostających w dyspozycji „993"*.

Różne wieści i plotki kursowały w środowiskach konspiracyjnych na temat Witkowskiego. Także i po wojnie, zarówno na nim, jak i w konsekwencji nieznajomości problemu — również i na „Muszkieterach", nie zostawiano suchej nitki.

Ja miałem zawsze i po dziś dzień mam wrażenie, że Witkowskiego rozpierała ambicja nie do poskromienia: chciał być najpierwszy, najważniejszy, ponad innymi. Pewną rolę grały tu na pewno również raczej wygórowane, w szczególności na warunki konspiracji, potrzeby finansowe jego i jego rodziny. Wielu posunięć Witkowskiego i jego rodziny nie umiałem i nie umiem sobie wytłumaczyć, może i on nie potrafiłby znaleźć dla nich logicznego uzasadnienia. Uważałem jednak (i tak sprawę oceniam obecnie), że na pewno nie były one powodowane chęcią działania przeciw interesom narodowym.

O wartości „Muszkieterów", których przecież właśnie Witkowski potrafił zgromadzić wokół siebie i nadać sens praktyczny chaotycznym poczynaniom początków konspiracji, może świadczyć — oprócz wyników ich działalności wywiadowczej — i rola, jaką odegrali po odejściu Witkowskiego w Związku Walki Zbrojnej i sukcesywnie w Armii Krajowej.

3.8. PRZECHODZENIE DO ZWZ

Przechodzenie z „Muszkieterów" do Związku Walki Zbrojnej przeprowadzone zostało na zasadzie całkowitego „rozproszkowania" naszej organizacji. Formalnie ze strony „Kapitanatu" „Muszkieterów" przejściu temu patronował Stefan Dembiński — „Brat Antoni". Jedyne jednak, co mógł osiągnąć, to zapewnienie wszystkim komórkom, czy też nawet poszczególnym ludziom, uzyskania konkretnego przydziału możliwie zgodnego z dotych-

* „993", „Józef" — zastępca szefa Kontrwywiadu Komendy Głównej Armii Krajowej.

czasowym kierunkiem ich działalności. W rzeczywistości taktyka zastosowana tu przez Oddział II, a ściślej przez Kontrwywiad Komendy Głównej ZWZ, doprowadziła do całkowitego rozdrobnienia naszej organizacji, jej rozbicia prawie na poszczególnych ludzi. Było to prawdopodobnie spowodowane chęcią wykorzystania ludzi, którzy w „Muszkieterach" zdobyli już spore doświadczenie, w celu wzmocnienia ram organizacyjnych tego Oddziału. Powodem mogła być jednak również — i to chyba w większym stopniu — chęć rozbicia nas jako dość już, po około dwóch latach wspólnej pracy, zwartego zespołu. Niewątpliwie zaciążyła tu, uogólniona na całość organizacji, nieufność do „Kapitana Muszkieterów" — Witkowskiego oraz obawa, że jako grupa o dużym ciężarze gatunkowym, silniejsza w tym okresie prawdopodobnie od agend Oddziału II ZWZ, a na pewno bardziej zwarta, będziemy chcieli wywierać na ten Oddział określony wpływ i prowadzić swoją politykę. Potwierdzeniem tych moich przypuszczeń był m.in. przekazany mi przez szefa kontrwywiadu Komendy Głównej ZWZ „Oskara", w momencie mojego przechodzenia do tego kontrwywiadu i polecenia mi tworzenia „997", zakaz jakiegokolwiek kontaktowania się z moimi byłymi współpracownikami, którzy przeszli do innych komórek. Zakaz ten był oczywiście uzasadniony względami bezpieczeństwa konspiracji.

Obawy te były na pewno niesłuszne. Całość naszej organizacji, poza kilkoma, i to nielicznymi wyjątkami, którzy zresztą pozostali przy Witkowskim, była przeciwna polityce niezależnej partyzantki prowadzonej przez Witkowskiego. Uważaliśmy, że choć nie nosimy mundurów, ale traktujemy siebie jako żołnierzy niezdemobilizowanych i pozostających w służbie i chcemy być „w wojsku" (a tak traktowaliśmy ZWZ), a nie w organizacji, choćby najlepiej prowadzonej, ale temu „wojsku" się przeciwstawiającej.

To rozbicie naszej organizacji na „pojedyncze atomy" możliwe było zresztą i realizowane przede wszystkim ze względu na nastawienie nasze jako kierowników komórek, a ułatwione dzięki naszej dość naiwnej lojalności: bo przecież żaden zawodowy pracownik wywiadu nie zdradziłby dojść do swoich współpracowników. Kontrwywiad ZWZ wykorzystał tu również dodatkowy czynnik — finanse. Każda sieć wywiadowcza czy kontrwywiadowcza, nawet złożona z ludzi najbardziej ideowych, musi być finansowana przynajmniej w pewnych zakresach kosztów samej działalności (legalizacja, łączność, komunikacja, środki techniczne, wydatki związane z uzyskiwaniem informacji itp.), a ludzie nie pobierający nawet żadnych wynagrodzeń muszą przecież mieć z czego żyć, żeby maksimum swego czasu móc poświęcić tej

działalności. Zdając sobie z tego sprawę, Oddział II Komendy Głównej ZWZ po prostu odmówił finansowania jakiejkolwiek naszej działalności niewpasowanej bezpośrednio w strukturę tego oddziału.

Bez wielkich problemów odbyło się przejście do ZWZ całej sieci wywiadu wojskowego „Muszkieterów". Ludzie z tej sieci przekazani zostali przez jej szefa mjr. Wincentego Mischke „Henryka", „129", ostatecznie „N-150", do jednostek terenowych ZWZ, gdzie, przeważnie w dalszym ciągu pełniąc służbę informatorów w swoim dotychczasowym zakresie, włączeni zostali do odpowiednich oddziałów. Sam „N-150", z polecenia „Dzięcioła", jeszcze przez kilka miesięcy pokonywał trudności przy przekazywaniu pozostałych jeszcze w organizacji przy „Inżynierze" oraz sieci wywiadu na Rzeszę i ostatecznie poszedł do Armii Krajowej jako inspektor wyszkolenia wojskowego. Podobnie włączona została złożona w większości z wojskowej służby czynnej sieć łączności „Muszkieterów" — „99". Nieznany był mi los sieci wywiadów portowego i przemysłowego. Najważniejszego jej łącznika, „Marianka", po naszym przejściu do ZWZ, już przy Witkowskim, o ile wiem, nie było. Kierujący przetwarzaniem wiadomości gromadzonych z tych zakresów „23" (Zygmunt Dembiński) przeszedł również do kontrwywiadu KG ZWZ i po niedługim okresie zawieszenia został przydzielony do budującego nową sieć łączności z uwięzionymi — „Longa".

Mój aparat w organizacji „Muszkieterów" objęty kryptonimem „37", przy wcieleniu nas do ZWZ rozbity został bardzo dokładnie. Mój zastępca dla sieci kontrwywiadu „Muszkieterów" Stanisław Koczalski „Oskar", „Polikarp", „P7" itd. wraz ze wszystkimi jego bezpośrednimi kontaktami wśród policji granatowej (m.in. płk Policji Polskiej Reszczyński, płk Kozielewski) podporządkowany został zastępcy szefa kontrwywiadu „Józefowi" i jako „993P" kierował u niego aparatem współpracujących z „993" granatowych policjantów. Mój najbliższy współpracownik, prowadzący całą pracę kancelaryjną (przyjmowanie informacji i raportów, wysyłanie zadań, sporządzanie zestawień i raportów dla „Kapitanatu", a oprócz tego zastępujący mnie w wielu różnych zadaniach i sprawach Józef Garliński „W4", „Long", „Lasecznik", „Nitka", został formalnie podporządkowany bezpośrednio szefowi kontrwywiadu z poleceniem odtworzenia, opierając się na nowych powiązaniach, całkowicie przefiltrowanej przez Hammera-Baczewskiego dotychczasowej łączności z uwięzionymi. Otrzymana od szefa Tajnej Armii Polskiej — mjr. Jana Włodarkiewicza, a pozostawiona przeze mnie w całości, sieć wywiadu ogólnego i kontrwywiadu tej organizacji łącznie z

grupą na czele z „I 6", podporządkowana została też „Józefowi" jako ogólna sieć wywiadowczo-informacyjna „993 I". Moi współpracownicy pełniący w aparacie „37" rolę oficerów śledczych („L-11" — Stanisław Leszczyński i Marian Ligęza) podporządkowani zostali szefowi kontrwywiadu w tym samym charakterze. Szef grupy inwigilacyjnej i do specjalnych zadań Franciszek Knapp „Z11", „Ernest" przydzielony został w pierwszym momencie jako „Ernest" wraz z całą swoją grupą „993", lecz wkrótce przeniesiony jako grupa inwigilacyjno-ewakuacyjna do budowanej na nowo przez „Longa" łączności z uwięzionymi. Cała moja kartoteka osób podejrzanych o współpracę z okupantem, na czele z prowadzącą tę kartotekę Eugenią Szarek „E-27" wraz z jej mieszkaniem, a zarazem lokalem kartotekowym, przeszła jako kartoteka centralna kontrwywiadu Komendy Głównej ZWZ i podporządkowana została „Józefowi" jako „993 E". Również grupa iniwigilacyjno-obserwacyjna Józefa Urbanka „Księcia" przejęta została przez Oddział II Komendy Głównej ZWZ. Wstępnego podporządkowania ani jej kryptonimu w nowym układzie nie pamiętam. Ostatecznie obaj Urbankowie —„Książę" i jego syn Kazimierz — wraz z mieszczącym się w ich domu lokalem-archiwum zostali przejęci przez „Agatona".

Znaczne prostsza była sprawa przekazania agend „37" zajmujących się wywiadem komunikacyjnym. Po aresztowaniu, w związku z tzw. „sprawą szwedzką" (zupełnie z „Muszkieterami" niezwiązaną) inż. arch. Jana Klewina oraz jeszcze wcześniejszym uwięzieniu bardzo aktywnego również i w tej dziedzinie inż. Antoniego Kocjana, w sieci wywiadu lotniczego z osób mających dostęp do informatorów na lotniskach itp. zostali jedynie Tadeusz Deręgowski oraz Zbigniew Burzyński. Okoliczności ich przekazania nie mogę sobie uzmysłowić. Wiem jedynie, że Deręgowski współpracował później bardzo aktywnie z Wydziałem Lotnictwa Komendy Głównej Armii Krajowej. Dorobek tej sieci w postaci pięknie wykreślonych planów wykorzystywanych przez Luftwaffe 48 lotnisk wraz z całym pozostałym materiałem opisowym, dokumentacyjnym itp., przekazałem drogą służbową, za pośrednictwem szefa kontrwywiadu do Wydziału Lotnictwa. Informatorzy z sieci wywiadu kolejowego przekazani zostali bezpośrednio przez „Springera", który pozostał przy mnie do prac nad mającym być ówcześnie utworzonym Studium Komunikacji Biura Studiów Wojskowych Oddziału II Komendy Głównej. Informatorzy o sieci dróg kołowych, komórka bardzo słabo zresztą rozwinięta, przekazani zostali razem z kierującym grupą „Haliczem" do sieci terenowej ZWZ. To samo odnosi się do bardzo nielicznych moich informatorów o sieci dróg wodnych śródlądowych.

Moich współpracowników z zakresu „legalizacji" — wykonywania na nasz użytek dokumentów — w pierwszym okresie nie przekazałem. Pozostali ze mną — ze strony Oddziału II Komendy Głównej ZWZ nie było na nich jeszcze zapotrzebowania. Moje nowe zadania w wyznaczonym mi w ZWZ zakresie pracy stawiały problemy, przy których rozwiązywaniu umiejętności ich były wykorzystywane w stosunkowo wąskim zakresie: po przekazaniu większości moich współpracowników do ZWZ liczba ludzi do obsługi legalizacyjnej, jak i zakres potrzebnych czynności do realizacji ich zadań, były początkowo niewielkie. Pierwsze rozmowy w sprawie ich przekazywania toną w mroku mej pamięci.

Jeszcze zimą albo wczesną wiosną 1942 r. wezwał mnie szef Oddziału II Komendy Głównej „Dzięcioł", w celu omówienia ewentualnego zbudowania przeze mnie drogi przerzutowej dla kurierów Komendy Głównej poza granice okupacji niemieckiej w kierunku zachodnim — komórki o kryptonimie „666". Jednocześnie poznał mnie z panem nazywającym się lub używającym pseudonimu „Bohdanowicz", mającym tworzyć dział „606", którego zadania nie pamiętam. Jak z tej rozmowy wynikało, pan ten miał coś wspólnego z wykształceniem w zakresie sztuk plastycznych. Bogdan Zieliński „Tytus", zastępca, a potem szef Biura Studiów Wojskowych, sugeruje, że prawdopodobnie miał on tworzyć komórkę legalizacyjną Oddziału II. Nie przypominam sobie jednak, abym przekazywał mu moich specjalistów w dziedzinie produkowania dokumentów niezupełnie prawdziwych. Pamiętam natomiast dobrze późniejsze ich oddanie „Agatonowi", chyba około połowy 1942 r. W okresie tworzenia „666" i pierwszych naszych wypraw na zachód korzystałem jeszcze z usług mojej własnej legalizacji.

Dokonawszy tak dzieła podporządkowania agendom ZWZ komórek i ludzi „Muszkieterów", biorąc jeszcze jakiś czas udział w trudnych rozmowach z „Inżynierem" na temat sieci „Muszkieterów" w Rzeszy, do kontrwywiadu Komendy Głównej przyszedł również sam „Brat Antoni". Objął tam funkcję pierwotnie doradcy szefa kontrwywiadu, a ostatecznie szefa jego studium. W układzie kryptonimów został oznaczony „992".

Z ważniejszych agend „Muszkieterów" do ZWZ ani później do Armii Krajowej nie została przekazana sieć wywiadu na Rzeszę. Pomimo żądań i ostatecznie rozkazu Komendanta Głównego Sił Zbrojnych w Kraju „Grota" domagającego się od „Inżyniera" podporządkowania mu tej sieci, „Inżynier" rozkazu tego nie wykonał.

Tak praktycznie zakończyła się, po ponad dwuletniej, bardzo aktywnej działalności, epopeja „Muszkieterów", którzy —

pomimo bardzo trudnych warunków pracy, koniecznej w początkach improwizacji, braku wyszkolenia wywiadowczego, bardzo niełatwych przejść z własnym szefem „Kapitanem Muszkieterów" — do osiągnięć polskiej walki o przetrwanie i ostateczne zwycięstwo wnieśli niemały wkład.

Teraz staliśmy się żołnierzami Związku Walki Zbrojnej, a wkrótce Armii Krajowej.

Kazimierz LESKI

Tadeusz WYRWA

BISKUP GAWLINA, GENERAŁ SIKORSKI I WATYKAN

Działalność biskupa polowego Józefa Gawliny jest na ogół mało znana. Jeszcze mniej znane są jego stosunki z generałem Sikorskim, które jednocześnie rzucają pewne światło na stosunki z Watykanem. Biskup Gawlina ma ładną kartę nie tylko jako kapłan, lecz i jako żołnierz. W 1939 roku brał udział w kampanii wrześniowej i został ranny. Następnie przedostał się do Francji i towarzyszył wojsku polskiemu na wszystkich frontach jego walki podczas drugiej wojny światowej. Był członkiem pierwszej Rady Narodowej przy rządzie w Angers i w Londynie. Po wojnie pełnił funkcję opiekuna emigracji, której rolę widział głównie „w ratowaniu wartości kulturalnych" i „ratowaniu prawdy historycznej"[1].

Biskup Gawlina był naocznym świadkiem i uczestnikiem najpierw wojennej epopei żołnierza polskiego, a później losu, jaki przypadł temu żołnierzowi na emigracji. Niniejsze opracowanie — oparte na źródłach archiwalnych z Instytutu Sikorskiego w Londynie — dotyczy dość złożonych problemów, dotychczas niewystarczająco rozpracowanych.

Po kapitulacji Francji w czerwcu 1940 roku i przeniesieniu rządu polskiego do Londynu zarzucano gen. Sikorskiemu — jak wiadomo — że źle zorganizował ewakuację wojska polskiego do Anglii. W tej kłopotliwej dla siebie sytuacji Sikorski wystosował do biskupa Gawliny list, w którym 24 lipca pisał: „Dokonując inspekcji obozów żołnierskich stwierdziłem brak należytego zainteresowania ze strony Biskupstwa Polowego żołnierzami, przybyłymi do Wielkiej Brytanii. Jest to tym bardziej szkodliwe, że okres, który na

1. *Vide*: Biskup Józef Gawlina, *Z wojny i z wygnania. Listy i orędzia pasterskie. Kazania. Przemówienia.* Hosianum, Rzym 1952, str. 379.

szczęście należy do przeszłości, był jednym z najcięższych w historii armii polskiej. Dochodzą mnie również skargi dowódców na niewłaściwe zachowanie się niektórych księży kapłanów, którzy nie okazują dość hartu oraz decyzji, jakich wymaga obecna chwila. Rozumiejąc, że obowiązki członka Rady Narodowej i przewodniczącego jej komisji dla spraw zagranicznych mogą utrudniać pełnienie funkcji Biskupa Polowego, proszę o wypowiedzenie się, czy Ksiądz Biskup może na przyszłość pogodzić te dwie zupełnie odrębne funkcje"[2].

Na powyższy list biskup Gawlina odpowiedział obszernym pismem z 26/28 lipca 1940, z którego cytuję najważniejsze wyjątki. Na wstępie Gawlina przypomina, że 16 lipca prosił Sikorskiego o „rozmowę na tematy aktualne" i spodziewał się wezwania, a nie listu. Następnie sporo miejsca poświęca swojej pracy duszpasterskiej w wojsku przed wojną. „Po klęsce wrześniowej — pisze Gawlina — udałem się natychmiast do Rzymu i uzyskałem potwierdzenie dla Biskupa Polowego Wojsk Polskich. Sprawa ta, przy ówczesnym stanie, nie była bynajmniej tak bardzo łatwa. W dwie godziny po audiencji u papieża wyjechałem do Paryża... W Paryżu, jak Pan Generał sam wie, starałem się łagodzić i jednoczyć". Dalej Gawlina pisze zwięźle o swojej działalności przy rządzie polskim w Paryżu i w Angers.

W dalszym ciągu listu biskup Gawlina przechodzi do trudności, z jakimi spotyka się po przyjeździe do Wielkiej Brytanii, przypomina to, co zdołał już zrobić w warunkach bardzo ciężkich i pisze, iż rozumie dobrze, „że sprawy przeorganizowania wojskowego wymagają pewnego czasu", ale podobnie spodziewa się „tego prostego zrozumienia także dla biskupa polowego". Na zarzut Sikorskiego „braku należytego zainteresowania ze strony biskupa polowego żołnierzami, przybyłymi do Wielkiej Brytanii", Gawlina stwierdza, że „nie jest oparty na rzeczywistości".

Następnie Gawlina odpowiada na ostatni ustęp listu Sikorskiego: „zapytuje Pan Generał, czy na przyszłość mogę pogodzić obowiązki członka Rady Narodowej i przewodniczącego jej komisji zagranicznej z funkcjami Biskupa Polowego. Nazywa je Pan Generał: „zupełnie odrębnymi funkcjami". Pisze to Pan Generał w kilka dni po zwołanej przeze mnie, a udaremnionej sesji komisji Spraw Zagranicznych, oraz po moim oświadczeniu na Radzie Narodowej, że ofertę utworzenia 300.000 armii polskiej po stronie sowieckiej uważam ze względów ideowych za niebezpieczną, przy czym naświetliłem osobę p. Retingera. Stwierdzenie Naczelnego Wodza jest właściwie reakcją Premiera na oświadczenie ks. biskupa Gawliny w Radzie Narodowej. Toteż nie Naczelny Wódz ma pretensję

2. Archiwa Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego (IPMS), *Dziennik czynności Naczelnego Wodza* (DzCzNW), lipiec 1940, Załączniki, część pierwsza, str. 176.

do Biskupa Polowego, lecz Szef Rządu do niewygodnego członka Rady. Dlatego uderzono w jego najczulszą stronę, duszpasterską, podsuwając mu niezmiernie wyraźnie ustąpienie z Rady Narodowej, a zwłaszcza przewodniczącego Komisji dla Spraw Zagranicznych. Na zapytanie Pana Generała, czy mogę pogodzić wspomniane 'dwie zupełnie odrębne funkcje', mam zaszczyt oświadczyć co następuje: Mogłem je pogodzić przez sześć miesięcy, mieszkając, jak inni członkowie Rady, w Paryżu, a dojeżdżając do Angers. Mam nadzieję, że będę je mógł pogodzić i na przyszłość czasowo, gdyż zupełnie możliwym jest, aby posiedzenia rady przy dobrej woli ułożono z wykluczeniem kolizji czyichkolwiek obowiązków... Jestem gotów zrezygnować z członkostwa Rady Narodowej z chwilą, gdy moje miejsce w Radzie zajmować będzie mógł inny biskup polski Kościoła rzymskokatolickiego".

Pismo rzeczowe, utrzymane całkowicie w poprawnym tonie, biskup Gawlina kończy: „mam zaszczyt zapewnić Pana Generała, że znając Jego prawy i żołnierski charakter oraz zalety Jego umysłu i serca, pragnę nadal służyć tym samym, co On ideałom w pracy dla wspólnego dobra, dla Polski. Ośmielam się dodać szczerą prośbę, by Pan Generał raczył mi zadanie moje ułatwić"[3].

Odnośnie oferty utworzenia w ZSSR armii polskiej, o której wyżej mowa, to była ona zawarta w memoriale gen. Sikorskiego dla rządu brytyjskiego. Chodziło tam o propozycję utworzenia armii polskiej bez uprzedniego nawiązania stosunków dyplomatycznych z ZSSR; miałby się tam jedynie udać, żeby urzędować przy ambasadorze brytyjskim Grippsie, nieoficjalny przedstawiciel rządu polskiego. Memoriał, doręczony lordowi Halifaxowi, został wycofany przez ministra Zaleskiego, dzięki zdecydowanej postawie prezydenta Raczkiewicza[4]. Przy tej okazji warto przypomnieć, że memoriał ten, obok zarzutów dotyczących ewakuacji armii polskiej z Francji, był głównym powodem tzw. przesilenia lipcowego z 1940 roku, jakie miało miejsce w rządzie polskim w Londynie.

Generał Kukiel, minister Obrony Narodowej, po rozmowie z biskupem Gawliną zdał z niej relację Sikorskiemu pismem z dnia 2 sierpnia 1940 roku: „... Z ks. biskupem polowym dużo rozmawiałem. Deklarował się z wielką lojalnością i solidarnością. Chwila rozmowy z nim usunie wszelkie nieporozumienia. Ja kładłem duży nacisk na to, że w ostatnim przesileniu była kapitalna rola masonerii, na udział w niej pp. Zaleskiego, Garlińskiego, Filipowicza, Kościałkowskiego. On zarzekał się przeciw supozycji solidarności z nimi. Ze swojej strony zapewniał, że interpelując w sprawie tej oferty pod adresem Rosji nie miał innego zamiaru jak wywołanie oświadczenia kładącego kres fałszywym wersjom i miał sam wystąpić

3. *Supra*, str. 190-194.

4. *Vide*: Edward Raczyński, Tadeusz Żenczykowski, *Od Genewy do Jałty. Rozmowy radiowe*, Puls, Londyn 1988, str. 35-38.

z wnioskiem o votum zaufania, za którym później głosował. Bardzo gorąco proszę o rozmowę z nim likwidującą konflikt. Porozumienie zupełnie łatwe, a potrzebne"[5].

W następnym liście do Sikorskiego, nawiązując do wizytacji wojska przez Gawlinę, Kukiel pisał 5 sierpnia: „Same dobre wrażenia. Nastrój ogromnie się poprawia... Objazd księdza biskupa polowego, bardzo pracowity, zdaje się zrobił dobrze. Mówił na ogół doskonale, całkiem w duchu naszych wskazówek, bardzo lojalnie w stosunku do Ciebie, Generale"[6]. List Kukiela minął się z listem, jaki tego samego dnia wysłał do niego Sikorski, gdzie pisał: „Z ks. Biskupem Polowym rozmówię się, gdy cofnie swoje niewłaściwe pismo [chodzi zapewne o cytowane pismo Gawliny z 26/28 lipca — T.W.]. Jego sojusz, jak piszesz, z notorycznymi masonami miał istotnie posmak ciekawy..."[7]. W rzeczywistości, w liście z 2 sierpnia, Kukiel pisał zupełnie co innego.

Na piśmie biskupa Gawliny z 26/28 lipca, o którym wyżej jest mowa, znajduje się skreślona odręcznie uwaga Sikorskiego: „Szef Sztabu Głównego do szczegółowej analizy tego niezwykłego nawet w warunkach obecnych pisma". W archiwach jest notatka z nieczytelnym podpisem, zredagowana prawdopodobnie przez kogoś ze Sztabu Głównego i przeznaczona dla Sikorskiego: „Jakkolwiek ton pisma Biskupa Polowego z daty Londyn 26/28 lipca br. — twierdzi autor notatki — pozostawia wiele do życzenia, niemniej jednak normalne środki represji, przysługujące ministrowi Spraw Wojskowych, jako przełożonemu wojskowemu, w danym wypadku nie mogą mieć zastosowania, gdyż w myśl art. VII konkordatu ze Stolicą Apostolską tylko duchowieństwo (kapelani wraz z Kurią Biskupią) a nie Biskup Polowy podlegają władzom wojskowym w sprawach dotyczących służby wojskowej. Ordynariusz (do której to kategorii należy Biskup Polowy) jest na swym stanowisku nienaruszalny (prawo kanoniczne). Znając jednak treść pisma Naczelnego Wodza z dnia 24 lipca br. skierowanego do Biskupa Polowego, można by ewentualnie przygotować projekt odpowiedzi, wskazując w niej, że pismo Naczelnego Wodza w treści swej obejmowało sprawy dotyczące służby wojskowej, co należy do władz wojskowych, a nie jurysdykcji kurialnej, należącej do wyłącznej kompetencji Biskupa Polowego. W odpowiedzi tej można by także w odpowiedniej formie podkreślić niewłaściwy ton pisma Biskupa Polowego"[8]. Odpowiedzi tej prawdopodobnie nie było, gdyż w archiwach nie ma po niej żadnego śladu. Można jednak odnotować, że w lutym 1942 roku powstała nowa Rada Narodowa, do której biskup Gawlina nie został powołany.

5. IPMS, sygnatura: Prezydium Rady Ministrów (PRM/37/A), str. 3.
6. *Supra*, str. 4.
7. *Supra*, str. 5.
8. IPMS, sygnatura: PRM 26, str. 53.

Po podpisaniu układu Sikorski-Majski biskup Gawlina chciał możliwie jak najprędzej udać się do ZSSR. W liście z 3 września 1941 roku pisał do Stanisława Kota, który został mianowany ambasadorem w Moskwie: „Podczas ostatniej naszej rozmowy wyraził się Pan Minister trafnie, że 'tam w Rosji jest naród, a tu w Londynie tylko emigracja'. Jak tam jest właściwie, nikt z nas tu nie wie: Faktem jest tylko, że tam naród żyje w niepewności i cierpi, podczas gdy tu w Londynie żyjemy obecnie spokojnie i wygodnie. Jako biskupowi polskiemu i katolickiemu nasuwa mi się pytanie, czy moje miejsce nie powinno być raczej wśród narodu zamiast wśród emigracji... Wobec tego ośmielam się zapytać Pana Ministra, czy nie przydałbym się Panu jako asystent kościelny"[9].

W depeszy z 25 września 1941, wysłanej z Londynu do ambasadora Kota w Moskwie, Sikorski prosił „o opinię w sprawie ewentualnego wyjazdu biskupa Gawliny do armii naszej w Rosji. Anglicy na razie się tym interesują. Sam biskup Gawlina prosił mnie o zgodę na wyjazd, składając uroczyste zapewnienie pełnej lojalności. Chciałby, jak twierdzi, 'wyrwać się z tutejszego piekiełka'"[10]. Tego samego dnia Kot powiadomił Sikorskiego depeszą, że „przyjazd Biskupa na razie na pewno niemożliwy"[11]. W depeszy do gen. Sikorskiego z dnia 11 lutego „przyjazd biskupa Gawliny dużo przedwczesny. Jestem w pociągu, w Jangi Jul około 20 bm. Walczymy z niezmiernymi trudnościami — brak pomieszczeń, namiotów, środków komunikacyjnych. Pobór jeszcze nie rozpoczęty, będą z tym duże trudności wojskowe a prawdopodobnie i polityczne"[12].

Dnia 3 marca 1942 Kazimierz Papée, ambasador przy Watykanie, informował Sikorskiego, że „Ojciec Święty i Sekretariat Stanu przywiązują do wyjazdu Biskupa Gawliny do Rosji duże znaczenie. Istnieje nadzieja, że działalność jego, ograniczona formalnie od wojska polskiego, rozciągnie się również i na innych... [kropki w tekście — T.W.] i obejmie tak samo promieniem Rosjan i stanie się zaczątkiem hierarchii. Ojciec Św. udzielił Biskupowi Gawlinie jak największych uprawnień do mianowania delegatów i konsakrowania biskupów łącznie. W Rosji południowej na terenie okupacji niemieckiej Mgr Glazer ma analogiczne stanowisko"[13].

Depeszą wysłaną 24 marca 1942 z MSZ do Kota w Moskwie, Kajetan Morawski informował, że premier Sikorski, przebywający wówczas w Ottawie, polecił zawiadomić biskupa Gawlinę, „iż po głębszym namyśle nie ma zastrzeżeń co do jego wyjazdu do Rosji...

---

9. *Vide:* Stanisław Kot, *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego*, Jutro Polski, Londyn 1956, str. 451-452.

10. *Supra*, str. 105.

11. *Vide*: IPMS, DzCzNW, Wrzesień 1941, Załączniki, część pierwsza, str. 205.

12. *Vide*: IPMS, DzCzNW, luty 1984, Załączniki, część pierwsza, str. 86.

13. IPMS, DzCzNW, *supra*, str. 44.

Podróż Biskupa, zdaniem P. Premiera, winna być dyskretna, co jedynie może przynieść korzyść sprawie"[14].

Biskup Gawlina przyjechał do ZSSR w kwietniu 1942 i w stosunkach sowieckich zgoda na jego przyjazd była, jak pisał gen. Anders, „niesłychanym wydarzeniem... Kremlowi zależało na wykazaniu Stanom Zjednoczonym i Wielkiej Brytanii, że w ZSSR istnieje wolność religii... Dla naszych żołnierzy było to wstrząsające przeżycie"[15]. Dwa miesiące później, 28 czerwca 1942 roku, Gawlina raportował Sikorskiemu: „W wojsku panuje głęboki duch religijny, wzorowa karność i wspaniały patriotyzm... Wszyscy pragną broni i marszu bojowego ku Polsce. Wszędzie widywałem się z naszą ludnością cywilną, głównie wspomaganą przez wojsko". Następnie ubolewa nad brakiem lekarstw i w ogóle nad ogromnie ciężką sytuacją materialną[16].

Podczas trzeciej podróży do Ameryki, w grudniu 1942 roku, gen. Sikorski otrzymuje doktorat *honoris causa* na katolickim uniwersytecie w Waszyngtonie. Z tej okazji Gawlina wysłał Sikorskiemu 14 grudnia gratulacyjną depeszę, w której również donosił: „wczoraj otrzymałem nominację Ojca Świętego na biskupa ordynariusza wszystkich cywilnych, którzy przybyli lub przybyć mają z Rosji, gdziekolwiek by byli. Nowa nominacja nadaje mi wszystkie prawa biskupów rezydencjalnych, podtrzymując równocześnie prawo jurysdykcji personalnej Biskupa Polowego i Wizytatora Apostolskiego. W trosce o nową owczarnię proszę nowomianowanego doktora praw zechcieć mi umożliwić rychły wylot do Ameryki, gdzie dla nowych diecezjan poczynię odpowiednie starania moralne i materialne"[17]. W Ameryce biskup Gawlina przebywał w pierwszym kwartale 1943 roku.

Dnia 4 maja 1943 Sikorski zalecił płk. M. Sulisławskiemu, zastępcy szefa sztabu Naczelnego Wodza, wysłanie depeszy do gen. Tadeusza Klimeckiego, który znajdował się wówczas na Środkowym Wschodzie. W depeszy jeden paragraf poświęcony był Gawlinie: „Ks. Biskupowi, który odleciał — powołując się na Kardynała Maglione — wprost na Środkowy Wschód, nie czekając na moją odpowiedź, proszę oświadczyć, że będzie się musiał jako Biskup Polowy wytłumaczyć ze swej niejasnej, zresztą politycznie bezskutecznej, działalności w Ameryce. Nie można bowiem oblatywać świata, ponieważ mój autorytet mu to umożliwia, a równocześnie zachowywać się niezgodnie z dyscypliną wojskową, która obowiązuje Księdza Biskupa. Chyba, że dla Ks. Biskupa Gawliny nie

14. *Vide: Stanisław Kot, Listy z Rosji do gen. Sikorskiego, op. cit.*, str. 293-294.

15. Władysław Anders, *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1945*, Wydanie drugie, Londyn 1950 , str. 155-156.

16. *Vide:* IPMS, DzCzNW, czerwiec 1942, Załączniki, część pierwsza, str. 172.

17. IPMS, DzCzNW, grudzień 1942, Załączniki, część pierwsza, str. 175.

istnieje Naczelny Wódz, ani Minister Obrony Narodowej, a istnieje jedynie Rzym"[18].

Depesza ta została przeredagowana i dnia 5 maja ponownie wysłana do gen. Klimeckiego, gdyż jak podawał płk Sulisławski, pierwotna jej treść „została w kilku miejscach skażona". Można się chyba domyślać, że pierwsza wersja depeszy była podyktowana osobiście przez gen. Sikorskiego i później złagodzono jej ton. Dotyczyło to również paragrafu o biskupie Gawlinie, który w nowej wersji brzmiał: „Biskup Polowy odleciał po raz drugi bez mego zezwolenia z Ameryki wprost na Środkowy Wschód i nie zjawił się w Londynie dla zdania sprawy, powołując się na kardynała Maglione. Dotąd nie nadesłał sprawozdania z jego działalności na Wschodzie i w Ameryce, on zaś nie działa według instrukcji moich ani ministra [zdanie przypuszczalnie trochę zniekształcone stylistycznie — T.W.]. Proszę mu zwrócić uwagę, że jego stanowisko jako Biskupa Polowego wymaga stosowania się do dyscypliny wojskowej i nieprowadzenia rozmów politycznych bez upoważnienia rządu i mojego, co wynika z konkordatu. Działalność Ks. Biskupa powinna w obecnej przełomowej chwili być uzgodniona z całością akcji rządowej. Inaczej byłoby nie z pożytkiem, ale ze szkodą dla Polski. Oczekuję jego niezwłocznego powrotu do Londynu"[19].

Dnia 11 maja 1943 roku Sikorski wysłał do ambasadora Papée pismo, własnoręcznie przez niego zredagowane. Była to pewnie reakcja na depeszę odebraną w Londynie 8 maja, bez podpisu, ale z pewnością od Papée, który donosił: „Odnośnie sytuacji Włoch panuje w Sekretariacie Stanu nastrój rezygnacji... Watykan przerażony widmem komunizmu". Treść pisma Sikorskiego do Papée brzmi: „Proszę Pana Ambasadora o przeprowadzenie rozmowy z Kardynałem Sekretarzem Stanu w myśl następujących wytycznych: „Wojska alianckie nie po to wejdą na kontynent, by tam pomagać komunistom. Rosja sowiecka walcząc z wrogimi Kościołowi katolickiemu hitlerowcami oddaje usługę wspólnej sprawie. Nie wynika z tego, by pozostawić miano otwartą drogę Kominternowi dla opanowania Europy. Ataki skierowane stamtąd na Polskę przyczyniają się do wyjaśnienia sytuacji i uwydatnienia solidarności z nami aliantów, skoro w próbie tej chodzi nie tylko o Polskę, ale o demokrację zbudowaną na zasadach chrześcijańskich. Podczas gdy w wielu krajach, a przede wszystkim na zachodzie Europy, akcja komunistyczna czyni postępy, ludność polska pozostaje w ogromnej większości wierną religii katolickiej. Polska tym bardziej oczekuje od Stolicy Apostolskiej poparcia i tego, by Stolica Apostolska zechciała dać w tym kierunku pozytywne dyrektywy całemu światu katolickiemu. Prosiliśmy wielokrotnie o zdecydowane i otwarte ujęcie się Stolicy Apostolskiej za Polską wobec okrutnego prześladowania przez

18. IPMS, DzCzNW, maj 1943, załączniki, część pierwsza, str. 60.
19. *Supra*, str. 59.

pogański nazizm. Apel ten spotkał się z zastrzeżeniami i trudnościami. Nie powinny one obecnie stanąć na przeszkodzie Stolicy Apostolskiej w poparciu spraw Polski chrześcijańskiej zagrożonych przez Sowiety".

W dalszym ciągu tego pisma Sikorski prosi „poinformować Kardynała Sekretarza Stanu z mojego ramienia jako Naczelnego Wodza, że Ksiądz Biskup Polowy Gawlina, który w przeszłości był już dla mnie źródłem pewnych trudności, ostatnio niezgodnie z moim życzeniem wyjechał z Ameryki Północnej bezpośrednio na Środkowy Wschód zamiast do Londynu, tłumacząc się przy tym dyrektywami otrzymanymi z Sekretariatu Stanu. Dowiaduję się, że Biskup Gawlina wyjeżdżając w swoim czasie do Rosji ubiegał się u Stolicy Apostolskiej o mandat opiekowania się Polakami w ZSSR poza zasięgiem swych właściwych zadań duszpasterskich. Proszę Pana Ambasadora o wyjaśnienie także tej sprawy"[20].

Amb. Papée, po rozmowach w Sekretariacie Stanu, zdał Sikorskiemu sprawozdanie pismem z dnia 29 lipca 1943: „Na moje zapytanie o Księdza Biskupa Gawlinę, Kardynał Maglione odpowiedział, że dawno nie miał od niego wiadomości. Zapewne jest jeszcze w Ameryce. Z dalszej rozmowy wynikło, że i Kardynał w ostatnich czasach do Ks. Biskupa się nie zwracał. Podobne rezultaty dała rozmowa z Monsignorem Tardini dnia następnego. W rozmowie tej wróciłem do specjalnych pełnomocnictw, które Ks. Biskup Gawlina dostał był, jak wiemy, od Stolicy Apostolskiej swego czasu przed wyjazdem do Rosji sowieckiej. Miałem na myśli przede wszystkim notę Kardynała Sekretarza Stanu, dotyczącą funkcji Ks. Biskupa Gawliny jako Wikariusza Apostolskiego dla duchownych obrządku łacińskiego w Rosji. Monsignor Tardini poinformował mnie, że pełnomocnictwa (*facultés spéciales*), które w swoim czasie otrzymał był na Rosję Ks. Biskup Gawlina zostały utrzymane, po jego wyjeździe z Rosji, w stosunku do Polaków, którzy zdołali się z Rosji wydostać i znajdują się obecnie w zorganizowanych grupach na Środkowym i Bliskim Wschodzie, w Afryce (Rodezja), czy nawet gdzie indziej (np. Meksyk). Do nich wszystkich odnosi się jurysdykcja specjalna Ks. Gawliny, który ją wykonuje przez powołanych *ad hoc* duszpasterzy. Jest to więc typ jurysdykcji personalnej o niezwykle szerokim zasięgu. Będzie naturalnie rzeczą Ks. Biskupa Gawliny ustalać we wszystkich tych wypadkach poprawny stosunek między tą specjalną hierarchią personalną a istniejącą już hierarchią miejscową. Ostatnio np. Delegat Apostolski w Nairobi zapytywał w Rzymie, jak się odnieść do duszpasterzy polskich, którzy się na jego terenie wraz z nowo przybyłymi uchodźcami polskimi pojawili. Odpowiedziano mu, że rzecz jest w porządku i poinformowano o przyznanych Ks. Biskupowi Gawlinie *facultés spéciales*"[21].

20. IPMS, sygnatura PRM 110, str. 66.
21. IPMS, sygnatura: PRM-K 27, str. 46.

W sprawozdaniu amb. Papée brak jest chociażby wzmianki o potrzebie zajęcia przez Watykan stanowiska wobec grożącego niebezpieczeństwa ze strony komunizmu, o co go prosił gen. Sikorski w piśmie z 11 maja 1943. Przypuszczalnie rozmowa Papée na ten temat w Sekretariacie Stanu niczego nie przyniosła. W stosunkach między rządem Sikorskiego a Stolicą Apostolską ciągle właściwie były niedomówienia. Oprócz motywów ambicjonalnych, typowych dla natury Sikorskiego, jego dość krytyczny stosunek do Watykanu datuje się przypuszczalnie od pobytu rządu polskiego w Angers, kiedy starania o przysłanie Nuncjusza spełzły na niczym[22], podobnie jak i później, gdy rząd znajdował się w Londynie. Znamienny dla pierwszego okresu wojny jest ustęp z pisma Sikorskiego do Kukiela z 25 listopada 1940 roku: „W Watykanie zmiana nastrojów na naszą korzyść. Mnożą się tam wreszcie głosy dopuszczające niekorzystny dla państw osi obrót wojny"[23].

Na temat nastrojów w Watykanie i atmosfery, w jakiej kształtowała się wówczas polityka Kurii Rzymskiej, ciekawe studium opracowała Maria Nikorska, które znajduje się w archiwach Instytutu Sikorskiego. Nie udało mi się dotrzeć do śladu po autorce i nie wiem, czy jest to pseudonim, czy prawdziwe nazwisko. Oryginał tego studium, z datą 14 kwietnia 1943 roku, zawiera 24 stron maszynopisu na cieniutkim przebitkowym papierze, z uwagą na wstępie: „czytać położywszy na białej kartce", z czego wynika że był przesłany (z Rzymu?) po kryjomu i chodziło o to, żeby jego objętość była jak najmniejsza. Na pierwszej stronie jest zaznaczone: „ściśle tajne". Oprócz oryginału, w tych samych archiwach znajduje się kopia przejrzyście przepisana na maszynie na 32 stronach normalnego papieru. Studium jest zatytułowane: „Pro-osiowość Watykanu i jej konsekwencje" i — jak twierdzi autorka — oparte jest na bardzo dobrze poinformowanych źródłach. Z założeniami autorki trudno się zgodzić, ale niektóre jej obserwacje warte są głębszego zastanowienia; nie wszystkie bowiem poruszone tam problemy należą całkowicie do przeszłości. Przytaczam kilka wyjątków, bardziej charakterystycznych i przeważnie bezpośrednio związanych ze stosunkami polsko-watykańskimi.

Nikorska twierdzi, że — jeśli chodzi o wartości moralne — to „rozstęp między teorią a praktyką jest w Watykanie jeden z większych na świecie". W ostatnich latach wzrósł tam ogromnie procent Włochów, wskutek czego Watykan posiada „liczne wady i nieliczne zalety italskie. Nie posiada zaś — prócz rzadkich wyjątków — poczucia prawdziwego uniwersalizmu Kościoła". Autorka daje charakterystykę ośmiu najbardziej wpływowych osobistości Watykanu — wśród których znajdują się Montini, Maglione, Tardini — i

22. *Vide:* „Watykan a rząd polski w Angers" w *Zeszytach Historycznych* Nr 72, str. 182 i nast.

23. 2Vide: IPMS, sygnatura PRM-37-A, str. 13.

dochodzi do wniosku że: „a/ Wszystkim brak rzeczywistej odwagi decyzji i działania. b/ U wszystkich widać pewne pomieszanie pojęć krańcowego oportunizmu i ostrożności. c/ Wszyscy mają nastawienie pro-włoskie lub pro-niemieckie, zatem pro-osiowe. Brak rzeczywistej odwagi u osób dominujących jest przyczyną, że nie ma w Watykanie elementu mogącego zrównoważyć niezwykłą typową italską tchórzliwość Św. Kolegium oraz członków Kurii Rzymskiej".

Jeśli chodzi o stosunek do Polski, to — według autorki — „w Watykanie naród polski jest niezaprzeczenie dość lekceważony: a/ jako zbyt gorąco katolicki i zbyt do papiestwa przywiązany. Osobistości tutejsze w głębi duszy nie wierzą, by religijność Polaków ulec mogła istotnemu i trwałemu zachwianiu. Liczą więc, że cokolwiek Watykan uczyni, będzie mu to w Polsce darowane, gdyż jest on — Stolicą Piotrową. b/ Jako zbyt słaby teraz, a także zapewne i po wojnie. Sądzi się tu bowiem, że krwawe prześladowanie, nędza, głód, etc. wyczerpią do dna energię społeczeństwa".

Nikorska sądzi, że sympatia Watykanu dla Polski jest powierzchowna. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest „zbytnia — wedle tutejszej opinii — integralność polskich uczuć i przekonań. Charakter narodowy Polaków jest antytezą k o m p r o m i s u [rozstrzelony druk u autorki — T.W.], będącego samą treścią watykańskiego systemu postępowania. Stąd polskie przekonanie o konieczności zajęcia przez Stolicę Apostolską wyraźnego i potępiającego stanowiska wobec np. zaborców w wieku XIX lub nazistów w czasie obecnej wojny — razi Watykan, drażni go, jest dlań kłopotliwe, a co gorsze zupełnie niezrozumiałe. Ta bezkompromisowość jest — względnie mogłaby być — polską siłą wobec Watykanu. Oto opinia osób, doskonale zorientowanych w tutejszych stosunkach: Watykan ma kilkanaście wieków treningu w akcji dyplomatycznej, w koronkowej sieci drobnych intryg, w chytrości i zręczności. Tą bronią pobić go więc niepodobna, włada nią bowiem lepiej od innych. Również niepodobna uzyskać poważnych rezultatów zabieganiem o względy, pokorą etc. Watykan bowiem zalany i rządzony przez Włochów ma charakter włoski: ceni silnych, boi się śmiałych. Nie ceni pokornych, chyba że są całkowicie i bez zastrzeżeń jego narzędziem. Toteż — w planie polityki międzynarodowej — silni i wpływowi będą mieć względy Watykanu zawsze, słabi i potrzebujący pomocy tylko w stopniu nie grożącym Watykanowi niczym, nawet krytyką. Jest natomiast broń, która Watykan oburza, ale której się on lęka: to jasne, zdecydowane i bezkompromisowe stawianie zagadnień, nacisk silny, choć nie gwałtowny..."[24].

W międzyczasie wiele się zmieniło w Watykanie, ale wiele jest jeszcze do zrobienia, żeby Kościół katolicki mógł wreszcie skutecznie przeciwstawić się kryzysowi wiary i załamaniu humanisty-

24. *Vide*: IPMS, sygnatura PRM 108, str. 67 i nast.

cznego systemu wartości. Po wyborze Papieża polskiego pochodzenia Polacy mieli — i ciągle mają — wyjątkową szansę twórczego współuczestniczenia w budowie chrześcijańskiej wspólnoty w skali uniwersalnej. Jak dotychczas, Polacy nie wydają się być skorzy do wyjścia z rodzinnego zaścianka, a pragmatyzm znacznego odłamu naszego kleru zbliża go raczej do krytykowanych wyżej praktyk: cenienia „silnych i wpływowych".

Tadeusz WYRWA

WSPOMNIENIA

JUOZAS URBSZYS

LITWA I ZWIĄZEK SOWIECKI W LATACH 1939-1940*

Dobre i przyjacielskie stosunki między obu państwami

Litwa podpisała 12 lipca 1920 roku z Rosyjską Federacyjną Socjalistyczną Republiką Sowiecką traktat pokojowy, który po zaznaczeniu, że „porozumiewające się kraje nigdy nie były w stanie wojny", stwierdzał, iż „Rosja, nie zważając na nic" uznaje „niezależność państwową i niepodległość Litwy ze wszystkimi wynikającymi z owego uznania konsekwencjami prawnymi" oraz wyrzeka się „dobrowolnie i po wsze czasy wszystkich praw Rosji do suwerenności wobec narodu litewskiego i jego terytorium".

Układ wytyczał wschodnią granicę Litwy, pozostawiając po stronie litewskiej nie tylko jej stolicę Wilno, ale również znaczne zaplecze rozciągające się na wschód i południe od miasta.

Po podpisaniu układu stosunki między obu państwami weszły na normalne tory życia międzynarodowego i później przez cały czas układały się bardzo przyjaźnie, bez żadnych, można tak powiedzieć, cieni. (...)

Następne traktaty zawarte między Litwą i Związkiem Sowieckim jeszcze bardziej skonsolidowały podstawy prawne

* Fragmenty książki pt. *Litwa w fatalnych latach 1939-1940*, wyd. Mintias, Wilno 1988, nakład 455 egz.

układu pokojowego. Pierwszym z nich był podpisany 28 września 1926 roku układ o nieagresji. Jego pierwszy artykuł podkreślał, że „traktat pokojowy zawarty między Litwą i Rosją w Moskwie 12 lipca 1920 roku, którego wszystkie postanowienia zachowują całą swą moc i nienaruszalność, pozostaje podstawą stosunków między Republiką Litewską a Sowieckimi Republikami Socjalistycznymi".

Piąty artykuł układu o nieagresji ustalał, że kiedy między obu państwami powstanie taki konflikt, którego nie mogłyby one rozwiązać w sposób dyplomatyczny, Litwa i Związek Sowiecki wyznaczą odpowiednie komisje.

Okres ważności układu o nieagresji został dwukrotnie przedłużony; po raz drugi 4 kwietnia 1934 roku i jego termin upływał 31 grudnia 1945 roku.

Kolejnym kamieniem milowym na drodze konsolidacji stosunków litewsko-sowieckich było podpisanie w dniu 5 lipca 1933 roku układu definiującego pojęcie agresji. Zgodnie z tym traktatem za napastnika lub agresora uważa się państwo, które „wtargnie, nawet bez wypowiedzenia wojny, na terytorium drugiego państwa". Układ ten ustalił następnie, że „polityczna, gospodarcza lub społeczna struktura (któregokolwiek państwa), błędy zarzucane jego administracji oraz niepokoje, powstałe w wyniku strajków, rewolucji, kontrrewolucji lub wojny domowej..." nie mogą usprawiedliwiać żadnego aktu agresji. Zgodnie z omawianym układem również „nieporozumienia dotyczące ekonomicznych, finansowych lub innych obietnic wobec drugich państw" nie mogą usprawiedliwiać agresji.

Należy też uwypuklić fakt, że między Litwą i ZSSR istniał jeszcze tzw. *gentelmen's agreement*. Zgodnie z tym porozumieniem oba kraje zobowiązały się do wzajemnego poufnego informowania się o takich faktach i tendencjach własnej polityki zagranicznej i międzynarodowej, które mogłyby dotyczyć interesów drugiego państwa. Przykładowo, w 1934 roku Litwa, podejmując inicjatywę stworzenia sojuszu bałtyckiego, poinformowała o tym Związek Sowiecki, który stwierdził, że wyraża uznanie dla inicjatywy litewskiej.

Niemcy napadają na Polskę i pokonują ją. Sytuacja na Litwie

/.../

Litwa ogłosiła, że w toczącej się wojnie zachowa neutralność. Aby ją obronić, wprowadziła na początku wojny częściową mobilizację. Niemcy próbowały wciągnąć do wojny przeciwko Polsce Litwę, nęcąc ją Wilnem; około 10 września proponują jej,

aby ze swą armią wkroczyła na terytorium Polski w celu zajęcia Wilna i obiecują udzielić pomocy w tej wyprawie. Litwa pozostaje jednak wierna ogłoszonej neutralności, chociaż w tym czasie ze strony prawie już pokonanej Polski nie mogło jej grozić niebezpieczeństwo wojny.

Tu należy zaznaczyć, że w czasie wojny niemiecko-polskiej sympatie litewskie były po stronie Polski, jako kraju napadniętego, nie bacząc na problem Wilna.

Brutalna agresja Niemiec przeciwko Litwie w marcu (oderwanie okręgu kłajpedzkiego), a teraz przeciwko Polsce silnie wstrząsnęła narodem litewskim.

17 września 1939 roku Związek Sowiecki przekroczył granicę Polski, zajął Zachodnią Ukrainę, Zachodnią Białoruś i Wileńszczyznę z Wilnem.

Związek Sowiecki, który dotychczas od Litwy oddzielały ziemie rządzone przez Polskę, wszedł w bezpośredni kontakt z niepodległą Litwą. Uważaliśmy ZSSR za tak samo przyjazny dla niej jak wcześniej. Oddziały litewskich sił zbrojnych, strzegące linii demarkacyjnej, spotkały się oko w oko z jednostkami wojsk ZSSR, które podeszły do niej od strony Wileńszczyzny. Nieco później niemiecki minister spraw zagranicznych zaprosił ministra spraw zagranicznych Litwy na tajne spotkanie gdzieś koło Gdańska, może w niemieckiej głównej kwaterze wojennej.

Podczas gdy dwu sąsiadów Litwy prowadziło między sobą wojnę, sytuacja nasza była, jak wspomniano, szczególnie groźna i trudna. Należało być bardzo ostrożnym. Rząd litewski odpowiedział Niemcom, że zgadza się na wysłanie swego ministra na spotkanie tylko pod warunkiem, że obie strony ogłoszą ten fakt publicznie i dodał jeszcze, że poinformuje o zaproszeniu Związek Sowiecki. Tak też rząd Litwy postąpił. Poinformował lojalnie ZSSR zarówno o otrzymanym od Niemiec zaproszeniu, jak też o udzielonej im odpowiedzi. Ribbentrop widocznie nie życzył sobie jawności, gdyż po litewskiej odpowiedzi ze strony niemieckiej już nikt więcej nie wspomniał o podróży.

Wkrótce świat dowiedział się, że Ribbentrop po raz drugi wyleciał do Moskwy. Lot ten był dla Litwy fatalny: 28 września 1939 roku Ribbentrop podpisał z Mołotowem tajny protokół, którego jeden z punktów decydował o podziale Litwy między Związek Sowiecki i Niemcy.

Teraz Związek Sowiecki miał w swej władzy Wileńszczyznę i Wilno, a więc tę część terytorium Litwy, którą przyznał jej na mocy traktatu pokojowego z 12 lipca 1920 roku i nie raz później fakt ten potwierdzał. Dlatego Litwa, pamiętając o traktacie nadal obowiązującym oba państwa, miała uzasadnioną nadzieję, że wybiła godzina odzyskania stolicy.

Rząd litewski przekazał rządowi ZSSR przez jego przedstawiciela w Kownie, Pozdniakowa, że chciałby wysłać do Moskwy swego ministra spraw zagranicznych, celem porozumienia się w sprawie zwrotu Litwie Wilna i Wileńszczyzny. Pozdniakow obiecał poinformować o tym Moskwę.

Może pod koniec września przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych ZSSR i komisarz ludowy spraw zagranicznych W. Mołotow zaprosił na Kreml ambasadora Litwy Ladasa Natkievicziusa i, nie wspominając wyraźnie o Wilnie, powiedział, że rząd Związku Sowieckiego życzyłby sobie, aby premier lub minister spraw zagranicznych Litwy przybyli do Moskwy.

„W tym odpowiedzialnym momencie Związek Sowiecki oczekuje ze strony Litwy szczególnie przyjacielskiego zachowania" — w przybliżeniu takimi słowami Mołotow podkreślił swoje oświadczenie.

W Moskwie

3 października 1939 roku minister spraw zagranicznych Litwy odleciał przez Rygę do Moskwy.

Na lotnisku moskiewskim, które z tej okazji zostało przybrane flagami Litwy i ZSSR, przedstawiciela Litwy powitał zastępca komisarza ludowego spraw zagranicznych, mężczyzna w starszym wieku, o nazwisku, jeśli dobrze sobie przypominam, Łozowski, oraz inne osoby.

Jeszcze tego samego wieczoru zostaliśmy razem z ambasadorem Litwy w Moskwie zaproszeni na Kreml.

Przyjechaliśmy na krótko przed godziną 22-gą i ustawiliśmy się w kolejce samochodów oczekujących na przepuszczenie przez bramę. Ruchem aut kierowali funkcjonariusze bezpieczeństwa w mundurach.

Przed drzwiami pałacu rządowego powitał nas funkcjonariusz w mundurze wojskowym, który przedstawił się skandując: komendant pałacu rządu robotniczo-chłopskiego.

Przywitaliśmy się, komendant odprowadził nas do windy i zawiózł, już nie pamiętam, na drugie lub trzecie piętro. W szatni ubrania przyjął typowy dla takich miejsc szwajcar w podeszłym wieku.

Weszliśmy do poczekalni. Siedział tam jeden lub dwu młodych, powściągliwych mężczyzn w ubraniach cywilnych. Wokół nich stały telefony.

Powiadomili kogo trzeba o naszym przybyciu, otworzyli drzwi i przepuścili do dalszego pomieszczenia. Była to przestronna sala. W prawym rogu (patrząc od strony drzwi) znajdowało

się wielkie biurko zastawione licznymi telefonami, w lewym — drzwi otwarte na następne pomieszczenie. Patrząc przez otwarte dzrzwi, widać było stół konferencyjny, który ciągnął się prawie przez całą salę. Był to gabinet przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych i komisarza ludowego spraw zagranicznych, W. Mołotowa. Czekał tam na nas jego gospodarz, Mołotow, zastępca komisarza ludowego spraw zagranicznych Potiomkin i *chargé d'affaires* ZSSR na Litwie, Pozdniakow. Zasiedliśmy za stołem posiedzeń, nieopodal otwartych drzwi. Wkrótce pokazał się w nich Stalin.

Mężczyzna średniego wzrostu, o trzęsącej się postaci i posiwiałych, dość gęstych i z wierzchu przyczesanych włosach, z bujnymi wąsami, w zapiętej aż po samą szyję jednorzędówce koloru piaskowego z krótkim, wygiętym kołnierzykiem, z którego wystaje wąziutki biały pasek koszuli; takiego samego koloru spodnie, po chłopsku wpuszczone za niewysokie i miękkie czarne cholewy. Przypatrzywszy się bliżej, można pomyśleć, że to ubranie i buty są skrojone dla jakiegoś przeciętnego człowieka, gdyby nie wyśmienitej jakości robota i materiały.

Głos zabiera Stalin i bez ogródek ogłasza, że Związek Sowiecki porozumiał się z Niemcami, iż większa część Litwy przypadnie ZSSR, a północny pas jej pogranicza — Niemcom.

Rozpościera na stole mapę Litwy i pokazuje nakreśloną na niej linię, która rozdziela „posiadłości" ZSSR i Niemiec na terytorium niepodległego państwa litewskiego.

A więc to to miał w zanadrzu Mołotow, gdy po porozumieniu się z Ribbentropem powiedział do Natkevicziusa, że oczekuje od Litwy szczególnie przyjaznej postawy.

(...)

Próbowałem protestować przeciwko takiemu dzieleniu niepodległego państwa. Powiedziałem, że Litwa mogła tego oczekiwać od kogoś innego, lecz nie od przyjaznego Związku Sowieckiego. Mówię, ale też powstrzymuję się — przed oczami majaczy mi Wilno, miasto i kraj, przecież aby je odzyskać dla Litwy jej rząd mnie tu wysłał.

Stalin wyjaśnia, że Związek Sowiecki w żadnym wypadku nie chce takiego podziału, iż to Niemcy domagają się owego pasa litewskiego pogranicza, ale jeśli zrezygnują ze swego żądania, wtedy również ta strefa pozostanie przy Litwie. Możemy natychmiast — kontynuował Stalin — zaprosić ambasadora Niemiec von Schulenburga i omówić z nim ten problem.

Mołotow nadmienia:

— Jakiekolwiek państwo imperialistyczne zajęłoby Litwę i na tym koniec. My tak nie czynimy. Nie bylibyśmy bolszewikami, jeśli nie szukalibyśmy nowych dróg.

Stalin konkretyzował:

— Musimy z wami podpisać dwa układy: jeden w sprawie zwrotu Wilna, drugi — o wzajemnej pomocy.

Rozłożył na stole drugą mapę Litwy. Ta przedstawiała obraz przyjemniejszy dla litewskiego serca. Linia zaznaczona na mapie pokazywała, że Wilno i pewną część terytorium na wschód o niego odstępowano Litwie. Linia szła zupełnie niedaleko od stolicy. Oddawanemu terytorium daleko było do obszaru przyznanego Litwie na mocy układu pokojowego z 12 lipca 1920 roku.

Powiedziałem Stalinowi, że rząd litewski wysyłając mnie do Moskwy myślał tylko o kwestii wileńskiej i upoważnił mnie jedynie do prowadzenia rozmów z rządem sowieckim w tej sprawie.

— Traktat o wzajemnej pomocy — kontynuuję swoją myśl — jest rzeczą nową, nie jestem upoważniony do jej rozważania i dlatego będę musiał powrócić do Kowna, aby powiadomić mój rząd o tym, co usłyszałem od Panów. Aby jednak moje sprawozdanie było konkretniejsze, należałoby zapoznać się z treścią proponowanego układu.

Sowieccy mężowie stanu odpowiedzieli na to, że nazajutrz przedstawią nam projekt traktatu.

Prawdę mówiąc jutro już się zaczęło, ponieważ z Natkievicziusem wyjechaliśmy z Kremla dobrze po północy.

Po powrocie do ambasady, długo tam nie pobyliśmy i dzwonek telefoniczny znów zaprosił nas na Kreml.

Przyjechaliśmy około godziny drugiej w nocy. Oczekiwały nas te same osoby co poprzednio. Przedstawili nam projekty dwu układów: jeden w sprawie przekazania Litwie Wilna i Wileńszczyzny, drugi dotyczył wzajemnej pomocy między Litwą i ZSSR. Projekt drugiego układu przewidywał dla Związku Sowieckiego prawo do wprowadzenia na terytorium Litwy swojej armii i stałego jej tam utrzymywania. Dokładnie nie pamiętam, jaki miał być kontyngent, ale nie mniejszy niż 50-tysięczny.

Po zapoznaniu się z tym projektem powiedziałem:

— Ależ to jest okupacja Litwy!

Stalin i Mołotow uśmiechnęli się. Pierwszy stwierdził, że początkowo podobnie mówiła też Estonia. Związek Sowiecki nie ma zamiaru stwarzać zagrożenia dla niepodległości Litwy. Przeciwnie, wojska wprowadzone na Litwę będą stanowiły dla niej prawdziwą gwarancję, że ZSSR będzie je bronił, jeśli by ktoś ją napadał, armia ta służyć będzie zatem sprawie bezpieczeństwa samej Litwy.

— Nasze garnizony pomogą wam zdławić komunistyczne powstanie, jeżeli takowe wybuchłoby na Litwie — dodał Stalin i uśmiechnął się.

Może Mołotow zrozumiał, jak przygniatające wrażenie zrobiły na mnie i Natkievicziusie te słowa Stalina, gdyż zaczął wyjaśniać, że Związek Sowiecki pozostaje tak jak był przyjazny wobec Litwy, a zawarcie układu o wzajemnej pomocy proponuje w trosce o jej dobro. Z Estonią taki traktat już podpisano i Estonia nie skarży się nań. Z Łotwą też zostanie szybko podpisany. Czyżby Litwa chciała zepsuć cały system obrony?

Przypomniałem, że posiadane instrukcje nie pozwalają mi na toczenie rozmów w sprawie wprowadzenia sowieckich garnizonów na Litwę; mówię o tym hipotetycznie, pragnąc jedynie uzyskać informacje, które pomogłyby mi, po powrocie do Kowna, na złożenie pełniejszego sprawozdania memu rządowi, pytam, czy kontyngent nie mógłby zostać zmniejszony do 20 tysięcy i umieszczony tylko na terytorium odzyskanym, pozostawiając dawny obszar nie zajęty.

Stalin ostro odpowiada, że garnizony muszą być utrzymywane także w niektórych miejscowościach na dawnym terytorium Litwy. Do Kowna nie pretenduje, ponieważ dla rządu posiadanie w miejscu swego przebywania wojska innego kraju nie byłoby sprawą przyjemną. Część wojsk, które powinny być wprowadzone, zostanie umieszczona także na Wileńszczyźnie, oczywiście nie w samej stolicy, ale powiedzmy, w takiej Nowej Wilejce. W sprawie ostatecznej wielkości kontyngentu niby można będzie jeszcze pomówić.

Można by powiedzieć, że wszystko zostało wyjaśnione. Wstajemy z Natkievicziusem do wyjścia. Jak gdybym w żartach znajdował pociechę nad swym nieszczęśliwym losem — dopiero co przyszło doznać uderzenia od Niemiec, które oderwały okręg kłajpedzki, a teraz znów taki cios...

Stalin natychmiast reaguje:

— Niemcy oderwali od was terytorium, my natomiast przeciwnie, dajemy wam. Jakież może być porównanie!

— W żadnym wypadku nie porównuję — powiedziałem — metod zastosowanych przez Niemcy wobec nas z metodami Związku Sowieckiego. Jestem nawet bardzo wdzięczny, że tak trudną dla Litwy kwestię rozważają Panowie z nami w atmosferze rozmów.

Mołotow zaproponował nam, by połączyć się z rządem telefonicznie i uzyskać potrzebne pełnomocnictwa. Odpowiedziałem, że rozważanie takiej sprawy drogą telefoniczną jest niemożliwe. Stalin poparł mnie.

Ciekawy zbieg okoliczności. Kiedy Ribbentrop przedstawił ultimatum w sprawie oderwania okręgu kłajpedzkiego i gdy powiedziałem, że muszę wyjechać do Kowna, aby zawiadomić rząd o ulitmatum, wtedy Ribbentrop, podobnie jak teraz Mołotow,

zaproponował mi, abym drogą telefoniczną uzyskał od mego rządu pełnomocnictwa do przyjęcia ultimatum.

Wilno! Garnizony wojskowe...

Tego samego ranka wylatuję przez Wielkie Łuki i Rygę do Kowna. Wiozę ze sobą projekty dwu układów i dwie mapy Litwy. Na jednej zaznaczono część Wileńszczyzny ze stołecznym Wilnem, którą oddawano Litwie, na drugiej natomiast nakreślono linię strefy nadgranicznej odrywanej od Litwy na rzecz Niemiec.

Projekt pierwszego układu spełniał oczekiwania narodu litewskiego, zwracając mu oderwane przez Polskę od Litwy stołeczne Wilno wraz z częścią jej terytorium, którą Związek Sowiecki przyznał Litwie na podstawie układu pokojowego z 1920 roku.

Projekt drugiego układu ustanawiał na Litwie sowieckie garnizony wojskowe — miecz Damoklesa zawisły nad jej niepodległym bytem.

Po porozumieniu się Związku Sowieckiego z Niemcami w sprawie Litwy, los tej ostatniej stał się zależny tylko od ZSSR, od jego dobrej lub złej woli.

A Wilno!!!

Niepowtarzalna okazja, by je odzyskać!

Być może nawet jedyna!

Wilno odzyskane, prawda, że z wielką hipoteką, ale jeśli po upływie dziesięciu lat będzie można ją przekreślić, wówczas samo Wilno pozostanie przy Litwie! Dopóki w Europie toczyła się wojna, hipoteka ta była dość zrozumiała, a nawet usprawiedliwiona. Jeśli oczywiście nie kryła podstępnych zamiarów. Jeśli ...

Tym samym samolotem wyleciał z Moskwy ambasador Finlandii w Związku Sowieckim Paasikivi wraz z żoną. Obserwowałem ich z daleka. Wydawali się spokojni, w dobrych nastrojach. Szczęśliwi ludzie, szczęśliwy kraj! Widocznie oni nie mają takich zmartwień...

Przyszłość pokazała, że wystarczyło zmartwień także dla nich.

Związek Sowiecki po założeniu swoich baz wojskowych w Estonii, na Łotwie i na Litwie, zechciał je uzyskać także od Finlandii. Odmówiła ona jednak podpisania proponowanego jej w tej sprawie układu. 1 grudnia 1939 roku wybuchła między obu państwami wojna, która skończyła się podpisaniem układu pokojowego 12 marca 1940 roku. Zgodnie z traktatem Finlandia odstąpiła Związkowi Sowieckiemu przesmyk Karelski z miastem

Vipuri (Wyborg) i wydzierżawiła na trzydzieści lat półwysep Hanko.

W Kownie referowałem sytuację rządowi, a tymczasem Łotwa podpisała w Moskwie układ o wzajemnej pomocy, rzecz jasna, zgadzając się na garnizony sowieckie na swym terytorium. Urzędnik niemieckiego ministerstwa spraw wewnętrznych, zapytany przez naszego ambasadora o porozumienie niemiecko-sowieckie, które przydzielało Rzeszy specjalny pas terytorium litewskiego, powiedział, że Niemcy umywają od tej sprawy ręce (*lassen diese Sache unter den Tisch fallen*).

Jeśli wyżej cytowane dane encyklopedii francuskiej są ścisłe, Niemcy hitlerowskie za swe *désintéressement*, tj. za rezygnację z pasa cudzej ziemi, otrzymały później od Związku Sowieckiego siedem i pół miliona dolarów zapłaty.

Rząd litewski zdecydował się zaproponować Związkowi Sowieckiemu zawarcie układu o wzajemnej pomocy, ale bez wprowadzania w czasie pokoju na terytorium Litwy garnizonów sowieckich. Układ ten przewidywałby jednak ścisłą współpracę wojskową w czasie pokoju, żeby po wybuchu wojny od razu możliwe było przeciwstawienie się wrogowi wspólnymi siłami.

Oznacza to, że według koncepcji rządu litewskiego zawierane są dwa układy:

1. Układ w sprawie Wilna — w takiej postaci, w jakiej proponuje Związek Sowiecki;

2. Układ w sprawie wzajemnej pomocy — bez uprzedniego wprowadzenia w czasie pokoju sowieckich garnizonów wojskowych, przewidujący jednak, jak już wspomniano, ścisłą współpracę wojskową obu państw.

W celu prowadzenia dalszych rozmów w Moskwie wyjeżdża większa delegacja. Teraz wchodzi w jej skład jeszcze wicepremier Kazys Bizauskas i dowódca armii Staszys Rasztikis. Minister spraw zagranicznych pozostaje przewodniczącym delegacji. W rozmowach bierze oczywiście udział również litewski poseł w Moskwie, Ladas Natkeviczius.

Nasze słowa jak grochem o ścianę

Może pod wieczór 7 października delegacja przyleciała przez Rygę do Moskwy i zatrzymała się w hotelu „Nacional". Tego samego wieczora przedstawiciele Litwy zostali zaproszeni na Kreml. Tam przyjęli ich Mołotow, Potiomkin i Pozdniakow.

Tak więc znów jesteśmy na Kremlu. Siedzimy z Mołotowem, jeden naprzeciw drugiego, na samym końcu tego długiego

stołu konferencyjnego, niedaleko od wcześniej wspomnianych drzwi otwartych na drugie pomieszczenie. Po mojej prawej stronie siedzą Bizauskas, Natkeviczius i Rasztikis; na lewo od Mołotowa — Potiomkin i Pozdniakow. Koniec stołu jest pusty.

Zaczynam przedstawiać swe nasycone niepokojem myśli. Przypominam przeszłość Litwy, podkreślam, że nie jest ona jakimś nowym tworem, lecz że naród litewski już w dawnych czasach żył jako niezależny, że kocha wolność i że to umiłowanie wolności nigdy w nim nie zanikło. Przypominam czasy caratu, zakaz druku w alfabecie łacińskim, przetrwanie Litwinów na ziemi litewskiej w ostatnim miejscu. Przeszedłem następnie do układu pokojowego z 12 lipca 1920 roku, opartego na zasadzie wolnego samookreślenia narodów, wysoko wyniesionej przez rewolucję październikową, do układu, który oba kraje zawarły swobodnie, bez żadnych elementów przymusu i po wsze czasy.

Z kolei przedstawiłem, jak korzystny wpływ miało takie swobodne i szlachetne zawarcie układu pokojowego dla stosunków litewsko-sowieckich, które od momentu podpisania tego traktatu aż do ostatniego dnia były jak najlepsze. Na Litwie — kontynuuję — ZSSR cieszy się dużą sympatią. Idee głoszone przez Związek Sowiecki na temat pokojowego współżycia narodów i oparcia stosunków międzynarodowych na prawie i praworządności były i pozostają dla nas swojskie i bliskie. Litwa zawsze była lojalna wobec ZSSR i nigdy nie brała udziału w żadnych intrygach, knutych przeciwko niemu na arenie międzynarodowej.

Przechodzę następnie do układu o wzajemnej pomocy. Mówię, że w przekonaniu rządu litewskiego wprowadzenie garnizonów sowieckich i założenie dla nich baz na ziemi litewskiej w czasie, gdy ani Litwa, ani ZSSR nie prowadzą z nikim wojny, zasiałoby ziarno nieufności i skierowało je przeciwko Związkowi Sowieckiemu, ponieważ naród litewski takiego wprowadzenia armii nie mógłby odczuć inaczej niż jako okupację. Pojawiłyby się stałe źródła nieporozumień między armiami, a także między sprowadzonym wojskiem a ludnością cywilną. Na arenie międzynarodowej pobyt obcej armii na terytorium Litwy zdegradowałby ją do statusu państwa zależnego.

Takie, w oczywisty sposób, nieusprawiedliwione wprowadzenie wojsk jednego kraju na terytorium drugiego nie przyniosłoby nic dobrego dla sprawy bezpieczeństwa ani ZSSR ani Litwy. Bezpieczeństwu obu państw o wiele lepiej służyłby wolny układ obronny obu suwerennych państw.

Widzę, że Mołotow słuchając kiwa jakby potakująco głową. W moim sercu rozpala się nadzieja — może... Jak później

powiedzieli mi pozostali członkowie delegacji, oni także poczuli to samo.

W drzwi, które widniały na skrajnej ścianie, wszedł Stalin. Ponury podchodzi do stołu konferencyjnego. Można było pomyśleć, że przysłuchiwał się przebiegowi posiedzenia z drugiego pokoju. Wstajemy, aby się przywitać.

Powiedziałem do Stalina:

— Kiedy Pana nie było, przedstawiłem panu premierowi (tu pokazałem oczami na Mołotowa) pogląd rządu litewskiego na rozpatrywane przez nas zagadnienie. Jeśli Pan pozwoli, powtórzę krótko moje argumenty.

— Dobrze — powiedział Stalin — usiądźcie panowie.

Siadamy i tylko Stalin stoi nadal.

Powtarzam zwięźle, co wcześniej powiedziałem. Gdy mówię, patrzę na stojącego Stalina, który, jak widzę, niecierpliwi się i przeszkadza replikami. Streszczam się, ale również moje skrócone wystąpienie ucina jak nożem:

— *Wy sliszkom mnogo dokazywajetie* (Pan za dużo dowodzi!)

Reasumuję:

Rząd litewski akceptuje myśl zawarcia traktatu o wzajemnej pomocy, chociaż proponuje własny projekt układu, który nie naruszając niepodległości kraju, będzie, w przekonaniu rządu, stanowił prawdziwszą gwarancję bezpieczeństwa. Istotna różnica między Pańskim i naszym projektem jest taka, że dopóki bieg wojny europejskiej nie uczyni tego nieuniknionym, Związek Sowiecki nie wprowadzi swych wojsk na terytorium Litwy.

Ani Stalin, ani Mołotow nie okazali nawet najmniejszego zainteresowania litewskim projektem układu o wzajemnej pomocy. Przypomnieli znów, że jakiekolwiek państwo kapitalistyczne w takich okolicznościach po prostu zajęłoby Litwę. Wyjaśnili też, że Związek Sowiecki wcale nie dokonuje zamachu na niepodległość Litwy.

Następnego dnia (było to być może 8 października), kiedy spostrzegłem, że argumenty nie grają żadnej roli, prosiłem Stalina, aby w imię przyjaźni litewsko-sowieckiej zrezygnował z wprowadzenia swych garnizonów na terytorium Litwy. Odpowiedział krótko i ostro:

— *Niet!*

Wówczas powiadamiam, że muszę uważać moje pełnomocnictwa za wyczerpane, ponieważ rząd litewski upoważnił mnie do podpisania ze Związkiem Sowieckim traktatu o wzajemnej pomocy, który nie przewiduje wprowadzenia na terytorium Litwy stałych garnizonów wojsk sowieckich. Jeśli Związek Sowiecki nie zgadza się z tym, delegacja nasza będzie musiała

zreferować swemu rządowi powstałą sytuację i prosić go o nowe instrukcje. Powtarzam pytanie, które postawiłem w czasie pierwszego spotkania. A mianowicie: jeśli rząd litewski oczywiście w ogóle zgodziłby się na wprowadzenie armii sowieckiej na obszar Litwy, czy Związek Sowiecki nie zadowoliłby się mimo wszystko utrzymaniem swych garnizonów tylko na odzyskanym przez Litwę terytorium, tj. jedynie na Wileńszczyźnie.

— Garnizony muszą być tu i tu — powiada na to Stalin.

8 lub 9 października gazety moskiewskie opublikowały doniesienia (ze zdjęciami z Wilna, które pozostawało wówczas pod władzą sowiecką) o odbywających się tam wiecach i demonstracjach. Nie mogę powiedzieć, czego wtedy żądano, ponieważ nie mam teraz tych gazet. Sądzę, że domagano się ostatecznego przyłączenia Wilna do Związku Sowieckiego lub, co jest z tym równoznaczne, wprowadzenia ustroju sowieckiego, gdyż wiece wysuwające inne hasła nie mogłyby dojść do skutku. (Przepisując na nowo moje wspomnienia, dowiedziałem się od pewnego historyka sowieckiego, że na wzmiankowanych wiecach i demonstracjach żądano przyłączenia Wilna do Białorusi).

Tak czy inaczej, 8 października Mołotow skierował uwagę delegacji litewskiej na owe doniesienia gazet i dodał, że rząd Związku Sowieckiego nie będzie mógł dłużej uspokajać ludzi pracy Wilna i nie zwracać uwagi na ich żądania.

— Byłoby dobrze, żebyście jeszcze dziś otrzymali pełnomocnictwa do podpisania układu o wzajemnej pomocy — zakończył swoje ostrzeżenie.

Podpisanie

9 października wicepremier Kazys Bizauskas i dowódca armii Staszys Rasztikis udali się do Kowna, aby powiadomić rząd o przebiegu rozmów.

Przed rządem litewskim stał następujący wybór:

1) albo podpisuje układ, którego żąda Związek Sowiecki, dający mu prawo utrzymywania w niektórych miejscowościach na terytorium Litwy garnizonów o uzgodnionym stanie liczebnym i odzyskuje Wilno wraz z częścią obszaru Wileńszczyzny;

2) albo nie podpisuje tego układu i wówczas nie odzyskuje Wilna i wchodzi w śmiertelny konflikt ze Związkiem Sowieckim. Jaką formę mógł przybrać ten konflikt, przykonująco pokazało doświadczenie Finlandii, o którym wcześniej wspomniano. Dlatego rząd litewski, rozumiejąc sprawę, wybrał pierwsze wyjście.

10 października Bizauskas i Rasztikis powrócili do Moskwy z tą decyzją rządu.

Całą delegacją przybyliśmy ponownie na Kreml.

Wydawało się, że teraz, kiedy rząd litewski przyjął żądanie ZSSR, nie będzie już więcej trudności. W rzeczywistości nie wszystko tak się potoczyło.

Na Kremlu przyjęli nas Mołotow, Potiomkin i Pozdniakow. Stalina nie było. Mołotow zakomunikował nam, że rząd sowiecki zdecydował połączyć dwa wcześniejsze teksty układu (w sprawie powrotu Wilna i wzajemnej pomocy) w jeden: „Układ w sprawie przekazania Republice Litewskiej Wilna wraz z okręgiem wileńskim i wzajemnej pomocy między Litwą i Związkiem Sowieckim".

Zapoznając się z tym nowym projektem, delegacja litewska zauważyła, że termin ważności układu został przedłużony do 15-tu lat. Termin te dotyczył jednak tylko artykułów II-VII, które ustanawiały obowiązek niesienia wzajemnej pomocy przez oba państwa. Artykuł (pierwszy), mówiący o przekazaniu Litwie Wilna wraz z okręgiem wileńskim, był bezterminowy, tj. opiewał na wieczność.

Gdy dalej rozmawialiśmy, dowiedzieliśmy się, że również kontyngent wprowadzanych wojsk zwiększył się. Staraliśmy się wyrazić naszą niezgodę na te zmiany, ale Mołotow krótko i mocno oświadczył, że tak zadecydował sam Stalin i dlatego nie możemy już niczego zmienić. Kazał przynieść tekst w starej redakcji z poprawkami naniesionymi ręką Stalina.

— Widzicie — powiedział Mołotow, pokazując ten super-argument.

Powiedziałem do niego:

— Chcielibyśmy powrócić do ambasady, w celu naradzenia się.

— Naradzajcie się tu, damy osobny pokój.

— Dla nas wygodniej byłoby w poselstwie.

Po przyjechaniu do ambasady szukamy pokoju, gdzie byłoby „najbezpieczniej" rozmawiać.

Rzecz w tym, że budynek poselstwa był wynajęty od państwowego funduszu mieszkaniowego ZSSR; kiedy trzeba było coś naprawiać, dom odwiedzali sowieccy majstrzy. Pracownicy ambasady byli prawie pewni, że są tu zamontowane tajne mikrofony. No ale cóż... Może rzeczywiście Mołotow wiedział, co mówi, kiedy proponował, żeby rozmawiać tam, na Kremlu...

Stwierdziwszy, że czy będziemy rozmawiać czy nie, nic lepszego nie wytargujemy, „postanowiliśmy" przyjąć zmiany.

Wracamy na Kreml, oprócz Mołotowa, Potiomkina i Pozdniakowa znajdujemy starszego wiekiem wojskowego, przedstawiciela dowództwa Armii Czerwonej.

— Okazuje się, że Sztab nie skopiował sobie linii strefy odstąpionej Niemcom. Dajcie im mapę, którą wręczyliśmy wam w czasie pierwszego spotkania. Oni zaraz skopiują tę linię i mapę zwrócą — powiedział Mołotow.

Wyjmuję z teczki mapę i przekazuję wojskowemu, dodając:

— Tylko koniecznie prosimy o zwrot.

— Oczywiście, oczywiście, skopiujemy i zwrócimy.

I tyle widzieliśmy mapę...

Nadchodzi Stalin i Mołotow odzywa się do niego:

— *S litowskimi druzjami wsio uże ułażeno* (z przyjaciółmi litewskimi wszystko zostało już załatwione).

— Skoro tak — odzywa się Stalin — zanim kancelarie wszystko przygotują, możemy teraz wyznaczyć pełnomocnego ministra dla Litwy. Rzecz w tym, że po odwołaniu Kraskiego, Pozdniakow działał tylko jako *chargé d'affaires.*

— Co o tym myślicie? — zwraca się do Mołotowa.

— Trzeba pomyśleć — odpowiada ten.

Ponieważ pytanie zostało postawione przy nas, również ja uśmiechając się wtrącam:

— Po co dalej szukać, macie przecież pana Pozdniakowa, który dobrze zna Litwę.

Pozdniakow, trochę zmieszany, mówi coś niejasno, usłyszałem tylko słowo „zmęczenie".

— Ty co, w więzieniu siedziałeś? — pyta go wprost Stalin.

— Nie, ale... — Pozdniakow wspomina jakieś rodzinne nieszczęścia.

Na drugi koniec stołu konferencyjnego podano ciepły posiłek i napoje.

Nadchodzą Woroszyłow i Żdanow, który ma od kilku dni niegoloną brodę.

Częstujemy się i rozmawiamy.

Stalin śmieje się z ambasadora Polski (o nazwisku, zdaje się, Grzybowski), który wymyślił sobie wyrazić protest przeciwko wkroczeniu armii Związku Sowieckiego na terytorium Polski 17 września; potępia Rydza-Śmigłego, który uciekając z Polski pozostawił swój naród w nieszczęściu. Taki to i przywódca.

Woroszyłow żartuje:

— Proponowaliśmy Ribbentropowi, żeby Niemcy i Japonia przyjęły nas do paktu antykomunistycznego.

Woroszyłow zdawał się mieć poczucie humoru.

Nadchodzi niewysoki mężczyzna, możliwe, że z kancelarii, by o coś zapytać. Stalin nalewa mu pełną szklankę wódki i mówi:

— Pij!

Mężczyzna trochę kryguje się, a Stalin do niego:

— *Pej, pej, nieczewo tut! Russkij czełowiek wypit' lubit* (Pij, pij, nie przejmuj się, Rosjanin lub wypić).

Mężczyzna przechyla szklankę i wypija do dna. Stalin proponuje mu, by coś zakąsił.

— Dziękuję! Nie trzeba! Po co?

Funkcjonariusz powiadamia, że układ został już przygotowany do podpisania. Wszyscy idziemy do dużego biurka Mołotowa. Wpuszczają dwu fotografów. Podpisujemy, Mołotow i ja, na razie tylko rosyjski tekst układu. Litewskiego nie skończono jeszcze przygotowywać, podpiszemy go jutro we dwu z Mołotowem.

Teraz scenę podpisywania przez nas układu uwieczniają fotografowie. Za biurkiem ze strony sowieckiej stoją Stalin, Woroszyłow, Żdanow, Potiomkin i Pozdniakow, a z naszej — Bizauskas, Rasztikis i Natkeviczius.

Układ podpisany. Wracamy do wieczerzy. Jeszcze tam siedzimy. Wreszcie pora wychodzić. Wstaję...

— Nie, nie, siadajcie! Pójdziemy jeszcze do kina — nie pozwala Stalin.

I rzeczywiście, wkrótce zjeżdżamy windą w dół i wchodzimy na podwórze Kremla. Świeże powietrze otrzeźwia nas. Idziemy ze Stalinem pierwsi. Przed nami staje stara, nieduża, jakby nieco przygarbiona cerkiewka. Skręcamy pod jej portalem.

— Po niej przechadzał się Iwan Groźny — mówi Stalin.

Schody prowadzą w dół, powiedzielibyśmy do piwnicy.

Nowatorskie wnętrze rozprasza reminiscencje starych czasów wywołane przez wygląd zewnętrzny.

W pewnej odległości od ekranu ustawione są ławki — może około ośmiu. Siadamy na oddzielnych ławkach: Stalin z Bizauskasem, Woroszyłow z Rastikisem, ja ze Żdanowem. Mołotowa w cerkiewce już sobie nie przypominam — być może pozostawiono go w domu i zniknął. Po naszej prawej stronie jest nisza, najpewniej miejsce dawnego ołtarza bocznego. W niszy stoi stół ze słodyczami i napojami.

Na ekranie parada sportowców i wesoły film. Wreszcie pojawia się napis: „Koniec". Czy już do domu, to jest do hotelu? Nie!

Stalin każe wyświetlić inny film. Teraz na ekranie, jeśli dobrze pamiętam, „Wołga, Wołga". Być może po tej rzece płynie statek pełen wesołej młodzieży. Śpiewają. Grają. Żdanow szeptem zachwyca się, chwali, wyjaśnia mi. Wszystko to jednak zaledwie dosięga mojej świadomości. „Żeby już chociaż raz skończyło się..."

Skończyło się.

Było już po siódmej godzinie rano, kiedy wyjeżdżaliśmy z

Kremla do hotelu. Kłaść się czy nie kłaść? Już widnieje. Dzwonię na kelnera. Przychodzi uprzejmy, dość jeszcze młody, męski, ubrany na biało.

Witamy się. Pytam, czy mógłbym dostać poranne gazety i kawę.

— Kawę tak, ale gazet jeszcze nie ma. Dziś dlaczegoś spóźniają się. Być może będzie coś specjalnego — mówi.

Gazety ukazały się dopiero po południu. Na pierwszych stronach owoc naszej nocnej pracy — podpisany układ ze zdjęciem przedstawiającym scenę jego podpisywania.

O godzinie drugiej na Kremlu we dwu z Mołotowem kończymy nocną pracę — podpisujemy litewski tekst układu. Mołotow — choć do rany przyłóż.

Napomknąłem o wyjeździe.

— Ależ nie! My naszych przyjaciół tak nie wypuszczamy. Musimy jeszcze was ugościć.

Bankiet

Około godziny 17-tej w sali Georgijewskiej na Kremlu odbywa się uroczysty obiad. Ze strony sowieckiej, pamiętam, brał udział Stalin, Mołotow, Mikojan, Woroszyłow, Kaganowicz, Bułganin i inne, mniej znane osoby; ze strony litewskiej natomiast delegacja i personel ambasady. W centrum stołu siedzą, naprzeciwko siebie, Stalin i Mikojan. Ja siedzę po prawej stronie Stalina, na lewo od niego — Mołotow i Natkeviczius. Po drugiej stronie stołu, na prawo od Mikojana siedzi Bizauskas, a dalej Bułganin; na lewo od Mikojana — Woroszyłow, następnie Rasztikis. Przy Stalinie stoi oddzielna butelka; tylko z niej nalewa się do jego szklanki. Wznosimy toasty bez znaczenia, rozmawiamy. Mikojan z drugiej strony sali mówi do mnie:

— Jakie piękne miasto wam oddajemy! Jakie inne państwo by tak postąpiło?

Stalin na to:

— *Wilno im prinadležit po prawu* (Wilno należy do nich na mocy prawa).

I zachęca Mikojana do zabrania głosu. Ten wstaje i gorąco mówi mniej więcej tak:

— My z przyjaciółmi potrafimy być przyjaźni. Przyjaciołom niczego nie żałujemy. Ale — mówi coraz goręcej pokazując na siebie, na serce — ale na piersi, przy sercu trzymamy ostry kindżał dla tych, którzy nas rozczarują.

Kaganowicz siedzi po mojej prawej stronie. Mówi, że Wilno nie jest miastem litewskim, ponieważ jego mieszkańcy w

większości nie są Litwinami. Na to Stalin reaguje, stwierdzając, że w miastach ze względu na warunki historyczne często osiadają obcokrajowcy i trzeba patrzeć nie na same miasta, lecz na kraj, na którym się one opierają, na skład narodowy. Skład mieszkańców miast szybko się zmienia.

Woroszyłow powiedział coś, co nie spodobało się Stalinowi. Co to było, nie usłyszałem, tylko zobaczyłem, że Stalin przywołał go do porządku. Woroszyłow zimno spojrzał na Stalina, ten zaś zwrócił się do mnie i powiedział:

— *My etich wielikodzierżawnikow poszczołkali nie mało i poszczołkajem ich jeszczo* (Myśmy tym imperialistom dali niemało prztyczków i damy im jeszcze).

Zaczęła się rozmowa na temat praw republik związkowych. Pytam Stalina, czy rzeczywiście republiki które zechcą, mogą wystąpić ze składu Związku Sowieckiego.

— Tak, gdy zechcą — mogą, ale w każdej z nich po to jest partia komunistyczna, żeby nigdy nie zechciały.

Może przy tej samej okazji zainteresowałem się jego narodowością.

— Tak — powiedział Stalin, — z pochodzenia jestem Gruzinem, ale już dwadzieścia pięć lat mieszkam w Rosji i teraz czuję się bardziej Rosjaninem niż Gruzinem.

Tego samego wieczora wyjechaliśmy koleją do naszej ojczyzny. Na Dworzec Białoruski odprowadzał nas Mołotow i inni wyżsi urzędnicy sowieccy z wojskową kompanią honorową.

Przyzwyczajamy się do garnizonów. Grom z jasnego nieba

Po podpisaniu układu o wzajemnej pomocy sowieckie garnizony wojskowe niezwłocznie założono w Nowej Wilejce, Gajżunach Janowskich, Prenach i w Olicie. Gdy garnizony przybyły i ulokowały się, codziennie powstawało niemało problemów, ale kiedy obie strony okazywały dobrą wolę, wszystkie one były szybko zadowalająco rozwiązywane.

Teraz Pozdniakow był już nadzwyczajnym posłem i ministrem pełnomocnym.

Emocje uspokoiły się. Życie szło swoją drogą. Dopóki toczyły się rozmowy — bez względu na to jakie one były — targowaliśmy się, broniliśmy naszych stanowisk i poglądów, lecz teraz istniał ważny układ i rząd litewski był zdecydowany wypełniać go lojalnie i wiernie. Mimo to, w głębi serca ani my, ludzie rządu, ani przeciętni obywatele, nie żywiliśmy silnego przekonania, że druga strona rzeczywiście będzie przestrzegała

VII artykułu układu, dotyczącego suwerennych praw i niemieszania się do spraw wewnętrznych.

Przy różnych okazjach jako przedstawiciele rządu uspokajaliśmy społeczeństwo (a mogę dodać, że również siebie samych) za pomocą publicznych oświadczeń, mówiliśmy, że państwo litewskie pozostało jak było poprzednio niepodległe i całkowicie suwerenne. Nasze oświadczenia powtórzyła prasa sowiecka, tym samym jakby wyrażając dla nich również swą aprobatę.

Chciało się też porozmawiać z ludźmi rządu sowieckiego w sprawie tych niepokojących problemów, z czego są zadowoleni, a z czego nie, dowiedzieć się, co myślą, jakie są na przyszłość perspektywy stosunków między obu państwami.

Z tą myślą zastukałem do Pozdniakowa i spytałem, czy po nieoficjalnym przyjeździe do Moskwy mógłbym mieć nadzieję na spotkanie ze Stalinem i Mołotowem. Bez wątpienia Pozdniakow doniósł o tym do Moskwy, lecz stamtąd żadnego odgłosu nie doczekano się...

W 1940 roku, może około połowy maja, przyszedł do mnie do ministerstwa spraw zagranicznych Sobolew, przybyły z Moskwy sekretarz generalny komisariatu ludowego spraw zagranicznych. Przyznał, że objeżdża garnizony sowieckie w Estonii, na Łotwie i na Litwie.

— Zarówno w Estonii jak też na Łotwie sprawy te są dobrze prowadzone, ale najlepiej jest u was, na Litwie — oświadczył mi z zadowoleniem.

Powiedziałem, że bardzo miło mi usłyszeć to uznanie i dodałem, iż rząd litewski poświęca tej sprawie dużo uwagi oraz czyni wszystko, co może, aby problemy wyłaniające się przed sowieckimi garnizonami były rozwiązywane szybko i w sposób możliwy do przyjęcia przez obie strony.

Nie upłynęło dużo czasu i na Litwę przybył generał sowiecki Łoktionow. On również przyszedł do mnie do ministerstwa. Spokojny, uprzejmy, zachowywał się jak podczas rutynowej wizyty. Po paru słowach dotyczących podróży opowiedział, że kilku wojskowych sowieckich na Litwie zostało przez kogoś zawleczonych do jakiejś piwnicy i tam trzymano ich przez kilka dni. Później może dwum z nich udało się z owej piwnicy uciec rurami kanalizacyjnymi lub wodociągowymi i powrócić do swych garnizonów.

W głowie dotychczas pozostało wrażenie, że generał opowiedział o tym spokojnie, bez wzburzenia lub złości. Opowiedział tak, jak opowiada się jakieś zasłyszane dziwne przygody lub anegdoty. Jego opowiadanie zupełnie nie miało zabarwienia *démarche*, zarzutu lub żądania.

Muszę przyznać się, że ja również przyjąłem tę wiadomość jak niewesołą anegdotę, tak wydawała się niewiarygodna.

Nie wierzę w to dotąd, zwłaszcza dlatego, że strona sowiecka, obwiniwszy później rząd litewski z powodu omawianego wydarzenia, unikała, jak później zobaczymy, jego zbadania.

Generałowi Łoktionowowi zaznaczyłem, że to, o czym opowiedział, brzmi tak fantastycznie, iż wydaje się jak z „Tysiąca i jednej nocy". Uśmiechnął się na to, uśmiechnąłem się również ja, jeszcze o czymś porozmawialiśmy i generał Łoktionow pożegnał się i wyszedł.

25 maja 1940 roku Mołotow wzywa Natkevicziusa na Kreml. Przyjmuje ambasadora litewskiego zimno, może nawet trochę wrogo, bez cienia dawnej życzliwości i powiada, że musi w imieniu rządu Związku Sowieckiego złożyć rządowi litewskiemu oświadczenie na piśmie. Bierze ze stołu pismo, głośno je czyta i podaje Natkevicziusowi.

Prawdziwy pokaz tragicznego scenariusza.

Rząd Związku Sowieckiego oświadcza:

1) że niedawno znów zniknęło dwu żołnierzy z wojskowych oddziałów sowieckich przebywających na Litwie;

2) że Związkowi Sowieckiemu jakoby rzeczywiście wiadome jest, iż znikanie wojskowych organizują osoby, pozostające pod opieką organów rządu litewskiego, upijają oni sowieckich wojskowych, wciągają ich do popełniania przestępstw, a następnie przygotowują im ucieczkę lub likwidują ich.

Dalej stwierdzano, że rząd Związku Sowieckiego uważa takie zachowanie organów litewskich za prowokacyjne i mogące mieć poważne następstwa oraz żąda, aby rząd litewski zaprzestał prowokacyjnych działań, które organizują agenci znani jego organom i natychmiast przedsięwziął środki, celem odnalezienia zaginionych żołnierzy i przekazania ich zarządowi garnizonów sowieckich na Litwie.

Na końcu pisma dodano, że rząd Związku Sowieckiego oczekuje, iż rząd litewski podejmie kroki celem zadośćuczynienia wysuniętym żądaniom i nie zmusi rządu sowieckiego, by odwołał się do innych środków!

Oświadczenie, jak każdy widzi, pełne było twardych, lecz gołosłownych sformułowań, które insynuowały winnych. Towarzyszyła im groźba użycia innych środków!

Nie przedstawiono jednak konkretnych i ujawnionych danych lub wskazówek, które pozwoliłyby uchwycić koniec nici wiodących do kłębka i zacząć poszukiwania.

Powstało takie wrażenie, że Stalin i Mołotow szukają powodów do sprzeczki, które pozwolą, jak mówi przysłowie, znaleźć dziurę w całym.

Spotkaliśmy się u prezydenta republiki: premier i ministrowie obrony kraju, spraw wewnętrznych i spraw zagranicznych. Ministrowie obrony i spraw wewnętrznych twierdzili, że nic im nie wiadomo na temat żadnych „agentów otoczonych opieką" przez ich resorty, którzy organizują „prowokacyjne działania".

Jak rząd może zaprzestać „prowokacyjnych działań", o których nic nie wie i w sprawie których nie przedstawia się żadnych wskazówek?

Ministrowie obrony kraju i spraw wewnętrznych zostali mimo to zobowiązani do dokładnego sprawdzenia organów, które znajdują się pod ich zarządem i zbadania, czy rzeczywiście nie zaszło coś podobnego do twierdzeń zawartych w oświadczeniu Mołotowa.

Sprawdzili i zbadali. O niczym podobnym organy te nie wiedziały.

26 maja wręczono ministrowi pełnomocnemu Związku Sowieckiego Pozdniakowowi notę, w której oświadczano, że rząd litewski nie dysponuje żadnymi danymi na temat inkryminowanych działań, jednak zgadza się natychmiast przeprowadzić najdokładniejsze śledztwo w sprawie podniesionych zarzutów i prosi o przedstawienie danych koniecznych dla tego celu, a przede wszystkim o wskazanie organów i osób, które ma na myśli oświadczenie Mołotowa.

Mołotow zareagował na notę przez litewskiego ministra pełnomocnego w Moskwie Natkievicziusa mniej więcej takimi słowami:

— *Notka Urbszysa nie proizwodit serioznogo wpieczatlenija* (Notka Urbszysa nie sprawia poważnego wrażenia).

I żadnych danych, które umożliwiłyby naszym organom rozpoczęcie działania nawet nie miał zamiaru dostarczyć, jednocześnie coraz bardziej podkreślając swoje niezadowolenie. Zły (naprawdę czy robił tylko takie wrażenie), wrogi, niecierpliwiący się, stale powtarzał, że nie może doczekać się żadnych kroków ze strony rządu litewskiego.

Jakich kroków potrzebował, wiedzieli tylko Bóg oraz oczywiście Mołotow i Stalin.

„Jakiekolwiek imperialistyczne państwo zajęłoby Litwę i na tym koniec. My nie czynimy tego. Nie bylibyśmy bolszewikami, jeśli nie szukalibyśmy nowych dróg" — niezbyt dawno, jak pamiętamy, powiedział Mołotow.

Z dnia na dzień atmosfera stosunków zagęszczała się (dokładnie tak samo postępował też Ribbentrop i Hitler zanim oderwali Kłajpedę), wypuszcza się między obu państwami coraz więcej dymu, widocznie aby owe nowe drogi zasłonić.

/.../

28 maja 1940 roku rząd litewski wręczył rządowi Związku Sowieckiego nową notę, która informowała go, że wyznaczył specjalną komisję celem zbadania sowieckich zarzutów i powtórnie poprosił o przedstawienia informacji, bez których komisja nie może nawet rozpocząć swej pracy; jednocześnie rząd litewski zaproponował, by w pracach komisji wzięli również udział przedstawiciele garnizonów sowieckich na Litwie. Czy nie tego samego dnia wieczorem TASS ogłosił jednak publicznie zarzuty Związku Sowieckiego wobec Litwy? Sytuacja stawała się tragiczna. Z dnia na dzień Stalin i Mołotow terroryzują rząd litewski, wysuwając zarzuty i oskarżenia, których nie może on ani sprawdzić, ani wykryć, gdyż autorzy oskarżeń sabotują poszukiwania i śledztwo, nie wykazując nawet trochę dobrej woli. Unikając jeszcze większego zaognienia atmosfery i nadal żywiąc nadzieję na powrót stosunków na normalne tory, rząd Litwy ze swej strony nie składał żadnych publicznych oświadczeń, ponieważ nie mógłby powiedzieć nic innego poza zaprzeczeniem zarzucanych mu oskarżeń i wejść ze Związkiem Sowieckim w otwartą kontrowersję, jeśli nawet nie w konflikt. Zrozumiałe jest, że taka przymusowa powściągliwość rządu litewskiego w obliczu publicznych i kategorycznych zarzutów płynących z drugiej strony, wzniecała znaczny niepokój społeczeństwa litewskiego.

W oświadczeniu TASSa wspomniano jednak o jednym prawdziwym wydarzeniu — o wypadku Butajewa. Czerwonoarmista ten oddalił się od swego oddziału i gdzieś ukrył się. Zarząd garnizonów sowieckich poprosił, aby organy litewskie odszukały Butajewa i dostawiły go do jego oddziału. Policja litewska długo nie mogła wykryć, gdzie się Butajew ukrywa, tym bardziej że nie można było ogłosić jawnych poszukiwań. Później policja wykryła kryjówkę Butajewa i przybyła do niego. Kiedy policja zażądała, aby poszedł z nią, Butajew wyskoczył przez okno. Policja nadbiegła. Czerwonoarmista, widząc, że się nie wyrwie, zastrzelił się. O tym wydarzeniu natychmiast powiadomiono zarząd wojsk sowieckich na Litwie, który wysłał na miejsce wypadku własną komisję. Sporządziła ona plan miejsca i zabrała trupa. Od razu pomyślano, że Butajew strzelił sobie w usta, gdyż płynęła z nich krew, ale organy sowieckie po zbadaniu zwłok i przeprowadzeniu sekcji wyjaśniły, że strzelił sobie w serce. Początkowo istniały pewne wątpliwości, czy Butajew zastrzelił się sam, czy też został zastrzelony, ale komisja sowiecka po sekcji zwłok przyznała, że popełnił samobójstwo. Na tym też skończył się wówczas ów bardzo nieprzyjemny wypadek. Teraz TASS wplótł go do swoich insynuacji.

Rząd litewski postanowił wysłać do Moskwy ministra spraw zagranicznych, aby ten dowiedział się, czego w końcu ZSSR życzy sobie od Litwy. Powiedziałem o tym Pozdniakowowi. Po kilku dniach telegrafuje z Moskwy Natkeviczius, że Mołotow chce porozmawiać z premierem.

7 czerwca do Moskwy przybywa premier Litwy Antanas Merkys i pozostaje tam do 12 czerwca. W tym czasie kilkakrotnie spotyka się z Mołotowem. Ten z palca wysysa teraz nowe oskarżenie: ponoć Litwa razem z Łotwą zawarła konwencję wojskową skierowaną przeciw Związkowi Sowieckiemu. Jest to czczy wymysł; Estonia i Łotwa miały wzajemną, zawartą na początku ich niepodległościowego bytu i ogłoszoną publicznie konwencję woskową, która dawno już była wszystkim znana, a najlepiej wiedział o niej Związek Sowiecki, gdyż zawarł z tymi państwami wspomniany układ o wzajemnej pomocy; Litwa jednak nigdy nie przyłączyła się do estońsko-łotewskiej konwencji wojskowej ani nie zawarła z nimi jakiegokolwiek innego układu wojskowego.

11 czerwca do pomocy A. Merkysowi rząd wysłał jeszcze ministra spraw zagranicznych. Tego samego dnia wieczorem obu przyjmuje Mołotow. Wyjaśniamy, że jak zawsze przedtem, tak również w obecnych warunkach międzynarodowych, Litwa dąży do przyjacielskich stosunków ze Związkiem Sowieckim, opartych na obopólnej lojalności i wierności dla układów.

●

Ka-ta-stro-fa!

14 czerwca o północy Mołotow wzywa mnie na Kreml. Przybywamy z Natkevicziusem.

— Muszę złożyć rządowi litewskiemu bardzo ważne oświadczenie — powiedział Mołotow i wziąwszy ze stołu pismo, czyta je głośno.

W pierwszej części ultimatum wyłożone były zarzuty, w drugiej — żądania. Zarzuty rozdzielone były na dwa punkty. Pierwszy powtarza groźniej twierdzenie Związku Sowieckiego o rzekomym porwaniu sowieckich wojskowych, teraz już wyraźnie twierdząc, że dokonały tego organy władzy litewskiej. Do tego punktu wpisane były jeszcze rzekome „liczne aresztowania i zsyłki do obozów koncentracyjnych tych obywateli litewskich, którzy obsługują oddziały armii sowieckiej". Wszystkie te insynuacje przedstawiono jednostronnie, jako fakty pokazujące, „że

rząd Litwy poważnie narusza" układ o wzajemnej pomocy i „przygotowuje napad (sic!) na garnizony sowieckie, wprowadzone na Litwie zgodnie z układem".

W drugim punkcie zarzutów twierdzi się, jakoby „rząd litewski stworzył razem z Łotwą i Estonią związek wojskowy". To wymyślone przez Mołotowa oskarżenie przedstawiano jako fakt, wskazujący, „że rząd litewski w sposób poważny" złamał IV artykuł układu o wzajemnej pomocy między Związkiem Sowieckim a Litwą.

W drugiej części ultimatum żądano:

1) aby minister spraw wewnętrznych Skuczas i dyrektor departamentu bezpieczeństwa Povilaitis zostali oddani pod sąd jako winni podejmowania działań prowokacyjnych przeciwko garnizonom Związku Sowieckiego na Litwie;

2) aby natychmiast na Litwie utworzono rząd, który potrafiłby i chciał zapewnić sumienną realizację układu o wzajemnej pomocy między Związkiem Sowieckim i Litwą i zdecydowanie zdławić opór jego wrogów;

3) aby natychmiast zagwarantowano wolny wstęp na terytorium Litwy oddziałom wojskowym Związku Sowieckiego, które zostaną rozmieszczone w najważniejszych ośrodkach kraju i będą wystarczająco liczne, by mogły zagwarantować możliwość wprowadzenia w życie układu o wzajemnej pomocy między ZSSR i Litwą oraz zagrodzić drogę prowokacyjnym działaniom, skierowanym przeciwko garnizonom sowieckim na Litwie.

Później następowało określenie terminu ultimatum:

„Związek Sowiecki oczekuje na odpowiedź rządu Litwy do godziny 10 rano dnia 15 czerwca. Nie otrzymanie do tego czasu odpowiedzi rządu litewskiego będzie uważane za odpowiedź zadowalającą żądanie Związku Sowieckiego, które powyżej wymieniono".

Mołotow, po przeczytaniu na głos pisma, podał mi je. Milcząc sam również je przeczytałem. Co robić? Co powiedzieć?

Milczę oszołomiony.

— Ultimatum to wzbudza u mnie trwogę o los Litwy — przemówiłem ostatecznie i sam czuję, że nie są to słowa, których należałoby użyć.

Słowa? Jak groch o ścianę.

Mołotow ze złością wykrzyknął:

— Dość handlujecie Litwą na prawo i lewo! Wiemy, jak martwi was jej los.

Przemilczam ten wybuch jego bezczelności i po chwili pytam:

— Czy nie można by było przedłużyć terminu ultimatum? Wkrótce będzie już godzina pierwsza w nocy. Nie zdążymy

przekazać ultimatum rządowi, a przecież trzeba jeszcze je zaszyfrować.

Mołotow na to odpowiada:

Motywy ultimatum nie są do przekazania, a te trzy punkty szybko zaszyfrujcie i do godziny 10 rano otrzymacie odpowiedź. Bez względu na to j a k a b y n i e b y ł a wasza odpowiedź, armia jutro w k r a c z a n a L i t w ę. (Jutro... nie jutro, ale dzisiaj, gdyż dzień jutrzejszy według czasu moskiewskiego już się zaczął. Wtedy na Litwie obowiązywał czas zachodnioeuropejski, który był o dwie godziny wcześniejszy od moskiewskiego).

Wracamy z Natkevicziusem do poselstwa. W kieszeni mamy piekący dokument. Czujemy się zhańbieni i rozbici.

Próbujemy dzwonić do Kowna, ale nie ma połączenia. Wszystkie linie są zajęte. Na szyfrowanie nie ma już czasu. Trzy punkty żądań wysyłamy otwartym telegramem.

Koniec końców nad ranem mamy połączenie z Kownem. Odzywa się ministerstwo spraw zagranicznych. Podchodzi dyrektor departamentu prawno-administracyjnego, Voldemaras Vytautas Czarneckis.

— Dzień dobry — mówię — do godziny dziesiątej muszę tu poinformować, czy rząd przyjmie lub nie przyjmie ultimatum Związku Sowieckiego. Co mogę powiedzieć?

Nie będę próbował zrekonstruować słów Czarneckisa. Brzmienie jego głosu wystarczająco pokazywało cały tragizm sytuacji. Czuję, że również moje pytanie brzmi w jego uszach dziwnie, prawie niezrozumiale. Jak gdyby mówił: jak tu może być mowa o przyjmowaniu bądź odrzucaniu ultimatum, skoro to niczego nie zmienia, wszystko jedno, przecież wojsko Związku Sowieckiego wkracza na litewską ziemię!

Ostatecznie zmęczonym, zdławionym głosem mówi:

— Przyjmuje.

Nie zaszkodzi w tym miejscu uczcić pamięć tego szlachetnego patrioty. Ożenił się z amerykańską Litwinką i stworzył piękną i liczną litewską rodzinę. Jego żona, jako urodzona w USA, miała prawo do obywatelstwa amerykańskiego, a wraz z nią także on sam. Po zajęciu Litwy przez Związek Sowiecki ambasada USA proponowała wydanie Czarneckisom paszportów amerykańskich, aby mogli z całą rodziną wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Czarneckis nie zechciał jednak rozstać się w dniach nieszczęścia ze swym krajem i pozostał na Litwie. Niestety, nie na długo. Przybysze deportowali go wraz z rodziną na Sybir. Tam zamknęli do łagru, gdzie zmarł. Żonę z czworgiem dzieci, „zapewniając realizację" układu o wzajemnej pomocy, deportowali za krąg polarny, nad ujście rzeki Leny.

15 czerwca rankiem wraz z Natkevicziusem prosimy o przyjęcie u Mołotowa.

Wkrótce dzwoni telefon.

— Mołotow czeka.

Przyjmują nas Mołotow i Pozdniakow.

Mówię:

— Rząd Litwy przyjmuje wasze ultimatum.

— Dobrze, powiedział Mołotow i podnosząc ton głosu, dodał: — ale wasz rząd nadal prowadzi wrogą wobec nas politykę. Właśnie dostaliśmy wiadomość, że mianuje Rasztikisa nowym premierem. Jak możecie bez naszej wiedzy i zgody wyznaczać nowego premiera?

— Ależ żądacie utworzenia nowego rządu... — próbowałem wyjaśniać.

— Tak, lecz musi on być dla nas do przyjęcia i dlatego w sprawie jego utworzenia musicie porozumieć się z nami.

A więc bez „błogosławieństwa" Związku Sowieckiego Litwa, państwo suwerenne, nie może już sama utworzyć nawet własnego rządu.

— No dobrze — mówi dalej już spokojniejszym głosem Mołotow. — Dziś poleci na Litwę nasz nadzwyczajny pełnomocnik. Jeszcze nie wiem, kto nim będzie.

I spogląda na mnie przez chwilę, nad czymś zastanawiając się.

— To z nim musi porozumieć się wasz prezydent w sprawie utworzenia nowego rządu. Z nim i z towarzyszem Pozdniakowem — zakończył.

Tym nadzwyczajnym pełnomocnikiem został mianowany wspomniany wyżej Dekanozow, zastępca komisarza ludowego spraw zagranicznych.

Telegrafujemy do Kowna o tym, co usłyszeliśmy od Mołotowa.

Natkeviczius mówi:

— Może jeszcze zatelegrafujemy, żeby Skuczas i Povilaitys nigdzie nie uciekli. Dlaczegóż mieliby obawiać się sądu? Jeśli zbiegną, będzie to jakby przyznanie się do zarzucanej im winy.

Telegrafowaliśmy... Byliśmy jeszcze tak naiwni... Wciąż jeszcze myśleliśmy, że nie bacząc na wszystko, Litwa pozostanie niepodległym państwem. Natkeviczius przypuszczał, że będzie miała status ówczesnej Mongolii. Sądziliśmy, że sąd litewski we własnym kraju publicznie rozpatrzy sprawę Skuczasa i Povilaitysa. Pierwszy punkt żądań ultimatum domagał się przecież, „aby minister spraw wewnętrznych Skuczas i dyrektor departamentu bezpieczeństwa Povilaitis zostali oddani pod sąd". Premier Merkys, rozkazując aresztować tych dwu funkcjonariuszy,

wykonywał żądane ultimatum. Ale czy ktoś słyszał o jakimś ich procesie? Albo nawet o ich losie? Zniknęli w labiryntach NKWD jak kamień w wodzie. Dopiero w latach 1982 i 1983 dowiedzieliśmy się z sowieckiej encyklopedii litewskiej, że Skuczas umarł w 1941 roku w Moskwie, i w tym samym roku, jak gdyby w porozumieniu z nim, zmarł również Povilaitis. Encyklopedia nie wskazuje tylko na miejsce jego śmierci. W pracy polskiego historyka Jerzego Ochmańskiego pt. „Historia Litwy" znajdujemy następującą wzmiankę: „Skuczas i Povilaitis, schwytani na granicy pruskiej, zostali uwięzieni i później straceni".

15 czerwca w moskiewskim Teatrze Wielkim wystawiano końcowy spektakl dekady białoruskiej. Oboje z Natkevicziusem otrzymaliśmy zaproszenia. Natkieviczius spytał się, czy pójdziemy.

— Nie — mówię — nie to mamy w głowie.

Natkieviczius przekonywał, aby mimo wszystko pójść. Przed kim demonstrować? Co to da?

Poszliśmy. Z jakichś względów, nie wiem, protokolarnych czy też innych, miejsce w loży dano mi obok ambasadora Niemiec von Schulenburga.

Ponieważ nazajutrz wyjeżdżałem, należało złożyć Mołotowowi wizytę pożegnalną. Ambasada zadzwoniła do protokołu dyplomatycznego. Stamtąd wkrótce powiadomiono, iż Mołotow, mimo że tego wieczoru bierze udział w przyjęciu wydanym na Kremlu dla Białorusinów, opuści na godzinkę bankiet i przyjmie mnie o wpół do dwunastej w nocy.

Przybyliśmy jeszcze raz na Kreml i teraz, przynajmniej ja, już po raz ostatni.

Mołotow, oderwany na godzinę od wieczerzy, przyjął nas w dobrym nastroju i spytał o moją opinię o Justusie Paleckisie. Powiedziałem, iż wydaje mi się, że jest on szczerym patriotą litewskim. Niczego wówczas nie wiedziałem i nie domyślałem się roli, jaką przewidział dla niego Kreml.

Żegnając się, Mołotow spojrzał na mnie i Natkevicziusa uważnie i powiedział:

— Będziecie mogli pracować także po wprowadzeniu nowego ustroju.

— Dziękuję.

Mołotow czuł się już całkowitym gospodarzem Litwy.

Następnego ranka, 16 czerwca, lecę rejsowym samolotem szwedzkim do Rygi.

Czym bliżej Łotwy, tym więcej widać sowieckich myśliwców na niebie. Tego samego dnia armia Związku Sowieckiego okupowała Łotwę i Estonię. Dwa niszczyciele podlatują z dwu

stron do naszego samolotu. Nakazują lądowanie i odprowadzają do lotniska wojskowego, pełnego samolotów bojowych. Z naszego wychodzi jakiś funkcjonariusz, który widocznie leciał razem z nami, pozostajemy, czekając na swoich miejscach. Po kwadransie powraca i „szwed" znów wzbija się w powietrze.

W Rydze przesiadłem się do pociągu i natychmiast na Litwę.

Juozas URBSZYS

Z litewskiego przyłożył Józef Darski

Stanisław DUZIK

DROGA DO WORKUTY

Był początek sierpnia 1945 roku. Rozpocząłem ósmy miesiąc pobytu w słynnym wileńskim więzieniu — Łukiszkach. Przed tym był miesiąc odsiadki w prowizorycznym więzieniu przy ulicy Słowackiego, naprzeciw byłej Wileńskiej Dyrekcji Kolejowej. Z tego pobytu pozostały wspomnienia: śledztwa, głodu, brudu i wszy.

Łukiszki, które w nienaruszonym stanie przetrwały wszystkie dawne i nowe zmiany władzy, zawsze miały powodzenie. Za cara siedzieli tu powstańcy i rewolucjoniści, w okresie międzywojennym komuniści. W czasie obrony Rosjanie, Litwini, znów Rosjanie, Niemcy i Rosjanie po raz trzeci, wsadzali tu niewygodnych dla siebie ludzi. Wśród nich zawsze byli Polacy.

W okresie trzeciego pobytu Rosjan w Wilnie (od lipca 1944 roku) Łukiszki miały szczególne powodzenie. Kompleks budynków więziennych, przewidziany na 2000 osób, mieścił teraz w swych murach około 16000 więźniów. W pojedynczych celach siedziało z reguły 6-8 osób, a na początku 1945 roku zdarzało się, że pakowano do pojedynek dwudziestu kilku ludzi.

W takim zagęszczeniu nie było mowy o chodzeniu, można było jedynie siedzieć i to z podwiniętymi nogami.

Tłok na Łukiszkach rozładowywały transporty kierowane w głąb Rosji. Na początku sierpnia 1945 roku objęty zostałem przygotowaniami do takiego transportu. Początkowo grupowano nas po kilkadziesiąt osób w dużych celach. Na 24 godziny

przed wyprowadzeniem z więzienia, zebrano nas w dużej sali — prawdopodobnie byłej kaplicy. Spędzono tu około 2000 osób. Władza nie próżnowała. Przeprowadzono dokładne sprawdzenie tożsamości i szczegółową rewizję osobistą.

W porze pomiędzy nocą a rankiem, w tym czasie ulubionym władzy, gdy ludzie są wyciągani z domów, a więźniów pędzi się na śledztwo, rozpoczęto wyprowadzać nas poza mury więzienne, po kilkadziesiąt osób. Tam natychmiast padała komenda — siadać! Otaczał nas gęsty kordon żołnierzy z psami i pochylonymi karabinami oraz kilkudziesięciu konnych. Formowanie przebiegało sprawnie. Widać było, że robią to fachowcy.

Wkrótce rozkazano nam wstać i dość pospiesznym krokiem weszliśmy na ulice śpiącego Wilna. Mijaliśmy Plac Łukiski, znany z corocznych jarmarków w dniu 4 III tzw. „Kaziuka" oraz egzekucji powstańców styczniowych. Kierunek marszu był oczywisty — dworzec kolejowy. Najkrótsza droga prowadziła ulicą zwaną Góra Buffałowa, obok naszego starego gimnazjum, słynnego gimnazjum imienia Króla Zygmunta Augusta, w którym uczył się Miłosz a my z Tadziem Konwickim zaliczyliśmy zaledwie jeden rok. Gimnazjum było zniszczone w czasie walk o Wilno w 1944 roku, sterczały tylko mury zewnętrzne. Dalej mijaliśmy gmach Dyrekcji Kolejowej i wspomniane już prowizoryczne więzienie przy ulicy Słowackiego.

Ulice były zupełnie puste, ale dwukrotnie zauważyłem na balkonach ludzi. Jeden z nich, widziałem to wyraźnie, robił zdjęcia. Był wczesny ranek, słońce zaczynało wschodzić. Czy zdjęcia się udały i przeżyły z ich autorem?

Przy końcu ulicy Słowackiego przed Instytutem Fizyki U.S.B przechodziliśmy koło różowego parterowego domu, otoczonego ogrodem. Znałem ten dom dobrze. Należał do Dyrekcji Kolejowej, był chyba siedzibą Związku Zawodowego Kolejarzy. Teraz uwagę moją zajął nie dom, ale grupka kobiet, które stały w ogrodzie i przyglądały nam się uważnie. Szczęśliwie szedłem przy samym skraju chodnika i dzięki temu widziałem dokładnie stojące kobiety. Wśród nich rozpoznałem wyraźnie Mamę.

Mama również mnie zobaczyła.

Nasze spojrzenia spotkały się...

Na rampie dworca kolejowego załadowano nas do wagonów towarowych z okratowanymi oknami i gniazdami karabinów maszynowych. Przed odejściem pociągu jeszcze kilka godzin nie zamykano drzwi wagonów. Konwojenci byli częściowo odprężeni — mieli za sobą przejście przez miasto, w czasie którego istniała teoretyczna możliwość ucieczki więźniów.

Za ogrodzeniem rampy, wśród zgromadzonych ludzi znów zobaczyłem Mamę tym razem z Ojcem. Widzieli mnie z daleka

w otwartych drzwiach wagonu. Rodzicom udało się jeszcze podać mi paczkę. Nic więcej już nie mogli mi pomóc.

Nadeszła godzina odjazdu i ruszyliśmy w nieznane.

W wagonie wśród kilkudziesięciu więźniów było kilku Polaków. Żadnego z nich przedtem nie znałem, ale w tych warunkach utworzyliśmy natychmiast zgraną paczkę i tak było do końca transportu.

Jechaliśmy wolno, następnego dnia znajdowaliśmy się jeszcze na terenach polskich. Ludzie na poboczach linii kolejowej przypatrywali się przejeżdżającemu transportowi w milczeniu.

Gdzieś w pobliżu dawnej granicy z Łotwą mijaliśmy gromadkę kobiet z dziećmi. Kobiety machały nam na pożegnanie przyjaźnie i uśmiechały się. Później w Rosji ludzie zwykle patrzyli na nasz transport obojętnie, a raz dzieci obrzuciły wagony kamieniami.

Musieliśmy przejeżdżać Dźwińsk, innej drogi nie było. Jadący z nami Łotysz dowiedział się od kolejarzy, że kierują nas na Psków.

W nocy jechaliśmy przez Łotwę. Okolica była słabo zaludniona, dużo lasów. Nad ranem nagle pociąg stanął. Słychać było krzyki ludzi, szczekanie psów, pojedyncze wystrzały. Przez okienko widzieliśmy dużą polanę, dwóch uciekających ludzi i gromadę goniących ich strażników z psami. Wkrótce ucieczka była zlikwidowana. Strażnicy krzyczeli, poganiali schwytanych. Gdy wszystko ucichło pociąg ruszył. Jaki był los uciekinierów nie wiadomo. Może przeżyli. Gdyby ich rozstrzelano na miejscu, prawdopodobnie zrobiono by pokazówkę, aby odstraszyć innych.

Nasza polska grupa w wagonie też planowała ucieczkę, ale nie byliśmy zdecydowani. Obserwowana nieudana próba i bliski wyjazd na tereny rdzennie rosyjskie, pozbawiły nas ochoty na podjęcie ryzyka. Transport był dobrze strzeżony. Co kilka wagonów rozmieszczone były gniazda karabinów maszynowych z reflektorami. Codziennie rano i wieczorem liczono więźniów i opukiwano deski wagonów drewnianymi młotami na długich stylach (pozwalało to na wykrycie nadpiłowanych desek).

Wyżywienie w transporcie, jak na warunki więzienne było względnie dobre. Codziennie kilka chochli gęstej kaszy z tłuszczem i kawałek chleba. Ponadto dawano ryby mocno solone. Rozsądni ich nie jedli. Ja tak, i później okazało się to fatalne w skutkach.

Z Pskowa jechaliśmy do Archangielska. W ciągu kilku następnych dni przesuwaliśmy się ciągle na wschód i było jasne, że nie wiozą nas do Archangielska.

W pobliżu Kotłasu na jednej z małych stacyjek podeszła do nas para staruszków. Uśmiechali się przyjaźnie. Kobieta powiedziała:

— Jedziecie na Workutę.

— My też mamy tam syna.

Za Kotłasem wjechaliśmy w krainę tajgi i łagrów. Resztki obozów, rozwalone baraki i charakterystyczne wieżyczki strażników towarzyszyły nam teraz w czasie jazdy. Były to pozostałości obozów w których więziono budowniczych linii kolejowej Kotłas — Workuta.

Transport nasz jechał przez te okolice jeszcze wolniej niż dotychczas. Dyscyplina była luźniejsza. Konwojenci niekiedy rozmawiali z nami. Dowiedzieliśmy się, że Japonia kapitulowała i wojna ostatecznie się skończyła. W naszej sytuacji oznaczało to, że nikt się o nas nie upomni. Pozostawało tylko czekać...

Na stacjach w czasie postojów pozwalano nam wychodzić z wagonów po wodę (oczywiście w asyście konwojentów). Po zjedzeniu słonej ryby miałem straszne pragnienie i w czasie takiego nabierania wody wypiłem jej bez umiaru ze studni stacyjnej. Skutki okazały się fatalne. Zachorowałem na czerwonkę i dostałem wysokiej temperatury. Więzienny felczer — kobieta, która jechała naszym transportem dawała mi jakieś lekarstwa, ale niewiele to pomagało. Bałem się, aby nie przydzielono mnie do wagonu-lazaretu i nie zdradzałem się z tym, że czuję się źle. Istniały obawy, że chorych mogą rozstrzeliwać. Jak się później okazało były to obawy nieuzasadnione.

Po kilkunastu dniach dojechaliśmy do celu. Wyładowano nas na stacji Workuta. Wokół była tundra porośnięta niewysokimi krzakami i osiedle baraków, w którym mieszkali ludzie wolni.

Skierowano nas do obozu oddalonego od Workuty kilkanaście kilometrów. Wymizerowany chorobą ledwo trzymałem się na nogach. Myślałem tylko o jednym, byle nie upaść, byle dojść do obozu.

Pełno w nim było Łotyszów, brudnych, wychudłych, w strzępach mundurów niemieckich. Byli to żołnierze walczący u boku Niemców, wzięci do niewoli w rejonie Rygi.

Nas umieszczono w barakach bez podłogi. Spaliśmy na gołej ziemi. Po jednym dniu odpoczynku wygnano nas do pracy.

Ładowaliśmy okruchy skał z hałd na ciężarówki.

Rozpocząłem życie obozowe, które miało trwać lata.

DWUNASTY KILOMETR

Przeklęty „Dwunasty Kilometr" — nazwa obozu najmniejszego, w jakim kiedykolwiek byłem i chyba najgorszego. Od tego czasu wydaje mi się, że nie „13" a „12" jest moją feralną

liczbą, chociaż to później nie zawsze się sprawdzało.

Żeby było śmieszniej, dostałem się do tego obozu dobrowolnie, na własną prośbę. Przed tą feralną decyzją pracowałem w obozie o równie prozaicznej nazwie „Pierwszy Kilometr". Pracowałem w porządnej brygadzie, w której brygadzistą był Martyniuk. Był to Białorusin, niski, krępy, o szerokiej twarzy z tkwiącymi w niej małymi mądrymi oczkami. Na wolności był naczelnikiem jednego z najlepszych w „Sojuzie" sowchozów. Pytającym go, jak osiągnął te wspaniałe wyniki odpowiadał:

— Pisałem najlepsze w całej republice sprawozdania.

Martyniuk był realistą, wiedział jak należy w obozie żyć, aby przeżyć. Naczelną jego dewizą było: możliwie najmniej pracować i możliwie najlepiej się odżywiać.

Hasło to, w założeniach swych bardzo proste, potrafił Martyniuk, co najciekawsze, realizować i to nie tylko odnośnie własnej osoby ale i ludzi mu podległych.

Pamiętam jakiej rady udzielił mi w czasie budowy tamy na rzece Workuta. Pracowało na tej budowie kilka brygad. Przed przystąpieniem do pracy brygadziści przynosili łopaty i kilofy, każdy dla swojej brygady. Sprzęt ten z reguły był w niedostatecznej ilości, często uszkodzony, nie nadający się do pracy. Ludzie na przynoszone narzędzia rzucali się, wyrywali sobie wzajemnie lekkie łopaty i dobrze osadzone kilofy.

Martyniuk zwalał narzędzia na ziemię i z boku przypatrywał się walkom. Kilkakrotnie i ja, w miarę swych sił, próbowałem walczyć o lepszą łopatę i kilof.

Wieczorem w baraku Martyniuk zaczął ze mną rozmowę:

— Po co tak walczysz codziennie o tę lepszą łopatę? To nie ma sensu. Stój spokojnie z boku i bierz to, co pozostanie.

— Zwykle to będzie pęknięta łopata lub kilof z nadłamanym trzonkiem.

— Takimi narzędziami niewiele zrobisz, ale się nie napracujesz.

— Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji, bo to nie z twojej winy. Ty byś chciał zrobić więcej, ale nie miałeś odpowiednich narzędzi.

Proste, ale nikt na to nie wpadł. Metoda ta, przynajmniej na krótką metę, zdawała egzamin, a to już było coś, parę dni nie pracować ciężko.

Wkrótce Martyniuk zdobył dla swojej brygady pracę — marzenie. Jedynym jej mankamentem było to, że odbywała się w nocy. Takiej jednak chałtury nawet w warunkach obozowych nie dałoby się urzeczywistnić w dzień.

Do pracy chodziliśmy za rzekę, na dużą hałdę. Z hałdy wybieraliśmy okruchy węgla do koszy i nosiliśmy je do oddalonej

o kilkaset metrów koparki parowej. Zapotrzebowanie koparki wynosiło kilkadziesiąt koszy węgla na dobę. Do wykonania tego zadania była przeznaczona cała brygada — kilkunastu chłopa, co oznaczało maksimum godzinę efektywnej pracy dla każdego w ciągu dniówki. Kilku ludzi stale na zmianę pracowało, lub udawało że pracuje. Pozostali grzali się przy ognisku. Kilku stale pełniło straż. Ci byli najważniejsi. Ostrzegali przed zbliżającą się kontrolą *proraba*[1]. W czasie takiej kontroli Martyniuk krzyczał na nas, wymyślał od leniów, poganiał. Później znów wszystko wracało do normy.

Sprawy wyżywienia — ta druga część maksymy brygadzisty — też były załatwione możliwie najlepiej. Dostawaliśmy najwyższe z możliwych normy wyżywienia, w nomenklaturze obozowej — najwyższe „kotły". Była to rano duża porcja chleba około kilograma, a na obiad oprócz zupy i kilku chochli kaszy porcja ryby lub konserwy amerykańskiej, słynnej *swinnoj tuszonki.*

Aż wierzyć się nie chce, że zapragnąłem czegoś lepszego. Ja, który już miałem trochę doświadczenia obozowego, nabrałem się na zwykłe plewy.

Przyjechali werbownicy i oświadczyli, że potrzebują kilkadziesiąt osób do lekkiej pracy w tzw. *sangorodku*[2]. Zgłosiłem się sam, nikt mnie nie zmuszał, a Martyniuk ostrzegał i radził

— Nie wierz im. Tu masz względnie dobre warunki, nie szukaj lepszych, bo wpadniesz.

Na próżno.

Już następnego dnia szliśmy z konwojem po nasypie kolejowym do tego „raju", którym okazał się „Dwunasty Kilometr". Obóz to był już jak wspomniałem malutki, dosłownie kilka baraków. Jedzenie — ta podstawa egzystencji — dużo, dużo gorsze niż w brygadzie Martyniuka. Praktycznie tylko krótkie chwile po połknięciu rannej porcji chleba, dawały uczucie zbliżone do sytości, później myśl o najedzeniu się wracała bez przerwy.

Do pracy chodziliśmy daleko, chyba kilkanaście kilometrów w tundrę. Budowaliśmy linię wąskotorową.

Efekty wyjątkowo mizernego odżywiania, nawet jak na warunki obozowe, dały znać o sobie szybko. Wychudłem i osłabłem bardzo.

W obozie nie było nawet baraku szpitalnego, tylko punkt sanitarny. Ludzi wynędzniałych było tak dużo, że chyba połowa kwalifikowała się do szpitala. Rzeczywistość jednak była taka, że

---

1. Prorab — skrót od *proizwodiaszczyj raboty* — kierujący pracą.
2. sangorodok — obóz specjalny dla chorych, rekonwalescentów, inwalidów. Lekka praca — lepsze wyżywienie niż normalne.

wszyscy chodzili do pracy. Już sama droga na budowę linii kolejowej, te kilkanaście kilometrów, była w tych warunkach wyczynem.

Przechodziliśmy przez most na rzece, następnie droga prowadziła koło przykopalnianego osiedla, gdzie w barakach mieszkali ludzie wolni. (Przeważnie Niemcy nadwołżańscy, skazani na wolne osiedlenie).

W osiedlu wdychaliśmy co rano zapach ciepłego chleba z lokalnej piekarni. Tego zapachu ani opisać, ani zapomnieć się nie da.

Jedynym Polakiem (oprócz mnie) był na „Dwunastym Kilometrze" Olek, student prawa U.S.B., sprzed wojny, syn zamożnego kupca. Olek był jeszcze gorzej niż ja zmaltretowany warunkami panującymi w obozie. Twarz miał opuchłą tak, że sprawiał wrażenie dobrze odżywionego człowieka. Ten wygląd był powodem wielu przykrości, jakie go spotykały. Ludzie pracujący z nim uważali go za bumelanta, lenia, urągali mu, krzyczeli na niego. A Olek naprawdę ledwo stał na nogach i nie miał sił do pracy.

Pracowaliśmy zwykle w nocy. Często przychodząc wymęczeni z pracy nie mogliśmy się położyć na pryczach, bo dokonywano dezynfekcji baraków. Polegała ona na polewaniu zapluskwionych prycz wrzątkiem. W tym samym czasie musieliśmy wynosić worki z trocinami, zastępujące nam materace i trzepać je. Ta zwariowana pseudo-dezynfekcja niewiele przynosiła pożytku, ale skutecznie pozbawiała nas upragnionego wypoczynku.

Inicjatorem tej „walki o czystość" była żona naczelnika obozu, pełniąca funkcję obozowego inspektora sanitarnego.

Na „Dwunastym Kilometrze" miejscem, gdzie szczególnie dbano o czystość była łaźnia, do której pędzono nas raz na dwa tygodnie. Mieściła się w niewielkim baraczku poza drutami obozu nad rzeczką. Podstawą jej wyposażenia były dwie duże beczki: jedna z wodą gorącą, druga z zimną. Szefem łaźni i całym jej personelem była gruba nadwołżańska Niemka.

Rytuał mycia w łaźni był prosty. Gromada gołych, wynędzniałych i brudnych postaci ustawiała się w kolejkę. Gruba Niemka na głowę każdego wylewała łyżkę żółtej, śmierdzącej i gryzącej mazi. Prawdopodobnie była to mączka rybna, rozpuszczona w roztworze sody kaustycznej. Ta wstrętna mieszanina rozlewała się po głowach więźniów, mieszała z brudem i z wolna, stróżkami ciekła po całym ciele. Później dostawało się jedną chochlę, wielkości pół wiadra wody gorącej i dwie chochle wody zimnej, które szefowa wlewała do małych szaflików. Tam każdy spłukiwał rozmazany po całym ciele brud.

Po „umyciu się" otrzymywaliśmy gorącą odzież z odwszalni. Brudne, śmierdzące po rozgrzaniu fufajki i spodnie wkładaliśmy na siebie i wracaliśmy do obozu.

Wiedzieliśmy z Olkiem, że pobyt na „Dwunastym Kilometrze" musi się kiedyś skończyć. Czekaliśmy na ten dzień z utęsknieniem.

Czas płynął wolno i jednostajnie. Chodziliśmy do pracy, z pracy wracaliśmy do obozu, byliśmy głodni i coraz słabsi.

Doczekaliśmy się kolejnego lata, które przychodziło tu nagle po zimie, bez wiosny. Słońce przypiekało coraz mocniej a my grzaliśmy się w jego promieniach, siedząc na nasypie kolejki. Ten dzień pamiętam wyjątkowo dobrze. Tundrą ciągnęło kilkutysięczne stado reniferów. Słychać było szczekanie psów i krzyki goniących stado krajowców[3]. W pewnym momencie zwrócił naszą uwagę mały renifer, który zgubił się i został w tyle. Radził sobie nieumiejętnie, grzązł w zaspach śniegu, którego płaty pokrywały jeszcze tundrę. Posuwał się coraz wolniej i odległość między nim a sprawnie poruszającym się stadem stale rosła.

Głodne oczy więźniów widziały tylko jedno — kilka kilo mięsa w odległości kilkuset metrów. Konwojent nie oponował i kilku najbardziej sprawnych popędziło w stronę szamoczącego się małego zwierzaka. Mieli już chyba połowę drogi za sobą, gdy od stada oderwał się dorosły renifer i szybko zbliżył się do małego. Pomógł mu wygramolić się z zaspy, popychał pyskiem, zmuszał do biegu. Wkrótce matka — bo któż inny mógł to być — i mały połączyli się ze stadem.

Ludzie bez łupu wrócili na nasyp. Patrząc dość obojętnie początkowo na ten pościg nagle uświadomiłem sobie, że cieszę się z ocalenia małego zwierzaka. To było pocieszające, że mogłem jeszcze tak myśleć.

Wkrótce z Olkiem i gromadą współtowarzyszy opuściliśmy „Dwunasty Kilometr". Mieliśmy nadzieję, że przyszłość będzie lepsza.

Z Olkiem spotkałem się jeszcze raz na Workucie w obozie SZu-2. Był w dużo lepszej formie niż na „Dwunastym Kilometrze". W roku 1950 wyszedł poza druty obozu i został zesłany na wolne osiedlenie do Krasnojarskiego Kraju. Do dziś nie wiem czy przeżył to wszystko i czy wrócił do Polski.

---

3. krajowcy — to byli Neńcy (samojedi) hodowcy reniferów. Lud rasy mongolskiej. Workuta była wyłączona z Nenieckiego Okręgu Autonom. i przyłączona do Autonomicznej Socj. Rep. Komi, należącej do Federacyjnej Republiki Rosyjskiej. Poza Neńcami do krajowców należeli Koniacy — ludność zbliżona do Finów. Podobno nieliczni jej przedstawiciele byli na emigracji w Finlandii. W swojej republice ulegli powolnemu, systematycznemu ruszczeniu.

DOKTOR KOWNAS

Często myślę o Tobie, Doktorze. Spotkałem cię w małym obozie nad rzeczką Ajacz-Jaga, o szerokości Czarnej Hańczy. Obozy małe, to było coś najgorszego. W małym obozie stosunek uprzywilejowanych do pracujących fizycznie decydował o wszystkim. A każdy „pridurok" to oznaczało — robota lekka i co więcej co najmniej podwójne porcje jedzenia. Uprzywilejowani to: lekarze, fryzjerzy, „chleboriezy", gromada różnego rodzaju urzędników, księgowych, kulturalno-oświatowych, planistów i dziesiątki innych.

Na nich wszystkich muszą zapracować fizyczni, pracujący na robotach ogólnych. Oni dostają oczywiście porcje jedzenia takie, jakie po obdarowaniu uprzywilejowanych pozostają do podziału. W efekcie dużo mniejsze niż to nawet niezbyt hojna władza przyznała.

Jeśli w małym obozie istniała jeszcze nieproporcjonalnie duża grupa kryminalistów zupełnie niepracujących a biorących z kuchni co najlepsze i kilkakrotnie więcej niż im się należało, sytuacja mogła być tragiczna.

Ilość wiktu państwowego, która przy przechodzeniu kolejnych magazynów i środków transportu, zwykle już poważnie uszczuplona docierała do obozu, tu dzięki uprzywilejowanym i kryminalistom ulegała dalszemu zmniejszeniu.

Niejednokrotnie doświadczałem tego na własnej skórze, a ściślej mówiąc na własnym siedzeniu. Tak, siedzenie bowiem, czyli pośladki, odgrywały w tych czasach i okolicznościach rolę niebagatelną.

Wszystkie transporty ludzi z obozu do obozu poprzedzone były — a jakże — komisją lekarską. Za stołem siedziała komisja w białych chałatach, przeważnie złożona też z więźniów, ale lekarzy. Badanie stanu zdrowia delikwenta polegało na zdjęciu portek i pokazaniu wysokiej komisji gołej d... Akt ten miał głęboki sens, bynajmniej nie wiążący się z chęcią obrażenia komisji. Pośladki — to miejsce gdzie najdłużej utrzymują się zasoby tkanki tłuszczowej. Jeśli więc na nich jej brak, to znaczy że właściciel jest zupełnym „dochadiagą" — tj. osobnikiem całkowicie wynędzniałym, zdolnym zwykle jedynie do wolnego chodzenia. Takich zdechlaków żaden obóz nie chce. Takiego najlepiej przenieść do innego obozu.

Każdy obóz ma swój plan produkcyjny. Naczelnik obozu rękami więźniów musi budować baraki, drogi, koleje, stadiony sportowe (taki stadion budowano w Workucie w latach czterdziestych). Naczelnik jak nie wykona planu może mieć nieprzy-

jemności, a ludzie przebywający w szpitalu lub „mili nieobecni" w tym mu nie pomogą.

Na podstawie zapadłych pośladków często zmieniałem obozy. Do tego nad rzeczką Ajacz-Jaga przyprowadzono mnie, kiedy dni były już dłuższe, ale śnieg pokrywał jeszcze tundrę.

Doktor Kownas był tu „szefem służby zdrowia". Podlegało mu dwóch lekarzy, felczer, inspektor sanitarny, sanitariusze i obozowy szpitalik na kilkadziesiąt miejsc. Doktor pochodził chyba z okolic Kowna. Był z pokolenia tych Litwinów, którzy płynnie mówili po polsku.

W obozie nad Ajacz-Jaga doczekałem lata, które obsypywało tundrę kwiatami, rojami komarów i „maszkary"[4].

Miejscem naszej pracy była duża odkrywka żwiru, tzw. „kariera". Była oddalona od obozu chyba o jakieś osiem kilometrów. Ta odległość była może mniejsza, ale tak mi się wydawało, bo z dnia na dzień byłem coraz słabszy.

Pochód do pracy zaczynał się od ustawienia przed bramą. Strażnicy odnotowywali nazwę brygady i liczbę ludzi na dużych kawałkach dykty w kształcie kuchennych desek do krojenia chleba. Poślinionym ołówkiem chemicznym odnotowywano wyjście, a skreślenie zapisu na desce szkłem oznaczało przyjście.

Przed wymarszem za bramę otoczeni strażnikami, wysłuchiwaliśmy znudzonego głosu naczelnika konwoju:

— Krok w prawo, krok w lewo uważany będzie za ucieczkę, strzelamy bez uprzedzenia.

Na sygnał do rozpoczęcia marszu ruszyliśmy. Szliśmy wolno, nikomu się nie spieszyło, ani konwojentom ani nam. Praca nie była ciężka. Drobny żwir zmieszany z piaskiem łatwo ulegał kilofowi i łopacie. Żwir ładowaliśmy na małe platformy wąskotorowej kolei. Praca rzeczywiście nie była ciężka, ale dla człowieka o normalnej sprawności fizycznej. A dla mnie... Ja już przy chodzeniu odczuwałem trudności.

Ciągnęło się to już przeszło dwa lata. Kilka miesięcy pracy, kilka tygodni w szpitalu z powodu wyczerpania i tak w kółko. Jak długo tak można egzystować. Może dwa, trzy, najwyżej cztery lata. Uratować może zmiana pracy lub wyżywienia, a najlepiej oczywiście jedno i drugie.

Ładowaliśmy więc żwir na te „nasze" platformy. Chociaż „ładowaliśmy" to było nie bardzo tak. Każdą platformę napełniało żwirem dwóch więźniów. Ze mną ładował wspólnie mój rówieśnik dwudziestolatek Lońka, w „cywilu" pospolity stołeczny złodziejaszek. Był silny. Na robotach ogólnych pracował

4. Chmary drobnych, niesłychanie dokuczliwych muszek, które atakowały oczy, nos, usta i niesamowicie gryzły.

nie więcej niż rok. Stąd ta konieczna korekta do słowa „ładowaliśmy".

Właściwie to Lońka napełniał żwirem platformy, a ja mu tylko częściowo pomagałem. Nie pamiętam aby robił mi z tego powodu wyrzuty, że praktycznie musi pracować za dwóch. Nie wiem czy mój wygląd świadczył o tym, że naprawdę nie obijam się, że więcej nie mogę — i to Lońce wystarczało za usprawiedliwienia. Może...

Pewnego dnia podobnego do innych wracaliśmy z pracy. Z powrotem szliśmy dużo szybciej niż do pracy. Spieszyli się konwojenci, my też, bo w perspektywie była cieniutka zupka i chochla rzadkiej kaszy — chwilowe niepełne oszukanie głodu. Szliśmy jak zawsze szybko, ale dla mnie tym razem stanowczo za szybko.

Straciłem przytomność i upadłem. Ktoś musiał mnie podnieść i dźwigać. Wśród wynędzniałych ludzi wielu nie może lub nie chce pomóc by nie stracić resztek sił. Na plecy wziął mnie Lońka. Na szczęście jego i moje, wkrótce odzyskałem świadomość i na własnych nogach wróciłem do obozu.

Brygadzista natychmiast zaprowadził mnie do doktora Kownasa. Doktor po krótkich oględzinach zdecydował głośno po polsku, że na ogólne roboty nie będę chodził. Zostawił mnie w szpitalu, jako pomoc do wszystkiego. Paliłem w piecach, nosiłem wodę, jedzenie dla chorych. Praca lekka w cieple, odżywianie dużo lepsze niż na „robotach ogólnych". Po kilku tygodniach pracy w szpitalu wydobrzałem zupełnie. Młody organizm regenerował się szybko.

Wkrótce po mojej karierze obozowej czekał mnie dalszy awans. Głównym tego powodem był rozkaz opuszczenia obozu przez wszystkie kobiety.

Było ich w naszym obozie niewiele, pracowały głównie w kuchni i łaźni. Jedna z nich, Wala, była kucharzem szpitalnym. Gotowała dla kilkudziesięciu podopiecznych doktora Kownasa. Teraz wraz z innymi kobietami musiała opuścić obóz a ktoś musiał ją zastąpić.

Gdy doktor Kownas powiedział, że powierza mi funkcję kucharza, na moje: „Ja nigdy w życiu nie gotowałem" — odpowiedział: „Nauczysz się, byle byś nie kradł".

Rzeczywiście, mimo wielkiego zwątpienia dawałem sobie radę. Miesiące mijały. Pobyt w szpitalu doktora Kownasa a następnie praca w kuchni stanowiły w moim życiu obozowym punkt zwrotny. Przerwany został łańcuch kolejnych pobytów w szpitalach obozowych.

Dziś w pełni zdaję sobie sprawę, że wówczas, tam nad rzeczką Ajacz-Jaga, doktor Kownas uratował mi życie.

SZU-2

Wiosną 1949 roku w obozach Workuty utworzono tak zwany Riecz-Łag — to znaczy wytypowano obozy w których miał obowiązywać wzmocniony rygor. Mieli w nich odbywać karę więźniowie polityczni, szczególnie groźni dla władzy i wyjątkowi kryminaliści.

Mimo stosunkowo niskiego wyroku (7 lat), tak jak większość Polaków zakwalifikowano mnie do Riecz-Łagru. W konsekwencji musiałem opuścić obóz nad rzeczką Ajacz-Jaga, pożegnać doktora Kownasa i pracę w kuchni.

Kandydatów do Riecz-Łagu znad rzeczki Ajacz-Jaga wysłano do pobliskiego obozu, obsługującego trzy małe kopalnie węgla podległe Zarządowi Kopalni nr 2, w oryginale Szarkuprawlenije nr 2, skąd skrót Szu-2 i nazwa obozu Szu-2.

Pierwszy raz w swoim życiu obozowym trafiłem do tak dużego łagru. Szacunkowo w obozie mogło przebywać od 5 do 7 tysięcy więźniów. Tutaj też po raz pierwszy byłem w obozie razem z katorżanami.

Katorżanie, byli to więźniowie z najwyższymi wyrokami, przeważnie 15 lub 20 lat. Wyróżniali się od pozostałych więźniów tym, że nosili na czapkach, plecach i nad prawym kolanem numery. Numery te były malowane czarną farbą na białych szmatkach przyszywanych do ubrania. Każdy katorżanin obowiązany był dbać o wygląd swego numeru. Za niewyraźny numer groził karcer. Każdy numer poprzedzała duża litera grażdanki. Kolejnej literze alfabetu podporządkowane były cyfry od 1 do 999. W obozie spotkałem też katorżan 2 tzw. „drugiego alfabetu" mających przed literą cyfrę 1 np 1B396. Oznaczało to, że katorżanie wyczerpali już wszystkie litery alfabetu i zmusili władzę do rozpoczęcia nowej trzydziestotysięcznej serii. Strażnicy obozowi zwracali się do katorżan nie wymieniając nazwiska, a jedynie właściwą literę i numer.

Na ile mi wiadomo, katorżanami byli wyłącznie więźniowie polityczni. Widziałem również w Workucie kobiety katorżanki, ale było ich stosunkowo mało. W obozach centralnej i południowej części Z.S.S.R. katorżan nie było.

Sprawa katorgi reaktywowanej w Z.S.S.R. z zachowaniem carskiej nazwy i numeracji więźniów jest interesująca i niejasna. Nasuwa się szereg pytań. Kto i kiedy utworzył w Z.S.S.R. katorgę? Czy rzeczywiście utworzono ją pod koniec wojny? W jakich rejonach Z.S.S.R. przebywali katorżanie? Czy istniał jednolity dla całego „Sojuza" system numeracji? Czy prawdą jest, że były w Z.S.S.R. obozy gdzie więźniowie jak carscy katorżanie

nosili kajdany? Kiedy i dlaczego zniesiono katorgę? Są to pytania na które odpowiedzieć by mogli ci co katorgę tworzyli lub ich archiwa.

Faktem jest, że w końcu lat czterdziestych nowi katorżanie nie przybywali już do obozów Workuty. Przysyłano natomiast więźniów politycznych nie katorżan z wyrokami wynoszącymi 25 lat.

W języku rosyjskim brzmiało to dźwięcznie i rytmicznie: dwacać piać, piać i piać. Oznaczało dwadzieścia pięć lat obozu, pięć lat przymusowego osiedlenia i pięć lat pozbawienia praw obywatelskich. W obozie Szu-2 spotkałem kilku młodych chłopców — siedemnastolatków, Polaków z okolic Grodna i Brześcia z takimi wyrokami. Byli z nami w obozie parę lat. Jak się ich losy później potoczyły, gdy my wracaliśmy do Polski nie wiem.

W Riecz-Łagu początkowo i nas oznakowano. Kazano nam malować na lewym rękawie dużą literę P. (pierwsza litera w słowie rosyjskim Riecz). Tą samą literą znakowano Polaków w hitlerowskiej Rzeszy.

Obóz Szu-2 obsługiwał trzy kopalnie: nr 12, nr 14 i nr 16. Mnie skierowano do pracy w kopalni nr 12. Przed rozpoczęciem pracy przez kilka dni objaśniano nam podstawowe zasady B.H.P. obowiązujące pod ziemią. W ramach tych „kursów" pierwszy raz w życiu zjechałem na dół. Była to kopalnia mała, prymitywna, eksploatująca cienkie pokłady. Ciemność, wąskie i niskie wyrobiska eksploatacyjne wyglądały tak jakby się zaraz miały zawalić.

Wywarło to na mnie przygnębiające wrażenie.

Po zakończeniu „kursów", naczelny inżynier, który je prowadził, skierował ich uczestników do poszczególnych podziemnych oddziałów produkcyjnych.

Wywołano wszystkich oprócz mnie. Naczelny inżynier nie wdając się ze mną w dłuższe rozmowy, zaprowadził mnie do kierownika lampiarni i polecił zatrudnić. Praca ta była wyśmienita, lekka i na powierzchni. Dostanie takiej pracy w obozie, bez protekcji było bardzo trudne — praktycznie niemożliwe.

Do dziś nie wiem, czym zdobyłem sympatię naczelnego inżyniera, który mnie jednego z całej kilkudziesięcioosobowej grupy nie skierował do pracy na dole.

Później dowiedziałem się, że naczelny był Żydem ożenionym z Polką i do Polaków odnosił się z dużą życzliwością. Ale czy w moim przypadku miało to jakieś znaczenie?

Bóg czuwał nade mną. Wprawdzie już wkrótce moje miejsce w lampiarni zajął inny protegowany i mnie posłano do pracy na dół, ale to nie była bardzo ciężka praca. Lampiarnia należała do oddziału wentylacji, którego głównym zadaniem było

ustawianie na dole wentylatorów i lutni (rur) doprowadzających świeże powietrze do wyrobisk górniczych. Właśnie do tych prac zostałem skierowany i powoli oswajałem się z dołem kopalni, który nie robił już na mnie przygnębiającego wrażenia.

W obozie Szu-2 spotkała mnie miła niespodzianka. Po raz pierwszy natrafiłem tu na dużą grupę Polaków. Nad rzeczką Ajacz-Jaga byłem przeważnie jedynym Polakiem. W innych obozach spotykałem kilku, najwyżej kilkunastu Polaków. Tu było ich kilkudziesięciu. Wielu rodaków pracowało w tym samym obozie od kilku lat, mieli dobrą pracę i znajomości w kierownictwie kopalni.

Polak Polakowi bratem — to w obozie było regułą. W Szu-2 dzięki pomocy rodaków żaden z Polaków nie pracował ciężko na dole. Wszyscy mieli pracę względnie dobrą. Często rodacy wspomagali potrzebujących dodatkowymi porcjami chleba. To była podstawa przetrwania — niewyczerpująca praca i znośne wyżywienie.

Mnie w obozie Szu-2, szczególnie w okresie początkowym pomogli dwaj Polacy, aresztowani w Wilnie za A.K. Był to Pan Marian i Pan Franciszek.

Dzięki nim dostałem się wkrótce na kolejne kursy — kształcące metaniarzy. Kursy ukończyłem i zdobyłem zawód górniczy, uwalniający od ciężkiej pracy w przodkach.

Praca metaniarza miała wiele zalet. W ramach swych obowiązków obchodziłem przydzielony mi rejon kopalni i wykonywałem pomiary zawartości metanu w wyrobiskach górniczych. Chodziłem po kopalni sam i sam byłem odpowiedzialny za swoją pracę. Ta samotność to było coś wspaniałego.

W ciszy i ciemności, odizolowany od innych ludzi „zupełnie sam". Mogłem stanąć, siąść, iść prędzej, wolniej, niepopędzany przez nikogo, w jakimś sensie wolny. Tego wszystkiego tak brak było w obozie. O tej niemożności odejścia od gromady, wyizolowania się, w warunkach obozowych pisał już Dostojewski w swoich wspomnieniach obozowych. Dobrodziejstwo samotności i ciszy odczułem po latach teraz w kopalni.

Nie wiem czy moje przypuszczenia są słuszne, ale wydaje mi się, że ten komfort psychiczny otrzymałem w odpowiednim czasie, gdyż groziło mi jakieś załamanie psychiczne. Były już tego pewne symptomy.

Początkowo pracowałem jako metaniarz w kopalni nr 12. Koledzy i brygadzista byli Ukraińcami lub Rosjanami. Praca była lekka ale stosunki w pracy nie najlepsze. Wkrótce nadarzyła się okazja i zacząłem pracować w kopalni nr 16. Tutaj brygadzistą był Polak — Józik. Urodził się i mieszkał w okolicach Wołkowyska. Za A.K. dostał katorgę — 20 lat.

O Józiku trudno mi pisać spokojnie. Józik opiekował się mną jak młodszym bratem. To głównie dzięki niemu ostatnie lata w obozie mogę zaliczyć do najlepszych. Józik kombinował dodatkowe porcje jedzenia, pilnował bym miał przyszyte guziki do kufajki, bo to wstyd aby Polak miał guziki mocowane na drutach i tak by można jeszcze długo wymieniać...

Do najbardziej charakterystycznych cech Józika należała wielka umiejętność współżycia z ludźmi i pogoda ducha. W jego brygadzie tylko my dwaj byliśmy Polakami — reszta to Ukraińcy, Rosjanie, Białorusini, Estończycy, Litwini, Łotysze, Kazacy, Uzbecy, Turkmeni, Gruzini, Niemcy. Cała ta międzynarodówka szanowała i lubiła Józika. Józik cieszył się również uznaniem kierownictwa kopalni.

Po Martyniuku z „Pierwszego Kilometra" znów spotkałem brygadzistę-ideał w osobie Józika, który był ponadto swoim chłopcem — Polakiem, czuł i myślał jak ja.

Życie obozowe Szu-2 układało się względnie dobrze*.

Poprawiło się jedzenie, ubranie, otrzymywaliśmy teraz normalne mydło do mycia, zmieniano nam bieliznę osobistą a nawet pościelową.

Ludzie względnie syci, wymyci, w czystej bieliźnie, mieszkający w czystych barakach, zapragnęli zaspokojenia potrzeb ducha. Zaczęto masowo czytać książki, utworzono bibliotekę obozową, organizowano drużyny piłkarskie, turnieje szachowe. Ukraińcy wystawiali sztuki teatralne. Ja otrzymałem z Wilna podręczniki matematyki i fizyki. Wieczorami przypominałem sobie dawne kompletowe nauczanie. Nie trwało to zbyt długo, bo w czasie rewizji zarekwirowano mi książki pisane niezrozumiałym językiem. Zabrano mi również „Pana Tadeusza", pierwszą książkę polską jaką czytałem po latach w obozie.

---

* Każde uogólnienie dotyczące życia w łagrze jest dość ryzykowne. Niejednokrotnie leżące obok siebie obozy charakteryzowały się odmiennymi warunkami życia więźniów. W okresie mojego pobytu w łagrze Szu-2 szczególnie ponurą sławę zyskała tak zwana „piaćsot pierwaja strojka". Była to budowa linii kolejowej przez Ural, z Workuty do portu Salehard. Ludzie ginęli tam masowo z wyczerpania.

W pobliżu Workuty istniał obóz karny zwany „Izwiestkowym". Więźniowie tego łagru pracowali w kamieniołomie wapieni (izwiest' — po rosyjsku wapno). Cała władza w tym obozie była w rękach kryminalistów. Strażnicy na teren obozu bali się wchodzić. W łagrze Ajacz-Jaga przyjmowałem transport więźniów z Izmiestkowego, który rozwiązano w końcu lat czterdziestych.

Kilkudziesięciu ludzi w łachmanach. Szli za mną milcząco i wolno do łaźni. Gdy się rozebrali, zobaczyłem szkielety powleczone skórą — wyglądali jak „muzułmanie" z Oświęcimia. Widziałem wielu ludzi w łagrach osłabionych, tuż przed śmiercią, ale tak wynędzniałych, jak ci z „Izwiestkowego", zobaczyłem po raz pierwszy. Tego nie można zapomnieć.

W tych pierwszych latach, każde zetknięcie się z książką a szczególnie polską książką było przeżyciem.

Posiadaczem opasłej polskiej książki — zbioru dzieł Adama Mickiewicza — był dr Dobrzański z Wilna. W czasie kolejnych rewizji i zmian obozu tłumaczył, że jest to podręcznik lekarski, a więc pisany po łacinie — to wystarczało i książka latami pocieszała rodaków.

W obozie Szu-2 spotkałem również księdza — Salezjanina, Ojca Kapustę. Malutki, siwiutki z cienką długą brodą. Pracował w łaźni jako prasowacz. Miał tam malutką klitkę mieszczącą jedynie łóżko i nocną szafkę. Odprawiał w niej msze święte. Byłem raz na takiej mszy świętej i przyjąłem komunię świętą.

Zbliżał się grudzień 1951 i koniec mojego wyroku. Kończyłem siedem lat odsiadki. Na dwa tygodnie przed 26 grudnia Józik, sobie tylko znanymi sposobami, załatwił mi zwolnienie z pracy. Siedziałem w baraku, wychodziłem do stołówki na jedzenie, rozmawiałem z ludźmi, ale ciągle powracała ta sama myśl, czy nie zapomną, czy zwolnią. Na ogół zwalniali akuratnie, ale nie zawsze. Siedział z nami poeta Ormianin, który skończył już swój wyrok kilka lat temu i siedział dalej. Na jego interwencje odpowiadano, że zwolnią go natychmiast, gdy nadejdzie odpowiedni *prikaz* z Moskwy.

No więc czekałem. Józik postarał mi się o piękny kuferek z dykty, zamykany na prawdziwą kłódkę. Leżały w nim dwie pary bielizny, kawał chleba i kilka rubli — skarb wielki, bo w obozie nie płacili pieniędzy.

Najgorszy był ostatni dzień. Pożegnałem się na wszelki wypadek z Józikiem, który rano szedł do pracy i już o niczym innym nie mogłem myśleć — przyjdą czy nie...

Przyszli.

Wyprowadził mnie konwojent bez karabinu na stację kolejową. Wsiedliśmy do normalnego pociągu i przedziału. Po tylu latach siedziałem koło wolnych ludzi. W Workucie z dworca poszliśmy do znanego mi dobrze obozu „Pierwszy Kilometr". Był to teraz tak zwany obóz rozdzielczy, tu zbierano więźniów wychodzących na wolność, załatwiano formalności z tym związane. Zrobiono mi zdjęcie, i po kilku dniach wręczono kartkę wielkości pocztówki ze zdjęciem i pieczątką. Był to „dokument" pozwalający na zamieszkanie jedynie w Workucie i poruszanie się w promieniu 25 kilometrów. Wręczający mi dokument oficer oświadczył mi, że jestem obecnie na tzw. wolnym osiedleniu, bez podania terminu jego zakończenia.

Było późne popołudnie gdy wyszedłem poza druty. Czułem się trochę nieswojo po tylu latach za drutami, nagle sam bez konwojenta. Padał śnieg i mróz tężał. Poszedłem szukać małżeństwa

Polaków, którzy obiecali mi nocleg w tych pierwszych dniach. Adres ich dał mi jeden z Polaków, jeszcze na Szu-2. Niestety okazało się, że pod podanym adresem drzwi były zamknięte. Wyjechali na kilka dni.

Było już zupełnie ciemno, ale ruch na ulicach Workuty był jeszcze dość duży. Pieniędzy na hotel nie miałem. Dworzec kolejowy na noc zamykano.

Zacząłem odmawiać różaniec i wierzyłem, że jakoś się to musi ułożyć.

W pewnym momencie usłyszałem dwóch ludzi rozmawiających po polsku. Byli to dwaj Polacy z Wilna. Zabrali mnie do siebie, nakarmili, przenocowali.

Była to pierwsza noc na „wolności" po siedmiu latach więzienia i łagrów.

JAK STENIA, PAN MARIAN I JA WRACALIŚMY DO POLSKI

Wszyscy troje byliśmy po odbytych wyrokach tak zwanych dziecinnych, trwających od 6 do 8 lat. Wyszliśmy na początku lat pięćdziesiątych poza druty łagrów w mieście Workuta, położonym poza kręgiem polarnym w Autonomicznej Sowieckiej Socjalistycznej Republice Komi.

W pogodne dni widać stąd było ośnieżone szczyty Polarnego Uralu oddalone o około 30 kilometrów, a do niewidocznego Morza Karskiego w prostej linii było około 160 kilometrów.

Po wyjściu z obozów tym razem bez wyroku skazani byliśmy na bezterminowe osiedlenie. Władza pozwoliła nam mieszkać w mieście Workuta i poruszać się w jego rejonie w promieniu dwudziestu pięciu kilometrów. Co dwa tygodnie mieliśmy obowiązek meldować o swej obecności oficerom w czapkach z malinowymi otokami.

Na nasze pytania, kiedy będziemy mogli wracać do kraju odpowiadali grzecznie z uśmiechem:

— Jak tylko otrzymamy odpowiednie rozporządzenie z Moskwy.

Kolejne lata mijały. Wydawało się, że moje skromne marzenie o złożeniu kości w ojczyźnie nie spełni się.

Umarł Generalissimus Stalin, rząd austriacki wynegocjował powrót swych obywateli z Z.S.S.R., Konrad Adenauer w wyniku korzystnych transakcji handlowych wyciągnął swych ziomków z obozów sowieckich. Wracali do R.F.N. piloci hitlerowscy, współpracownicy Gestapo i wywiadu hitlerowskiego.

O nas „faszystów" spod znaku A.K. nie upomniał się nikt. Oficerowie w czapkach z malinowymi otokami przy kolejnych próbach dowiadywania się o możliwość powrotu do Polski, odpowiadali z uśmiechem:

— Trzeba było strzelać do nas jak Niemcy, wówczas powrót byłby zapewniony.

Nasze osiedlenie trwało już przeszło trzy lata. Na częstych spotkaniach Polaków, których coraz więcej wychodziło spoza drutów, temat powrotu był stale aktualny. Ja zacząłem tracić nadzieję na powrót. Z naszej polskiej gromadki najmocniejsze duchem były panie. Stenia od początku z dziwnym uporem twierdziła — wrócimy, na pewno wrócimy.

Nadeszła wiosna 1955 roku i nadzieje na powrót zaczęły być realne. Gruchnęła wieść, że milicja zaczęła przyjmować podania na wyjazd do Polski. Podania takie uzupełnione dokumentami, stwierdzającymi posiadanie rodziny w Polsce złożyliśmy wszyscy troje: Stenia, Marian i ja, jako jedni z pierwszych w Workucie.

W końcu maja otrzymaliśmy zezwolenie na wyjazd do Polski i papiery upoważniające nas do odbioru paszportów w mieście Syktywkar — stolicy Autonomicznej Republiki Komi.

Mając wszechwładne papiery Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w ręce, formalności związane z wyjazdem załatwiliśmy szybko. Dyrektor kopalni węgla, w której pracowałem, major N.K.W.D., życzył mi powodzenia i zapewniał, że jeśli mi się w Polsce nie spodoba zawsze przyjmie mnie chętnie z powrotem do pracy.

Jeszcze tylko pozostało pożegnanie z Polakami i Rosjanami, wśród których spędziłem te ostatnie trzy i pół roku, spakowanie walizy i wspólny wyjazd naszej trójki na dworzec w Workucie.

Z tych ostatnich chwil na dworcu pamiętam niewiele. Wiem, że była dość duża grupa rodaków żegnających nas. Uśmiechnięci, wszyscy żartowali, ale niepewność czy i oni wyjadą była nam wszystkim wspólna. Przebyte lata wspólnych doświadczeń nie pozwalały na zbytni optymizm.

Jechaliśmy tą samą trasą co dziesięć lat temu w 1945 roku. Teraz normalnym pasażerskim pociągiem, czyściutcy, odkarmieni, radośni, a wtedy...

Linia kolejowa Workuta-Kotłas, którą pędził pociąg, ma swoją historię. Budowano ją w latach 1939-1941. Jadąc do Workuty w 1945 roku widzieliśmy jeszcze resztki baraków i wieżyczki obozowych strażników. Były to pozostałości obozów więźniów budujących kolej. Obozy przesuwały się wraz z postępem budowy linii kolejowej. Warunki pracy były podobno wyjątkowo trudne i wielu więźniów zmarło przy tej budowie.

Było wśród nich wielu Polaków z pierwszych wywózek w latach 1939-1940.

Natychmiast po wyjeździe z Workuty kontrolowano wszystkie wagony i pasażerów. Kontrola dokumentów powtarzała się kilkakrotnie. Było to zrozumiałe — Workuta należy do ośrodków koncentracji łagrów w Z.S.S.R., a linia kolejowa to jedyna praktycznie droga łącząca ze „światem".

Patrzyliśmy z zainteresowaniem przez okna pociągu. Początkowo towarzyszyła nam uboga roślinność tundry, pagórki porośnięte krzakami. Stopniowo coraz częściej zaczęły pojawiać się karłowate brzózki. Monotonia krajobrazu uśpiła mnie. Gdy przebudziłem się w nocy jechaliśmy już przez lasy iglaste. Był to początek tajgi. Pociąg jechał przez prawie bezludne okolice. Co jakiś czas mijaliśmy okoliczne domy, zbudowane z grubych bali drewna, usytuowane obok linii kolejowej. Prawdopodobnie mieszkali w nich ludzie zatrudnieni przy obsłudze linii kolejowej.

Pierwszym etapem naszej podróży była Uchta, miasto powstałe w związku z odkryciem złóż ropy naftowej, oddalone od Workuty około 600 kilometrów. Stenia miała tu trochę znajomych, między innymi koleżankę z Wilna, u której zatrzymaliśmy się. Z Uchty chcieliśmy się dostać do Syktywkaru — stolicy republiki Komi — w którym czekały na nas upragnione paszporty. Prześladował nas jednak pech. Istniejące połączenia Uchty z Syktywkarem — droga i rzeka — z uwagi na roztopy i duży przybór wód były przerwane. Pozostawała komunikacja lotnicza.

Samolot odległość 300 kilometrów z Uchty do Syktywkaru pokonywał w półtora godziny. Lecieliśmy niziutko nad bagnistą tajgą. Tak nisko, że widać było pojedyncze drzewa. Na całej trasie zauważyłem nie więcej jak trzy małe osiedla ludzkie, prawdopodobnie baraki robotników leśnych.

Po wylądowaniu w Syktywkarze i długich poszukiwaniach odnaleźliśmy właściwy urząd. Dyżurny oficer kończył już swoją pracę i zamykał biuro. Tylko dzięki osobistemu urokowi Steni, łaskawie nas przyjął i wydał upragnione paszporty. Dokumenty miały piękne czerwone okładki i rosyjsko-francuski tekst na wytwornym papierze. Istne cudo, nieporównywalne do tych dotychczasowych „bumażek", które dotąd nam władza ofiarowywała. Po otrzymaniu tych wspaniałości Stenia spytała oficera, czy mając taki paszport można podróżować po całym Z.S.S.R. np. wyjechać na Krym. Oficer z uśmiechem odpowiedział:

— Można, ale ja wam radzę jechać jak najprędzej do domu.

Przejrzystą aluzję zrozumieliśmy.

Z uczuciem ulgi wyszliśmy z biura paszportowego. Na podróż do Uchty było już za późno. Załatwiliśmy sobie nocleg w hotelu, który był statkiem na rzece Sysole. Ta rzeka to ledwo dopływ Dźwiny Północnej, ale o tej porze była kilkakrotnie szersza od Wisły w Warszawie.

Syktywkar okazał się dość dużym skupiskiem ludzi. Posiadał reprezentacyjną ulicę i rozlokowane wzdłuż niej liczne urzędy. Były to przeważnie kilkupiętrowe domy o nieciekawej architekturze, znane nam dobrze z Workuty. Natomiast boczne ulice prowadziły wśród starych drewnianych domów, na wzór rosyjskich wsi, ustawionych krótszym bokiem do drogi. Te domki z rzeźbionymi okiennicami i ganeczkami, posiadały dużo więcej uroku niż gmachy urzędowe.

Mając całe popołudnie wolne poszliśmy do parku. Tu po raz pierwszy po dziesięciu latach zobaczyliśmy znowu jak w Polsce z bliska grube drzewa liściaste — prawdziwe drzewa.

Nie mogłem się powstrzymać, aby ich nie dotknąć, pogłaskać.

Nazajutrz wróciliśmy samolotem do Uchty. Minęło kilka kolejnych dni, a my ciągle nie mogliśmy kupić biletów na moskiewski pociąg. W Z.S.S.R. każda stacja otrzymuje ograniczoną ilość biletów na pociągi dalekobieżne, tak jak u nas miejscówki. Bilety te w Uchcie były już na kilka tygodni wysprzedane. A nam się tak śpieszyło... Chodziliśmy więc po tej Uchcie trochę zdenerwowani. Na całe szczęście Stenia dowiedziała się u swych znajomych, jak należy kupować bilety. Okazało się, że wystarczy odjechać od Uchty kilkadziesiąt kilometrów, do najbliższej stacji w małej miejscowości. Tam limit biletów niewielki ale i kandydatów na nie mało.

Pojechałem na tę stację, kupiłem bilety do Moskwy i wsiadłem do przeznaczonego mi przedziału. Zastałem w nim już panią, która miała być naszą towarzyszką podróży do samej Moskwy. Siadłem naprzeciw nieznajomej, szczupłej brunetki w średnim wieku. Zaczęliśmy rozmawiać. Odpowiadałem na zadawane mi pytania. Skąd jadę? Dokąd jadę? Na wiadomość, że jestem Polakiem, nieznajoma wyraźnie się ożywiła. Wkrótce przestałem mówić, natomiast zacząłem słuchać z uwagą jej opowiadania.

Była Żydówką. Urodziła się w Tarnowie. Po pierwszej wojnie światowej wyjechała z rodzicami do Argentyny. Tam poznała swego męża — działacza Kominternu. W latach trzydziestych wyjechała z mężem do Moskwy. Willa, samochód do dyspozycji, tylko żyć i cieszyć się życiem. Wkrótce jednak zaczęły się procesy polityczne, słynne procesy z końca lat trzydziestych. Mąż został aresztowany i wysłany z wyrokiem do łagru. Po odbyciu

wyroku skazano go na wolne osiedlenie w Komi. Rozpoczął pracę w rafinerii ropy naftowej. Przed kilku miesiącami w rafinerii nastąpił wybuch, mąż zginął.

Teraz, już po śmierci męża, przyszła wiadomość z Moskwy o jego pełnej rehabilitacji. Zwraca się mu wszystkie honory, odznaczenia, mieszkanie w Moskwie.

— No i właśnie jadę do Moskwy, aby tam ponownie zamieszkać — zakończyła swe opowiadanie nieznajoma.

Po chwili milczenia dodała:

— Ale wie pan, jestem zadowolona, że mąż nie żyje, bo gdyby po tylu latach udręki dostał tę rehabilitację, to nie wytrzymałby nerwowo. Powiedziałby coś takiego, że znowu dostałby się do łagru.

Zamilkła opowiadająca i ja milczałem. Wkrótce pociąg zatrzymał się na stacji w Uchcie. Do przedziału weszli roześmiani Stenia i Marian.

Teraz już bez przesiadki jechaliśmy jeszcze dwie doby. W Kotłasie pociąg miał dłuższy postój. Wyszliśmy na stację. Tutaj niezapomniany widok kołchoźników sprzedających na straganach masło, ser, jajka. Ubrani w liche portki i koszule. Na nogach okręconych szmatami, przywiązane sznurkiem kalosze. Makabra. Tego jednak w Workucie nie było widać. Nawet więźniowie w tym czasie chodzili lepiej ubrani.

Kotłas to punkt zbiorczy dla wielu obozów pracy, tak licznych na północy. Cała hala dworcowa była wypełniona grupkami zwolnionych z łagrów podchmielonych kryminalistów, grających na posadzce w karty. Lepiej było nie zatrzymywać się. Urków znaliśmy z Workuty aż zanadto dobrze.

Do Moskwy przyjechaliśmy wcześnie rano. Pożegnaliśmy naszą towarzyszkę podróży. Zatrzymaliśmy się u matki koleżanki Steni w malutkim pokoiku.

Stenia wprawdzie zrezygnowała z podróży po Z.S.S.R., ale nie darowała nam atrakcji kulturalnych Moskwy. Obejrzeliśmy operę „Madame Butterfly", galerię Tretiakowską i Galerię Drezdeńską, która była wówczas wystawiona w Moskwie przed oddaniem jej do N.R.D.

Kupno biletu do Galerii Drezdeńskiej nie było takie proste. Wcześnie rano ustawiliśmy się w długiej kolejce. Przed nami stał młody człowiek, dziwnie ubrany, odmiennie niż my i mieszkańcy Moskwy. Spodnie miał wąskie, marynarkę zrobioną ze sztruksu — materiału z którego w czasach mego dzieciństwa szyto chłopięce spodnie. Staliśmy już chwilę w kolejce a ja z uwagą przypatrywałem się naszemu sąsiadowi i nawet wścibsko zaglądnąłem do czytanej przez niego książki. Książka okazała się polską, a on studentem polskim moskiewskiej politechniki.

Zaciekawił się co robimy w Moskwie. Nasze krótkie objaśnienia, kim jesteśmy i skąd wracamy, jak gdyby nie zrobiły na nim wrażenia. Ożywił się nieco, gdy dowiedział się, że za kilka dni będziemy w Warszawie.

Wówczas krótko scharakteryzował sprawę odbudowy stolicy i przedstawił entuzjastyczny opis wybudowanego niedawno Pałacu Kultury i Nauki. Barwnie opisywał to cudo architektury. Mówił, że twórcy monumentu, ludzie sowieccy, ozdobili go symbolami folkloru i kultury polskiej.

Dosłownie za dwa dni ujrzeliśmy to „cudo" na własne oczy. Ale na razie biegaliśmy po sklepach Moskwy dużo lepiej zaopatrzonych niż workuckie.

Zwiedzanie Moskwy zakończyliśmy obejrzeniem Wszechzwiązkowej Wystawy Rolniczej. Monumentalna brama wjazdowa, olbrzymie, złocone figury w kolorowych fontannach! Pawilony poszczególnych republik w marmurze, złocie, kwiatach. Oglądałem te „wspaniałości" i mimo woli widziałem kołchoźników z Kotłasu.

Dzień przed wyjazdem udaliśmy się do Ambasady P.R.L. aby zasięgnąć informacji dotyczących naszego wyjazdu do Polski. Pojechaliśmy taksówką na ulicę Lwa Tołstoja. Ulica sympatyczna, cicha, tu niegdyś wielki Rosjanin miał swój dom. Tu mieszkał w czasie swych pobytów w Moskwie.

Ambasada P.R.L. mieściła się w willi otoczonej ogrodem. Z wielką radością, ale i tremą, udaliśmy się do pierwszego po latach okupacji i poniewierki urzędu polskiego.

Dwie panie o semickim wyglądzie, wyraźnie przestraszone, dały nam niedwuznacznie do zrozumienia, że los nasz ich nic a nic nie obchodzi. Twierdziły, że jesteśmy obywatelami sowieckimi i mamy z wszystkimi wątpliwościami i zapytaniami zwracać się jedynie do władz sowieckich.

Udaliśmy się więc do olbrzymiego gmachu „Inturistu". Tu nastąpiło miłe rozczarowanie. Urzędnicy „Inturistu" grzecznie i rzeczowo udzielili nam wszelkich informacji.

Może ci urzędnicy nie byli aż tak nadzwyczajnie uprzejmi. Może tak się nam tylko zdawało po wizycie w polskiej ambasadzie.

W Workucie hasło: „Polak Polakowi bratem" nie było sloganem.

Formalności związane z wyjazdem do Polski polegały jedynie na kupnie biletu. Na Dworcu Białoruskim wsiedliśmy do eleganckich wagonów sypialnych, produkcji węgierskiej, aby odbyć ostatni odcinek podróży do kraju.

Przed granicą polską w Brześciu mieliśmy kilkugodzinny postój, w związku z wymianą podwozi wagonów z szerokiego

na wąski tor. Znudziło mi się siedzenie w wagonie, wyszedłem na stację. Po kilkunastu minutach, gdy chciałem wrócić, okazało się to niemożliwe. W międzyczasie pociąg został otoczony kordonem żołnierzy straży granicznej. Zażądano ode mnie okazania dokumentów. Nie miałem ich przy sobie. Wszystkie paszporty znajdowały się u konduktora naszego wagonu. Małe piknięcie serca, może nie uwierzą, może posadzą do wyjaśnienia.

Ale to zadziałało tylko przewrażliwienie. Oficer dowodzący oddziałem zgodził się pójść ze mną do konduktora. Wszystko się wyjaśniło.

W nocy przejeżdżaliśmy granicę polsko-sowiecką. Już po polskiej stronie usłyszeliśmy pierwsze polskie słowa, jakiś młody głos: Panie majster ja dokręcę śrubę — czy coś w tym rodzaju. W każdym razie słowa „pan" jeszcze się używa. To nas wyraźnie ucieszyło. Gdy rozwidniło się byliśmy już w Polsce. Pierwszemu polskiemu żołnierzowi pomachaliśmy ręką, odpowiedział nam kiwnięciem ręki, chociaż stał na warcie. Zrobiło się nam przyjemniej. Przedstawiciele Czerwonego Krzyża na granicy wręczyli nam bezpłatne bilety do stacji docelowej i sto złotych zapomogi.

W przedziale oprócz nas jechał jakiś ważny handlowiec, który wracał do Warszawy z Chin. Spotkaliśmy ze Stenią w pociągu „chłopca" w naszym wieku i z naszym życiorysem. Wracał z Norylska. Zakupione za ostatnie ruble butelki wina w Brześciu poprawiły nasz i tak dobry humor. Zbliżając się do Warszawy, śpiewaliśmy żołnierskie i partyzanckie piosenki. Śpiewaliśmy to znaczy Stenia, Marian i nowopoznany rodak, ja ze swoim słuchem i głosem uczestniczyłem jedynie symbolicznie.

Handlowiec uprzejmie nas mitygował i wyjaśniał, że nie bardzo zdajemy sobie sprawę z sytuacji panującej w Polsce i że nie wszystkie piosenki z naszego repertuaru wolno śpiewać.

Na dworcu w Warszawie czekała na nas córka Mariana kilka lat od nas ze Stenią młodsza ale już mężatka i mama. Radość powitania ojca z córką. Później wszyscy jedziemy do Błonia do pana Mariana. Przywitanie z żoną pana Mariana...

Stąd wreszcie nadaję depeszę do Rodziców.

— Jestem w Polsce, jadę do Was.

Po dwu dniach pobytu w Błoniu żegnam się ze Stenią i panem Marianem, który w Workucie w obozie na „wolności" był mi ojcem i przyjacielem.

Wsiadam do pociągu Warszawa-Bielsko. W Bielsku na peronie spotykam Mamę. Poznajemy się oboje, mimo tylu lat, niemal natychmiast. Rozmowa urywana, łzy.

Wsiadamy do lokalnego pociągu i wysiadamy na dworcu naprzeciw domu Babci. Ten kawałek drogi, to niecałe sto

metrów od dworca do domu Babci pamiętam dobrze. Idziemy z zapłakaną Mamą. Idziemy, nie wiem, wolno czy szybko. Gromada przed domem Babci coraz wyraźniejsza. Całuję Tatę, Babcię, Krewnych. Jestem znów z Rodzicami po jedenastu latach, w domu Babci po latach szesnastu. Siedzimy na werandzie z widokiem na góry. Siedzimy jak przed laty, przed wojną, gdy przyjeżdżałem tu na wakacje.

Bóg pozwolił mi wrócić. Nie wiem dlaczego, czy dzięki modlitwie Rodziców?

Nie wiem. Wiem, że wróciłem.

Stanisław DUZIK

DOKUMENTY

Jan ŁUKASZÓW

WALKI POLSKO-UKRAIŃSKIE 1943–1947

Krwawe wydarzenia, jakie rozegrały się w latach 1943-1947 na Kresach między Polakami a Ukraińcami, nazywane są niekiedy wojną polsko-ukraińską, przy czym termin ten spotyka się częściej w opracowaniach ukraińskich, podczas gdy polskie operują na ogół pojęciem „rzezi wołyńskich" czy też „rzezi ukraińskich". Nie spotyka się natomiast tego terminu w dokumentach, jako że wydarzeń tych nikt ówcześnie w kategoriach „niezależnej" wojny nie pojmował. Te właśnie wydarzenia są tematem poniższych rozważań i powiedzmy od razu, że artykuł ten nie może ani nie próbuje zastąpić głosów nauki, na którą czekają nader liczne nieprzebadane lub nieopublikowane jeszcze archiwalia i zadania opracowania systematycznej monografii owych wydarzeń. Tu przedstawiamy dzisiejszy stan wiedzy.

Ugruntowany polski stereotyp tych wydarzeń mówi o masowych mordach ludności polskiej, jakich dopuszczali się na Wołyniu, w Galicji Wschodniej, a także na zachód od Sanu i Bugu kolaborujący z Niemcami „bulbowcy", „banderowcy" czy po prostu „Ukraińcy". W rzeziach tych, dokonywanych metodycznie, a zarazem z wyrafinowanym okrucieństwem, zginąć miały setki tysięcy ofiar, Polacy zaś w odpowiedzi byli w stanie podejmować akcje o charakterze samoobronnym. Analogiczny stereotyp ukraiński, słabiej znany autorowi tych słów, głosi że to „Polacy", kolaborujący zarówno z Niemcami, jak i z Sowietami, dokonywali w tym czasie mordów na ukraińskiej ludności

cywilnej, a ewentualne ataki ukraińskie na ludność polską miały charakter odwetu. Stereotypy te — jak zwykle stereotypy — zawierają nader liczne elementy prawdziwe, jednak w całości są zdecydowanie fałszywe.

Głównym źródłem obu tych stereotypów jest idealizowanie własnego narodu i jego postawy wobec niemieckiego okupanta. Okres okupacji przedstawiany jest tu jako okres świętej zgody narodowej i wspólnej, solidarnej walki z najeźdźcą, z której wyłamywali się tylko nieliczni zaprzańcy. Stereotyp ten, skwapliwie podtrzymywany przez literaturę propagandową wszelkich orientacji politycznych, nie dopuszcza nawet myśli o tym, że podczas okupacji toczyło się normalne życie, którego wyrazem było m.in. to, że bandyci grabili, a mordercy mordowali, nie dopuszcza też do świadomości rzeczywistych rozmiarów kolaboracji z okupantem. Ten podstawowy stereotyp odegrał zasadniczą rolę w zaciemnieniu rzeczywistego przebiegu wydarzeń na Wołyniu i w Galicji Wschodniej.

Rozpocząć jednak trzeba od pytania, czy rzeczywiście możemy mówić o „wojnie" polsko-ukraińskiej, szczególnie w latach 1943-1944. Jeżeli tak, to musimy ściśle i jednoznacznie określić strony tej wojny, wbrew bowiem potocznym schematom wojen nie toczą narody, ale państwa lub organizacje wojskowe. A właśnie takiego określenia nie jesteśmy w stanie przeprowadzić. Na kresach działały wówczas zarówno polskie i ukraińskie organizacje wojskowe, jak i formacje kolaboracyjne, złożone z Polaków i Ukraińców, potocznie zwane „polskimi" i „ukraińskimi", stanowiące jednak część niemieckich sił zbrojnych. W dodatku ziemie okupowane roiły się od wszelkiego rodzaju „dzikich" oddziałów partyzanckich, nie podporządkowanych jakiemukolwiek kierownictwu politycznemu, działała doskonale zorganizowana partyzantka sowiecka (część składowa Armii Czerwonej), w której składzie byli także Polacy i Ukraińcy, nie brakowało wszelkiego rodzaju band rabunkowych, „zielonych kadr" dezerterów z najrozmaitszych armii, wreszcie zdesperowanych, gotowych na wszystko zbiegów. Wszyscy oni żyli kosztem wsi, wszyscy więc dopuszczali się wobec chłopów licznych aktów przemocy — od rabunków do mordów.

Ale przede wszystkim na ziemiach Polski i Ukrainy, podobnie jak w całej Europie, toczyła się wówczas II wojna światowa, wojna między Trzecią Rzeszą a Aliantami. Na interesującym nas terenie III Rzeszę reprezentowały niemieckie siły zbrojne (nieważne, czy złożone z Niemców, czy też z Rosjan, Ukraińców lub Polaków) oraz siły ich sojuszników (głównie Węgrów i Włochów), zaś Aliantów — partyzantka sowiecka oraz Armia Krajowa. Ten układ zakłócała jednak działalność

UPA, która — wbrew powtarzanym przez sowieckich autorów twierdzeniom — nie była ani formacją kolaboracyjną, ani nawet sojusznikiem III Rzeszy, lecz prowadziła własną wojnę, swoistą „wojnę w wojnie"; jednocześnie przeciw III Rzeszy i Związkowi Sowieckiemu, a zatem — także przeciwko ich sojusznikom na tym terenie.

W ten sposób zarówno przeciw polskiej partyzantce, jak i przeciw polskiej ludności cywilnej występowały zarówno oddziały UPA i innych partyzantek ukraińskich, jak też formacje kolaboracyjne złożone z Ukraińców, podobnie jak przeciwko partyzantce i ludności ukraińskiej występowały zarówno polskie formacje partyzanckie, jak i formacje kolaboracyjne złożone z Polaków. Jednocześnie przeciwko obu partyzantkom i ludności obu narodowości (a także żydowskiej, cygańskiej i czeskiej, bo i taka była na Wołyniu) wielokrotnie i z wielkim okrucieństwem występowali Niemcy, którzy często posługiwali się w tych akcjach formacjami kolaboracyjnymi. Niejednokrotnie niełatwo ocenić, która akcja tych formacji, które będziemy tu sumarycznie nazywać *Schutzmannschaft*'ami lub formacjami policyjnymi, była realizacją niemieckiej dyrektywy, kiedy zaś działały one na własną rękę. O ile jednak zarówno AK jak i UPA reprezentowały swe narody i ich kierownictwa polityczne (AK w stopniu dużo większym, niż UPA), to formacje kolaboracyjne, obojętnie, z kogo złożone (na Wołyniu były też oddziały sformowane z Łotyszy i Uzbeków) reprezentowały „Tysiącletnią Rzeszę". A właśnie te oddziały, jak zobaczymy, mają na koncie najdrastyczniejsze ze znanych zbrodni tak na ludności polskiej, jak i ukraińskiej. Czy wobec tego można mówić o wojnie polsko-ukraińskiej? Autor pozostawia kwestię otwartą, sam nie jest jednak skłonny zaakceptować tego określenia.

W drugiej fazie konfliktu sytuacja zmieniła się radykalnie. Po 1944 r. na ziemiach Polski mamy do czynienia z wyraźnym układem, w którym po jednej stronie jest UPA, po drugiej zaś — polskie siły zbrojne, a w początkowym okresie — także wojska NKWD. Wprawdzie i w tym czasie mamy do czynienia z antyukraińską działalnością polskiej partyzantki niepodległościowej, jak też z aktami terroru ze strony band rabunkowych i dezerterskich, jednakże tu określenie „wojna polsko-ukraińska" nie tylko nie budzi wątpliwości, ale wiernie oddaje charakter toczonych wówczas walk.

Przedmiotem naszego zainteresowania są dziś wydarzenia z lat 1943-1947, pominiemy więc wystąpienia ukraińskie z września 1939 r. — akty zdrady wojennej i bandytyzm, wynikający z wojennego rozprzężenia, a także — w końcowym okresie — sowieckiej inspiracji. Nie będziemy omawiać sprawy domniemanego

udziału formacji ukraińskich w walce z Powstaniem Warszawskim, dostatecznie już zresztą wyświetlonej przez historyków[1].

Zanim jednak przejdziemy do omówienia samych wydarzeń, zatrzymajmy się chwilę dla naszkicowania ich tła. Krwawy terror wołyński i galicyjski nie pojawił się bowiem jak *deus ex machina*, lecz był konsekwencją dawniejszych stosunków polsko-ukraińskich. Szczególne znaczenie miał okres II Rzeczypospolitej, kiedy to w warunkach demokratycznego państwa ukraiński ruch narodowy mógł się względnie swobodnie rozwijać, także w formach skrajnych, nieprzejednanych wobec państwa polskiego, jednocześnie zaś znaczna część podstawowych aspiracji społeczności ukraińskiej w naszym kraju pozostawała niezaspokojona. Niekonsekwentna i niemądra polityka państwa radykalizowała nastroje Ukraińców, sprzyjając rozwojowi niepodległościowej, z biegiem lat coraz bardziej faszyzującej OUN, a na Wołyniu — także ruchu komunistycznego. Jednocześnie rosła nienawiść do państwa polskiego i do samych Polaków, wciąż podsycana przez akcje takie, jak pacyfikacja Galicji Wschodniej w 1930 r., „polonizacja" Chełmszczyzny w 1938 r., a także — przez osiedlanie się na ziemiach o przewadze ukraińskiej chłopów polskich.

Ukraiński ruch niepodległościowy był w okresie międzywojennym osamotniony i mógł liczyć jedynie na Niemcy. Jednakże wydanie na łup Węgier Ukrainy Zakarpackiej, pakt Hitler-Stalin, a wreszcie rozbicie przez III Rzeszę próby restauracji państwa ukraińskiego w 1941 r. przekonały kierownictwo OUN, że Niemcy także są wrogiem Ukrainy. W organizacji tej nastąpił więc rozłam — młodsi, radykalni działacze zwani banderowcami nie godzili się na rolę satelity Niemiec i utworzywszy „frakcję rewolucyjną" OUN podjęli opór także przeciw niemieckiej okupacji, podczas gdy działacze bardziej umiarkowani (melnykowcy) przeszli na pozycje pełnej kolaboracji z hitleryzmem.

Wydarzenia 1939 r. miały dla interesującej nas kwestii znaczenie o tyle, że ogromnie wyolbrzymione przez plotkę wypadki dywersji ukraińskiej, napadów na uchodźców i wydawania żołnierzy WP w ręce sowieckiego okupanta stały się zarzewiem nowej fali nienawiści do Ukraińców wśród społeczności polskiej, podobnie jak — (także wyolbrzymione — wieści o odwetowych akcjach polskich znacznie umocniły nienawiść po stronie ukraińskiej. Znacznie większe znaczenie w przygotowaniu psychologicznym późniejszych wydarzeń miał dwuletni okres okupacji sowieckiej.

---

1. Por. B. Lewytzkyj — „Ukraińcy a Powstanie Warszawskie", *Kultura* nr 6 z 1952; W. Weryha — *Dorohamy druhoji switowoji wijny*, Toronto 1980 r.

Mało wiemy dotychczas o barbarzyństwie NKWD w tym okresie, choć w pamięci polskiej i ukraińskiej zachowały się rzezie w więzieniach Lwowa i innych miast w czerwcu 1941 r. Mało jednak wiadomo o tym, że ciała więźniów były niejednokrotnie okaleczone w potworny sposób[2]. Wydarzenia te, popularyzowane szeroko przez prasę okupacyjną, stały się powszechnie znane, pokazując zwykłym ludziom, jakie rzeczy są możliwe, do jakiego stopnia można z człowiekiem uczynić wszystko. Elementem tej edukacji były też barbarzyńskie wywózki ludności polskiej dokonywane przez NKWD w czasie największych mrozów zimy 1940 r. oraz intensywna, triumfalistyczna propaganda komunistyczna krzewiąca nienawiść do „panów", czyli właściwie wszystkich, którzy nie byli ukraińskimi robotnikami lub chłopami (chłop i robotnik polski także byli „panami" z racji swej przynależności narodowej).

Dalszy etap destrukcji moralności społecznej przyniosła okupacja niemiecka, a przede wszystkim odbywająca się na oczach zagłada głodowa setek tysięcy jeńców sowieckich oraz eksterminacja wszystkich Żydów, na Wołyniu dość często realizowana w formie masowych egzekucji przy mniej lub bardziej przymusowym udziale miejscowej ludności. Potem zaś Niemcy z niesłychaną brutalnością przystąpili do wywożenia młodzieży na roboty przymusowe i egzekwowania kontyngentów żywnościowych. W czasie tych akcji masowo dochodziło do całkowicie irracjonalnych i w pełni bezkarnych mordów. Wszystko to doprowadziło do rozpadu poczucia świętości, a nawet — jakiejkolwiek wartości życia ludzkiego, otwierając drogę do dowolnych właściwie zbrodni[3].

W dodatku na wsi zabrakło policji. Dawną policję państwową zlikwidowali Sowieci, a powoływane przez Niemców formacje policyjne miały chronić ich interesy, a nie zwalczać przestępczość. Szerzył się więc bandytyzm, tym groźniejszy, że byle rzezimieszek mógł dość łatwo zdobyć broń palną, a nawet automatyczną, a mając ją — zabijał, jeśli napotykał najmniejszy opór[4].

---

2. Por. *Złoczyny komusnitcznoji Moskwy na Ukrajini w liti 1941 r.*, Nowy Jork 1960. Tam szacunek więźniów pomordowanych przez NKWD na ziemiach II Rzeczypospolitej bez Lwowa na 15.000, a także szczegóły takie, jak zakopywanie żywcem (Złoczów), krzyżowanie (Tarnopol) i drastyczniejsze jeszcze, często żywo przypominające przekazywane w polskiej tradycji opisy ukraińskich okrucieństw na Wołyniu.

3. Por. „Sprawa ukraińska", *Zeszyty Historyczne* nr 71, Paryż 1985, str. 144.

4. Dla uzmysłowienia skali problemu przypomnijmy, że tylko w okresie styczeń 1943 — czerwiec 1944 AK zlikwidowało 926 bandytów, głównie w radomskim i warszawskim (*Polskie Siły Zbrojne — Armia Krajowa*, Londyn 1950, s. 474).

Wielka była też pokusa, by ten czas wykorzystać do wyrównywania zadawnionych porachunków sąsiedzkich, a nawet rodzinnych i z pewnością wielokrotnie dochodziło do aktów krwawej zemsty. Że zaś bywały to porachunki między członkami różnych narodowości (nawet w ramach jednej rodziny) — odbierano je nieraz jako akty terroru politycznego. Podobnie byle rabuś mógł przedstawiać się chłopom jako partyzant — obojętne, polski lub ukraiński — a chłopi na ogół nie byli w stanie tego sprawdzić.

Pod okupacją niemiecką ziemie ukraińskie II Rzeczypospolitej zostały podzielone. Galicja Wschodnia (woj. tarnopolskie, stanisławowskie i zagarnięta przez ZSSR część lwowskiego) przyłączono do Generalnego Gubernatorstwa jako wyodrębiony Dystrykt Galicja. Wołyń natomiast wraz z częścią Polesia (po granicę Ukrainy, ustaloną w traktacie brzeskim 1918 r.) wszedł w skład Komisariatu Rzeszy „Ukraina", pozostającego pod niemieckim zarządem cywilnym o cechach z jednej strony administracji okupacyjnej, z drugiej zaś — kolonialnej. Od Generalnego Gubernatorstwa i Dystryktu był on oddzielony pilnie strzeżoną granicą. Niemcy utrzymali tu sowieckie ustawodawstwo pracy, a wiosną 1942 r. rozpoczęli masową brankę na roboty, w toku której wielokrotnie palono wsie i mordowano niezdolnych do pracy lub stawiających jakikolwiek opór. W Galicji Wschodniej dzięki współpracy Ukraińskiego Centralnego Komitetu z władzami niemieckimi werbunek na roboty przebiegał w sposób spokojny, nie pociągając za sobą masowych, niepohamowanych aktów przemocy.

Branka wołyńska spowodowała masową ucieczkę do lasów zagrożonej młodzieży, zarówno polskiej, jak i ukraińskiej i powstawania żywiołowego ruchu partyzanckiego, ujmowanego następnie w karby przez organizacje polityczne. Z drugiej jednak strony wielu ludzi chroniło się przed wywózką w szeregach *Schutzmannschaft*'ów, co Niemcy przyjmowali o tyle chętniej, że coraz większe straty na froncie zmuszały ich do ograniczenia liczby Niemców, zaangażowanych w wykonywanie okupacji. Trzeba tu zaznaczyć, że w ukraińskich formacjach kolaboracyjnych z początku przynajmniej mogło znaleźć się wielu ludzi o szczerze patriotycznych przekonaniach, gdyż Ukraińcy zmuszeni byli do wyboru między jednym z dwu wrogów, a OUN z początku akceptowała tę formę kolaboracji, dzięki której spore grupy ludzi zdobywały podstawowe przeszkolenie wojskowe i dostawały do ręki broń. Natomiast wstępujący do takich formacji Polacy, z wyjątkiem nielicznych agentów kierowanych tam przez Polskę Podziemną, od początku stanowili najgorszą szumowinę i jawnych zdrajców — nikt z Polaków nie mógł mieć wątpliwości, że Niemcy są głównym, jeśli nie jedynym wrogiem

Polski w tej wojnie. (Sytuacja ta uległa w pewnej mierze zmianie w toku terroru, kiedy to wstąpienie do formacji kolaboracyjnych było niejednokrotnie sposobem szukania ratunku przed mordem).

W ten sposób w lasach rosły kadry bardzo licznej w 1942 r. tzw. pierwszej UPA Tarasa Borowca „Bulby", a później — banderowskiej Ukraińskiej Powstańczej Armii, wreszcie najpóźniej utworzonego melnykowskiego Legionu Samoobrony. Ten sam proces umożliwiał też rozbudowę Armii Krajowej i innych formacji polskich, a także sprzyjał rozrostowi partyzantki sowieckiej, dowodzonej przez kadrowych NKWDystów, w znacznej mierze — zrzutków. Powstawało też jednak wiele „dzikich" oddziałów, nikomu nie podporządkowanych i nieraz niewiele różniących się od band rabunkowych. Były one zwalczane przez wszystkie „regularne" partyzantki, co z kolei sprzyjało wzrostowi ich okrucieństwa, gdyż ścigani przez wszystkich, byli w najtrudniejszej sytuacji.

Pod koniec 1942 r. na Wołyniu powstały pierwsze oddziały banderowskie, a wiosną następnego roku przejęły one od bulbowców nazwę UPA i znaczną część kadr leśnych, stając się niekwestionowanymi przywódcami ukraińskiego ruchu niepodległościowego i największą po Niemcach siłą zbrojną na Wołyniu. Kierownictwo OUN-SD[5] wysuwało wówczas hasło walki z wszystkimi wrogami Ukrainy, zarówno Niemcami jak i Sowietami, poniekąd słusznie uznając polski ruch niepodległościowy za sojusznika Sowietów. UPA rychło stała się armią podziemną w pełni porównywalną z AK, a pod pewnymi względami nawet ją przewyższającą, OUN zaś tworzyła w podziemiu ukraińską państwowość, która nie osiągnęła jednak stopnia rozwoju porównywalnego z Polskim Państwem Podziemnym, przede wszystkim dlatego, że to ostatnie bazowało na przedwojennych kadrach i strukturach, podczas gdy Ukraińcy musieli niemal wszystko improwizować.

II

Nie jest jasne, kiedy kierownictwo OUN-SD podjęło decyzję o przeprowadzeniu „depolonizacji" Wołynia i Polesia, jednakże nie wcześniej, niż pod koniec 1942 r. Sama dyrektywa tego rodzaju akcji nie została dotychczas opublikowana i nie ma dowodu jej istnienia, natomiast planowy charakter samej akcji

5. SD — Niepodległościowców-Państwowców, oficjalna nazwa banderowskiej frakcji OUN od 1941 r.

nie budzi wątpliwości w literaturze przedmiotu. Zamiar usunięcia z Wołynia ludności polskiej, pozwalający wyeliminować polską partyzantkę, która już w 1942 r. nawiązywała współpracę z sowiecką dywersją oraz utworzyć silne bazy własnej partyzantki wiązał się jednak z inną, daleko poważniejszą kalkulacją polityczną. W owym czasie ukraińskie kierownictwo polityczne (podobnie zresztą jak polskie) liczyło na powtórzenie pod koniec wojny sytuacji z 1918 r., tj. załamania się obu wielkich przeciwników na wschodzie. W tej sytuacji Polacy i Ukraińcy musieliby raz jeszcze stoczyć walkę dyplomatyczną i zbrojną o byt państwowy i granice. Ukraińskie kierownictwo polityczne chciało w tej walce dysponować argumentem faktu dokonanego — braku ludności polskiej na sporym terytorium. Trzeba więc było zmusić Polaków do opuszczenia Wołynia i Galicji Wschodniej. Nie mamy podstaw do twierdzenia że celem tej akcji była eksterminacja ludności polskiej, a jak zobaczymy — także przebieg wydarzeń na to nie wskazuje. Jednakże usunięcie Polaków z Kresów miało nastąpić za wszelką cenę, wszelkimi dostępnymi środkami. A więc także ogniem i żelazem.

Jednakże do przelewu krwi między Polakami a Ukraińcami doszło jeszcze przed rozpoczęciem tej akcji — i w dużej mierze była to krew ukraińska. Jeszcze w 1941 r. bojówki narodowców likwidowały w GG działaczy ukraińskich, a na Chełmszczyźnie dochodziło do starć i zabójstw już jesienią 1942 r., równolegle z pierwszymi mordami na Wołyniu. Na przełomie 1942/43 r. w woj. lubelskim zginęło z rąk polskich ok. 400 Ukraińców[6], a wydarzenia te, do których powrócimy nieco dalej pozostawały w związku w niemieckimi wysiedleniami na Zamojszczyźnie. Wreszcie polskie *Schutzmannschaft*'y na wschód, a ukraińskie — na zachód od Bugu uczestniczyły w akcjach pacyfikacyjnych, dokonując licznych zbrodni tak na ludności ukraińskiej, jak i polskiej.

Wiosną 1943 r. oddziały „Bulby" były już w znacznej mierze przejęte przez banderowską UPA, która rosła w siłę, by w połowie tego roku liczyć na Wołyniu ok. 20.000 ludzi w regularnych oddziałach partyzanckich. Podstawę szybkiej rozbudowy UPA stworzyło przejście do lasu w grudniu 1942 r. większości weteranów Legionu Ukraińskiego z 1941 r., kadrowej formacji banderowskiej[7]. Wkrótce potem, w marcu 1943 r., w szeregi UPA przeszło ok. 6000 ludzi z liczących wówczas 12.000 ludzi

6. W. Weryha (*op. cit.*, s. 94) podaje następujące liczby zamordowanych na przełomie 1942/43 r.: w hrubieszowskim 239, zamojskim 58, chełmskim 58, biłgorajskim 59, w pozostałych powiatach lubelszczyzny 59; *Litopys UPA* t. II, Toronto 1976, podaje nieco mniejszą liczbę — łącznie 394 zabitych.

7. R. Torzecki *op. cit.*, s. 292.

ukraińskich formacji kolaboracyjnych[8]. Stanowili oni niewątpliwie najbardziej patriotyczny element w tych formacjach i od tego czasu także ukraińskie *Schutzmannschaft*'y możemy traktować jako skupisko szumowin i zdrajców własnego narodu. W odpowiedzi na dezercję Ukraińców Niemcy rozpoczęli masowy werbunek Polaków do tych formacji[9].

Poza regularnymi oddziałami partyzanckimi banderowcy dysponowali o wiele liczniejszymi, choć z wojskowego punktu widzenia mało wartościowymi oddziałami pospolitego ruszenia (samoobrony), kierowanymi przez lokalnych działaczy OUN, a niejednokrotnie prawdopodobnie spenetrowanymi przez komunistów, zwłaszcza na północnym Wołyniu, gdzie sympatie prokomunistyczne były przed wojną dość silne[10]. Wolno się domyślać — choć niewiele śladów da się odnaleźć w dokumentach — że właśnie te formacje wiodły prym w wystąpieniach antypolskich, przynajmniej do czasu powstania silnych ośrodków samoobrony. UPA musiała bowiem koncentrować się przede wszystkim na walce z coraz silniejszą i bardziej agresywną partyzantką sowiecką oraz niemieckimi ekspedycjami karnymi.

Nie należy to wprawdzie do naszego tematu, trzeba jednak wspomnieć o tym, że UPA prowadziła działania wojenne na dwa fronty, a choć głównym przeciwnikiem były Sowiety, walka z aktualnym okupantem także była ożywiona. Rzecz jasna, UPA nie prowadziła sabotaży kolejowych i innych działań bezpośrednio wspierających działanie Armii Czerwonej, unikała też w miarę możności bezpośrednich starć z Wehrmachtem (podobnie zresztą jak inne partyzantki, nie będące w stanie sprostać oddziałom liniowym w otwartym boju), atakowała natomiast urzędy okupanta, jego formacje policyjne i pomocnicze, a przede wszystkim przeciwdziałała pobieraniu kontyngentu żywnościowego i wywózkom na roboty i zwalczała ekspedycje karne. Niebagatelne znaczenie miało też przeciąganie przez UPA na swoją stronę zarówno ukraińskich, jak i innych oddziałów kolaboracyjnych, sformowanych z jeńców sowieckich.

Oddziały UPA starały się niejednokrotnie stwarzać pozory, że ich działania były dziełem sowieckiej partyzantki, co chroniło zarówno UPA, jak i — w pewnej mierze — miejscową ludność. Ułatwiło to po wojnie stworzenie legendy o niezmiernie szerokiej aktywności sowieckiej partyzantki jak też o kolaboracyjnym charakterze UPA. Nie znaczy to oczywiście, by wypadki kolaboracji nie miały miejsca — szczególnie wiele było ich w okresie

8. *Armia Krajowa w dokumentach*, t. III. Londyn 1973, dok. 437.
9. R. Torzecki — *Kwestia ukraińska w polityce III Rzeszy*, Warszawa 1972, ss. 294, 297.
10. *AK w dokumentach... op.cit.*, dok. 479.

walk frontowych, kiedy to UPA, nastawiona już wyłącznie na walkę z Sowietami, zapewniała sobie neutralność lokalnych dowódców niemieckich oraz przejmowała zapasy broni, których Niemcy nie byli w stanie ewakuować. Dochodziło też w tym czasie do bezpośredniego współdziałania taktycznego UPA z Wehrmachtem przeciw Armii Czerwonej i AK, która w walkach tych występowała jako sojusznik wkraczających Sowietów.

Okres terroru wołyńskiego możemy podzielić na trzy fazy: do grudnia 1942 r. miały miejsce pojedyncze wypadki mordów, których na ogół nie da się jednoznacznie przypisać organizacjom politycznym, następnie od stycznia do kwietnia 1943 okres narastania wystąpień antypolskich, a od marca — sterowany terror przeciwko całym wsiom, wreszcie od maja 1943 zorganizowane szturmy polskich ośrodków samoobrony i rozlewanie się terroru na cały Wołyń, a następnie i na Galicję Wschodnią. Ten ostatni okres, podczas którego staczano niejednokrotnie ciężkie, regularne boje, był też czasem, w którym AK podejmuje akcje o charakterze odwetowym.

Pierwszy odnotowany w źródłach mord zbiorowy miał miejsce w Obórkach (pow. sarneński) 13.11.1942 r.[11]. Jego ofiarą padło ok. 50 osób, znaczna część lub nawet całość polskiej ludności tej wsi. Mordu tego dokonała jednak ukraińska policja kolaboracyjna, była to więc zbrodnia niemiecka, nie pierwsza i nie ostatnia. Cały czas musimy mieć bowiem na uwadze, że tłem terroru antypolskiego były niemieckie akcje pacyfikacyjne, podejmowane tak przeciwko wsiom polskim, jak i ukraińskim nieraz, głównie siłami *Schutzmannschaft*'ów, akcje niezmiernie krwawe (np. w Kortylisach, wsi ukraińskiej, padło w toku pacyfikacji aż 2.000 ludzi). Jednakże do lutego 1943 r. masowe mordy Polaków (wyjąwszy akcje niemieckie) były jeszcze rzadkie, mnożyły się natomiast zabójstwa poszczególnych osób i rodzin. Nie ustały one i później, lecz miały stanowić już tylko margines wydarzeń.

W marcu rozpoczęła się „depolonizacja", najpierw w powiatach sarneńskim, kostopolskim, równieńskim i zdołbunowskim, a więc wzdłuż wschodniej granicy II Rzeczypospolitej. W czerwcu rozszerzyła się ona na powiaty dubieński i łucki, w lipcu na horochowski, kowelski i włodzimierski, wreszcie w sierpniu — na lubowelski, wysunięty najdalej na północny zachód. Jak więc widzimy, akcję „depolonizayjną" rozwijano tak, by niejako spychać ludność polską na zachód. Następnie akcja ta rozszerzyła się na tereny Galicji Wschodniej, co omówimy osobno, nigdy natomiast nie przekroczyła granicy II Rzeczypospolitej, choć

11. A. Szcześniak, W Szota — *Droga do nikąd*, Warszawa 1973, s. 166.

tam także działała UPA, a ludność polska — głównie w żytomierskim — była nader liczna. Jednakże te ziemie nie mogły już stanowić przedmiotu sporu polsko-ukraińskiego (Rzeczypospolita wyrzekła się wszelkich praw do nich w traktacie ryskim 1921 r.) nie był więc potrzebny argument przetargowy w postaci ich faktycznej depolonizacji.

Akcję antypolską rozpoczynało zazwyczaj wystosowanie do ludności ultimatum, żądającego niezwłocznego opuszczenia stron rodzinnych i wyjazdu za Bug. Nierzadko już w tej fazie Ukraińcy mordowali polskich aktywistów narodowych. W wielu wypadkach, zwłaszcza w późniejszym okresie, gdy okazało się, że groźby ukraińskie nie są czcze, Polacy podporządkowywali się tym żądaniom i wyjeżdżali do GG lub do miast. W przypadku zignorowania ultimatum Ukraińcy przeprowadzali zazwyczaj pacyfikacje wedle wzorów niemieckich, ale w ich toku zabijali większą lub mniejszą liczbę mieszkańców wsi (zależało to zapewne od skali oporu i od zaognienia stosunków narodowościowych w okresie poprzednim) i palili wieś, co ostatecznie zmuszało Polaków do ucieczki: straciwszy domy, a z nimi inwentarz żywy i martwy, nie mieli już innego wyjścia.

Fakt inicjatywy ukraińskiej w przeprowadzeniu tej akcji potwierdzają jednoznacznie dokumenty niemieckie[12], sporne jest natomiast, która z formacji ukraińskich rozpoczęła mordy. Banderowcy i bulbowcy, jeżeli w ogóle przyznają, że wystąpienia takie miały miejsce, oskarżają się nawzajem. Zdaniem R. Torzeckiego inicjatorami mordów były oddziały „post-bulbowskie", bądź „dzikie", bądź już przyjęte pod egidę banderowców[13]. Niezależnie jednak od tego, jaki konkretnie oddział zapoczątkował masowe zabójstwa, akcja „depolonizacji" obciąża UPA, gdyż była to jedyna organizacja ukraińska zdolna organizacyjnie do przeprowadzenia tak szeroko zakrojonej akcji.

Znaczna część dostępnych informacji o mordach mówi o kilkunastu czy kilkudziesięciu ofiarach (np. Słobodarka, kwiecień 1943 r. — 4 ofiary, Katarynówka i Olganówka, kwiecień 1943 — 7 ofiar, Mirosławice, lipiec 1943 — kilka ofiar, Ostrów, maj 1943 — 17 ofiar, Dermanka, lipiec 1943 — 59 ofiar i rozproszenie większości ludności[14]. Dopiero z czasem, w miarę krzepnięcia polskiego oporu i narastania akcji odwetowych, tak ze

12. *Litopys UPA*, t. VI, Toronto 1983, m.in. s. 85, gdzie jednoznaczne stwierdzenie masowości napadów na wsie polskie w kwietniu 1943 r.

13. Torzecki — *op. cit.*, s. 294. *Nb.* zwraca uwagę, że autor ten nie dostrzega w ogóle udziału w tych wydarzeniach *Schutzmannschaft*'ów i cały czas pisze o UPA jako o wykonawcy niemieckiej koncepcji *Flurbereinigung* (s. 296).

14. H. Cybulski — *Czerwone noce*, Warszawa 1974, ss. 374n, 97, 141.

strony AK, jak i polskich *Schutzmannschaft*'ów, coraz częściej dochodziło do rzeczywiście masowych mordów, połączonych nieraz z atakami makabrycznego okrucieństwa. I tu jednak nie wszystko jest jasne: Torzecki np. wymienia masakrę w Kisielinie (lipiec 1943, 5.000 ofiar)[15] , jednak Cybulski przytacza relację z której wynika, że liczba ofiar nie przekroczyła kilkudziesięciu[16]. *Nb* Kisielin liczył przed wojną ok. 500 mieszkańców, w większości wyznania prawosławnego (zatem Ukraińców), co wyklucza tak wielką liczbę ofiar, skoro we wsi tej nie było ośrodka samoobrony (wynika to jednoznacznie z relacji, podawanej przez Cybulskiego). Z innych masakr można wymienić Orzeszyn (306 ofiar na 317 mieszkańców), Poryck (120 ofiar)[17], Janową Dolinę (600 ofiar), Hańczową (200 ofiar), Mercalówkę (150 ofiar), Zagaj (300 ofiar), Mizocz (800 ofiar)[18], Gaj Dolny i Górny (900 ofiar)[19]. Nie jest to wyczerpująca lista.

W lipcu 1943 r. oddziałom UPA udało się złamać i zmusić do ewakuacji samoobronę w Hucie Stepańskiej, a w toku walki i masakry padło około 1.500 ofiar z 10.000 zgromadzonych tam Polaków. Pozostali rozproszyli się, częściowo trafiając do innych samoobron (głównie Przebraża), częściowo — w ręce niemieckie. Niemcy *nb* wymordowali część zagarniętej ludności[20], a M. Fijałka dość przejrzyście sugeruje, że część ewakuowanych została wymordowana przez osłaniający ich oddział sowiecki[21].

Zatrzymamy się na chwilę przy pogromie Janowej Doliny, a to ze względu na to, że J. Łobodowski w swym klasycznym dla powojennego dialogu polsko-ukraińskiego artykule[22] cytuje zdanie J. Wreciony, że „przed Janową Doliną był Dermań, gdzie ludzi wbijano na pal", sugerując w ten sposób związek między tymi wydarzeniami. Nie zaprzecza temu związkowi także J. Łobodowski, przyznając, że w Janowej Dolinie istotnie kwaterowała jednostka, która „dała się we znaki" okolicznej ludności, podnosząc jedynie fakt, że Janową Dolinę zdobyto po dwudniowej walce, więc dowództwo ukraińskie mogło nie dopuścić do rzezi

15. Torzecki — *op.cit.*,s. 296.

16. Cybulski — *op.cit.*, s. 153 n.

17. Torzecki — *op.cit.*, s. 296.

18. Szota, Szcześniak — *op.cit.*, s. 166/167.

19. Cybulski — *op.cit.*, s. 383. Prawdopodobnie to o tej miejscowości pisał J. Hałan jako „wsi opod Różyszczem" w wielokrotnie cytowanym tekście dziennikarskim, podając 900 ofiar.

20. J. Sobiesiak — *Burzany*, cyt. za A. Bata — *Bieszczady w ogniu*, Rzeszów 1987, s. 68.

21. M. Fijałka — *27 Wołyńska dywizja piechoty AK*, Warszawa 1986, s. 49.

22. J. Łobodowski — „Przeciw upiorom przeszłości", *Kultura* nr 2-3/1952.

po zdobyciu wsi, gdyby istotnie tego chciało. Jednakże źródła ukraińskie wymieniają jedną polską akcję na Dermań (ściślej — Dermań II) — 14.11.1943 r., przeszło pół roku po rzezi Janowej Doliny (kwiecień 1943 r.)[23]. Sprawa ta wymaga niewątpliwie dalszych wyjaśnień.

W meldunkach AK podaje się liczbę 800 ofiar w sarneńskim i kostopolskim do maja 1943 r.[24], dane te jednak wydają się niekompletne, a wkrótce potem mowa jest już o 2000 ofiar[25]. W samym tylko pow. kowelskim liczbę ofiar szacowano we wrześniu 1943 na 3000[26], a ogólną liczbę ofiar polskich na Wołyniu — na 15.000[27]. Dane te, dalece niekompletne i wyrywkowe, należy przyjmować jako zaniżone — w jakim stopniu, nie sposób jednak określić.

Na „oczyszczonych" terenach UPA przeprowadzała reformę rolną, formalnie nadając chłopom ziemię polskich folwarków i gospodarstw. Tylko na północno-wschodnim Wołyniu do jesieni 1943 r. nadzielono w ten sposób 1543 gospodarstwa[28]. Kolejny to dowód, jak bardzo Ukraińcom chodziło o stworzenie jednoznacznych faktów dokonanych. Że zaś wieś wołyńska była przeludniona, a wypędzenie ludności polskiej dawało możliwość zdobycia tak upragnionej ziemi — trudno się dziwić, że „depolonizacja" cieszyła się masowym poparciem wsi ukraińskiej. Liczny udział chłopów, w tym także kobiet i dzieci, w wystąpieniach antypolskich był stymulowany także przez agitatorów — samych banderowskich było podobno ok. 1000[29], a wielce prawdopodobna jest także skryta inspiracja komunistyczna w powiatach północnych (sarneński, kostopolski).

Niestety, wielokrotnie opisywane w literaturze wspomnieniowej wypadki błogosławienia przez kapłanów prawosławnych broni i narzędzi gospodarskich „na śmierć", samo w sobie skandaliczne bluźnierstwo, zdarzały się rzeczywiście. W ten sposób pobudzano jednak do mordów nie żołnierzy UPA czy *Schutzmann*'ów, lecz zwykłych chłopów. To im potrzebna była tego rodzaju zachęta i to oni, a nie partyzanci czy policjanci (dysponujący bronią palną) używali wideł, kos czy siekier. I to właśnie chłopi, prości ludzie wciągnięci w wydarzenia, których nie rozumieli, głuszący wyrafinowanym okrucieństwem, wprost z

23. *Litopys UPA*, t. II, *op.cit.*, s. 184.
24. *AK w dokumentach, op.cit.*, dok. 437; podaną w tym samym meldunku liczbę 200 ofiar wypada uznać za błąd.
25. *Ibidem*, dok. 449.
26. Torzecki — *op.cit.*, s. 297.
27. *Sprawa ukraińska, op.cit.*, ss. 146.
28. *Litopys UPA*. t. II, *op.cit.*, ss. 199-200.
29. *Sprawa ukraińska, op.cit.*, ss. 144-145.

opowieści o hajdamakach, niepokój sumień, dokonywali wówczas rzeczy strasznych, wpisujących się niezwykle silnie w polską pamięć zbiorową. Wydarzeń takich było z pewnością mniej, niż się powszechnie sądzi, jest bowiem oczywiste, że właśnie takie wypadki stawały się najgłośniejsze i najbardziej obrastały w legendy — nie ma jednak podstaw, by twierdzić, że ich nie było.

Przez cały Wołyń płynęła na zachód ogromna fala uchodźców. Setki tysięcy ludzi chroniło się za Bug, w Galicji Wschodniej. Z wielu rejonów Polacy uciekali, zanim jeszcze dotarła tam „depolonizacja". Wielu z tych uchodźców ginęło po drodze, zamordowani lub po prostu z głodu i wyczerpania, inni ginęli od kul straży granicznych — większość ocalałych Niemcy wywozili na roboty, nieraz prosto z granicy. Inni chronili się w miastach — ale i tam nie było bezpiecznie: narażeni byli i na wywózki, i na terror ze strony Niemców i ich popleczników. Znaczna część Polaków szukała też ratunku w polskich wsiach Żytomierszczyzny — o ich losie wiadomo najmniej.

Uchodźcy unosili wspomnienia płonących wsi, mordowanych i torturowanych ludzi. Jednocześnie powszechna panika wyolbrzymiała rzeczywiste rozmiary wydarzeń — wieś spalona stawała się wyrżniętą w pień, każdy z rozproszonych uciekinierów był święcie przekonany, że jest jedynym ocalonym, w przekazie ustnym rosły liczby ofiar... W ten sposób rosło — zwłaszcza na lewym brzegu Bugu — przekonanie o ogromie ofiar rzezi, przekonanie, które nie wygasło po dzień dzisiejszy i owocuje podawanymi, zwłaszcza w publicystyce, najzupełniej nieprawdopodobnymi liczbami ofiar.

Nie wszyscy mogli lub chcieli uciekać. W wielu miejscowościach Wołynia powstawały ośrodki samoobrony, ufortyfikowane obozy, grupujące ludność polską z okolic[30]. Niemcy niejednokrotnie tolerowali, a nawet dozbrajali takie ośrodki, często wspomagały je też oddziały węgierskie, bywało jednak i tak, że Niemcy rozbrajali grupy samoobrony, a ich przywódców aresztowali. Kierująca samoobronami Armia Krajowa krzepła jednak zarówno dzięki poważnej pomocy z Gubernatorstwa, jak i coraz ściślejszej współpracy z partyzantką sowiecką. Przebraże, największa z samoobron (pow. sarneński, ok. 25.000 ludzi) przetrwało oblężenia UPA tylko dzięki wsparciu oddziałów sowieckich. Szacuje się, że w grupach samoobrony Wołynia i Galicji Wschodniej przetrwało w sumie ok. 70.000 ludzi na ok. 180.000 ludności polskiej pozostałej jeszcze na Wołyniu pod koniec 1943 r.[31]

30. Szota, Szcześniak wymieniają obszerną, niekompletną listę tych obozów *(op.cit.*, s. 47), autor *Sprawy ukraińskiej* mówi o 25 obozach samoobrony i 11 „miastach ucieczki" (*op.cit.*, s. 145).

31. *Sprawa ukraińska*, *op.cit.*, s 146.

Terror wzmagał wojenne rozprzężenie, a zaciekłe walki UPA o uniemożliwienie Niemcom wybrania kontyngentu żniwnego w 1943 r. spowodowały ogromny wzrost okrucieństwa Niemców i kolaborantów (w tym czasie, niestety, już głównie Polaków). Jednocześnie kierownictwa polityczne i wojskowe utraciły kontrolę nad terenem, gdzie rozpanoszyły się „dzikie" oddziały i bandy chłopskie, rabujące i mordujące na własną rękę i nie słuchające nikogo. Rosła bezkarność wszelkiego rodzaju bandytów, a w miarę zbliżania się frontu w lasach przybywało dezerterów. Nigdy nie będziemy w stanie dojść, ile ofiar padło z rąk UPA i kontrolowanych przez banderowców formacji chłopskich, ile — z rąk „polskich", „ukraińskich", a także innych *Schutzmannschaft*'ów, ile wprost z rąk niemieckich... ilu pomordowanych ma na sumieniu Armia Krajowa, sowieccy partyzanci, dzikie bandy, dezerterzy różnej maści... Wołyń stał się ziemią niczyją, nikt nad nim już nie mógł zapanować.

Odpowiedzialnością za terror nie można obciążać wyłącznie ukraińskiego kierownictwa politycznego, ani tym bardziej — narodu ukraińskiego jako takiego. Choć bowiem terror wynikał z akcji, podjętej przez to kierownictwo, nie tylko ono podsycało terror i nie ponosi pewnej odpowiedzialności za to, że gdy usiłowało się z niego wycofać (już w październiku 1943 r.) — jego apele pozostawały bez rezultatu. Wielka część odpowiedzialności spada na Niemców, którzy stworzyli warunki do rozwinięcia tego rodzaju akcji na terenach, za które — jako okupanci — odpowiadali, a także — którzy nie tylko tolerowali, ale wręcz stymulowali zbrodniczą działalność polskich i ukraińskich kolaborantów. O innych współwinnych powiemy za chwilę.

Bez masowego poparcia wsi ukraińskiej terror o takiej skali nie byłby możliwy — jednakże znaczna część Ukraińców, tak na Wołyniu, jak i w Galicji Wschodniej, zdecydowanie potępiała mordy, wielu także — wypędzenie Polaków. I bardzo wielu Polaków ocaliło życie dzięki ostrzeżeniom, a nawet czynnej pomocy swych ukraińskich sąsiadów czy nawet ludzi zupełnie obcych. Dane o takich faktach znaleźć można praktycznie w każdej relacji wspomnieniowej z tych lat[32], jednakże do dziś nie dotarły one do świadomości narodu polskiego. A trzeba wiedzieć, że Ukraińcy wspomagający Polaków narażali się na straszną zemstę swych rodaków.

Rola Sowietów w tych wydarzeniach jest niejasna. Wiadomo, że ich partyzantka była nieprzejednanym wrogiem UPA i zwalczała ją intensywniej nawet, niż Niemców, brutalnie nieraz pacyfikując wsie ukraińskie — jednakże Armia Krajowa mogła

32. Mówią o tym też Szota, Szcześniak, *op. cit.*, s. 177.

być dla Związku Sowieckiego wrogiem. Podobnie usunięcie z Kresów ludności polskiej było z sowieckiego punktu widzenia korzystne — zmniejszało to przecież przyszłe problemy na ziemiach, których Moskwa przecież ani myślała oddać Polsce.

Zdaniem polskiego wywiadu doły OUN były niekiedy spenetrowane przez komunistów, którzy niejednokrotnie pobudzali do mordowania Polaków. Inne dokumenty mówią o tym, że w złoczowskim i stanisławowskim, gdzie terror rozpoczął się znacznie później, bandami ukraińskimi dowodzili oficerowie sowieccy[33] — były to zatem oddziały sowieckie, nie zaś UPA. Wiadomo także, że niektóre oddziały sowieckie, dowodzone, a często w znacznej mierze składające się z kadrowych pracowników NKWD, występowały jako UPA i mordowały ludność polską, by później — już jako oddziały sowieckie — znajdować na tym terenie poparcie ludności polskiej[34]. Wiadomo także, że podobne akcje NKWD miały miejsce także w okresie powojennym, i w Polsce, i na Ukrainie. Mamy więc prawo twierdzić, że partyzanci sowieccy mają na swym sumieniu pewną część krwi polskiej i bardzo znaczną część krwi ukraińskiej przelanej na Wołyniu. Zagadnienie to nie było dotychczas przedmiotem poważniejszych badań, wydaje się jednak logiczne, że w takich akcjach Sowieci musieli mordować wszystkich zagarniętych Polaków, nie pozostawiając świadków, mogących ich zdemaskować. Stąd też autor sądzi, że akcji partyzantki sowieckiej należy szukać pomiędzy tymi najkrwawszymi.

Samoobrony polskie podejmowały także akcje zaczepne — tak prewencyjne, jak i odwetowe. Palono wsie ukraińskie sąsiadujące z samoobronami bądź uznawane za „gniazda nacjonalistyczne", niewątpliwie dochodziło przy tym także do mordów na ludności cywilnej (pojęcie cywila w tych walkach było zresztą płynne — bardzo wielu chłopów miało przecież broń i brało czynny udział w walkach i mordach). Jednakże podawane przez źródło ukraińskie przykłady polskich pacyfikacji w znakomitej większości przypadków wymieniają stosunkowo niewielką liczbę ofiar (np. Jackowice, wrzesień 1943, a więc czas szczytowego nasilenia terroru — 8 osób zabitych, 48 spalonych chat — nie da się udowodnić, czy byli to polegli, czy zamordowani[35]. Co

33. *PSZ–AK, op.cit.*, s. 529.

34. Weryha (*op.cit.*, s. 437) oskarża o takie działanie oddział M. Kunickiego (był to oddział partyzantki sowieckiej złożony z Polaków, *nb.* dezerterów ze *Schutzmannschaft*'u), a sam Kunicki w swych wspomnieniach cytuje rozkazy dzienne swego oddziału z IX-XII.1944, kiedy to zwalczał on UPA w drohobyckim, pacyfikując wsie i symulując akcje partyzantki ukraińskiej (M. Kunicki — *Pamiętnik Muchy*, Warszawa, s. 429 n. — tylko w I wydaniu!). Por. też *Sprawa ukraińska, op.cit.*, s. 146.

35. *Sprawa ukraińska, op.cit.*, s. 146.

więcej — w przeważającej większości dokumentów mowa jest o akcjach, a nawet oddziałach „polsko-niemieckich", co jednoznacznie oznacza *Schutzmannschaft*'y złożone z Polaków; na ogół nie jest jasne, kiedy opisywanymi akcjami dowodzili Niemcy, kiedy zaś nie. W każdym jednak razie określenia tego rodzaju pozwalają wykluczyć odpowiedzialność Armii Krajowej za daną konkretną zbrodnię.

Jak już wspominaliśmy, polskie formacje kolaboracyjne zostały znacznie wzmocnione po dezercji policji ukraińskiej. Polacy licznie wstępowali do nich w miarę, jak nasilał się terror, mimo surowych zakazów Polski Podziemnej[36]. Część z nich chciała się tam tylko „zaczepić", uchronić przed wywózką na roboty, a jednocześnie znaleźć względne bezpieczeństwo — wielu jednak z pewnością wstępowało do *Schutzmannschaft*'ów z chęci zemsty. I to oni — dysponując silniejszą motywacją — nadawali ton całości. Polskie bataliony policyjne stacjonowały w Kobryniu, Kowlu, Różycach i Klewaniu. Niemcy przerzucili też na Wołyń batalion policyjny z GG, co, jak ujął autor meldunku AK, „popełnianym bestialstwom nadaje charakter zemsty polskiej"[37]. Jasno i zwięźle powiedziane. Właśnie te formacje zapisały się w świadomości Ukraińców jak najgorzej, tym bardziej, że i ich czyny wyolbrzymiała ta sama panikarska plotka, która w polskiej opinii wyolbrzymiała ukraińskie zbrodnie. Niestety, autorzy ukraińscy rzadko przeprowadzają rozróżnienie między formacjami kolaboracyjnymi a AK, pisząc o „Polakach" i „polskich zbrodniach". Podobnie zresztą polscy autorzy niechętnie rozróżniają UPA i *Schutzmannschaft*'y, co jest zrozumiałe o tyle, że na ogół przypisują oni charakter kolaboracyjny samej UPA.

Właśnie polskie *Schutzmannschaft*'y popełniły największe z odnotowanych mordów na ludności ukraińskiej Wołynia. Bodaj największym z nich była pacyfikacja Malina (lipiec 1943), w toku której oddziały Polaków i Uzbeków wymordowały ok. 850 osób, Ukraińców i Czechów[38]. Zaś wspomniany już napad na Dermań II był dziełem „bandy polsko-niemiecko-kozackiej"[39]. Przykładów tego rodzaju zbrodni można by przytoczyć więcej.

Czy zbrodnie kolaborantów obciążają polskie sumienie? Niewątpliwie tak, jednak w inny sposób, niż zbrodnie Armii

36. *Litopys UPA*, t. II, *op.cit.*, s. 172; akurat dość jasno wynika, że chodzi o akcję AK.

37. *AK w dokumentach*, *op.cit.*, s. 479, podobnie *Sprawa ukraińska*: „oddziały polskie z ramienia niemieckiego zaczęły wycinać wsie ukraińskie, a Niemcy podkreślali, iż jest to kara za mordowanie Polaków" (*op.cit.*, s. 145).

38. *Litopys UPA*, t. II, *op.cit.*, s. 161.

39. *Ibidem*, s. 184.

Krajowej czy innych polskich formacji wojskowych. W Armii Krajowej znalazł się kwiat naszego narodu, podczas gdy *Schutzmannschaft*'y skupiły głównie szumowinę i zaprzańców. Zbrodnicze działania tych formacji, nawet dokonywane bez rozkazu Niemców, były i pozostają zbrodniami niemieckimi, a tylko realizowanymi rękami Polaków (czy też Rosjan, Azerbejdżan, Ukraińców — nie ma istotnej różnicy, czyimi). I jakkolwiek sama zdrada i czyny wynikłe ze zdrady plamią sumienie narodu — znacznie surowiej trzeba oceniać zbrodnie tych, którzy reprezentują naród i skupiają to, co w nim najlepszego. A i oni nie ustrzegli się w tym czasie ciężkich zbrodni. Oczywiście — rozumowanie to odnosi się w całej rozciągłości do UPA i „ukraińskich" *Schutzmannschaft*'ów.

Kierownictwo Polski Podziemnej miało słabe rozeznanie w sytuacji na Kresach, skoro jeszcze w 1942 r., licząc się z możliwością ukraińskiego powstania w Galicji Wschodniej, uważało jednocześnie za możliwą neutralizację Wołynia w jego toku. Tym większe musiało być w Warszawie zaskoczenie wybuchem właśnie na Wołyniu. Niestety dopiero pod wpływem wieści o mordach Polska Podziemna podjęła kwestię ukraińską — wydano kilka apeli do Ukraińców, a po okresie sondaży w marcu 1943 r. podjęte zostały wstępne rozmowy między Delegaturą Rządu a kierownictwem banderowskiej OUN. Nie doprowadziły one do niczego, gdyż do niczego doprowadzić nie mogły. Strona polska stała konsekwentnie na stanowisku integralności terytorialnej II Rzeczypospolitej i wobec znanych roszczeń sowieckich nie miała innego wyjścia, niż konsekwentne trzymanie się *status quo ante bellum*. Domagano się też od Ukraińców lojalności obywatelskiej wobec władz polskich, co dla banderowców równałoby się zaprzestaniu wszelkiej działalności. Ze swej strony banderowcy — jak się zdaje skłonni już wówczas odłożyć kwestię granic do powojennych rokowań — chcieli przede wszystkim wciągnąć AK do wspólnej walki z Sowietami, co było dla nas absolutnie nie do przyjęcia. Wydaje się zresztą, że w polskich kręgach rządowych nie traktowano serio możliwości powstania po zwycięstwie Aliantów niepodległego państwa ukraińskiego. Ze swej strony banderowcy już wówczas przewidywali, że efektem tego zwycięstwa bardzo łatwo stać się może sowietyzacja także Polski.

Wzajemne kontakty nie zostały jednak zerwane i w marcu 1944 r. doszło w końcu do podpisania wspólnego protokołu (nie wolnego od rozbieżności) między przedstawicielami Delegatury i OUN-SD. Podpisano go *nb.* w czasie szczytowego nasilenia terroru w Galicji Wschodniej i hrubieszowskim. W protokole tym uzgodniono szereg spraw, m.in. stwierdzono, że obie strony

mają wspólnych wrogów (nie wymieniono ich jednak *expressis verbis*), a także zgodzono się, że sprawę granic rozstrzygną po wojnie rokowania między suwerennymi państwami polskim i ukraińskim. Nie uzgodniono natomiast spraw doraźnie najważniejszych — rozgraniczenia stref wpływów AK i UPA i współdziałania wojskowego obu tych armii, na co nalegała strona ukraińska. Takie rozgraniczenie jednak eliminowałoby AK z większości terenów, na których przebywała śmiertelnie zagrożona ludność polska, a także dawałoby stronie ukraińskiej niebagatelny argument w przyszłych hipotetycznych rokowaniach granicznych, wreszcie udaremniłoby „Burzę" na ziemiach wschodnich. Zaś współpraca wojskowa z UPA równałaby się przejściu AK do obozu antysowieckiego. Na to zaś Polska ani nie chciała, ani nie mogła się zgodzić.

Porozumienie utrudniał ponadto fakt, że strona polska zdawała już sobie sprawę, że ukraińskie kierownictwo polityczne nawet gdyby chciało, nie jest w stanie położyć kresu rzeziom (ich rozmiary w Warszawie znacznie wówczas przeceniano). Ostatecznie więc głównym efektem marcowego protokołu[40] był on sam, przez to, że stworzył podstawę do dalszych rozmów. Toczyły się one nawet na emigracji, aż do 1946 r., jednak ich znaczenie było już znikome, jeśli nie wręcz żadne. Szanse porozumienia przekreśliła ostatecznie otwarta współpraca AK z wkraczającą Armią Czerwoną w ramach „Burzy". Dopiero w 1946 r., po radykalnej zmianie sytuacji strony polskiej mogło dojść do ponownego nawiązania rozmów, z lepszymi niż poprzednio perspektywami, lecz też daleko mniejszym znaczeniem.

Wiadomości o rokowaniach najprawdopodobniej w ogóle nie docierały do oddziałów w terenie, nie mówiąc o ludności cywilnej, nie mogły mieć więc poważniejszego wpływu na rozwój sytuacji. Jedynie tam, gdzie działały głównie zdyscyplinowane oddziały UPA, fakt rokowań i podpisanie protokołu mogły rzeczywiście ograniczać zakres akcji terrorystycznych. Bezskuteczne pozostały też wysiłki kierowniczych kręgów ukraińskich, usiłujących powstrzymać terror. Jeszcze w lipcu 1943 r. przeciw mordom wystąpił melnykowski UCK, a w październiku tego roku kierownictwo banderowskie potępiło „mordy bratobójcze", oskarżając zresztą o ich wywołanie Polaków (tj. jednoznacznie *Schutzmann*'ów)[41]. Krwawe szaleństwo gromił też metropolita Szeptycki[42], ale na prawosławnym Wołyniu głos jego nie znaczył wiele, a i sfanatyzowana Galicja nie chciała słuchać głosu tego, którego nazywała „ukraińskim Mojżeszem".

---

40. Jego tekst patrz *Suczasnist* nr 1-2 z 1985 r. (w języku polskim) s. 168n.
41. *Ibidem*, s. 166.
42. Listy pasterskie *Ne ubyj* z 1942r., bez tytułu z sierpnia 1943, *Myr o Hospody* początek 1944; teksty dwu pierwszych *Znak* nr 400 z XI 1988.

III

W Galicji Wschodniej długo panował spokój. Banderowcy traktowali te tereny jako zaplecze walki zbrojnej, zresztą po represjach niemieckich 1941 r. (z rąk gestapo zginął wówczas I. Kłymiw „Łehenda", dowódca antysowieckiej partyzantki z lat 1940-41) byli tu osłabieni, a stosunkowo łagodny reżim okupacyjny, zapewniony dzięki działalności Ukraińskiego Centralnego Komitetu, nie sprzyjał rozbudowie wpływów skrajnych niepodległościowców. Pierwsze, sporadyczne wystąpienia antypolskie notuje się tu w pierwszej połowie 1943 r., na ogół jest to jeszcze działalność bandytów, a nie podziemia[43]. Od lata nastąpił jednak masowy napływ uchodźców z Wołynia, przynosząc nastroje paniki, a nawet psychozy, w której każda zbrodnia, nawet jednostkowy akt kryminalny, jeżeli tylko ofiarą był Polak, urastała do rangi zamachu nacjonalistycznego. Późnym latem terror ogarnął przygraniczne powiaty sokalski, radziechowski, brodski i zbaraski, długo nie osiągając jednak rozmiarów wołyńskich. Wreszcie wczesną wiosną 1944 r. do Galicji zaczęły napływać z Wołynia coraz liczniejsze oddziały UPA, powodując szczytowe nasilenie terroru.

Wcześniej jeszcze, latem 1943 r., dotychczasowy spokój Galicji Wschodniej zburzył rajd sowieckich partyzantów Kowpaka, który spod Sarn przedarł się aż na Podkarpacie, zniszczył szyby naftowe wokół Sołotwiny, a w toku odwrotu został rozbity przez Niemców, a dobity w znacznej mierze przez organizowaną właśnie Ukraińską Samoobronę Narodową (UNS), później przekształconą w UPA. W toku tych walk Niemcy masowo pacyfikowali wsie, w efekcie czego sympatie dla UPA, a w konsekwencji i jej szeregi znacznie wzrosły, a prestiż kolaborantów spadł, tym bardziej, że Niemcy ponosili na frontach klęskę za klęską.

Jesienią 1943 r. rozpoczęły się działania antypolskie w powiatach Kamionka Strumiłowa, a także przemyślańskim i bóbreckim, a w 1944 r. akcja ta rozwijała się na pozostałe tereny woj. lwowskiego, nie ogarnęła natomiast większości terytorium Tarnopolszczyzny, zapewne dlatego, że tamtejsza AK była już na tyle silna, że akcja przeciw bardzo licznej ludności polskiej nie rokowała powodzenia. Podobnie nie było poważniejszych wystąpień antypolskich w stanisławowskim (poza pow.

43. Por. *AK w dokumentach, op.cit.*, dok. 449, gdzie rozróżnienie między „bandami" a „organizacjami" ukraińskimi.

rohatyńskim, położonym na lewym brzegu Dniestru), choć np. w kałuskim przez jakiś UPA była praktycznie jedyną siłą zbrojną. Okoliczność ta przemawia także na rzecz poglądu o planowym charakterze akcji „depolonizacyjnej" — po zniszczeniu enklaw polskich w lwowskim ani wielkie skupisko Polaków w tarnopolskim, ani tym bardziej niezbyt liczne w stanisławowskim nie mogły stanowić argumentu na rzecz przynależności Galicji Wschodniej do Polski, od ziem o przewadze polskiej dzieliłby je bowiem obszerny pas terenów czysto ukraińskich. Wiadomo też było, że Polska może być skłonna ustąpić z Podkarpacia i Podola, ale będzie upierać się przy Lwowie z okolicami.

W początkach 1944 r. dowództwo UPA postanowiło jeszcze w warunkach okupacji niemieckiej stworzyć własne terytorium wyzwolone, stanowiące zarówno widoczny dla świata dowód istnienia państwa ukraińskiego, jak i bazę formowania UPA i dalszych jej operacji[44]. Prawdopodobnie wciąż liczono na dość rychłe załamanie się zarówno Niemiec, jak i ZSSR. Miały się na nie złożyć tereny powiatów bóbreckiego, przemyślańskiego, brzeżańskiego i rohatyńskiego. Teren ten tworzył — rzecz z pewnością nieprzypadkowa — doskonałą bazę do ataku na Lwów. Niemcy rychło utracili kontrolę nad tym terenem, Brzeżany i inne miasta zostały zablokowane, a jedynym poważniejszym przeciwnikiem UPA pozostała AK. W toku walk ogromna większość ludności polskiej z tych ziem uciekła na zachód, ofiary też jednak były liczne.

Napady na wsie polskie na wielką skalę rozpoczęły się w lutym 1944 r. W pierwszym półroczu tego roku tylko w pow. bóbreckim i przemyślańskim miało miejsce 60 napadów na wsie polskie[45], a w pow. przemyślańskim z pozostających tam jeszcze 20.000 Polaków 800 straciło życie, a ok. 15.000 uciekło[46]. W powiecie tym przetrwały jedynie trzy ośrodki polskie: same Przemyślany, gdzie Polaków chronił garnizon okupanta, Swirż i Dunajowce[47]. W woj. tarnopolskim (a więc bez bóbreckiego i rohatyńskiego) w sierpniu 1943 r. notowano 45 ofiar polskich, we wrześniu — 61, w październiku — 93, w listopadzie — 127, w grudniu już 309, a w styczniu 1944 r. — 466[48]. W lutym ofiar miało być „kilkakrotnie więcej"[49], a więc 1.000-2.000. Poprzednio powołany dokument podaje dalej, że w dniach

44. Torzecki — *op.cit.*, s. 328.
45. B. Tomaszewski, J. Węgierski — *Lwowska AK*, Warszawa 1983, s. 86.
46. *Ibidem*, s. 17.
47. J. Węgierski — *W lwowskiej AK*, Warszawa 1989, s. 146, gdzie liczba 1.000 ofiar.
48. *PSZ-AK*, *op.cit.*, s. 528n.
49. *AK w dokumentach*, *op.cit.*, dok. 346.

20-25.02.1944 r. w pow. przemyślańskim i rohatyńskim miało miejsce 13 napadów na wsie polskie, w których zginęło łącznie 300 osób, a w zaatakowanym 18.02. Firlejowie padło 89 osób. Kolejny meldunek AK mówi o stwierdzeniu 500 ofiar, niewątpliwie w okresie późniejszym, niż objęty poprzednim meldunkiem[50], w innym wymienia aż 1.000 ofiar rzezi w Podkamieniu (marzec 1944 r.)[51]. Z dokumentów niemieckich wynika wreszcie, że tylko w kwietniu 1944 r. UPA zamordowała co najmniej 645 Polaków, przy czym autor dokumentu uważa tę liczbę za znacznie zaniżoną, zwracając uwagę na zacieranie przez UPA śladów zbrodni[52]. Wiosną fala terroru rozlała się na pow. żółkiewski, sięgając niemal bram Lwowa, a także samborski, drohobycki i obszar między Lwowem a Przemyślem. Jednakże w samym zagłębiu naftowym nie doszło do jakichkolwiek wystąpień antypolskich: pracowało ono na potrzeby frontu, a Niemcy do końca trzymali je twardą ręką.

W Galicji Wschodniej także tworzyły się samoobrony — tu na ogół niewielkie i stosunkowo słabe, często korzystające ze wsparcia Niemców, którzy np. w żółkiewskim wydawali Polakom broń, by choć trochę powściągnąć anarchizację zaplecza coraz bliższego frontu. Rozmiary exodusu Polaków były tak wielkie, że trzeba było zwinąć inspektorat północny lwowskiego obwodu AK (pow. sokalski, radziechowski i Kamionka Strumiłowa)[53]. Najbardziej znane z tych samoobron to Hanaczów i Biłka Królewska oraz Huta Werchbudska, Brodska i Pieniacka. Oddziałom UPA udało się wymusić ewakuację Hanaczowa[54] i kilku innych samoobron. Natomiast Huta Pieniacka, w której kwaterował sowiecki oddział partyzancki[55], odparła ataki UPA, by ulec 28.02.1944 r. wyodrębnionemu pododdziałowi dywizji *SS-Galizien*, tzw. *Kampfgruppe Beyersdorf*. Była to więc akcja niemiecka, choć wykonana rękami Ukraińców, a jej celem była likwidacja groźnego oddziału wroga na własnym zapleczu. W Hucie Pieniackiej padło ok. 500 partyzantów, pomordowanych z ogółem 1.000 osób, które tam się schroniły.

Odwet polski w Galicji Wschodniej był bardziej zdecydowany i bardziej krwawy, niż na Wołyniu. Akcja rozpoczęła się tu później i nie zastała Polaków nieprzygotowanymi. Dokument

50. *Ibidem*, dok. 616.
51. *Ibidem*, dok. 611.
52. *Litopys UPA*, t. VI, *op.cit.*, s. 139.
53. Węgierski — *op.cit.*, s. 196.
54. Szerszy opis walk o Hanaczów — *ibidem*, s. 74n, 125n, 140n.
55. Szota, Szcześniak — *op.cit.*, s. 127, szerzej M. Juchniewicz — „Z działalności organizacyjno-bojowej GL...", *Wojskowy Przegląd Historyczny* nr 4 z 1968 r.

niemiecki ze stycznia 1944 r., a więc z początkowej fazy terroru, mówi dosłownie: „bandy ukraińskie wciąż są nastawione zarówno przeciw bandom polskim, jak i przeciw polskim koloniom (...) Nastawienie band polskich jest także skierowane zarówno przeciwko bandom ukraińskim, jak i przeciw ukraińskim wsiom"[56]. Także polscy autorzy przyznają, że AK nie ograniczała się tu do zwalczania UPA, lecz mordowała także ludność cywilną, unikając jednak podawania konkretnych przykładów[57].

Akcje odwetowe nie były samorzutne (choć takie z pewnością także się zdarzały), lecz nakazane przez dowództwo AK[58]. W marcu 1944 r. w odwet za zabójstwa Polaków dokonywane przez ukraińskich policjantów we Lwowie bojówki AK zastrzeliły 11 policjantów, co skutecznie zahamowało tę akcję[59]. W kwietniu tegoż roku oddziały lwowskiego KEDYW-u w ramach rajdu pacyfikacyjnego zamordowały w Chlebowicach Świrskich, Czerepinie i Łopusznej ok. 130 cywilnych Ukraińców (w Chlebowicach były też ofiary pośród Polaków)[60]. Akcja ta nie zahamowała terroru ukraińskiego, wręcz przeciwnie — gdy tylko KEDYW powrócił do Lwowa, UPA przeprowadziła serię napadów, ofiarą których padło ok. 200 Polaków, zaś 12.04. Hucisko i Miedziaki padły ofiarą sformowanej *ah hoc* bandy ukraińskiej, zorganizowanej przez Ukraińców ze wspomnianej przed chwilą Łopusznej. We wsiach tych zamordowano ok. 100 osób, wiele w szczególnie okrutny sposób (rżnięcie piłami itp.)[61]. W późniejszej fazie działań atak polski na Szołomyję (11.06.1944), gdzie w spalonej wsi zginęło kilkudziesięciu Ukraińców, przyczynił się do zahamowania akcji ukraińskiej[62]. Wydaje się jednak, że większe znaczenie miało zbliżanie się frontu i ogromne nasycenie terenu oddziałami niemieckimi. UPA musiała przygotowywać się do zmiany warunków działania, kolaboranci zaś myśleli w czerwcu już głównie o ratowaniu własnej skóry. Podczas walk frontowych UPA nie przejawiała na Lwowszczyźnie większej aktywności — do nielicznych starć polsko-ukraińskich w tym czasie należy bój o górę św. Jura, której bronił oddział UPA[63], — czy nie dla stworzenia symbolu dla przyszłych pokoleń?

56. *Litopys UPA*, t. VI, *op.cit.*, s. 111.
57. Szota, Szcześniak — *op.cit.*, s. 175, Torzecki — *op.cit.*, s. 297.
58. *AK w dokumentach*, *op.cit.*, dok. 594, gdzie czytamy: „nakazano stosowanie odwetowych akcji pacyfikacyjnych przeciwko osiedlom ukraińskim".
59. Węgierski — *op.cit.*, ss. 98-99.
60. *Ibidem*, s. 100.
61. *Ibidem*, s. 109.
62. *Ibidem*, ss. 160-162.
63. *Ibidem*, s. 238.

Szkoda tylko, że stworzony on został w walce z Polakami, a nie z Sowietami.

Z początkiem 1944 r. doszło do dramatycznych wydarzeń na lewym brzegu Bugu, w powiatach tomaszowskim i hrubieszowskim. Korzenie ich sięgały tragedii Zamojszczyzny. Niemcy bowiem wysiedlali wówczas nie tylko Polaków, lecz i Ukraińców, choć tych drugich w nierównie lepszych warunkach. Ukraińców kierowano do obozów przejściowych, tworzonych w ukraińskich wsiach hrubieszowskiego, a wiosną 1943 r. zaczęto ich osiedlać w wysiedlonych w tym celu wsiach polskich. Jednocześnie, wobec narastającej fali zabójstw Ukraińców, UCK doprowadził do usunięcia z tych powiatów polskiej policji i zastąpienia jej ukraińską. Latem 1943 r. Niemcy zaczęli też osiedlać Ukraińców we wsiach pow. biłgorajskiego, na obrzeżach Puszczy Solskiej, tu jednak kolonie ukraińskie nie utrzymały się długo — z jednej strony presja oddziałów leśnych była bardzo duża, z drugiej sami Ukraińcy chętnie porzucali te obce sobie tereny i wracali między swoich[64].

Jeszcze w początkach 1943 r. oddziały AK i BCh podjęły akcje odwetowe przeciw kolonistom niemieckim na Zamojszczyźnie, w toku której licznie ginęła także ludność cywilna[65]. Już w maju tego roku dochodziło też do palenia gospodarstw i wsi ukraińskich, przy czym rozrzucane ulotki rozgłaszały „odwet za Wołyń"[66]. Ataki te kierowały się w pierwszej kolejności przeciw nowym osiedlom ukraińskim. Z ok. 6.000 Ukraińców osiedlonych przez Niemców poza zwartym obszarem ukraińskim ok. 4.000 uciekło w krótkim czasie za Bug, pozostali na ogół rozproszyli się po okolicy, liczba zabitych i zamordowanych nie jest znana[67]. W obronie Ukraińców stawały formacje policyjne, a gdy jesienią Polacy podjęli nową akcję palenia wsi ukraińskich (220 ofiar, ok. 2.000 bez dachu nad głową)[68], przybyłe zza Buga silne oddziały UPA zmusiły oddziały polskie do wycofania się na zachód i ewakuacji znacznej części ludności polskiej. W marcu 1944 r. nastąpiła z kolei ofensywa polska, skoordynowana już z walkami 27 dywizji AK w rej. Włodzimierza Wołyńskiego. W toku tej akcji masowo palono ukraińskie wsie (tylko w gminach Sahryń i Kryłów między 9 a 12.03.—17), a w jednej z nich — Sahryniu — padło ok. 500 ofiar, w tym cała ludność wsi[69].

64. Na ten temat szerzej w: *Zamojszczyzna—Sonderlaboratorium SS*, wybór dokumentów, Warszawa 1977.
65. *Ibidem*, zwłaszcza s. 405, także *PSZ-AK, op.cit.*, s. 478.
66. Weryha — *op.cit.*, s. 224.
67. *Ibidem*, ss. 224-225.
68. *Ibidem*, s. 226.
69. *Ibidem*, s. 227n, także C. Gawryś — „Turkowcie — śmierć i ocalenie", *Więź* nr 4/1987.

Przeciwdziałanie UPA i formacji kolaboracyjnych było jednak silne, a straty polskie — znaczne[70] i ostatecznie po zaciętych, prowadzonych przez obie strony z wielkim okrucieństwem walkach UPA wyparła siły polskie za Huczwę (lewy dopływ Bugu). Niemal cała ludność polska wraz z partyzantami opuściła ten teren.

Dalej na południe panował względny spokój. Osławione „łuny w Bieszczadach" są mitem — nie było tam ani masowych mordów, ani prób „depolonizacji". Była natomiast po stronie polskiej panika i jednocześnie czujność: jedni uciekali, inni — nie bez racji — zawczasu tworzyli samoobrony[71]. Odosobnione wypadki mordów w przemyskim czy Bieszczadach (Podkaliszcze, Serednie Małe) nie zmieniają tej ogólnej oceny. Największej akcji antypolskiej dokonano w Baligrodzie 1.08.1944 r. podczas przesuwania się frontu — egzekucji ponad 40 miejscowych Polaków dokonał bliżej niezidentyfikowany oddział, prawdopodobnie UPA[72], niektóre świadectwa mówią o tym, że oddział ten dysponował listą osób przewidzianych do rozstrzelania. Ważnym epizodem na tym terenie był też atak AK na kilkudziesięcioosobowy posterunek policji w Jaworniku Ruskim (25.04.1944 r.). Po zaciętej walce posterunek zniszczono, były też — jak się zdaje — znaczne straty wśród ludności cywilnej, a wieś częściowo spłonęła. Trzeba jednak dodać, że gdy walka toczyła się we wsi czy miasteczku, nie sposób było uniknąć przypadkowych ofiar pośród ludności cywilnej (choćby nadmiernie ciekawych dzieci) a także pożarów, rozszerzających się w sposób trudny do opanowania. Nie znaczy to oczywiście, by nie zdarzały się — i tu, i gdzie indziej — rozmyślne zabójstwa cywili, przypadkowe ofiary, tak polskie, jak i ukraińskie, były z pewnością także nader liczne.

Zmiana okupacji niemieckiej na sowiecką wbrew twierdzeniom znacznej części dotychczasowej literatury[73] nie położyła kresu ani działalności UPA, ani mordom na ludności polskiej. Sytuacja Polaków pogorszyła się teraz — samoobrony przestały istnieć, nieraz zniszczone przez NKWD, zabrakło oddziałów AK, nowe wywózki na wschód i mobilizacja do Wojska Polskiego uszczupliły najaktywniejsze środowiska polskie. Wraz z

70. Bata podaje liczbę 900 ofiar polskich w woj. lubelskim tylko w marcu 1944, m.in. 200 ofiar w Smoligowie (*op.cit.*, s. 73) — liczby te są zbyt wysokie, by mogły nie zawierać pomordowanych cywilów.

71. Por. S.F. Gajewski — „Struktura organizacyjna ZWZ (...) powiatu lubaczowskiego", *Dzieje Najnowsze* nr 2/1986, gdzie wiele pisze się o obawie przed UPA, ale prawie nie wymienia stwierdzonych akcji na tym terenie.

72. M. Kędra — *Zarys dziejów Baligrodu*, Przemyśl 1985, s. 10, 15.

73. Szota, Szcześniak — *op.cit.*, s. 169.

formacjami WP wielka liczba ludności cywilnej odeszła za Bug i San, wielu jednak wciąż pozostawało na wschodzie. UPA natomiast pozostała w lesie, w niewielkim tylko stopniu naruszona w toku walk frontowych, za to znacznie dozbrojona. Przejęła też ona w tym czasie kilkutysięczną grupę żołnierzy z rozbitej dywizji *SS-Galizien*, a także licznych *Schutzmann*'ów.

Jesienią 1944 i wiosną 1945 r. rozlała się więc nowa fala napadów na ludność polską, tym razem już na całym obszarze Kresów. Nie miała już ona, jak poprzednio, charakteru planowej akcji — teraz atakowano na oślep, zapewne zwłaszcza tam, gdzie Polacy okazywali sympatie dla nowego okupanta (a okazywali je najczęściej dlatego, by uniknąć wywózki na Sybir i zyskać ochronę właśnie przeciw UPA). Wg danych sowieckich tylko na Wołyniu od czerwca do listopada 1944 r. UPA dokonała ponad 800 akcji zbrojnych, a w tym samym czasie w woj. stanisławowskim zginęło z jej rąk przeszło 1.500 osób[74]. Oczywiście. większość tych akcji skierowana była przeciwko sowieckiej machinie państwowej, podobnie jak znaczna część wymienionych ofiar to sowieccy funkcjonariusze — z pewnością jednak daleko nie wszyscy. Inny autor wymienia prawie 2.000 Polaków, zamordowanych przez UPA na Wołyniu od lutego 1944 do października 1945[75]. Armia Krajowa działała jeszcze tylko w niektórych rejonach, a szczegóły jej działalności na wschód od Bugu i Sanu w tym okresie nie są dotychczas dostatecznie wyświetlone. Jednakże z meldunku o walkach stoczonych w pow. Rawa Ruska w czerwcu 1945 r. wynika, że AK toczyła wówczas walki tak z NKWD, jak i z UPA, a straty ludności polskiej były bardzo znaczne: „straty polskie wyniosły 1.568 zabitych, sowieckie 233, ukraińskie 75, bandyckie 315"[76]. Tego rodzaju dysproporcja strat świadczy o tym, że po stronie polskiej byli liczni pomordowani spośród ludności cywilnej (co najmniej 1.000 osób). Zwraca też uwagę odróżnianie UPA od bandytów, zapewne głównie dezerterów.

Władze sowieckie przed końcem wojny nie dysponowały dostatecznymi siłami dla zapewnienia spokoju na zapleczu frontu, organizowały więc oddziały zwane „niszczycielskimi" (ros. — *istriebitielnyje otriady*), złożone przede wszystkim z młodzieży i osób starszych. Do oddziałów tych przydzielano jako dowódców partyzantów-enkawudzistów. Na początku 1945 r.

74. S.W. Bilienko — *Na ochranie tyła strany*, Moskwa 1988, s. 186.

75. W. Dobrecowa — *Burżuaznyj nacjionalizm — znarjaddja reakcji*, cyt. za: E. Prus — *Atamania UPA*, Warszawa 1988, s. 270. Ta ostatnia praca, zasłużenie cieszącą się złą sławą, zawiera jednak szereg danych zaczerpniętych z trudno dostępnych prac autorów sowieckich.

76. *AK w dokumentach*, t. IV, Londyn 1981, dok. 1557.

na przyłączonych do Ukrainy ziemiach II Rzeczypospolitej działało 210 batalionów „niszczycielskich", liczących 24.000, a w 2.300 grupach współdziałania było dalszych 24.000 ludzi, zapewne jeszcze gorzej wyszkolonych i uzbrojonych. Zwraca uwagę, że aż w 150 tych batalionach istniały stanowiska szefów sztabów, co świadczy o tym, że prowadziły one aktywne działania bojowe[77]. W oddziałach tych bardzo duży odsetek stanowili Polacy, których władze sowieckie nie mogły podejrzewać o chęć współpracy z UPA i którzy godzili się na każde warunki, by tylko nie być bezbronnymi. Walki polsko-ukraińskie, choć w innym kształcie, trwały więc nadal, a Polacy teraz stali się sowieckimi policjantami. Ostateczny kres przelewowi krwi położyło dopiero wysiedlenie Polaków z Kresów.

Tak zakończył się pierwszy etap konfliktu polsko-ukraińskiego lat czterdziestych. Liczba ofiar jest sporna, a poszczególni autorzy wysuwają najrozmaitsze liczby. Najwyższa z nich która może być traktowana serio, to wysunięte przez Studnickiego w rozmowie z Wachterem 200.000 ofiar (pod warunkiem, że rozmowa ta miała miejsce latem 1944 r.[78]), którą to liczbę Wachter niezwłocznie „skorygował" do najwyżej 100.000. Temu ostatniemu nie należy jednak przypisywać nadmiernego znaczenia — było to dość oczywiste zagranie dyplomatyczne, mające „osadzić" rozmówcę. Warto też wiedzieć, że Niemcy szacowali w 1944 r. liczebność UPA na 70.000 ludzi, podczas gdy nigdy nie było ich więcej niż 40.000. Pojawiające się ostatnio w polskich publikacjach popularnych, niczym nie poparte wyższe liczby (400.000, a nawet 600.000) nie zasługują nawet na polemikę.

W toku tych strasznych wydarzeń nie sporządzano list ofiar lub sporządzano je jedynie w sporadycznych przypadkach (częściej czynili to Ukraińcy), zaś podawane liczby, zwłaszcza te wysokie i „okrągłe", należy traktować z dużą ostrożnością. Widzieliśmy już niezgodności dotyczące masakry w Kisielinie, a dokładniejsza analiza ujawniałaby zapewne inne podobne przypadki. Z drugiej strony poza ofiarami mordów, które mogły być w jakiś sposób zarejestrowane, były też liczne ofiary, zamordowane

77. Bilienko — *op.cit.*, s. 190.

78. Szota, Szcześniak podają, że rozmowa ta miała miejsce 10.08.1944 r. we Lwowie (*op.cit.*, s. 170), co jest niemożliwe, skoro Lwów został zajęty przez Armię Czerwoną 27.06.1944 r. Weryha sądzi, że chodzi o 10.08.1943 r. (*op.cit.*, s. 94), co jednak przedstawioną liczbę pozbawia wszelkiego prawdopodobieństwa, skoro w tym czasie terror w Galicji Wschodniej dopiero się rozpoczynał. Także Madajczyk uważa, że rozmowa ta miała miejsce w 1943 r., gdy pisze o kierowanych do Wachtera „alarmach" w sprawie 70.000–100.000 ofiar polskich (Cz. Madajczyk — *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, t. I, s. 477). Możliwe jest jednak, że błąd dotyczy miesiąca, a nie roku, i że rozmowa ta miała miejsce w maju lub czerwcu 1944 r.

na szlakach ucieczki, a także ludzie zmarli z wyczerpania i głodu. Tych ostatnich musiało być więcej w Galicji Wschodniej, gdzie terror rozwinął się zimą.

Dokładnych danych nie mamy więc i zapewne nigdy ich już nie zdobędziemy, skazani więc jesteśmy na szacunki. W. Szota i A. Szcześniak podają na podstawie niepublikowanych meldunków AK liczbę 60-80.000 ofiar terroru po stronie polskiej, jednakże bez Galicji Wschodniej[79], R. Torzecki — 40.000 ofiar na Wołyniu i 70.000 w Galicji Wschodniej[80], P.I. Łytwyn —165.000 Polaków i Ukraińców tylko na Wołyniu zamordowanych przez UPA i Niemców[81], J. Pełenskyj zgadza się, że po obu stronach padło wówczas kilkadziesiąt tysięcy (a więc mniej, niż 100.000 ofiar)[82]. Co do Galicji Wschodniej — B. Tomaszewski i J. Węgierski podają 10-12.000 ofiar[83], co wydaje się jednak rachunkiem zaniżonym. Żaden z cytowanych autorów nie uwzględnia ofiar z okresu okupacji sowieckiej.

Jak widzimy, większość szacunków oscyluje wokół 100.000 zabitych i zamordowanych po stronie polskiej. Jeżeli przyjmiemy niezakwestionowany dotychczas przez poważnych autorów szacunek Szoty i Szczęśniaka i możliwą do przyjęcia dla Galicji Wschodniej liczbę 20-30.000 ofiar, otrzymamy jako prawdopodobny właśnie szacunek 100.000 zamordowanych na tych ziemiach Polaków, nie będących ofiarami bezpośredniego terroru niemieckiego. Są to jednak ofiary zarówno UPA, jak i ukraińskich *Schutzmannschaft*'ów, a także sowieckich partyzantów, „dzikich" oddziałów leśnych, dezerterów, band rabunkowych i zwykłych kryminalistów, niekoniecznie narodowości ukraińskiej. Nigdy nie będziemy w stanie ustalić, ile ofiar obciąża poszczególne grupy sprawców. Można ponadto — do czego przychyla się autor tych słów — nie uważać ofiar ukraińskich kolaborantów za ofiary terroru ukraińskiego, lecz niemieckiego.

Jeżeli chodzi o ofiary ukraińskie, to w świetle dokumentów, opublikowanych w *Litopysach UPA* nie ulega wątpliwości, że były one znacznie niższe od polskich, nawet jeżeli policzymy łącznie pomordowanych przez AK, polskie *Schutzmannschaft*'y i wszystkie wyliczone wyżej kategorie morderców. Działania strony polskiej, wyjąwszy hrubieszowskie, miały zasadniczo charakter defensywny, a Polacy jako strona w tych walkach słabsza

80. Torzecki — *op.cit.*, s. 295, 330; trzeba jednak zaznaczyć, że w późniejszych latach autor ten nie podtrzymuje poglądu o tak wysokich stratach ludności polskiej, zwłaszcza w Galicji Wschodniej.

81. Szota, Szcześniak — *op.cit.*, s. 174.

82. J. Pełenskyj — „Ukraina w polskiej publicystyce opozycyjnej", *Kultura Niezależna* nr 26 z XII.1986.

83. Tomaszewski, Węgierski — *op.cit.*, s. 37.

nie mieli takich możliwości, jak Ukraińcy. Z kolei siła UPA zapewniała cywilnej ludności ukraińskiej znacznie lepszą ochronę przed „niepolitycznymi" mordercami, niż mogła sobie stworzyć ludność polska. Wreszcie wśród Ukraińców, którzy z zaatakowanych wsi nigdy nie musieli uciekać daleko prawie nie było przypadków śmierci z głodu i wyczerpania, częstych wśród polskich uchodźców, z reguły mających przed sobą długą drogę w nieznane. Wreszcie po stronie polskiej przed 1945 r. nigdy nie powstał projekt „dezukrainizacji" jakiegokolwiek terenu.

Jednakże zważywszy zbrodniczą działalność polskich *Schutzmannschaft*'ów, które autor także zalicza do zbrodni niemieckich, nie wydaje się nieprawdopodobne, że liczba Ukraińców pomordowanych w tym czasie przez sprawców innych niż Niemcy może sięgać trzeciej części ofiar polskich, tj. 30.000 osób. W obecnym stanie badań jednak liczby tej, podobnie jak żadnej innej nie daje się przekonująco uzasadnić, podobnie jak nie ma dotychczas żadnych danych pozwalających oszacować straty polskie podczas okupacji sowieckiej lat 1944-46.

Pozostaje jeszcze pytanie, czy na Kresach mieliśmy wówczas do czynienia z ukraińskim ludobójstwem, gdyż zarzut taki wielokrotnie podnoszono. Autor odrzuca to twierdzenie. Jeżeli bowiem ludobójstwem jest, jak to się powszechnie przyjmuje, systematyczna i świadomie zaplanowana akcja, mająca na celu eksterminację (fizyczne wyniszczenie) całości lub części określonej zbiorowości ludzkiej, to musimy stwierdzić, że ukraińska „depolonizacja" nie miała charakteru akcji ludobójczej. Celem tej akcji było bowiem wygnanie, a nie wymordowanie ludności polskiej. Nie do przyjęcia jest też teza Pełenskiego o „selektywnym ludobójstwie"[84], gdyż konstytutywną cechą ludobójstwa jest właśnie jego totalność, nieselektywność. Nie da się natomiast zaprzeczyć, że zarówno ukraińscy, jak i polscy kolaboranci przykładali rękę do niemieckiego ludobójstwa, gdyż III Rzesza niewątpliwie stawiała sobie na wschodzie cele ludobójcze, i to nie tylko wobec Żydów i Cyganów, ale także wobec Słowian.

IV

Nowy etap konfliktu, a właściwie nowa wojna rozpoczęła się jesienią 1944 r. na tych terytoriach ukraińskich, które weszły w skład Polski „lubelskiej". UPA działała tu z siłą w poprzednim okresie niespotykaną, mając przeciw sobie zarówno siły zbrojne komunistycznej Polski, jak i NKWD, a także oddziały

84. Pełenskyj — *op.cit.*

podziemia poakowskiego (następnie WiN) oraz NSZ-NZW. Oczywiście także teraz nie brakło band rabunkowych, dezerterów i kryminalistów. PKWN pragnął rozwiązać kwestię ukraińską w Polsce przez całkowite wysiedlenie Ukraińców, co przewidywała zawarta przezeń z rządem URSS umowa przesiedleńcza. Dobrowolność tych wyjazdów była respektowana tylko w początkowej fazie, podczas której opuściło Polskę ok. 150.000 z blisko 600.000 członków wspólnoty ukraińskiej w naszym kraju. Latem 1945 r. rozpoczęły się przymusowe wysiedlenia pod osłoną wojska.

Zaangażowane w tę akcję Wojska Wewnętrzne (późniejsze KBW, polski odpowiednik NKWD) dokonały w toku akcji wysiedleńczej licznych, także masowych mordów. Między innymi w Gorajcu padło 400 ofiar, w Starym Lublińcu 540, a ogółem w woj. rzeszowskim od sierpnia 1944 do maja 1945 — co najmniej 1.000 Ukraińców przy stratach polskich... 18 zabitych[85]. Także Wojsko Polskie ma na sumieniu akcje tego rodzaju — np. w Zawadce Morochowskiej batalion 34 pp wymordował w styczniu 1946 r. ok. 60 lub 100 osób cywilnych[86]. W toku akcji wysiedleńczej w pow. przemyskim na przełomie 1945/1946 r. wojsko i UB w ciągu zaledwie jednego miesiąca zamordowało 49 cywilnych Ukraińców, 15 raniło, a w toku wysiedleń spalono represyjnie 280 gospodarstw. W tym samym czasie i na tym samym terenie w 13 walkach z UPA Polacy stracili 39 zabitych i 40 rannych, a Ukraińcy 47 zabitych i 26 rannych[87]. Mordów dokonywano przede wszystkim dla postrachu, by złamać opór przed wysiedleniem, dokładnie na tej samej zasadzie, jaką stosowali Niemcy na Zamojszczyźnie, a Ukraińcy — na Wołyniu.

UPA w miarę swych możliwości przeciwdziałała wysiedleniom, nie była jednak w stanie sprostać regularnemu wojsku. Jej sieć organizacyjna w Polsce nie obejmowała całego obszaru etnograficznie ukraińskiego: sięgała jedynie od Kodnia na północy po Wisłok Wielki na południowym zachodzie. Dalej w głąb Łemkowszczyzny UPA zapuszczała się rzadko, spotykając się z obojętnością, a nawet otwartą wrogością będących pod silnymi

85. W. Nowacki — *Organizacja i działanie Wojsk Wewnętrznych...* (w) *Z walk przeciwko zbrojnemu podziemiu 1944-1947*, Warszawa 1966, ss. 112, 124; *nb.* J. Sztendera pisząc o masakrze w Gorajcu podaje liczbę 150 ofiar (J. Sztendera — „Badania nad dziejami UPA w PRL", *Suczasnist* nr 1-2/1985, s. 133.

86. J. Górski — „Komu służy szowinizm", *Inprekor* nr 21/1981, także list J. Bilasa do redakcji *Kultury*, *KOS* nr 2/1987 r.

87. L. Szankowskyj — *Diji UPA na tereni Peremyszczyny* (w) *Peremyszl, zachidnyj bastion Ukrajiny*, Nowy Jork-Filadelfia 1961.

wpływami komunizmu Łemków[88]. Po odejściu na wschód bardzo licznych zimą 1944/1945 r. oddziałów z Galicji Wschodniej krajowa organizacja UPA liczyła ok. 2.400 ludzi w oddziałach partyzanckich i podobną, lecz stale zmienną liczbę w wiejskich komórkach samoobrony (tzw. *kuszczach*).

Po przejściu frontu stan bezpieczeństwa na polskiej prowincji znacznie się pogorszył. Komuniści zlikwidowali działającą przez cały czas okupacji Policję Państwową (tzw. granatową), dezorganizacji uległa AK i wymiar sprawiedliwości Polski Podziemnej, mobilizacja zaś ogołociła wieś z najlepszych, najbardziej patriotycznych mężczyzn. Z drugiej strony nowa władza nie miała ani siły, ani autorytetu pozwalającego jej dyscyplinować tereny wiejskie, a po kraju obok dotychczasowych band pętały się jeszcze niezwykle groźne bandy sowieckich maruderów. Wreszcie NKWD działało jak samo chciało, ignorując często istnienie władz „lubelskich". Zdarzało się im nawet rozbrajać i wywozić oddziały MO, w których częstokroć było wielu żołnierzy AK, choć z drugiej strony milicja ta była przytuliskiem wszelkiej szumowiny uchylającej się w ten sposób od służby frontowej.

Wszystkie te elementy oddziaływały bardziej na kondycję ludności polskiej, niż ukraińskiej. UPA nie wyszła z lasu, a cywilne struktury OUN nie tylko się nie ujawniły, lecz przeciwnie — przeszły do ściślejszej jeszcze konspiracji. Ukraińcy nie mieli także najmniejszych wątpliwości, że w ich sytuacji nic istotnego się nie zmieniło a Sowieci są tylko nowym okupantem, gdy tymczasem społeczeństwo polskie nie wiedziało, jak ma ich traktować: jako wyzwolicieli czy jako okupantów.

Działalność NKWD w tym czasie nie jest dostatecznie zbadana. Niewykluczone, że z początku Sowieci usiłowali popchnąć UPA do walki z polskim podziemiem niepodległościowym, a dopiero gdy to się nie udało — wystąpili przeciw niej w zdecydowany sposób[89]. Z wielu świadectw wynika też, że przynajmniej na początku NKWD odnosiło się do UPA z pewną tolerancją, choć było przez Ukraińców gwałtownie atakowane. Niewyjaśniona jest też kwestia ewentualnego spenetrowania przez NKWD kierownictwa OUN-UPA w Polsce; wiadomo,

88. Mowa tu o Łemkowszczyźnie w rozumienie etnograficznym, przyjętym w Polsce, tj. po dolinę Osławy (oś Sanok — przeł. Łupkowska) na wschodzie. Ze względu na to, że w nomenklaturze organizacyjnej OUN-UPA całość ziem górskich na terenie Polski określano mianem Łemkowszczyzny, w literaturze ukraińskiej mówi się zazwyczaj o Bieszczadach i Dynowszczyźnie jako o „Łemkowszczyźnie".

89. W. Kluz — *W potrzasku dziejowym. WiN na szlaku AK*, Warszawa 1981, s. 189.

że w późniejszym okresie penetracja ta na Ukrainie sięgnęła bardzo głęboko. Trzeba też wspomnieć o napadzie oddziału NKWD na Dynów wiosną 1945 r., kiedy to wystąpił od razu jako UPA, a dopiero w obliczu zdeterminowanego oporu polskiego „ujawnił się" jako oddział sowiecki i przerwał walkę[90]. Niewykluczone, że akcja ta miała związek z nieco wcześniejszym pogromem Pawłokomy przez Polaków z okolic Dynowa. Fakt ten każe nam ostrożniej podchodzić do oskarżeń UPA o mordy na ludności polskiej, mogły być bowiem także przypadki, gdy nie udało się zdemaskować sowieckiej prowokacji.

W 1945 r. UPA była w zasadzie panią kontrolowanego przez siebie terenu — to ona ustanawiała administrację wiejską, wybierała kontyngent żywnościowy, sprawowała wymiar sprawiedliwości. Z czasem jednak, a miarę jak wojsko wysiedlało coraz to nowe wsie, teren kontrolowany przez UPA kurczył się coraz bardziej. Do wiosny 1947 r. pewne terytorium pozostawało jednak w jej faktycznym władaniu. Jednakże właśnie w tym czasie zdecydowanej przewagi UPA na południowo-wschodnich ziemiach Polski nie odnotowujemy masowych mordów na Polakach. Mamy w tym czasie do czynienia jedynie ze sporadycznymi przypadkami akcji odwetowych tam, gdzie Polacy atakowali uprzednio wsie ukraińskie. Kierownictwo ukraińskie, dość twardą ręką trzymające na tych ziemiach tak oddziały partyzanckie, jak i ludność cywilną, uznawało bowiem w tym okresie za cel pierwszoplanowy utworzenie wspólnego, ukraińsko-polskiego frontu walki przeciw sowieckiej okupacji. Inna rzecz, że OUN w dalszym ciągu nie rezygnowało z roszczeń terytorialnych także wobec okrojonego terytorium Polski.

Niestety, okres ten przyniósł liczne masowe mordy popełnione przez Polaków na Ukraińcach, także przez polskie formacje niepodległościowe i samorzutne. Terror tych lat, którego podstawowym celem było wymuszenie na Ukraińcach wyjazdu na Ukrainę, do dziś jest żywy w pamięci narodu ukraińskiego, a rzutowany wstecz zniekształca w ich oczach obraz wydarzeń z lat 1943-1944 w podobny sposób, jak polskie widzenie wydarzeń z lat 1944-1947, a także września 1939, zniekształca rzutowanie na te okresy doświadczeń terroru wołyńskiego, czy raczej — w obu wypadkach — niezmiernie wyolbrzymionej famy o tych wydarzeniach.

Formacje poakowskich samoobron wiejskich wymordowały wiosną 1945 r. ok. 300 mieszkańców Pawłokomy[91], a mordy na

90. *Ibidem*, s. 265.

91. Szota, Szcześniak — *op.cit.*, s. 187, dokładna relacja o tym wydarzeniu; A Mudryk — *Trahedija seła Pawłkomy* (w) *Peremyszl zachidnyj bastion Ukrajiny*.

mniejszą skalę były daleko liczniejsze. Szczególnie zaciekle atakowano ukraińskich księży — w latach 1945-1946 zamordowano w Polsce, nieraz wraz z rodzinami, 35 lub 48 księży grekokatolickich i co najmniej 3 prawosławnych, przy czym ofiary terroru „oficjalnego" nie są tu uwzględnione. Akcje pogromowe były często podejmowane przez mieszkańców sąsiednich lub nawet tych samych wsi i towarzyszyły im akty okrucieństwa, nierzadko wzorowane na tym, co niosła fama o Wołyniu.

Wiele napadów na wsie ukraińskie mają też na swym koncie oddziały NSZ-NZW. Obciąża je m.in. wymordowanie 400 mieszkańców Piskorowic (wg innych danych — aż 2.000 Ukraińców, sformowanych w tej wsi w konwój wysiedleńczy)[92] oraz prawie 200 osób, w tym 65 dzieci w Wierzchowinach[93]. Zgodnie z danymi UBP tylko od marca do czerwca 1945 r. z rąk formacji podziemnych i band zginęło w Polsce ok. 1.500 Ukraińców. Licznych mordów, zwłaszcza na mniejszą skalę, dokonywali też członkowie MO, a akcja terrorystyczna była przez dłuższy czas tolerowana przez władze „lubelskie", sprzyjała bowiem poddawaniu się ludności ukraińskiej wysiedleniu. Wreszcie — podobnie jak w poprzednich okresach — liczne były z pewnością mordy na tle kryminalnym — w przypadku jednostkowych zabójstw niemal nigdy nie jesteśmy w stanie dokładnie określić sprawców.

UPA zareagowała na terror dość zdecydowanym odwetem, także w formie pacyfikacji niektórych wsi polskich (m.in. Borownica i Silnica, których mieszkańcy brali udział w rzezi Pawłokomy; w pierwszej z tych wsi podobno aż 200 ofiar). Wobec innych wsi na terenach mieszanych podjęta została akcja propagandowo-zastraszająca, polegająca na demonstracyjnym zajmowaniu wsi i organizacji wieców — niewątpliwie wielokrotnie przy okazji likwidowano przedstawicieli nowej władzy. Że zaś z drugiej strony NKWD gwałtownie zwalczało wszelką polską aktywność zbrojną, a od połowy 1945 r. także władze „lubelskie" stopniowo przejmowały kontrolę nad terenem — terror osłabł, a następnie zupełnie ustał. W drugiej połowie 1945 r. i w roku następnym zdarzały się dość liczne wypadki ukrywania przez Polaków uchylających się od wysiedlenia Ukraińców czy też pomocy im w innych formach. Podobnie przez cały czas liczni Ukraińcy ostrzegali, a nawet ukrywali przed UPA zagrożonych Polaków.

---

92. Szota, Szcześniak — *op.cit.*, s. 186, Sztendera — *op.cit.*, s. 133.

93. Szota, Szcześniak — *op.cit.*, s. 187-188. Ze względu na prokomunistyczne sympatie mieszkańców Wierzchowin władze komunistyczne nadały tej sprawie znaczny rozgłos, niejednokrotnie przemilczając ukraińską narodowość ofiar.

Rozmiar przelewu krwi w tym okresie wyolbrzymiała nie tylko plotka, ale także świadome działania propagandowe. Prawdziwe lub rzekome okrucieństwa UPA znakomicie odwracały uwagę społeczeństwa polskiego od zbrodni sowieckiego i polskiego NKWD, które pochłonęły wielokrotnie więcej ofiar, niż działalność UPA na zachód od Bugu i Sanu. W propagandzie, a nawet w dokumentach z 2 zabitych łatwo robiło się 20, a z 20 — 200, zastrzelony rabuś czy gwałciciel stawał się płomiennym patriotą, a nawet — obrońcą władzy ludowej (często zresztą bywali oni członkami MO). Znany jest co najmniej jeden przypadek rozmyślnego okaleczenia przez Polaków zwłok zastrzelonych przez Ukraińców innych Polaków po to, by następnie budzić w okolicy przekonanie o zwyrodniałym okrucieństwie Ukraińców[94] — przypadków takich mogło być więcej. W ten sposób rodziły się żywe do dziś stereotypy, umacniane następnie przez wydawaną masowo od początku lat sześćdziesiątych literaturę antyukraińską.

W początkowym okresie głównym przeciwnikiem komunistycznych władz Polski było polskie podziemie niepodległościowe, przeciw niemu więc kierował się główny wysiłek zbrojny. Przeciw UPA rzucone zostały siły wprawdzie dość znaczne, ale dalece niewystarczające do zwalczania silnej, zdeterminowanej i doskonale uzbrojonej partyzantki. W dodatku oddziały WP, w których służyło bardzo wielu weteranów AK, a wpływy WiN-u były znaczne, nie kwapiły się do podejmowania walki z jakąkolwiek partyzantką tak, że do śmierci gen. Świerczewskiego głównym przeciwnikiem UPA pozostawały WOP i KBW. Ale i te formacje, po części złożone z kadr komunistycznej partyzantki, głównie jednak z poborowych, którzy nie przeszli szkolenia w warunkach bojowych, nie bardzo umiały walczyć z partyzantką.

W wojsku przeważały jeszcze kadry o stażu frontowym, marząc tylko o jednym — o pokoju i demobilizacji. Nie chcieli umierać w „głupich" potyczkach z „bandami". Toteż wojsko w swych działaniach ograniczało się do osłony działań wysiedleńczych, podczas których żołnierze dokonywali niezliczonej liczby aktów przemocy, działań nękających, wymierzonych raczej przeciw wsiom, niż przeciw partyzantce, wreszcie mało skutecznych, demonstracyjnych obław. Analizując te ostatnie[95], można odnieść wrażenie, że charakter demonstracyjny, sygnalizowany

94. L. Pogromski — „Wolność w Morzygłodzie", *Spotkania* nr 33-34/1987. Warto zwrócić szczególną uwagę na tę relację autora niewykształconego, wręcz prymitywnego, lecz — jak zwykle ludzie prości — uczciwego, zasługującego na wielkie zaufanie.

95. Szczegółowe opisy tych operacji zawiera m.in. monografia Szoty i Szcześniaka.

wręcz nadawano im celowo, aby w ich toku nie doszło do poważniejszych starć.

W 1945 i 1946 r. UPA podejmuje liczne akcje zaczepne, z których warto tu wymienić trzykrotne, nieudane szturmy Birczy (22.10, 30.11.1945, 6.01.1946), likwidację posterunków WOP na granicy słowackiej w marcu 1946 r., wreszcie atak na Hrubieszów, o którym szerzej za chwilę. Mimo ożywionej aktywności militarnej sukcesów jednak było niewiele, zapasy broni i amunicji zaczynały się wyczerpywać, a wysiedlenie ludności cywilnej na wielu terenach pozbawiało UPA bazy zaopatrzeniowej i wywiadowczej. Do żołnierzy i oficerów zaczynała też coraz bardziej docierać beznadziejność położenia, gdy żywe w 1945 r. nadzieje na III wojnę światową coraz bardziej rozwiewały się. Mimo to dezercje z UPA były nieliczne aż do końca i to nie tylko dlatego, że karą za dezercję była okrutna śmierć, a i schwytanie przez Polaków nader często oznaczało los nie lepszy. Żołnierze UPA z wyjątkiem wcielonych przymusowo w latach 1946-47 wyjątkowo tylko oddawali się do niewoli, nawet w beznadziejnej sytuacji, a samobójstwa, zwłaszcza oficerów, były tu rzeczą nagminną, jak w żadnej innej armii tej wojny. Można to nazwać przejawem fanatyzmu — ale czy bez fanatyzmu można w ogóle prowadzić wojnę? W każdym razie musimy oddać żołnierzom Ukrainy, że inaczej niż Niemcy umieli być okrutni i bezlitośni nie tylko wobec innych, ale i wobec siebie.

W 1945 r. ponownie zostały podjęte kontakty między AK (a następnie WiN) a UPA. Lokalne rokowania w wielu rejonach doprowadziły do uzgodnienia współdziałania, udało się też generalnie rozdzielić strefy wpływów na zasadzie *status quo* i ustalić zasady współpracy militarnej, przede wszystkim — rzecz wielce charakterystyczna — w zakresie walki z bandytyzmem. Porozumienie to nie obejmowało jednak narodowców, konsekwentnie wrogich Ukraińcom. Tym razem rokowania udało się doprowadzić do pomyślnego finału przede wszystkim dlatego, że zakończyła się wojna przeciw III Rzeszy, a polskie podziemie wyzbyło się dawniejszych złudzeń co do polityki ZSSR. Pomocny był też fakt, że rokowania toczone były na szczeblu „taktycznym", a nie „politycznym", stąd żadna ze stron nie czuła się uprawniona do rozmowy o granicach. Próby kontaktu na wyższym szczeblu załamały się nie bez związku z rozpadem struktur AK po amnestii 1945 r.[96]

Zawarte porozumienie utrwaliło się na Lubelszczyźnie, gdzie poprzednio doszło do otwartej, krwawej wojny między AK a UPA, załamało się zaś niemal natychmiast w rzeszowskim, gdzie

96. J. Sztendera — „W poszukiwaniu porozumienia", *ABC*, nr 7/1988.

poprzednio panował spokój, ale właśnie wiosna 1945 r. przyniosła falę krwawego terroru. W wyniku porozumienia doszło do jedynego poważniejszego aktu współdziałania wojskowego między WiN a UPA — wspólnego ataku na sowiecki garnizon Hrubieszowa 26.05.1946 r., zakończonego pełnym sukcesem — likwidacją sił NKWD i UBP oraz uwolnieniem więźniów (głównie Polaków). Garnizon WP podczas nocnej walki, o której był — jak się zdaje — uprzedzony, zachował neutralność, a dopiero następnego dnia na żądanie Sowietów podjął mało aktywne działania pościgowe[97]. Pikanterii temu wydarzeniu dodaje fakt, że jednym z oficerów tego garnizonu był por. Jaruzelski[98], który wiele lat później, już jako głowa PRL, uznał za stosowne publicznie szczycić się swym udziałem w walkach z UPA. Dalszych akcji tego typu nie podejmowano — WiN dążył raczej do likwidacji, niż do rozbudowy oddziałów podziemnych, a wiosenna amnestia 1947 r. praktycznie zlikwidowała polskie podziemie niepodległościowe.

Kryzys UPA dał znać o sobie jesienią 1946 r., równocześnie ze zwiększeniem skuteczności działań polskich. To wtedy powstała sieć tzw. bunkrów, podziemnych baz i kryjówek przygotowanych na ogół na niedostępnych terenach górskich. Nie było ich jednak tak wiele, jak to sugeruje literatura — kryjówki odkrywane na terenie wsi były na ogół wojennymi ukryciami ludności cywilnej. Jednakże mimo coraz skuteczniejszych działań i bardzo surowej zimy 1946/1947 r. do jej końca Polakom nie udało się rozbić ani jednej sotni (kompanii, podstawowej jednostki taktycznej) UPA.

Oficjalny bilans pierwszego okresu walk (jesień 1944 — marzec 1947 r.) podaje po stronie polskiej 811 zabitych żołnierzy WP, WOP i KBW, 570 funkcjonariuszy UBP, milicjantów i innych funkcjonariuszy państwa oraz 600 osób cywilnych (wiadomo, że w tej ostatniej grupie są także zamordowani przez UPA Ukraińcy, liczba ich sięga połowy, a nawet 2/3)[99]. Straty NKWD nie są znane. Po stronie ukraińskiej wymienia się 4.000 zabitych członków UPA, samoobron oraz „cywilnych członków OUN" — w tej ostatniej pozycji kryć się może każdy zabity cywil. Czy liczby te odpowiadają prawdzie, zwłaszcza ostatnia — nie możemy być pewni, jednakże wyraźna dysproporcja strat polskich i ukraińskich niedwuznacznie wskazuje na znaczną liczbę Ukraińców, którzy zostali zamordowani, a nie polegli w boju.

97. J. Sztendera — *Badania..., op.cit.*, s. 132.

98. Szota, Szcześniak — *op.cit.*, zdjęcie na str. 379.

99. *Ibidem*, ss. 421-423, ostatnia informacja usunięta z książki przez cenzurę.

W dodatku zwraca uwagę, że żadne dotychczasowe źródło nie wspomina o rannych żołnierzach UPA.

Bilans ostateczny (z uwzględnieniem Akcji „Wisła") wymienia 2.199 ofiar UPA w latach 1944-1947, wobec 18.000 poległych i zamordowanych przez antykomunistyczne podziemie w Polsce w ogóle), w tym 690 osób cywilnych, przy czym w 1945 r. było ich 368, w 1946 — 98, od stycznia do marca 1947 — 10, a od kwietnia do grudnia tegoż roku — 6. W 1947 r. w pierwszym kwartale zginęło 38 żołnierzy oraz 115 funkcjonariuszy UBP i MO, a w pozostałych trzech kwartałach — 186 żołnierzy i 350 funkcjonariuszy[100].

Amnestia z 1947 r., podobnie jak poprzednia, nie objęła OUN i UPA, uznanych za sojuszników hitlerowskich Niemiec. UPA i dywizja *SS-Galizien* uznane zostały za organizacje przestępcze, do których sama przynależność podlegała karze (nie dotyczyło to OUN i ukraińskich *Schutzmannschaft*'ów — ich członków można było — formalnie — ukarać jedynie za określone przewinienia). Wyłączenie to miało niewątpliwie ostrze nacjonalistyczne: Ukraińcy mieli być wyłączeni ze społeczności obywatelskiej państwa polskiego, a zgoda narodowa ówczesnego „narodowego komunizmu" Gomułki miała się obyć bez nich. Nie było ważne, że w szeregach PPR było bardzo wielu Ukraińców, że wielu ich walczyło w szeregach WP w latach 1943-1945, a nawet później, przeciw własnym braciom. Byli Ukraińcami — a Ukraińców miało w Polsce nie być. Weteranów komunistycznego WP też wysiedlano do ZSSR, a potem — na ziemie zachodnie.

Amnestia przyniosła likwidację polskiego podziemia, rozwiązując rządowi ręce, a zarazem czyniąc z ukraińskiej partyzantki problem nr 1 bezpieczeństwa kraju. Rząd polski (pomijam nieistotną dla tych rozważań kwestię jego rzeczywistej suwerenności, z pewnością większej w tym czasie, za rządów Gomułki, niż po 1948 r.) nie chciał jednak rozwiązać problemu UPA metodami politycznymi. Nie ma powodu, by wątpić, że znaczna część ukraińskich kadr partyzanckich skorzystałaby z amnestii — z lasu wyszliby wszyscy nowobrańcy, a kierownictwo OUN przeprowadziłoby zapewne rozformowanie większości oddziałów (jak to już poprzednio przeprowadzono na Ukrainie), pozostawiając w lasach jedynie stosunkowo nieliczne oddziały, które tym łatwiej uległyby zmasowanej akcji wojskowej. Nawet jednak gdyby to nie nastąpiło, amnestia z pewnością doprowadziłaby do likwidacji samoobron wiejskich, chłopi bowiem mieli już dość wojny, toczącej się przede wszystkim ich kosztem. Zmieniłoby

100. *Ibidem*, ss. 421-423, a także informacje dotychczas nieopublikowane.

to radykalnie układ sił, teraz bowiem wieś ukraińska liczyłaby na ochronę wojska przed zemstą „leśnych", a nie — jak dotychczas — na odwrót. To wszystko byłoby łatwe do osiągnięcia i oszczędziłoby wiele krwi, tak polskiej, jak i ukraińskiej. Ale w Warszawie tego nie chciano.

Wielka operacja przeciw UPA i pozostałej w Polsce ukraińskiej ludności cywilnej, połączona z jej wysiedleniem, była przygotowywana już w 1946 r.[101], a rozważana prawdopodobnie wcześniej — pewne przesłanki świadczą o tym, że jeszcze przed zakończeniem wysiedleń do ZSSR. Wzorców dostarczyła stalinowska szkoła „rozwiązywania problemów narodowościowych", reprezentowana przez nader licznych w Polsce sowieckich doradców, czy raczej — instruktorów. Nim jednak przygotowania do tej operacji zostały zakończone, w zasadzce pod Jabłonkami poległ 28.03.1947 r. gen. Karol Świerczewski, chyba najpopularniejszy wówczas dowódca WP[102]. *Nb.* jego inspekcja w Bieszczadach była wedle wszelkiego prawdopodobieństwa związana właśnie z przygotowywaną operacją.

Po tym wydarzeniu podjętej wkrótce Akcji „Wisła" nadano znaczny rozgłos, przedstawiając ją jako odwet za zabicie Świerczewskiego. Celem tej operacji było całkowite wysiedlenie ludności ukraińskiej, a dopiero w drugiej kolejności — ostateczna likwidacja ukraińskiego podziemia zbrojnego. Wysiedlanych rozpraszano na ogromnym obszarze ziem zachodnich i północnych Polski tak, by więzi sąsiedzkie i parafialne — podstawa życia społecznego wsi —uległy zatarciu, wielokrotnie też rozdzielano rodziny. Przy okazji zlikwidowano ostatnie istniejące jeszcze legalne formy ukraińskiego życia narodowego. Trudno oprzeć się wnioskowi, że ukrytym celem wysiedlenia była likwidacja ukraińskiej mniejszości narodowej w Polsce przez wymuszoną, forsowną polonizację *modo sovietico*.

Po wysiedleniu ludności i spaleniu większości zabudowy wojsko przystępowało do zwalczania pozostałych sił UPA, wzmocnionych przejściem do lasu nieznacznej tylko części oddziałów samoobrony, których większość biernie poddawała się wysiedleniu. W kwietniu 1947 r. UPA mogła liczyć ok. 1.800 ludzi w oddziałach partyzanckich i zostać następnie wzmocniona

---

101. J. Gerhard — „Dalsze szczegóły walk z bandami UPA i WiN", *Wojskowy Przegląd Historyczny* nr 4/1959.

102. Pewne wątpliwości dotyczące przebiegu tej potyczki, a zwłaszcza przypadkowego lub nieprzypadkowego jej charakteru oraz dokładnych okoliczności śmierci gen. Świerczewskiego, same w sobie ze wszech miar warte wyświetlenia, nie mają związku z podejmowanym tu tematem.

najwyżej o kilkuset członków *kuszczy*[103], gdy przeciw niej rzucono co najmniej 20.000 żołnierzy, co przy prowadzeniu operacji etapami dawało Polakom przewagę dziesięciokrotną, a nawet wyższą. Wobec tej przewagi i niecelowości dalszej walki po wysiedleniu ludności cywilnej oddziały UPA przedzierały się na inne tereny: bieszczadzki *kureń* (batalion, zazwyczaj 3 sotnie) „Rena" do Galicji Wschodniej, dynowsko-przemyski *kureń* „Bajdy" do Bawarii, hrubieszowski *kureń* „Pryrwy" — na Mazury[104]. Straty były ogromne. Akcja „Wisła" trwała od 20.04. do 31.07.1947r., a po jej zakończeniu jeszcze przez jakiś czas wyłapywano rozbitków z poszczególnych oddziałów i aresztowano Ukraińców, usiłujących powracać w rodzinne strony, czy tylko wywozić z nich mienie, porzucone podczas wywózki. Jeszcze przez jakiś czas trwała walka polskiego i sowieckiego wywiadu z ukraińskimi „sztafetami" łączącymi emigrację z konspiracją OUN-UPA na Ukrainie, ten wątek jednak, bardzo słabo dotychczas znany, nie należy do naszego tematu.

Czy przeprowadzenie Akcji „Wisła" było rzeczywiście konieczne? Likwidacja ukraińskiej partyzantki — niewątpliwie tak, wskazaliśmy już jednak, że było to możliwe w inny sposób. Konieczność likwidacji antypaństwowych sił zbrojnych nie może usprawiedliwiać dowolnego popełnionego w jej toku bezprawia. I nawet gdyby rzeczywiście było konieczne usunięcie z terenów walk ludności cywilnej — można było skoncentrować ją w silnie strzeżonych wsiach-obozach, a po zakończeniu walk — pozwolić powrócić do domów. Jednakże nie było takiej konieczności w walce — przeciw oddziałowi „Ognia", operującemu także w trudnym, górskim terenie i cieszącemu się znacznym poparciem ludności nie uciekano się do wysiedleń. Podobnie fakt, że wysiedlenie nie było pełne — część Ukraińców pozostawiono nawet w Bieszczadach (rodziny kolejarskie w Komańczy) — przemawia za tym, że wysiedlenie nie było w rzeczywistości potrzebne.

Wysiedlenie przeprowadzano z wielką brutalnością — Ukraińcy musieli przygotować się do wyjazdu często w ciągu 2-3 godzin, zazwyczaj bez uprzedzenia, nie zapewniano im podwód (po latach wojny wieś była ogołocona z koni), a niejednokrotnie „przyśpieszano" ewakuację przez podpalenie wsi... Wielokrotnie opornych zabijano lub palono w domach. W toku transportów, wlokących się na zachód tygodniami, wielu

103. Szota, Szcześniak — *op.cit.* s. 428; na s. 431 2.500 w szeregach UPA i 3.000 w *kuszczach*, jednak bez uzasadnienia i sprzecznie z poprzednio przytoczonymi danymi.

104. *Kureń* ten działał następnie na Mazurach do 1948 r., szczegóły tego epizodu nie są dotychczas znane.

Ukraińców kierowano do Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie — znalazło się ich tam ok. 4000, w tym prawie wszyscy czynni jeszcze w Polsce księża grekokatoliccy. Internowanych w Jaworznie zwalniano wiosną 1948 r., a księży — rok później. Nic nie może usprawiedliwić tego rodzaju akcji, podobnie jak rozsiedlenia w rozproszeniu, mającego na celu wymuszenie asymilacji.

Według oficjalnych danych w toku akcji „Wisła" zginęło 186 żołnierzy i 333 funkcjonariuszy bezpieczeństwa i milicji, a po stronie ukraińskiej „zlikwidowano (zabito lub ujęto) 1509 osób"[105]. Swoją drogą jakże przejrzysta to aluzja, że rannych i jeńców na ogół zabijano na miejscu. Tu także dysproporcja ostra każe się domyślać, że większość zabitych Ukraińców to zamordowani cywile. Łączne straty Ukraińców, wynikające z przytoczonych danych sięgają 5.500 zabitych, co należy zwiększyć o zamordowanych przez polskie podziemie — wydaje się więc prawdopodobne, że straty ukraińskie w Polsce od jesieni 1944 do końca 1947 r. wyniosły ok. 8.000-10.000 poległych i pomordowanych — straty kolosalne w stosunku do liczebności mniejszości ukraińskiej w Polsce.

Jesienią 1947 r. osaczony w swym bunkrze w tomaszowskim poległ J. Staruch, kierownik organizacji OUN w Polsce, a wiosną 1948 r. aresztowano we Wrocławiu dowódcę UPA w Polsce, M. Onyszkewycza. Polskie sądy skazały na śmierć ogółem 341 Ukraińców, z których ułaskawiono ok. 10% (członkowie polskiego podziemia byli ułaskawiani prawie w 50%)[106]. Ostatnim straconym był Onyszkewycz (1950 r.), później skazywanym wymierzano już najwyżej kary dożywotniego więzienia[107].

Stracenie Onyszkewycza można uznać za ostatni akt tego konfliktu i ostatniego w dziejach naszych dwu narodów przelewu krwi. Zakończył się on straszliwą klęską Ukraińców i ciężką przewiną państwa i narodu polskiego. Nie możemy całej winy złożyć na komunistów i Sowiety. Ani jeden głos protestu nie podniósł się, gdy mordowano niewinnych i gdy 150.000 naszych współobywateli wypędzono z ojcowizny i rozproszono po obcych ziemiach. Nawet Kościół milczał. Można zrozumieć przyczyny takiej reakcji — nie zmienia to jednak ich oceny. Wygnańcy rzadko spotykali się choćby z życzliwą obojętnością Polaków, wśród których przyszło im żyć. Wojsko Polskie, choć

105. Szota, Szcześniak — *op.cit.*, s. 465.

106. Dane dotychczas nieopublikowane.

107. Z bardziej znanych — I. Szpontak „Żeleźniak", dowódca *kurenia* z tomaszowskiego, skazany w 1960 r.; w 1981 r. został zwolniony i zmarł w 1989 r. w Czechosłowacji, której był obywatelem.

służyło obcym celom, składało się jednak z Polaków, a gen. Mossor, dowódca Grupy Operacyjnej „Wisła", był przedwojennym oficerem zawodowym, później zresztą — ofiarą stalinowsko-bermanowskiej prowokacji. Jak by nie było to dla nas przykre, nie możemy odrzucić tego ciężaru, podobnie jak Ukraińcy nie mogą odrzucić ciężaru zbrodni, popełnionych w latach czterdziestych na Polakach.

Dalekosiężne skutki opisywanych tu wydarzeń, wyolbrzymionych przez plotkę i ugruntowanych przez propagandę, zatruły serca po obu stronach. Ten czad musimy dziś odrzucać, musimy pozbywać się nienawiści, przebaczać.

Jan ŁUKASZÓW

RECENZJE

Józef DARSKI

WSPOMNIENIA J.K. VALIUNASA

Książka J. K. Valiunasa* nie jest typowym pamiętnikiem polityka, gdyż autor najpierw przedstawia zwięzły zarys dziejów Litwy, by następnie opisać na tle najnowszej historii kraju (1939-1980) działalność Najwyższego Komitetu Wyzwolenia Litwy (Vyriausiasis Lietuvos Islaisvinimo Komitetas — VLIK) oraz własną drogę polityczną. Valiunas stał na czele VLIK-u w latach 1966-1978, a począwszy od roku 1979 piastuje funkcję jego honorowego przewodniczącego.

Rodzice Valiunasa należeli do pierwszego pokolenia litewskiej inteligencji narodowej; ojciec pracował w administracji nowego państwa, matka natomiast organizowała szkołę litewską w — jak pisze — „spolonizowanej i zrusyfikowanej" Jonawie koło Kowna.

Urodzony w 1923 roku autor wspomnień wcześnie wszedł w życie polityczne swego kraju. W czasie pierwszej okupacji sowieckiej przystąpił do organizacji podziemnej. Aresztowany w lutym 1941 roku w Kownie, wkrótce został jednak zwolniony, gdyż NKWD nie orientowało się w jego działalności. Szczęście Valiunasa nadal nie opuszczało. 15 czerwca 1941 roku w nocy NKWD zjawiło się w mieszkaniu w Kownie, gdzie nocował, by deportować jego gospodarzy. Valiunasa pozostawiono jednak w spokoju, ponieważ jego nazwisko — jako osoby niezameldowanej — nie figurowało na liście lokatorów objętych wywózką. Następnego dnia w drodze do

* Jozuas, Kęstutis VALIUNAS, *Serving Lithuania*, Southampton 1989, s. 288.

domu minął oddział NKWD, który miał deportować jego rodzinę. Autor zdążył tylko wpaść do domu i zabrać przygotowany zawczasu plecak. Następnie uciekł do znajomej farmy leśnej, gdzie już było kilku kolegów i starszy brat. W parę dni później ich oddział partyzancki liczył już 32 osoby, zaś podziemna organizacja wojskowa dostarczyła im trochę broni. Po powrocie do Kowna, opanowanego przez Front Litewskich Aktywistów (Lietuviu Aktyvistu Frontas), Valiunas został sekretarzem prof. Vladasa Vilimasa, dyrektora Sekretariatu Generalnego Rządu Tymczasowego Juozasa Ambrazeviciusa. Próby odbudowania niezależnej państwowości litewskiej ostatecznie załamały się 5 sierpnia, gdy Niemcy zmusili rząd do rozwiązania się.

25 listopada 1943 w Kownie na spotkaniu przedstawicieli Najwyższego Komitetu Litewskiego — VLK (socjaldemokraci, narodowcy i ludowcy) oraz chadeckiej Rady Narodowej powołano wspólny ośrodek polityczny, któremu później nadano nazwę VLIK. Współdziałał on z apolityczną Armią Wolności Litwy (Lietuvos Laisves Armija — LLA), założoną przez zawodowych oficerów. Pierwszym przewodniczącym VLIK-u wybrano Steponasa Kairysa.

Jak pisze Valiunas, VLIK chciał wyposażyć od 3 do 5 dywizji, by opanować i obronić Litwę przed powtórnym wkroczeniem Armii Sowieckiej i miał nadzieję zakupić potrzebną w tym celu broń na Zachodzie. Przedstawiciel VLIK-u został jednak aresztowany przez gestapo w Tallinie, gdy udawał się do Szwecji, co doprowadziło do wykrycia w kwietniu 1944 roku podziemnych władz litewskich.

Valiunas mógł swobodnie poruszać się po Reichu i terenach okupowanych, ponieważ studiował kolejno w Grazu, Pradze i Würzburgu. Udało mu się też uzyskać pozwolenie na przeloty samolotowe dzięki prowadzeniu działalności handlowej. Możliwości te autor wykorzystał, podejmując się zadań łącznika Juozasa Vebry, który w ramach VLIK (marzec-listopad 1943) zajmował się sprawami wojskowymi. Valiunas pomagał w utrzymywaniu łączności z organizacjami sąsiadów Litwy. Jak zaznacza, dobre kontakty istniały z Łotyszami i Białorusinami, takie sobie z Ukraińcami i bardzo nieliczne z Polakami z powodu sporu granicznego. Autor pisze tylko: „Litwini i Polacy byli nadal rozdarci starym sporem o Wilno. Litwini nie mogli poczynić żadnych koncesji dotyczących ich historycznej stolicy" (s.40). Valiunas podaje, że VLIK początkowo poparł inicjatywę Plechaviciusa, lecz wycofał się, gdy doszło do rozmieszczania jego oddziałów poza Litwą, nie wspomina niestety o rozmowach przedstawicieli Plechaviciusa z AK i walkach litewsko-polskich o Wileńszczyznę, w których Litwini występowali po stronie niemieckiej.

Dokładniej autor pisze tylko o kontaktach z Białorusinami; z byłym premierem Białorusi Sowieckiej, Kandybowiczem, aresztowanym w czasie czystek i uwolnionym przez Niemców oraz R. Astrouskim, prezydentem powołanej przez Niemców 21.12.1943 roku

Białoruskiej Centralnej Rady. Na rozmowy z Litwinami Astrouski jeździł ze Słucka do Wilna i do Berlina. Według Valiunasa Astrouski miał zgodzić się, by po wojnie granice Litwy objęły obszar do Naroczy, a „nawet trochę dalej na Wschód". Autor podkreśla więc, że „w czasie wojny przywódcy białoruscy zgodzili się" na granice ustalone w traktacie litewsko-sowieckim z 1920 roku (s.47). Jest to ciekawa informacja, gdyż jednocześnie wiosną 1944 roku Astrouski powtórnie podjął kontakt z KG AK w celu nawiązania współpracy białorusko-polskiej.

W 1945 roku J. Valiunas znalazł się w Tybindze, gdzie podjął przerwane studia handlowe i działał w organizacji studenckiej. W tym czasie w Tybindze uczyło się ponad 600 studentów litewskich, zaś w pobliskim Pfullingen Francuzi oddali Litwinom 12 budynków mieszkalnych. Powstała tu pewnego rodzaju litewska stolica na wygnaniu.

W Niemczech J. Valiunas związał się z dr. Petrasem Karvelisem, byłym ministrem finansów i działaczem Związku Rolników Litewskich. Jako reprezentant tej organizacji autor został w 1948 roku najmłodszym członkiem VLIK-u. W Niemczech utrzymywał także kontakty z grupą Juozasa Lukšy i Julijonasa Butenasa, która przygotowywała się do powrotu na Litwę. Obaj przywódcy zginęli później z bronią w ręku, wydani przez zdrajcę Kukauskasa.

Po przeniesieniu się w 1951 roku do Stanów Zjednoczonych J. Valiunas czasowo wycofał się z aktywnego życia politycznego i poświęcił się pracy zawodowej w wielkich korporacjach.

W latach 50-tych J. Valiunas poznał się i zaprzyjaźnił z braćmi Kennedy. Brat Ethel Kennedy, George, zginął w katastrofie samolotowej, gdy leciał na polowanie. Autor miał lecieć razem z nim, ale sprawy zawodowe zatrzymały go w pracy.

Niestety, Valiunas nie omawia poglądów Kennedych na kwestię środkowoeuropejską ani też ich stosunku do Sowietów, a zaznacza jedynie, iż John Kennedy uważał za sprawę zasadniczej wagi, by narody zamieszkujące obszar między Rosją i Niemcami współpracowały między sobą.

W 1966 roku Valiunas powrócił do działalności politycznej. Jako osoba stojąca z boku ówczesnych konfliktów we VLIK-u, został prawie jednogłośnie wybrany jego przewodniczącym.

Ciekawym epizodem w działalności Valiunasa na tym stanowisku było zorganizowanie całkowicie niezależnej litewskiej radiostacji. W 1968 roku autor udał się na Filipiny, gdzie uzyskał pomoc katolickiej radiostacji pracującej w pobliżu Manili oraz zgodę władz na nadawanie programów w języku litewskim dla zesłańców na Syberii, których wówczas było tam jeszcze około 100 tysięcy.

Emitowanie programów rozpoczęto 1 lipca 1970 roku i kontynuowano przez kilka lat. Docierały one nie tylko do Litwinów na syberyjskim zesłaniu, ale, przy dobrych warunkach atmosferycznych, nawet na Litwę i cieszyły się dużą popularnością.

W 1970 roku Pranas Brazinkas, były partyzant i więzień Gułagu, wraz z synem Algirdasem porwali do Turcji samolot lecący z Batumi. Obu Litwinom groziła ekstradycja do ZSSR. Autor wspomnień odegrał jedną z decydujących ról, ratując Brazinskasów w ostatniej chwili przed wydaniem w ręce Sowietów.

Do osiągnięć J.K. Valiunasa należy też powstanie w 1972 roku stałej Światowej Konferencji Bałtyckiej, która zjednoczyła przebywające na wychodźstwie najwyższe władze polityczne trzech narodów bałtyckich. Niebawem miało też dojść do ważnej wspólnej akcji.

W 1973 roku w Helsinkach zebrała się Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, by potwierdzić *status quo* na naszym kontynencie, a więc m.in. przynależność do ZSSR państw bałtyckich, wcielonych doń na podstawie paktu Mołotow-Ribbentrop. W lipcu na konferencję wyjechała także wspólna delegacja Bałtów, chcąc zaznaczyć prawne istnienie państw bałtyckich, formalnie nadal uznawanych przez mocarstwa zachodnie. 4 lipca w czasie wieczornego przyjęcia w ambasadzie NRD łotewskiemu członkowi delegacji bałtyckiej udało się podejść do Gromyki i zapytać, dlaczego kwestia niepodległości państw bałtyckich nie jest tematem dyskusji na konferencji. Następnego dnia po tym incydencie policja fińska zatrzymała na polecenie Gromyki dziewięcioosobową delegację bałtycką. Aresztowanych przewieziono do więzienia pod Helsinkami, skąd już nie mogli zakłócać obrad nad współpracą i pokojem w Europie. Dzięki szybkiej i zdecydowanej akcji, podjętej m.in. przez senatora Jamesa Buckleya oraz wypróbowanego przyjaciela Litwinów, kongresmena Edwarda Drewińskiego, Finowie zgodzili się zwolnić aresztowanych członków delegacji, którzy mieli obywatelstwo amerykańskie, w więzieniu miałyby natomiast pozostać osoby posiadające obywatelstwo Anglii, Szwecji i Kanady. Wówczas — jak wspomina Valiunas — obywatele USA odmówili opuszczenia więzienia bez swych kolegów. Dzięki takiej postawie Finowie zostali zmuszeni do zwolnienia wszystkich aresztowanych po 24 godzinach od ich uwięzienia.

W czasie swych licznych podróży J. Valiunas odwiedził również redakcję *Kultury*, gdyż — jak podkreśla — „*Kultura* wyraża najbardziej konstruktywne stanowisko polskie wobec Litwinów" (s. 131). Wspomnienia J. Valiunasa pozbawione są akcentów antypolskich, tak częstych w pracach działaczy emigracji litewskiej. Autor uznaje bowiem Sowiety za „śmiertelne niebezpieczeństwo dla samego istnienia (swego) kraju".

Józef DARSKI

POLEMIKI

NIEŚCISŁOŚCI P. SOSNKOWSKIEJ

Pani Jadwiga Sosnkowska w rozmowach z prof. Włodzimierzem Kowalskim, wydanych w książce pt. „W kręgu mitów i rzeczywistości", pisze na temat rozmów gen. Sosnkowskiego z marszałkiem Wilsonem:

„Zresztą wielu redaktorów pism zwracało się do męża o zajęcie stanowiska, ale on wzbraniał się. Pisał nawet pan Jerzy Giedroyc z paryskiej *Kultury* listami z 6 i 21 września 1957 roku błagając generała o danie odporu krytykom. Mąż odpowiedział, że być może w przyszłości skorzysta z tej oferty, ale na razie nie chce brać udziału jako strona w tej nagonce. Toteż pan Giedroyc, którego zasługi dla zbierania dokumentacji i utrwalania przeszłości są znaczne — po prostu kłamie, gdy pisze w numerze 70 wydawanych przez siebie *Zeszytów Historycznych*, że odmówił drukowania pism męża".

Stwierdzenia pani Sosnkowskiej są nieścisłe. Podaję moją korespondencję z gen. Sosnkowskim w tej sprawie. Przypuszczam, że mam prawo to zrobić mimo zastrzeżeń generała, że jego informacje nie są przeznaczone do druku. Pani Sosnkowska pomyliła moją odmowę druku. Odmówiłem bowiem przekładu wierszy Baudelaire'a, zrobionego przez generała, który w swoim czasie pani Sosnkowska mi przysłała.

Szanowny Panie Generale,

Wstęp Pana Generała do książki gen. Sosnkowskiego pt.: „Najkrótszą drogą" wywołał ożywioną polemikę zarówno w prasie emigracyjnej jak i w prasie krajowej. Ostatnio *7 dni* zamieściło oświadczenie marszałka Wilsona, który dezawuuje stwierdzenie Pana Generała.

Ponieważ sprawa jest niezmiernie ciekawym przyczynkiem do najnowszej historii Polski i to okresu, o którym pisano dotąd bardzo niewiele — jestem gotów zamieścić w najbliższym numerze *Kultury* wyjaśnienia Pana Generała — jeśli, ma się rozumieć, Pan Generał zamierza odpowiadać.

Dla informacji podaję, że najbliższy, tj. październikowy numer *Kultury* zamykam między 15-tym a 20-tym września.

W oczekiwaniu odpowiedzi łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Redaktor *Kultury*
Jerzy GIEDROYC

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Potwierdzam odbiór listu z dnia 6-go września, przesłanego za pośrednictwem gen. Szyllinga.

Dziękuję uprzejmie za ofiarowanie mi gościny na łamach *Kultury*. Z propozycji powyższej pozwolę sobie skorzystać w swoim czasie. Na razie uważam, iż zabranie przeze mnie głosu w ramach polemiki, wszczętej w naszej prasie emigracyjnej przez p. A. Bregmana i podjętej w następstwie przez jedno z pism krajowych byłoby ze względu na charakter tej polemiki sprzeczne z mymi pojęciami o godności narodowej i powadze instytucji Naczelnego Wodza.

Publicyści podający w wątpliwość moją relację o wiadomej rozmowie w Casercie nie uważali za stosowne zwrócić się o wyjaśnienia do mnie, natomiast uczynili to w stosunku do instancji obcych. Tym większe mam uznanie dla drogi obranej przez Pana Redaktora i tym żywszą odczuwam wdzięczność za łaskawą Jego propozycję. Mam też szczery podziw dla wysokiego poziomu *Kultury*. Nie chciałbym przeto pozostawić listu Pana Redaktora bez rzeczowej odpowiedzi i pragnę podzielić się z Nim paroma uwagami o treści merytorycznej.

1) Marszałek Wilson w piśmie wystosowanym do redakcji warszawskiego dziennika *7 dni w Polsce* mówi:

> „...Z przedmowy generała, której kopię otrzymałem od *Dziennika Polskiego* w Londynie, wynika, że opisana rozmowa miała miejsce w leśniczówce w pobliżu Caserty dnia 3-go sierpnia 1944 r. Jest to z pewnością nieprawdziwe. Generał przybył, aby mnie udekorować Polskim Medalem Wojennym (Virtuti Militari) i pozostał na obiedzie. Obecny był również p. MacMillan, minister Stanu w rejonie morza Śródziemnego, i spotkanie miało charakter towarzyski..."

Otóż w Gabinecie Naczelnego Wodza był prowadzony „Dziennik czynności Naczelnego Wodza", obejmujący okres od dnia objęcia

przeze mnie stanowiska aż do daty udzielenia mi dymisji przez Prezydenta Rzeczypospolitej. W Dzienniku tym notowano szczegółowo wszystkie moje czynności i poruszenia.

Załączam do wiadomości Pana Redaktora odpisy dwóch stronic „Dziennika czynności N.W.", mianowicie str. 195 z wykazem przebiegu dnia 14-go lipca 1944 r. oraz str. 215 z takimże opisem dnia 3-go sierpnia 1944 r.

Z zestawienia wymienionych trzech dokumentów wynika chyba wyraźnie, co jest „z pewnością nieprawdziwe".

Nadmieniam, że egzemplarz „Dziennika czynności N.W." znajduje się archiwach londyńskich i mógł być łatwo udostępniony p. A. Bregmanowi.

2) Zbieżność propozycji uczynionej przez Wilsona w Casercie dnia 3-go sierpnia 1944 r. z oświadczeniem premiera Churchilla złożonym w Izbie Gmin dnia poprzedniego (2-go sierpnia) nie jest przypadkowa. W przymówieniu swym Churchill powiedział:

> „...Armie rosyjskie stoją obecnie u wrót Warszawy; przynoszą one ze sobą oswobodzenie Polski; ofiarują Polsce wolność, suwerenność i niepodległość... mamy kilka dzielnych polskich dywizji walczących na Zachodzie, a inne walczą w Rosji; niechaj się połączą. Pragniemy tego. Byłoby rzeczą wspaniałą, gdyby tego rodzaju fundament mógł być położony *w chwili, gdy słynną stolicę Polski ... wyzwala męstwo oręża rosyjskiego*"...

Ostatnie słowa podkreśliłem, gdyż w artykule z dnia 25-go lipca br. p. A. Bregman, dowodząc, że „pamięć musiała gen. Sosnkowskiego zawieść", daje swoją własną analizę ówczesnej sytuacji wojennej i mówi:

> „...Trudno sobie wyobrazić, by dowódca frontu mógł w tym momencie twierdzić, że jest w stanie obejść się bez Drugiego Korpusu"

zaś nieco przedtem w tymże artykule:

> „...Wprost nie do wiary wydaje się, by marsz. Wilson mógł taką propozycję uczynić i to na własną rękę, bo nie ma absolutnie żadnych danych, by istniał tego rodzaju plan rządu brytyjskiego. Pytaniem jest więc, czy rzeczywiście coś takiego zaproponował"...

Jest chyba rzeczą jasną, że Churchill, mówiąc o połączeniu *kilku* dywizji polskich walczących na Zachodzie, obejmował tym sformułowaniem również i dywizje II-go Korpusu.

Pan A. Bregman, gdy mu przypomniano w polemice publicznej ową mowę Churchilla, napisał w artykule z dnia 28-go sierpnia br., że zacytowane ustępy są tylko „górnolotnymi frazesami" i „wyrażeniem ogólnikowych nadziei".

Pan Redaktor, znając ustrój i zwyczaje brytyjskie, zechce sam osądzić, czy oświadczenie premiera brytyjskiego złożone w Parlamencie w chwili tak ważnej dla dalszych losów Polski i Jej Sił Zbrojnych może być podciągnięte pod określenia p. A. Bregmana.

Marsz. Wilson w obu swych listach, do p. Bregmana i do redakcji *7 dni w Polsce*, plącze daty, fakty i okoliczności. Poza tym w liście pierwszym figuruje zdanie, którego nie ma w drugim, a mianowicie „przesunięcie Korpusu Polskiego do północy Europy byłoby — sądzę — poruszone". Zdanie owo jest częściowym, aczkolwiek niechętnym przyznaniem się marsz. Wilsona, a słowa „do północnej Europy" mają swoją znamienną wymowę. Z porównania tekstu obu listów zdaje się wynikać, że pamięć marsz. Wilsona funkcjonuje co najmniej... nierównomiernie.

Nikt nie przeczy, że decyzje wycofania II-go Korpusu celem połączenia go z dywizjami Żymierskiego „leżały całkowicie poza kompetencjami" mego rozmówcy w Casercie (list marsz. Wilsona do p. A. Bregmana). Jest to stwierdzenie zbyteczne, gdyż aż nadto oczywiste. Porównanie dat i faktów nasuwa niewątpliwy dla mnie wniosek, że rozmowa ze mną w Casercie z daty 3-go sierpnia 1944 r. była sondażem przeprowadzonym na polecenie rządu J.K.M. W propozycji Churchilla skierowanej przecież nie w pustkę, a pod adresem rządu polskiego zawarta była zapowiedź gotowości zwolnienia dywizji naszych celem połączenia ich z wojskami Żymierskiego, i to zwolnienia niezwłocznego („w chwili, gdy stolicę Polski wyzwala męstwo oręża rosyjskiego").

Warto przy tym pamiętać, że Mikołajczyk przebywał w tym czasie w Moskwie, gdzie omawiał ze Stalinem i Bierutem sprawę „zjednoczenia" wojskowego. Zaś memorandum złożone rządowi polskiemu po powrocie z Moskwy wskazuje, że p. Mikołajczyk uległ i w tym wypadku namowom premiera brytyjskiego.

Rozmowie w Casercie z dnia 3-go sierpnia gospodarze nadali charakter poufny; do uczestnictwa w niej nikt z towarzyszących mi oficerów polskich zaproszony nie został.

Moim towarzyszom lotu do Caserty, ani też obecnym w Rzymie oficerom naszym treści rozmowy z Wilsonem nie komunikowałem, uważając, że wiadomość ta, gdyby rozeszła się szerzej, mogła była wywołać głęboką depresję wśród żołnierzy polskich, stojących wówczas w ciężkich walkach na froncie bojowym.

List niniejszy dla racji podanych przeze mnie na wstępie nie jest przeznaczony do publikacji i ma na celu jedynie osobiste poinformowanie Pana Redaktora o rzeczywistym przebiegu zdarzeń.

Tematy poruszone przez p. A. Bregmana w jego artykule o Powstaniu Warszawskim (*Dziennik Polski* z dnia 29-go sierpnia) doczekają się niewątpliwie i we właściwym czasie oświetlenia z mej strony. Oczywiście, tematy owe będą ujęte przeze mnie nie pod

znakiem polemiki bieżącej, lecz w charakterze uzupełnień do najnowszej historii Polski. Z wdzięcznością skorzystam wtedy z gościny ofiarowanej mi przez Pana Redaktora na łamach *Kultury*.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy mego prawdziwego szacunku.

17-go września, 1957
Arundel P. Quebec, Canada

Kazimierz SOSNKOWSKI

ODPIS Z „DZIENNIKA CZYNNOŚCI NACZELNEGO WODZA"

ALGIER — WŁOCHY — Piątek, 14 lipca 1944 r.

I.
Przebieg dnia

Godz. 09.00 — wyjazd na lotnisko Meran Blanche.
N.W. Żegnają: — Kamil Ullman, który wrócił z Korsyki, sekretarz ambasady Sobański, radca Friedrich, mjr Słowikowski (ambasador Morawski, ppłk Minkiewicz i ppłk Dziewanowski na święcie francuskim).

10.05 — start — dołączają do ekipy — płk Ludwig, por. Łubieński i Lt. Col. Steward, oficer łącznikowy gen. Wilsona.

15.05 — Lądowanie w Capo di Chino (tuż pod Neapolem) — melduje się Lt. Col. Chaplin-Walker, adiutant gen. Wilsona — przyjazd do Caserty, do willi dla gości gen. Wilsona.

18.20 — N.W. na konferencji u gen. Wilsona.

19.30 — N.W. zwiedza wspaniałe ogrody Caserty.

20.30 — N.W. dekoruje gen. Wilsona V.M. klasy V. w jego prywatnej kwaterze — obecny McMillan, delegat rządu brytyjsk. przy Wilsonie, gen. Clark — główny kwatermistrz i świta — po czym obiad.
Przed wieczorem ppłk Kijak i por. Nowak odjeżdżają do Neapolu.
Lt. Col. Steward pozostaje w Casercie — dołącza Lt. Col. Rankin, ofic. łącznik. przy II-gim Korpusie.

WŁOCHY Czwartek, 3 sierpnia 1944 r.

I.
Przebieg dnia

Godz. 09.00 — start w Littorio do Caserty — lecą — N.W., płk Sulisławski, Ludwig, Lt. Col. Rankin, mjr gen. Beaumont Nesbitt, por. Łubieński i por. Tomaszewski. — to jest oficjalny odjazd N.W. z Rzymu — N.W. po południu wraca nieoficjalnie — żegnają N.W. — gen. Anders, szwadron honorowy, 15 p. uł. ze sztandarem i orkiestrą, gen. Tokarzewski, płk Wiśniowski, płk Skowroński, biskup Gawlina, amb. Papée, ppłk Kończyc, por. Bądzyński i prasa.

10.45 — Lądowanie w Casercie.
Konferencja N.W. z Mr. Murphy — *political adviser* Roosevelta przy Wilsonie.
Konferencja z gen. Wilsonem — potem z nim śniadanie.

15.30 — Start do Rzymu (bez mjr. gen. Beaumont Nesbitt).

19.30 — Lądowanie w Littorio;
konferencja z płk Wiśniewskim i Demlem.

02.45 — N.W. udaje się na spoczynek.

---

24 września [1957 r.]

Szanowny Panie Generale,

Dziękuję za list z 17 bm. i za cenne wyjaśnienia. Ma się rozumieć tak jak Pan Generał sobie życzy, nadesłanych wyjaśnień nie będę publikował.

Chciałbym jeszcze raz tylko zaznaczyć, że zawsze chętnie wydrukuję w *Kulturze* wyjaśnienia czy przyczynki historyczne Pana Generała, ewentualnie — gdyby to miała być większa praca — mógłbym ją wydać w formie książkowej.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Redaktor *Kultury*
Jerzy GIEDROYC

Szanowny Panie Redaktorze,

Treść listu Pana Redaktora z daty 29-go lipca podałem do wiadomości p. Witolda Babińskiego. Przypuszczam, że artykuł wysłany przez niego już dotarł do Paryża.

Artykuł ten znalazł się tutaj tylko przejściowo, albowiem żona moja była proszona o przepisanie tekstu na polskiej maszynie.

Dr W. Babiński był podczas wojny ostatniej moim oficerem do zleceń. Cieszył się on i cieszy się dotychczas moim pełnym zaufaniem. Sprawa Powstania Warszawskiego jest mu dokładnie i wszechstronnie znana; zebrał on również kompletną bodaj dokumentację w tym zakresie. Nie kontroluję w niczym jego pióra, więc i jego artykuły nie wymagają mej uprzedniej aprobaty.

Z uprzejmej propozycji Pana Redaktora drukowania w *Kulturze* z pewnością nie omieszkam skorzystać w niedalekiej przyszłości. Na razie nie zabieram głosu w tych kilku kontrowersyjnych sprawach, gdzie w grę wchodzi moja czynna rola. Nie chcę bowiem krępować swobody trwających jeszcze polemicznych sporów, czy też wpływać na ich przebieg. Oczywiście, owa wstrzemięźliwość nie będzie trwać do końca dni moich.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

Kazimierz SOSNKOWSKI

8-go sierpnia, 1964
Arundel P. Quebec
Canada

Jan NOWAK

JÓZEF MACKIEWICZ

(ODPOWIEDŹ NA LIST OTWARTY)

List w obronie Józefa Mackiewicza (*Zeszyty Historyczne* nr 89) został źle zaadresowany. Moje wspomnieniowe uwagi w książce „Polska z oddali" były tylko skrótowym powtórzeniem oskarżeń, które, już poczynając od roku 1947 wytaczało publicznie Koło AK zrzeszające żołnierzy AK na obczyźnie. We władzach organizacji zasiadali wówczas generałowie Tadeusz Komorowski, Michał Karaszewicz-Tokarzewski i Tadeusz Pełczyński. Od tego czasu zarzuty te powtarzane były wielokrotnie, między innymi w jednogłośnie uchwalonej rezolucji XI Zjazdu Koła AK w 1969 roku. Nie wytrzymuje więc krytyki twierdzenie, że wysunąłem oskarżenia pod adresem pisarza nieżyjącego (który nie może się bronić). Sygnatariusze listu ułatwili sobie również polemiczny atak, wybierając sobie za cel jednego tylko z żołnierzy AK. Równie nieuzasadnione jest twierdzenie, że

wysunięte przeciwko Mackiewiczowi zarzuty są nieudokumentowane. W sprawach Mackiewicza za jego życia wypowiadał się wielokrotnie Stefan Korboński, ostatni delegat Rządu RP i kierownik Walki Cywilnej, Adam J. Galiński, delegat rządu na Okręg Wileński, Józef Garliński, zasłużony historyk AK, mjr Tadeusz Klimowski, b. szef sztabu 27 Wołyńskiej Dywizji AK, Tadeusz Zawadzki-Żenczykowski, szef Akcji „N", mjr Franciszek Miszczak, wieloletni prezes Koła AK, a w kraju płk Roman Korab-Żebryk, były dowódca I Brygady Wileńskiej AK, Paweł Jasienica, żołnierz wileńskiej partyzantki i Stefan Kisielewski. Dokumentacja dotycząca Józefa Mackiewicza w Studium Polski Podziemnej obejmuje 42 pozycje. Są to zarówno dokumenty, jak zeznania świadków: gen. T. Pełczyńskiego, szefa sztabu AK i jego żony Wandy, działaczki związanej z Wilnem, Lucjana Krawca, b. zastępcy Delegata Rządu na Okręg Wileński oraz żołnierzy z Okręgu Wileńskiego: Adama Boryczki, b. szefa Kedywu na Okręg Wileński (skazanego po wojnie przez sąd PRL na karę śmierci), Jana Morelewskiego, Michała Warakomskiego, Zdzisława Szyłeyki i innych. Wybór tych dokumentów wraz z wystąpieniami J. Mackiewicza w obronie własnej Koło AK ogłosiło w r. 1971 w broszurze pod tytułem „Pod pręgierzem".

Sygnatariusze listu otwartego, żyjąc w Polsce, mogli tych dokumentów nie znać. Szkoda jednak, że nie zbadali sprawy przed zabraniem głosu. Z listu otwartego wynika, że znana im była ostatnia wypowiedź Koła AK w londyńskim *Pulsie* nr 35 z r. 1987, sprowokowana niezgodnym z faktami artykułem K. Zamorskiego. W oświadczeniu powtórzono fakty z precyzyjnym powołaniem się na źródła i dokumenty. Wynika z nich niezbicie, że Józef Mackiewicz został jako współredaktor i współpracownik niemieckiej gadzinówki *Goniec Codzienny* skazany w 1942 roku za zdradę główną na karę śmierci przez specjalny sąd wojskowy pod przewodnictwem adwokata Stanisława Ochockiego („Justyna"). Sądy specjalne powołane były do życia uchwałą Rady Ministrów, a ich statut został wydany i podpisany przez Naczelnego Wodza, gen. W. Sikorskiego. Wykonanie wyroku zawiesił do zakończenia wojny komendant Okręgu Wileńskiego AK, płk Aleksander Krzyżanowski („Wilk"). Jednym ze świadków oskarżenia była Teresa Jurgielewiczowa, którą kontrwywiad AK wprowadził w charakterze tłumaczki do redakcji *Gońca Codziennego*. Jej listy i oświadczenie przechowywane są w aktach S.P.P. w Londynie.

Prezes Koła AK, płk M. Mandziara, i sekretarz J. Huczyński stwierdzają w swym oświadczeniu, że zabierają głos w sprawie J. Mackiewicza z największą niechęcią, zmuszeni do tego przez nieprawdziwe stwierdzenia p. K. Zamorskiego. „ Najbardziej odpowiadałoby nam — piszą — milczące przedawnienie przewin zmarłego pisarza". Po śmierci Mackiewicza sprawa poszłaby w zapomnienie, gdyby nie jego apologeci, którzy ją odgrzebują, z uporem powtarzając nieprawdę. Nie byłoby zapewne sprawy Mackiewicza, gdyby nie oskarżał on po wojnie Armii Krajowej o „kolaborację z wrogiem komunistycznym". Mackiewicz atakował przywódców i żołnierzy AK jako kolaborantów w latach, kiedy w lochach bezpieki i sowieckich więzieniach rozstrzeliwano setki oficerów i żołnierzy Armii Krajowej nie za co innego, jak za opór stawiany komunistom. Niestety Mackiewicz nie tylko nie wyrzekł się przeszłości, ale chciał stać się jej sędzią. Ten zagorzały antykomunista kierował swoje ataki przeciwko autorytetom i instytucjom najzacieklej zwalczanym przez propagandę partyjną: przeciwko Naczelnikowi państwa J. Piłsudskiemu, Kościołowi, Prymasowi Wyszyńskiemu,

Armii Krajowej, Rozgłośni Polskiej RWE i nawet Aleksandrowi Sołżenicynowi. Jest zdumiewającym paradoksem, że z wyjątkiem RWE i Koła AK nie podniósł się żaden głos protestu, gdy Mackiewicz oskarżał o kolaborację z komunistami Prymasa Wyszyńskiego i Kościół, podczas gdy dziś przedmiotem protestu jest żołnierz AK, który występował w ich obronie.

Można tłumaczyć sygnatariuszy listu brakiem znajomości sprawy. Trudniej usprawiedliwić przeinaczenia tego, co napisałem w „Polsce z oddali". Czytelnik może się o tym łatwo przekonać, porównując oba teksty. Nie twierdziłem, że „Mackiewicz załamał się w śledztwie NKWD" ani że intrygi Mackiewicza doprowadziły do mego ustąpienia. Odnośne zdanie na str. 338 zostało wyjęte z kontekstu i zniekształcone. Są natomiast dowody na to, że Mackiewicz inspirował ataki na mnie w prasie emigracyjnej w tym czasie, gdy stałem się przedmiotem oszczerczej kampanii bezpieki, prowadzonej przy pomocy różnego rodzaju fałszywek. Na jednej z nich sfałszowany został podpis Mackiewicza (str. 345). Nie pisałem o wyprawie Mackiewicza do Katynia na zaproszenie Niemców, bo ani jemu, ani innym nie miałem tego za złe. Nie uwierzę natomiast, by dowództwo AK w Wilnie aprobowało ogłoszenie przez Mackiewicza jego spostrzeżeń z Katynia w niemieckiej gadzinówce. Rząd polski w Londynie i władze podziemne w Polsce odcinały się ostro od propagandy Goebbelsa, usiłującej cynicznie wykorzystywać tragedię katyńską dla swych własnych celów. Powojenna książka Mackiewicza o Katyniu jest z pewnością jego zasługą, ale żadne zasługi nie upoważniają do stwarzania białych plam w czyimkolwiek życiorysie, zwłaszcza teraz, gdy sami z białymi plamami walczymy. Pozycja wybitnego pisarza także nie upoważnia do ukrywania prawdy. Ani znakomity amerykański poeta i krytyk literacki Ezra Pound, ani laureat Nobla, pisarz norweski Knut Hamsun nie uniknęli po wojnie sądu za współpracę z propagandą nieprzyjaciela.

Nie byłoby sprawy Mackiewicza, gdyby nie odrzucił w roku 1948 rozpatrzenia sprawy przez Obywatelską Komisję Orzekającą Polskiego Zjednoczenia w W. Brytanii albo gdyby wytoczył sprawę o zniesławienie przed sądem brytyjskim. Najlepszym sposobem zamknięcia polemiki w tej sprawie byłoby rozpatrzenie jej przez sąd obywatelski, powołany wspólnie przez jego oskarżycieli i obrońców.

Nie ukrywam, że list otwarty sprawił mi wielką przykrość. Znalazły się pod nim podpisy ludzi, których znam z lektury i cenię. Tłumaczę sobie ich wystąpienie tym, że albo nie było ich na świecie w ponurych latach okupacji niemieckiej, albo byli wtedy dziećmi.

Nie wiedzą, czym była dla społeczeństwa gadzinowa prasa hitlerowska, w każdym słowie znieważająca i poniżająca naród polski, wysławiająca Hitlera i jego tryumfy, znęcająca się nad mordowanymi Żydami. Wychowani w rzeczywistości Polski Ludowej, dopatrują się dziś w Mackiewiczu bohatera antykomunizmu. Jego osoba spycha na plan niewidoczny tych, którzy wiele lat swego życia poświęcili walce z komunizmem i stali się przedmiotem inwektyw, oszczerstw i obelg. Widzą rzeczy w innej perspektywie, aniżeli stare pokolenie. Zmieniona perspektywa nie może jednak zmienić historycznej prawdy.

Jan NOWAK

Waszyngton, sierpień 1989 r.

OKRUCHY HISTORII

Antoni SKARBEK

„SZANIEC" I DOWÓDZTWO WOJSKOWE NSZ

W publikacjach powojennych ukazało się dużo opracowań na temat koncepcji i planów środowiska politycznego „Szaniec", dotyczących podziemnych organizacji wojskowych „Związku Jaszczurczego" i „Narodowych Sił Zbrojnych" z czasów okupacji niemieckiej Polski w latach 1939-1945. Na ogół są one niezupełnie zgodne z prawdziwym stanem tego bardzo ciekawego zagadnienia. Pragnę tu w dużym skrócie podać rzeczywisty przebieg powstania tych myśli i projektów tego ideowego środowiska oraz wykonania planów operacyjnych przez kolejne dowództwa tych podziemnych organizacji wojskowych.

Powstały one w różnych okresach czasu w zależności od sytuacji w przebiegu II wojny światowej.

a) I okres to początek wojny do połowy 1943 roku

b) II okres — druga połowa 1943 roku do połowy 1944 roku

c) III okres — druga połowa 1944 roku do stycznia 1945 roku.

Na wstępie chcę podać charakterystykę środowiska obu pionów tych podziemnych organizacji.

Środowisko polityczne „Szaniec" powstało w czasie II wojny światowej z byłego Obozu Narodowo-Radykalnego (O.N.R.), które w pewnym stopniu uległo zmianom w poglądach w stosunku do swojego przedwojennego programu politycznego przez wchłonięcie w swoje szeregi jednostek bardzo wartościowych z innych przedwojennych

środowisk politycznych. Zespół członków kierownictwa tego środowiska składał się z osób przeważnie z uniwersyteckim wykształceniem uzyskanym w Polsce w okresie 20-tu lat niepodległości. Kilku ukończyło wyższe studia na uniwersytetach za granicą. Większość z nich zajmowała przed wojną poważne stanowiska w administracji lub w gospodarce państwowej. Wielu z nich miało zawody niezależne. Byli to ludzie młodzi, od lat 30-tu do 45-ciu.

Środowisko to było niezależne od obcych wpływów, z programem politycznym według wzoru prawdziwej demokracji i sprawiedliwości społecznej, stawiając dobro i interes narodu polskiego na pierwszym miejscu.

Komendantem głównym powstałego „Związku Jaszczurczego" od samego początku organizowania komórek wojskowych został wyznaczony inżynier Władysław Marcinkowski, porucznik rezerwy — późniejszy ppłk Jaxa. Funkcję tę sprawował z doskonałym wynikiem, osiągając liczbę członków około 65.000, aż do marca 1942 roku — daty powstania Narodowych Sił Zbrojnych.

Kolejnymi dowódcami powstałych NSZ byli wojskowi o wysokich kwalifikacjach zawodowych (płk Ignacy Oziewicz —„Czesław", płk Tadeusz Kurcjusz — „Żegota", gen. Zygmunt Broniewski — „Bogucki"). Mieli piękne karty z wojny polsko-bolszewickiej, odznaczeni Virtuti Militari, Krzyżami Walecznych i różnymi Krzyżami Zasługi za osiągnięte wyniki pracy w okresie 20-letniej niepodległości Polski. Wszyscy byli doskonale zorientowani w polityce ogólnej i wojskowej świata i własnego kraju.

Pierwszy okres powstania koncepcji i planów Środowiska „Szaniec" i Dowództwa „Związku Jaszczurczego", a następnie Narodowych Sił Zbrojnych (początek wojny do połowy 1943 roku) był oparty na zamiarze zorganizowania sił wojskowych i cywilnych w poszczególnych okręgach, a po przegranej przez Niemców wojnie przerzucenia grup operacyjnych na Zachód w celu obsadzenia Ziem Zachodnich po Odrę i Nysę Łużycką, jednocześnie stawiając aliantów zachodnich wobec faktu dokonanego.

Postanowiono, że po przegranej z Niemcami wojnie należy teraz utrzymywać w narodzie ducha do dalszej walki z wrogiem oraz zacząć tworzyć komórki tajnych organizacji wojskowych — („Związek Jaszczurczy") i cywilnych (Służba Cywilna Narodu), jak również szerzyć wśród społeczeństwa polskiego myśl opanowania dawnych, utraconych Ziem Zachodnich. Na podstawie tych założeń główną uwagę w organizowaniu tych komórek zwrócono na nasze przedwojenne województwa południowe, zachodnie i środkowe, zaniedbując wschód.

W swoich wydawnictwach podziemnych stale podkreślano ważność przyłączenia do Polski Ziem Zachodnich (*Nasze cele wojenne, Oczy na Zachód, Dziedzictwo Piastów* itp).

Gdy 21 czerwca 1941 roku wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, utwierdziła się teza o możliwości powtórzenia się wypadków

wojennych z roku 1918. Na podstawie tej koncepcji dowództwo ZJ-NSZ III Oddział Operacyjny pod kierownictwem szefa tego oddziału, płk. Wacława (Tadeusza Boguszewskiego) opracowało kilka wariantów przyszłych, możliwych wypadków wojennych na ziemiach polskich, w zależności od przebiegu wydarzeń na frontach II wojny światowej.

Pierwszy wariant — powtórzenie się klęski Niemiec jak w roku 1918.

Drugi wariant — alianci zachodni po pokonaniu armii niemieckiej wcześniej zbliżą się do naszych granic zachodnich, niż Armia Czerwona do naszych granic wschodnich.

Trzeci wariant — Rosja Sowiecka, po rozbiciu wojsk niemieckich na wschodzie opanuje całą Polskę. Alianci zachodni są daleko od naszych przedwojennych granic zachodnich.

Do tych wariantów zostały także opracowane w roku 1942 przez sztab NSZ odpowiednie plany operacyjne. Całość tych planów została oznaczona jako plan operacyjny „Z"-NSZ.

I i II warianty nie sprawdziły się, więc plany te stały się nierealne i zostały tylko planami. Natomiast w całości sprawdził się wariant III.

Trudno mi podać szczegóły tych wszystkich planów operacyjnych opracowanych przez sztab NSZ, bo w czasie okupacji niemieckiej w Kraju, ze względu na ich ścisłą tajność, nie miałem sposobności zapoznać się z nimi. Zresztą sam płk Wacław w swoich publikacjach na ten temat w *Zeszytach do Historii NSZ* wspomina o nich bardzo ogólnikowo.

W połowie 1942 roku nastąpiło połączenie ZJ z częścią podziemnej organizacji wojskowej Stronnictwa Narodowego (NOW) i innych mniejszych organizacji wojskowych o charakterze narodowym. Całości nadano nazwę „Narodowe Siły Zbrojne". Dowództwo zostało powierzone płk. Ignacemu Oziewiczowi, pseudonim „Czesław". Narodowe Siły Zbrojne bez żadnych zastrzeżeń oparły swoją pracę na poprzednio opracowanych planach środowiska „Szaniec" i dowództwa ZJ.

Od samego początku powstania NSZ rozpoczęto rozmowy z AK w sprawie scalenia tych organizacji. Zaczął je płk Oziewicz z płk. Roweckim, ówczesnym komendantem głównym AK. Aresztowanie obydwóch przez Niemców w połowie 1943 roku na krótko tylko przerwało te rokowania, które w sumie trwały aż do maja 1944 roku, kiedy nastąpiło to nieszczęsne połączenie, zerwane nie z winy NSZ po miesiącu. Każda z tych organizacji poszła swoją drogą.

W drugim okresie, od połowy roku 1943 do pierwszej połowy 1944 roku, zmieniły się radykalnie plany. Wpłynęły na to:

1) klęska wojsk niemieckich pod Moskwą i Stalingradem,

2) szybkie zbliżanie się frontu wschodniego do przedwojennych wschodnich granic Polski.

Wobec nowej, groźnej okupacji sowieckiej postanowiono:

1) przeorganizować całość podziemnej organizacji tak cywilnej jak i wojskowej, ukrywając swoje siły w głębszej konspiracji.
2) pozostawić w Okręgach Wojskowych tylko małe oddziały leśne — jako meliny dla spalonych członków z zadaniem, w razie posuwania się wojsk sowieckich na zachód, wycofania ich i rozwiązania oraz umieszczenia żołnierzy na bezpiecznych melinach.

Szybkie posuwanie się frontu niemiecko-sowieckiego w pierwszej połowie 1944 roku oraz „Powstanie Warszawskie" uniemożliwiło wykonanie tych zamierzeń.

Dla środowiska „Szaniec" i dla NSZ powstały nowe warunki planowania.

W tym czasie, na podstawie wytycznych zaplecza politycznego „Szaniec" jeszcze w Warszawie w końcu marca 1944 roku został wydany ściśle tajny rozkaz do rąk własnych dowódców Okręgów Wojskowych NSZ przez płk. Kurcjusza, ówczesnego dowódcę NSZ, następującej treści:

„Wobec zmienionej sytuacji polityczno-wojskowej na ziemiach polskich plan operacyjny ‚Z' nie może być wykonany. Wobec tego sens tworzenia i istnienia oddziałów leśnych przestaje być rzeczą realną i pożyteczną. Zmieniamy okupację niemiecką na sowiecką. Rozkazuję wszystkie oddziały leśne NSZ natychmiast rozwiązać i przejść do bardzo ścisłej konspiracji".

Rozkaz ten spowodował przyjazd dowódcy O.W.V płk Olgierda i mój do Warszawy, by osobiście przedstawić sytuację w naszym okręgu i przekonać płk Kurcjusza o konieczności pozostawienia oddziałów leśnych na tym terenie.

Wynikiem tego spotkania była zgoda płk. Kurcjusza na dalsze utrzymanie w O.W.V małych oddziałów leśnych z zastrzeżeniem, by w razie dalszego posuwania się wojsk sowieckich na zachód rozwiązać je i żołnierzy bezpiecznie zamelinować.

Wiosną 1944 roku główny komendant NSZ płk Kurcjusz zmarł nagle na atak serca. Na jego miejsce został tymczasowo obrany p.o. płk Kmicic.

Czerwiec 1944 rok — front niemiecko-sowiecki w szybkim tempie zbliżał się na ziemiach polskich do rzeki Wisły i na tej linii zatrzymał się do stycznia 1945 roku. W tym czasie, na obszarze kielecko-radomskim oddziały komunistyczne, mając w zapleczu zbliżającą się Armię Czerwoną, rozpoczęły wzmożone działania przeciw członkom i oddziałom leśnym NSZ. Wobec tej sytuacji dowództwo

Okręgu V postanowiło dla bezpieczeństwa zgrupować wszystkie oddziały leśne NSZ w jedną całość, tworząc 204 pułk Ziemi Kieleckiej. Na dowódcę został wyznaczony ze sztabu okręgu mjr „Kazimierz" — Janusz Balcerowski. Oddział ten w miesiąc później został wizytowany przez p.o. komendanta głównego płk. „Kmicica" — Stanisława Nakoniecznikoff-Klukowskiego, który jednak w krótkim czasie został odwołany do Warszawy ze względu na niepewną sytuację w stolicy i pozostał tam aż do końca Powstania Warszawskiego. 1-go sierpnia 1944 roku wybuchło Powstanie Warszawskie.

Przed wybuchem Powstania Warszawskiego członkowie zespołu politycznego i część Dowództwa NSZ przeniosło się do Częstochowy i utworzyło tam Radę Polityczną i Dowództwo NSZ-Zachód. Gen. Bogucki został teraz nowomianowanym komendantem głównym NSZ. Powstała nowa koncepcja i został opracowany nowy plan operacyjny dla oddziałów leśnych NSZ, znajdujących się na terenach O.W.V. Według tego planu, na rozkaz komendanta głównego dowództwo Okręgu V ogłosiło mobilizację członków NSZ i wyznaczyło koncentrację całości na 8 sierpnia 1944 roku w miejscowości Lasocin. Z 204 pułku Ziemi Kieleckiej i ze zmobilizowanych żołnierzy została utworzona grupa operacyjna „zachód" pod nazwą Brygada Świętokrzyska, składająca się teraz z dwóch pułków 202 pp. i 204 pp.

1-go sierpnia 1944 zostałem mianowany dowódcą tego oddziału. Na odprawie w Kielcach we wrześniu 1944 roku, a następnie w miesiąc później, 29 listopada w miejscowości Lasocin, został mi podany plan operacyjny dla Brygady Świętokrzyskiej w razie ruszenia frontu wschodniego, o następującej treści:

1) Jak najszybciej wycofać grupę na zachód na Śląsk i tam rozwiązać, umieszczając żołnierzy na bezpiecznych melinach.

2) W razie gdyby się to nie udało, należy przejść do Jugosławii i dalej szukać połączenia z 2-gim Korpusem Polskim gen. Andersa.

Taki rozkaz był mi podany przez ówczesnego dowódcę NSZ-Zachód, gen, Boguckiego. Stan Brygady w tym okresie wynosił około 1200 żołnierzy.

13-go stycznia 1945 roku ruszyła ofensywa sowiecka znad Wisły. Rano tego dnia otrzymałem rozkaz od gen. Boguckiego: „Ofensywa sowiecka rozpoczęła się 13 stycznia 1945 roku. Brygada ma wykonać rozkaz wycofania się na Śląsk. Pomocy żadnej udzielić nie możemy. Należy liczyć tylko na własne siły".

Ogłosiłem alarm i rozpocząłem marsz na zachód według otrzymanego rozkazu. Od tego momentu jakakolwiek łączność z dowództwem przestała istnieć. Tempo ciągle zmieniających się warunków cofania się udaremniło wykonanie rozkazu marszu na Śląsk i rozwiązanie oddziału. Wszystkie plany dotyczące dalszego posuwania się Brygady były opracowane w ramach sztabu Brygady Świętokrzyskiej.

Ofensywa sowiecka w krótkim czsie wyparła armię niemiecką z terenów Polski. Środowisko polityczne „Szaniec" i dowództwo Narodowych Sił Zbrojnych oraz oddziały leśne NSZ, które nie zdążyły dołączyć do Brygady Świętokrzyskiej, zostały teraz pod okupacją sowiecką. Rozpoczął się okres prześladowań i niszczenia członków NSZ przez polską bezpiekę i rosyjskie NKWD. Komendant Główny NSZ gen. Bogucki wydał pozostałym oddziałom leśnym rozkaz rozwiązania i ukrycia się w głębokiej konspiracji. Był to ostatni plan i rozkaz środowiska „Szaniec" i dowództwa NSZ —1945 rok. Pomimo tego niektóre oddziały NSZ przez pewien czas dalej prowadziły beznadziejną walkę, ponosząc olbrzymie straty w ludziach.

Antoni SKARBEK
(płk. Bohun-Dąbrowski)

13 czerwca 1989

Bogdan GRZELOŃSKI (opr.)

EUROPA WSCHODNIA W KONCEPCJACH DEPARTAMENTU STANU W 1941 ROKU

Silne napięcia na tle narodowościowym istniejące w Związku Sowieckim i głosy tak wybitnych politologów jak np. Zbigniew Brzeziński, który na spotkaniu w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim 28.05.1989 r. namawiał do konfederacji polsko-czechosłowackiej, skłaniają do poważnych rozmyślań, jak ułożyć mapę polityczną Europy środkowo-wschodniej, by wszystkie zamieszkujące ją narody czuły się dobrze.

W związku z tym ciekawe wydaje się przypomnienie, jak niemal pięćdziesiąt lat temu myśleli o tym problemie wybitni eksperci w Departamencie Stanu. Drukowany tutaj materiał jest zapisem dyskusji, która odbyła się z polecenia prezydenta USA Franklina D. Roosevelta. Prezydent udawał się w sierpniu 1941 r. na spotkanie — często nazywane Konferencją Atlantycką — z Winstonem Churchillem i poza sprawami doraźnymi chciał podjąć dyskusję na temat zagadnień sięgających w przyszłość , w lata po wojnie. Myślał bowiem o tym, że w nowym układzie, który musi się wyłonić, Stany Zjednoczone będą odgrywały kluczową rolę. Dziś, z perspektywy lat, widać jasno, że porzucone idee o federacji państw, o innej Europie niż ta, którą wyłonił Teheran i Jałta, dają o sobie wyraźnie znać.

Materiał ten jest drukowany po raz pierwszy, a znajduje się w National Archives w Washingtonie D.C. pod sygnaturą 740.00/ 2148/10. Tłumaczył go na język polski i przypisami opatrzył Bogdan Grzeloński.

MEMORANDUM Z DYSKUSJI

1 sierpnia 1941 roku.

Temat: Spotkanie w gabinecie pana Berle[1] dotyczące problemów Europy Wschodniej.

Uczestnicy: Pan Dunn[2], doradca do spraw politycznych; pan Atherton[3], p. Henderson[4], p. Gallman[5] i p. Cannon[6], wszyscy z wydziału spraw europejskich; p. Berle, podzastępca sekretarza stanu.

Pierwszego sierpnia na prośbę pana Berle, spotkali się z nim panowie: Dunn, Atherton, Henderson, Gallman i Cannon, aby rozważyć sytuację w Europie Wschodniej w świetle ostatnich wydarzeń. Pan Berle otworzył dyskusję zwracając uwagę na różne raporty, które nadeszły w ostatnim okresie do Departamentu. Wskazywały one, że rząd brytyjski mógłby w każdej

1. Adolf A. Berle (1895-1971) był profesorem Columbia University i należał do tzw. „trustu mózgów" F.D.R; w departamencie stanu znalazł się od marca 1938 r. jako człowiek prezydenta na stanowisku zastępcy sekretarza (zajmował je do 19.12.1944).

2. James C. Dunn (1890-?), w departamencie od 1919 r., przeszedł wiele placówek: Madryt, Port au Prince, Bruksela, Londyn; uczestniczył w konferencji rozbrojeniowej w Genewie w 1932 r. i gospodarczej w Londynie w 1933 r. Szefował wydziałowi spraw europejskich w departamencie od 1935, od 1937 był doradcą sekretarza do spraw politycznych; pozycję tę zachował do 1944.

3. Ray Atherton (1892-1960), w dyplomacji od 1917; był w charakterze *chargé d'affaires* w Grecji, I sekretarzem i doradcą ambasady w Londynie, ambasadorem w Bułgarii 1937-1939; w 1941 urzędował jako szef wydziału europejskiego w departamencie.

4. Loy W. Henderson (1892-?), po pierwszej wojnie przedstawiciel amerykańskiego Czerwonego Krzyża w Europie, od 1923 w departamencie; był na placówkach w Rydze, Kownie, Tallinie i Moskwie w latach 1927-1938; następnie został asystentem szefa wydziału europejskiego. a później szefem tegoż wydziału; uważany za jednego z najwybitniejszych ówczesnych znawców Europy Wschodniej.

5. Waldemar J. Gallman (1899-?), od 1922 w departamencie, specjalista w zakresie spraw europejskich; 15.10.1948-8.7.1950 ambasador USA w Polsce.

6. Cavendish W. Cannon, od 1920 w departamencie, 1933-1939 przebywał w Bułgarii.

chwili poczynić kroki w sprawach dotyczących Europy Wschodniej, które skomplikowałyby lub nawet uniemożliwiły zawarcie ostatecznego porozumienia, jakie mogłoby mieć miejsce po zakończeniu działań wojennych. Jeden z tych raportów na który zwrócił uwagę pan Berle, wydawał się być szczególnie ważny. Wynikało z niego, że Brytyjczycy podsycają w Rosjanach przekonanie, iż po zakończeniu wojny zostanie utworzona federacja pansłowiańska w środkowej i południowo-wschodniej Europie, w której dominującą rolę pełnić będzie Rosja.

Po omówieniu wspomnianych raportów pan Berle zaproponował, aby rozważyć, czy dotychczasowe zobowiązania naszego rządu, związane z toczącą się wojną mają taki charakter i są tak daleko idące oraz czy jesteśmy w tak wielkim stopniu zainteresowani sprawiedliwym układem sił po wojnie, że uzasadnia to proponowanie przez nas naszemu rządowi podjęcie działań mających zapobiec powstaniu takich warunków, które uniemożliwiłyby rozsądne uregulowanie stosunków w Europie Wschodniej. W przypadku, gdybyśmy uznali, że należy podjąć pewne kroki w tej kwestii — kontynuował pan Berle — to trzeba zastanowić się jakie, naszym zdaniem, rozwiązanie w Europie Wschodniej rząd powinien popierać.

Wszyscy byli zgodni co do tego, że zarówno poczynione zobowiązania, jak i szeroko pojęty interes uzasadniają zalecenie podjęcia pewnych natychmiastowych działań. Następnie dyskusja skoncentrowała się na tym, jakiego rodzaju rozwiązania w Europie Wschodniej powinien nasz rząd popierać.

Zaproponowano utworzenie federacji w skład której wchodziłyby Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa i Polska, przy czym geograficzna i strategiczna pozycja Polski wzmocniona byłaby przez przyłączenie Prus Wschodnich oraz eliminację tzw. Korytarza. Sugerowano, że w takiej federacji Polska, ze względu na swą wielkość i stosunkowo dużą siłę, przyjęłaby prawdopodobnie rolę dominującą. Kiedy zaś kwestionowano zdolność Polaków do przewodzenia takiej grupie, wskazano, że przy wypracowywaniu planów tego rodzaju trzeba operować tym co się ma. Jeden z obecnych, odnoszący się życzliwie do idei federacji, wyraził obawę, że jeśli nie zostanie ona rozciągnięta na pewną część Niemiec z jednej strony, a Rosji z drugiej, to szybko przestanie istnieć. Dyskutant ten sądził również, że federacja mogłaby rozciągać się na południe, obejmując niezależną lub autonomiczną Ukrainę oraz stwierdził, że jeśli nie będzie mechanizmów zapobiegających górowaniu jednego państwa nad innymi, to plan upadnie. Komentarz do tej wypowiedzi był następujący: federacja z założenia powinna być tak zorganizowana, aby wszyscy członkowie mieli jednakowy status. Następnie stwierdzono, że

propozycja federacji sama się narzuca ponieważ zakłada, iż państwa wschodnioeuropejskie, które stały się ofiarami agresji, zostaną odbudowane w dawnym kształcie terytorialnym. Propozycja tego rodzaju jest zgodna z naszymi obietnicami poczynionymi w stosunku do zainteresowanych krajów[7]. Po zwróceniu uwagi na występowanie silnych nacjonalizmów w tych państwach, wyrażono pogląd, że aby takie ugrupowanie mogło pomyślnie się rozwijać pod względem społeczno-gospodarczym, to przy powiązaniach ekonomicznych powinno znaleźć się miejsce na swobodne wyrażanie uczuć nacjonalistycznych. Zatem pożądane byłoby nałożenie pewnych ograniczeń na wszystkich członków federacji już w okresie jej tworzenia. W tym kontekście przypomniano tworzenie niepodległych państw po upadku monarchii austro-węgierskiej i wskazano, że państwa te otrzymały tak wiele, iż można było i należało nałożyć pewne restrykcje dla dobra całej Europy. Po tej przydługiej dyskusji ogólnej dotyczącej celowości utworzenia jakiejś formy federacji w Europie Wschodniej postanowiono wystosować do Sekretarza memorandum z następującymi propozycjami:

1) należy wystosować notę do rządu brytyjskiego sugerującą, aby przed ustaleniem działań wojennych nie czynić żadnych ustaleń politycznych, terytorialnych czy też dotyczących granic, które skomplikowałyby rozstrzygnięcia powojenne;

2) Departament powinien podjąć niezwłoczne studia mające na celu wypracowanie programu, który nasz rząd przedstawi jako możliwe rozwiązanie problemów powojennych;

3) aktywnie popieramy propozycję niesienia ulgi w cierpieniu ludziom bezpośrednio lub pośrednio dotkniętym przez wojnę; szczególnie apel Polaków, aby wysłać misję amerykańskiego Czerwonego Krzyża, która zajęłaby się Polakami przebywającymi na terytorium Związku Sowieckiego.

Bogdan GRZELOŃSKI (opr.)

---

7. Obietnice takie składał Roosevelt m.in. Sikorskiemu w czasie jego pierwszej wizyty w USA w kwietniu 1941 r.

LIST LEONA SCHILLERA DO MIN. SZTUKI I KULTURY

Leon SCHILLER
Kier. Teatru Ludowego im. Wojciecha Bogusławskiego
P./40/0.S/YMCA
B.L.A
Lingen — Ems 17.IX.45

Do
Ministerstwa Sztuki i Kultury
w Warszawie

Wielce Szanowni Obywatele!

W maju br., wkrótce po uwolnieniu oflagu w Murnau, usiłowałem osiągnąć kontakt z Rządem Polskim, by oświadczyć gotowość natychmiastowego powrotu do kraju i służenia swą pracą na polu krzewienia kultury teatralnej w masach. Wysłałem trzy listy drogą prywatną do osób, o których z radia (zresztą dzielnie uniedostępnianego nam przez władze obozowe) wiadomym było, że są w W-wie, mianowicie do obyw. Drobnera, Rzymowskiego i Iwaszkiewicza. W listach tych opisałem trudne (eufemizm!) położenie mnóstwa pracowników umysłowych, a nawet zawodowych oficerów, nie uznających zabójczej polityki londyńskiej i generalskiego zawadiactwa. Sądziłem, że ludzi tych, przeważnie naukowców, działaczy oświatowych, publicystów i artystów, należy czym prędzej ocalić, zanim zostaną rozrzuceni po różnych ośrodkach emigracji i oddaleni od kraju na nie wiadomo jak długo.

Nie wiem, czy listy te doszły.

Gdy położenie stawało się coraz nieznośniejsze, gdy o żadnej sensownej pracy nie mogło już być mowy, gdy skasowano wszystkie warsztaty pedagogiczne i artystyczne — postanowiłem skorzystać z propozycji, uczynionej mi przez tutejszą YMCA, która dała mi możność utworzenia tu pierwszego *teatru ludowego* i *pierwszego teatru zawodowego*, niezależnego od dyrektyw wojskowych i sfer politycznych.

O idei teatru mówi nieśmiało załączony program, o wartości pracy naszej już osiągnięte wyniki: oddźwięk entuzjastyczny dziesiątek tysięcy widzów, którzy może nigdy teatru nie widzieli, odbiorcami kultury polskiej być nie mogli — a nakłaniani są przez pewne czynniki do wymazania z pamięci kraju, swych wobec niego zadań i wszystkiego, co siłę jego stanowić może. Widownia nasza to w przytłaczającej liczbie proletariat wiejski i miejski oraz doły drobnomieszczańskie, niekiedy warstwy nie posiadające żadnej postaci klasowej lub które ją w obecnych warunkach zatraciły. Tym

ostatnim nie dajemy tego oczywiście odczuć, przeciwnie, przemawiamy do nich jak do ludu świadomego swych zadań i roli dziejowej — i w ten sposób zaskarbiamy sobie ich sympatię.

Gorszym nieco odbiorcą jest wojsko — nie to, które rekrutuje się ze stalagów i oflagów, nie z 39 r. i nie AK, lecz z armii utrzymywanej przez Anglików — pozostałe przy życiu, wypasione, rozpróżniaczone, przywykłe do wyższego standardu życia, marzące o jakichś nigdy niekończących się hibernach, odwracające się tyłem do Polski, o którą się przecież niedawno biło, bałamucone wizją jakiejś Polski nierealnej, puste szmelcem „pogodnych" filmów angielskich i amerykańskich oraz arcygłupimi błazeństwami brytyjskiej ENSA, pod której firmą działa również polska czołówka lotnicza z Olszą na czele, kolportująca taniochę kabaretową, najstarszego i najgorszego gatunku — i żałosną orientację wychodźstwa *ad infinitum*.

Ale i ci widzowie po kilku scenach widowiska na wskroś ludowego pt. „Gody weselne" tracą swój fason brytyjski, nie palą, nie objawiają swego zadowolenia za pomocą gwizdu — tylko po prostu cieszą się lub z rozrzewnienia pociągają nosem. Taka snać silna jest wymowa tej chłopskiej poezji, muzyki i tańca, chłopskiego obyczaju i zdrowej moralności. Powagi i właściwego sensu temu widowisku dodaje zaklęta w nim swojskość i dawność, oczyszczona starannie z wszelkich akcentów pańszczyźnianych.

Nie możemy się skarżyć na stosunek do nas wyższych i najwyższych wojskowych. Okazują nam sporo życzliwości — co najmniej... kurtuazji. Szarpią nas tylko od czasu do czasu małe płotki, agenci znanego oddziału, którzy gorliwie wzbogacają kartoteki swymi obserwacjami i wszelkiego rodzaju ploteczkami, a za pomocą kąśliwych uwag na łamach prasy wojskowej usiłują źle usposobić przeciw nam widownię.

Już sama wiadomość o tym, że poważna część zespołu od pierwszych chwil swego istnienia (tzn. od czerwcowego Zjazdu, który zjednoczył wszystkich niemal aktorów ZASP-owych, rozrzuconych po oflagach, obozach pracy przymusowej i eks-„koncentrakach", a nie splamionych pracą w teatrach propagandy niemieckiej) opowiedziała się zdecydowanie za powrotem do kraju, dała asumpt tym pismakom do krytyki naszych przemówień przed spektaklami (niebezpieczne szerzenia haseł demokratycznych) i do zarzutu fałszowania ducha pieśni ludowej dlatego, że z dawnych jaśniepańskich dożynek zrobiłem jakąś demonstrację gromadzką, w której chłopi zamiast „Niesiemy wian koło pańskich ścian" śpiewają „koło chłopskich ścian", zamiast „prowadzimy plon w jegomości dom" — „w ten gromadzki dom", zamiast „przede dworem grusze, śliwki — nasz pan dziedzic lubią dziewki" chór w przyśpiewkach nuci:

Przede dworem jarzębiny
Hej, dumniśwa z naszej gminy!...
Przede dworem ludu siła,

Ziemia nasza, jakżeś miła!
Złocą się, hej, snopy złocą,
Jedność, Wolność naszą mocą!

W słowach tych zwęszono wezwanie do kolektywizacji gospodarstw wiejskich. A już największa i najordynarniejsza burza zawrzała po napisaniu przeze mnie artykułu poświęconego pamięci Stefana Jaracza, w którym to artykule mówiłem o chłopskiej krwi wielkiego artysty, o jego *intransigeance* artystycznej i złożyłem hołd pierwszemu u nas aktorowi prawdziwie ludowemu. Do gorączki doprowadziły pismaka takie zwroty: „odszedłeś w chwili, na którą długo czekałeś, kiedy Ojczyzna wyzwala się z duchowej i materialnej niewoli, a scena polska pragnie być tej Nowej Wolności trybuną".

Na szczęście wszystkie te ataki zaszczyt nam tylko przynoszą, a jeśli chodzi o widownię, wywierają skutek przeciwny — lub trafiają w próżnię.

Działalność nasza, z powodu trudności transportowych i różnorodnych formalności, ogranicza się na razie do terenów okupowanych przez armię brytyjską. Pracujemy obecnie w obszarze Brema-Osnabrück — pogranicze Holandii. Wyjeżdżamy wkrótce w rejon lubecko-hamburski na parę tygodni. Tam obsłużyć musimy 100 tysięcy ludności cywilnej i 20 tys. wojska. Codziennie gramy i codziennie odbywamy próby z nowych widowisk. Co krok w podróży natrafiamy na nowe, nieznane, nigdzie zdaje się nie zarejestrowane skupienia ludności polskiej, do której żaden teatr ani koncerty jeszcze nie dotarły.

Wielki nacisk kładziemy na wychowawczo-społeczne zadania mający na celu kukiełkowy teatr dziecięcy, zorganizowany przez nauczycieli ludowych, doświadczonych działaczy na tym polu, oflagowych uczniów moich, których naturalnie wprowadziłem do zespołu artystycznego.

Nowością organizacyjną jest fakt, że zgodnie z dawnymi dążeniami naszego Związku i postanowieniami powziętymi w czasie konspiracji, znieśliśmy przedział między pracownikami artystycznymi a technicznymi teatru, czyniąc tych ostatnich równouprawnionymi członkami.

Poza tym trzeba zaznaczyć, że artystyczni pracownicy nasi pomagają technicznym w ich robocie i niemal wszyscy obarczani są jakimiś funkcjami organizacyjno-gospodarczymi.

Biorąc to wszystko pod uwagę, ośmielam się zapytać, czy nie byłoby rzeczą słuszną, byśmy współpracę tę kontynuowali w kraju?

O ile mi wiadomo, odbyły się już pewne rozmowy między delegatami polskiej YMCA a przedstawicielami Rządu naszego czy społeczeństwa w sprawie pracy humanitarnej na terenie kraju. Może dałoby się w program tej działalności włączyć bodaj na czas pewien nasz teatr, już artystycznie zmontowany — co obecnie bardzo

ważne — należycie pod względem technicznym wyposażony. Teatr ten, po zatwierdzeniu programu i uzupełnieniu zespołu (przeważnie komparserii) mógłby stać się zawiązkiem na szerszą skalę pomyślanego artyst. TEATRU LUDU, stałego i objazdowego, zawodowego i ochotniczego, którego to teatru plan opracowałem i przedstawiłem naszej konspiracyjnej Radzie Teatralnej.

Tej ponad wszelką wątpliwość najpotrzebniejszej pracy oświatowej i społeczno-wychowawczej, umasowieniu teatru i budowaniu teatru od dołu, zgodnie z wielekroć głoszonymi przekonaniami moimi, pragnę poświęcić wszystkie swoje siły. Dlatego rezygnuję z góry z pracy na terenie scen, które nieprędko zetrą z siebie piętno instytucji merkantylnych i burżuazyjno-elitarnych — a proszę najusilniej o wykorzystanie mnie w najczarniejszej, bezimiennej robocie „oddolnej" na odcinku teatru dla mas.

Przed kilku zaledwie dniami otrzymałem z obozu w Murnau wiadomość (przesłaną tam zdaje się dawno przez ob. Bohdana Urbanowicza, który z ramienia Polski pracuje przy rewindykacji naszych dzieł sztuki w Austrii), że „Min. Kultury i Sztuki wzywa do powrotu Leona Schillera, jako dyrektora PIST". Nie wiem, o ile wiadomość ta jest ścisła, jeśli chodzi o objęcie dyrekcji; nie reflektuję na to stanowisko, natomiast oddaję się całkowicie do dyspozycji w pracach zmierzających do zreorganizowania i przystosowania do nowych potrzeb zarówno studiów aktorskich, jak reżyserskich, dramaturgiczno-teatrologicznych, scenograficznych i operowych, kursów dla instruktorów wszelkiego typu teatrów ochotniczych i dla pracowników technicznych teatru. Programy takich studiów oraz najpotrzebniejszych wydawnictw opracowałem dla Rady Teatralnej w okresie konspiracji.

I teraz rzecz najważniejsza: jeśli skromne siły moje choć cokolwiek przyczynić się mogą do budowy Nowego Teatru w Polsce, powinienem jak najprędzej w niej się znaleźć. To jednak nie ode mnie zależy. Ja i grupa związanych ze mną artystycznych i technicznych pracowników teatru czekamy niecierpliwie na chwilę powrotu. Dotychczas głucho tu o niej. Nie czekamy bezczynnie. Przygotowujemy poważny objazd ośrodków robotniczych w Belgii i „reprezentacyjne" przedstawienia w Brukseli, którymi może uda się nam naprawić nieco mniemania o Polsce. (W sprawie tej udaję się 23 bm. do Brukseli). Po powrocie zamierzamy, mniej więcej w okolicy grudnia, zakończyć tu naszą robotę.

W związku z tym, w imieniu wszystkich kolegów aktorów i techników, zapytuję najuprzejmiej, czy możemy liczyć na pomoc i opiekę Rządu Polskiego w chwili wyjazdu, podczas podróży i po powrocie do kraju?

Pragnęlibyśmy wyjechać stąd jako grupa zorganizowana i w tym charakterze znaleźć się w Warszawie, w Łodzi lub gdzie będziemy potrzebni. Zaznaczam, że większość nas wraca do niczego i z niczym, co również, o ile to możliwe, przynajmniej w okresie

początkowym, prosilibyśmy łaskawie wziąć pod uwagę. Będąc w Brukseli będę się komunikować z jedynymi osobami i ośrodkami, do których mogę mieć dostęp, a z racji ich orientacji — zaufanie, tj. z ob. M. Bartzem, redakcją *Nowej Kroniki* i tow. „Les Amis de la Pologne Nouvelle".

Tą drogą wysyłam niniejsze wiadomości i uprzejmie proszę o ewentualną odpowiedź pod adresami:

1. LES AMIS DE LA POLOGNE NOUVELLE
   130 Avenue du Pesage
   IXELLES
   BRUXELLES

lub

2. Red. T. SARNECKI
   81, rue de Livourne
   IXELLES
   BRUXELLES

Z wyrazami najgłębszego szacunku, z demokratycznym pozdrowieniem

Leon SCHILLER

P.S. Proszę bardzo o wybaczenie mi zbyt poufałej formy tego listu, jego rozwlekłości i kilku dygresji. Jest to moja pierwsza oficjalna styczność z krajem.

Dopiero jutro otrzymam maszynę do pisania, dlatego proszę wybaczyć tę nieczytelną pewnie pisaninę, do czego przyczynia się jeszcze drżenie ręki, nabyte w Oświęcimiu.

Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby przesłane tu wiadomości o naszej pracy zakomunikowane zostały ZASP, którego prezesem, o ile mi wiadomo, jest ob. Damięcki.

W załączonym programie, w liście Zespołu podkreślono nazwiska „powracających". O ile wiem, liczba ich wzrośnie.

Jan PŁAWSKI

DO SYTA

W jednym z prywatnych warszawskich archiwów natrafiłem na dokument pochodzący z Instytutu Gospodarstwa Narodowego, opatrzony datą 8 lutego 1946 roku. Myślę, że wszelki komentarz jest tu zbyteczny, skoro dołączono do tego wykazu następującą notatkę: „Obok motywów gospodarczych i społecznych — przy ustalaniu rzeczywistej wielkości przydziałów dominujące znaczenie miewa niekiedy dany układ sił istniejący w społeczeństwie. W takich wypadkach decyduje czynnik podmiotowy i pewne warstwy czy zespoły społeczne uzyskują odwieczny przywilej — jedzenia do syta".

NORMY PRZYDZIAŁÓW PRZYSŁUGUJĄCE NIEKTÓRYM GRUPOM OSÓB PRACUJĄCYCH

Otrzymujący przydziały	*Ilość kalorii dziennie*
Pracownicy III kategorii	699
Pracownicy II kategorii	1542
Pracownicy I kategorii	1771
Pracownicy I kategorii w Warszawie	1987
Ciężko pracujący pracownicy I kategorii w Warszawie	2869
Górnicy pod ziemią poza węglem	3688
Górnicy węglowi nad ziemią	4373
Górnicy węglowi pod ziemią	5442
Urzędnicy ministerstw na pełnym utrzymaniu	4174
Pracownicy nauki w Warszawie	5270
Dyplomaci	5666
Członkowie Rządu	8369
Żołnierze UB w Warszawie	6534
Oficerowie UB w Warszawie	7046
Starsi oficerowie UB w Warszawie	7546
Generałowie UB w Warszawie	8145

Podał do druku *Jan PŁAWSKI*

Larysa ZAJĄCZKOWSKA-MITZNEROWA

PERTRAKTACJE Z ŻUŁAWSKIM

W listopadzie 1945 roku obarczona zostałam szczególną misją. Jako zastępca redaktora naczelnego *Robotnika* miałam zwrócić się do nestora PPS, Zygmunta Żuławskiego, z prośbą o odpowiedź na kilka drażliwych pytań. Sformułował je osobiście Szwalbe. W tym czasie trwały pertraktacje między władzami a Żuławskim, który wystąpił z projektem utworzenia nowej partii — PPSD. Niewykluczone, że ankieta ta była próbą sondażu nastrojów lub wydobycia od Żuławskiego swego rodzaju deklaracji lojalności.

W odpowiedzi otrzymałam od niego następujący list, oczywiście przeznaczony do druku w *Robotniku*:

„Postawiliście mi, Towarzyszko, trzy pytania: jak oceniam WRN, co myślę o Rządzie Jedności Narodowej i jak odnoszę się do kwestii porozumienia między PPS a PPR.

Postaram się odpowiedzieć na nie jak najbardziej szczerze.

Do WRN nie należałem nigdy i ukonstytuowanie się go uważam za wielki błąd i dla polityki polskiej, i dla socjalizmu. Nie mogłem się nigdy pogodzić z jego romantyzmem, gdyż mimo że — przyznaję — mógł on być nieraz piękny i bohaterski, nigdy nie potrafił dość krytycznie ocenić następstw swoich własnych kroków. Toteż, tak jak zwalczałem swojego czasu romantyczną politykę Piłsudskiego, który roił pięknie, że przy pomocy rewolwerów Bojowców, a potem garstki Legionistów zdoła wyzwolić kraj z niewoli carskiej, a praktycznie stworzył potem rządy sołdateski i współpracę z hitlerowską Rzeszą — tak samo nie mogłem się pogodzić z powstańczymi pomysłami WRN i z jego politycznymi marzeniami, które w praktyce nie mogły dać narodowi polskiemu wolności.

Zasadniczym błędem WRN było to, że z tych czy innych względów odrzucał stale kwestię rewizji granic ryskich, które przecinały żywe narody Ukraińców i Białorusinów, chociaż nie odpowiadało to ani rozsiedleniu narodu polskiego, ani historycznemu rozwojowi Rzeczypospolitej. W ich obronie rozpętała się też niepotrzebna i szkodliwa walka z Sowietami, które w naszym położeniu geograficznym i strategicznym jedyne mogły nas wyzwolić z niewoli niemieckiej.

Romantyzm może być dobry i piękny w literaturze, ale jest straszny w polityce.

Toteż jestem szczęśliwy, gdy widzę jak coraz więcej towarzyszy i nie-towarzyszy trzeźwieje, jak coraz więcej z nich przyłącza się do moich poglądów i jak coraz bardziej rośnie liczba tych, którzy czynami dokumentują dziś, że to, w co dawniej wierzyli, było tylko złudą. Jestem dumny, że ja sam nie uległem jej ani na chwilę, ale też uważam, że byłoby nowym wielkim błędem, gdyby ktoś odsądzał od czci i wiary tych, którzy w najlepszej woli błądzili, ponosząc nieraz najcięższe ofiary wolności i życia.

Żądanie, aby ci ludzie zdali rachunek ze swej dawnej pracy, aby publicznie ustosunkowali się do swych błędów i kajali się za nie, byłoby nie aktem politycznym rozumu, lecz częścią jątrzenia i szukania zemsty.

Trzeba umieć szczerze zapomnieć o błędach, które popełniali zresztą wszyscy — bez wyjątku — tym bardziej, że przekreśliliśmy je przez utworzenie wspólnego Rządu Jedności Narodowej.

Stworzenie jednego rządu W Polsce, który by uznali wszyscy sojusznicy, było dla mnie od samego początku jak najbardziej upragnionym dążeniem. Toteż uchwały jałtańskie powitałem z prawdziwą ulgą i gdy powołano mnie na konsultację do Moskwy, szedłem konsekwentnie w kierunku urzeczywistnienia ich, nie oglądając się na szczegóły, które nieraz raziły mnie silnie.

Rozumiem, że tam, gdzie nie można było ustalić prawdziwej woli narodu, konieczne było oprzeć rząd o koalicję stronnictw, które by razem bezsprzecznie reprezentowały większość społeczeństwa.

Tylko cały naród bowiem — względnie jego większość — ma prawo decydować o państwie i o jego rządzie, a wszelkie rządy mniejszości — bez względu na to, jak by je kto uzasadniał — będą zawsze tylko rządami elitarnymi, które jutro muszą stworzyć nową niewolę, nowe panowanie przemocy fizycznej i nową sołdateskę.

Trzeba mieć trochę zaufania do rozumu własnego narodu i dać mu możność przejawiania jego własnej woli przez powszechne, swobodne wybory. Projekt, jaki wysunęły ostatnio wspólnie PPS i PPR, aby stworzyć blok wyborczy wszystkich uznanych sześciu stronnictw, nie był też sprzeczny z tą zasadą, lecz odraczał jej zrealizowanie i zważenie ciężaru gatunkowego każdego z nich, jego siły i wpływów, do dogodniejszej pory — co jednak wcześniej czy później trzeba ustalić koniecznie na wadze wyborczej.

Każde z tych stronnictw bowiem uważa swój program za najbardziej słuszny i wierzy, że jeśli nie dziś, to jutro stanie się on wyrazem opinii większości. W demokracji nie wystarcza jednak jeszcze własne przekonanie o słuszności.

PPS i PPR pojmują ją też różnie — i stąd istnieją między nimi różnice dążeń i ideałów, bo inaczej w klasie robotniczej istniałaby tylko jedna organizacja. Jeśli są dwie, to nie dlatego, by mieć osobne zarządy, osobnych prezesów i osobne lokale, lecz dlatego, że każda z nich ma swoje odrębne wytknięte kierunki.

Tylko trzeba sobie zdać sprawę również z tego, co je łączy, a co dzieli. Razem trzeba iść w kierunku tego, co jest wspólne i pozostawić sobie nawzajem swobodę szerzenia odrębnych poglądów i budowania swoich własnych wpływów. Byłem bodaj w niepodległej Polsce jednym z tych nielicznych, którzy tę zasadę przeprowadzali w życiu — i uważam to za swoją zasługę, że przekonywałem robotników w związkach zawodowych, że bez względu na dzielące ich różnice winni się łączyć przeciwko wspólnemu wrogowi i we wspólnych szeregach walczyć i strzelać do niego zgodnie w wytkniętym kierunku, chociażby poszczególni żołnierze nieraz boczyli się na siebie.

Niestety wiem z doświadczenia, że zasadę tę niełatwo przeprowadzić w życiu, gdyż zazwyczaj im mniejsze różnice, tym większe zaciętości: katolicy mogą spokojnie mówić z muzułmanami, ale pokłócą się od razu ze starokatolikami, chociaż jedni i drudzy uznają tę samą chrystusową zasadę miłości i przebaczenia.

Współpracę PPS i PPR uważam za naturalną, gdyż obie walczą przeciwko wyzyskowi kapitału, obie dążą do równości praw człowieka i obie chcą wprowadzić na świecie ustrój, oparty o sprawiedliwość społeczną. Uważam jednak, że tę zgodną współpracę obu partii można osiągnąć wówczas tylko, gdy każda z nich zdobędzie wpływ, odpowiadający jej istotnym siłom. Nie można obciążać w tej współpracy ani PPS, ani PPR ciężarem większym, niż każda z nich może faktycznie unieść. W przeciwnym razie mimo pięknych słów wynikną od razu wzajemne żale i rekryminacje.

Zygmunt ŻUŁAWSKI"

Puściłam ten list obiegiem. Cyrankiewicz, jako pierwszy czytelnik, opatrzył go notatką: „Do decyzji Komisji Politycznej — tow. Szwalbe, tow. Osóbka. Mam zastrzeżenia". Szwalbe dopisał: „Nie ogłaszałbym", a Osóbka „Ja też nie".

W tym czasie Żuławski już oficjalnie otrzymał odmowę zarejestrowania PPSD, ale Szwalbe w bardzo grzecznej formie poinformował go prywatnie, że wszyscy dawni członkowie PPS i PPS WRN mogą wstępować do odrodzonej partii, gdzie spotkają się z życzliwym przyjęciem.

Nie chcąc schodzić do podziemia, Żuławski zgodził się więc na ustępstwa i sformułował nowe oświadczenie, bardziej jednoznacznie popierające politykę rządu i wzywające do wstępowania w szeregi krajowej PPS. Tekst ten wydrukowaliśmy w *Robotniku* w numerze 360 z 23 XII 1945 roku.

Larysa ZAJĄCZKOWSKA-MITZNEROWA

Fragment tomu wspomnień *„Bez żalu wejdę tam..."*

Tomasz MIANOWICZ

KILKA UWAG W ZWIĄZKU Z KATYNIEM

Tak się złożyło, że z przyczyn od siebie niezależnych dopiero niedawno miałem okazję przeczytać marcowy numer *Kultury*, a w nim artykuł Stanisława Swianiewicza „Wznowienie sprawy Katynia". Pozwalam sobie na kilka uzupełnień, licząc na to, że zechce Pan zamieścić mój list.

Przejawem ożywienia sprawy Katynia jest nie tylko książka Romualda Świątka, którą omawia Swianiewicz. Problem Katynia reanimowano również na falach i — jeśli można tak to ująć — w ramach *głasnosti*, zarówno PRL-owskiej jak i sowieckiej: poczynając od nadziei polskich zwolenników Gorbaczowa na to, że szef KPZS w czasie wizyty w Warszawie ogłosi *ex officio* winę Stalina za mord, poprzez publikacje w prasie PRL i ogłoszenie tamże w oficjalnym wydawnictwie Listy Katyńskiej, a na niedawnym artykule w *Moskiewskich Nowostiach* kończąc (tę ostatnią publikację omówiła Natalia Gorbaniewska w *Russkoj Mysli*[1]). Jednak nie tylko zwolennicy i

1. „Półprawda o Katyniu". *Russkaja Mysl* (1989), nr 3777.

animatorzy *pieriestrojki* zajmują się sprawą Katynia: szczególnie ważna jest publikacja w 38-mym nrze *Orientacji na prawo* (luty 1989), w konkretny sposób rozwiązuje ona bowiem zadanie, które Stanisław Swianiewicz chce postawić gorbaczowowskiej komisji do ustalenia nazwisk ludzi odpowiedzialnych za mord katyński. Co więcej, wspomniany tekst pokazuje, że w wypadku Katynia „zadanie" wykonało NKWD przy współpracy armii sowieckiej. *Orientacja na prawo* publikuje polskie tłumaczenie tajnego raportu NKWD, dotyczącego likwidacji obozów polskich jeńców wojennych w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. Tekst przytaczam w całości:

Godło państwowe — Kopia

TAJNE

Związek Socjalistycznych
Republik Radzieckich

Ludowy Komisariat Spraw
Wewnętrznych (NKWD)

Główny Zarząd NKWD
m. Moskwa

Zarząd NKWD
Miński Obwód
Wydział Operacyjny
10 czerwca 1940

RAPORT

Zgodnie z rozporządzeniem Głównego Zarządu NKWD z dnia 12-go lutego 1940 r. przeprowadzona została likwidacja trzech obozów polskich jeńców wojennych w rejonach m. Kozielsk, Ostaszków i Starobielsk. Operacje likwidacji wyżej wymienionych obozów były zakończone 6-go czerwca br. Odpowiedzialnym szefem wyznaczony był, delegowany przez centrum, tow. Burianow.

Na podstawie tego rozkazu w pierwszej kolejności był zlikwidowany w okresie od 1-go marca do 3-go maja tego roku w rejonie m. Smoleńsk obóz Kozielsk przez władze Mińskiego Zarządu NKWD. Jako oddziały osłaniające były użyte częściowo wojska terenowe, w szczególności 190-ty pułk strzelecki..., a na terenie wskazanego rejonu przeprowadzona przez władze Smoleńskiego Zarządu NKWD, w rejonie miasta Bołogoje, pod ochroną oddziałów 129-go pułku strzeleckiego (Wielkie Łuki) i zakończona 5-go czerwca br.

Przeprowadzenie trzeciej akcji likwidacji obozu Starobielskiego polecono charkowskiemu Zarządowi NKWD, zadanie to zostało wykonane w rejonie miasteczka Dorgaczi (zapewne błąd w transkrypcji; chodzi o miejscowość Diergaczi, nazwa polska Dergacze —

przyp. mój — tm) i zakończone 2-go czerwca, wykorzystując jako ochronę oddziały 68-go ukraińskiego pułku strzeleckiego wojsk terenowych. W tym przypadku odpowiedzialność za wykonanie tej operacji spoczywała na pułkowniku NKWD tow. Kuczkowie.

Kopię tego raportu kieruje się do wiadomości również generałom NKWD Rajchmanowi i Zarubinowi.

od ręki
z oryginału wiernie
pieczątka

Kierownik Zarządu NKWD
Mińskiego obwodu
/-/ Tartakow
Sekretarz Wydziału

Raport, wydrukowany przez *Orientację na prawo*, jest dokumentem znanym, choć z niezrozumiałych powodów nie docenionym jako materiał źródłowy. Tekst powyższy jest polskim tłumaczeniem raportu, ogłoszonego pierwotnie 7 lipca 1957 r. przez zachodnioniemieckie czasopismo *7 Tage*. Wszystko wskazuje na to, że dokument ów jest autentyczny, choć w 1957 r. nie zwrócono nań większej uwagi[2]. Tym większe znaczenie ma jego obecna — pierwsza w języku polskim — publikacja.

Warto zauważyć, że wymienione w tekście nazwiska Burianow i Kuczkow uzupełniają listę funkcjonariuszy NKWD, osobiście odpowiedzialnych za mordy na polskich oficerach, popełnione w 1940 r. Listę taką, aczkolwiek — jak podkreśla wydawca — niepełną, zamieszczono w rosyjskim wydaniu pracy Leopolda Jeżewskiego „Katyń 1940"[3].

Z uwagi na zakończenie artykułu Swianiewicza istotnego znaczenia nabiera nieznany dotychczas fakt, że generał NKWD Rajchman żyje[4]. Problem winy nie ogranicza się bowiem do wymiaru historycznego, zaś argument, że „karanie staruszków nie ma sensu" jest mało przekonujący. Sprawa ma przede wszystkim charakter polityczny, a także prawny i moralny. Z uwagi na atmosferę polityczną we współczesnym świecie istnieje wyraźna asymetria nie tylko w karaniu, lecz również w moralnym potępieniu zbrodni hitlerowskich z jednej a komunistycznych z drugiej strony.

Zbrodnie ludobójstwa nie ulegają przedawnieniu. Dobrze więc świadczy o praworządności zachodnioniemieckiej fakt, że osoby winne udziału w zbrodniach hitlerowskich nadal pociąga się w RFN do odpowiedzialności karnej. Natomiast jawnym wypaczeniem praworządności w celach politycznych jest sowiecka praktyka inicjowania na Zachodzie procesów przeciwko osobom podejrzanym o

2. Por. L. Jeżewskij: *Katyn' 1940.* (wyd. rosyjskie) Teleks (b.m.), 1983, s. 49.
3. *Tamże*, s. 64.
4. Informacja Natalii Gorbaniewskiej.

udział w zbrodniach wojennych; KGB dostarcza przy tym dowody winy, których autentyczność w wielu wypadkach budzić może poważne wątpliwości (proces Demianiuka jest najbardziej znanym, ale nie jedynym przypadkiem). Uzasadniony prawnie i moralnie jest zarazem postulat Natalii Gorbaniewskiej, aby funkcjonariuszy NKWD, winnych zbrodni katyńskiej, traktować tak samo jak przestępców hitlerowskich[5].

Uwarunkowana politycznie asymetria prawna i moralna prowadzi niekiedy do zaskakujących rezultatów. Oto w RFN — państwie praworządnym, choć politycznie i intelektualnie sparaliżowanym — sowiecki marksista Lew Kopielew, który jako aktywista partyjny uczestniczył w organizowaniu głodu na Ukrainie w latach 30-tych, staje się czołowym autorytetem w dziedzinie praw człowieka i otrzymuje nagrodę pokoju, ufundowaną przez księgarzy zachodnioniemieckich (z licznych listów protestacyjnych, kierowanych do prasy RFN po wręczeniu tej nagrody w 1981 r., nie ukazał się drukiem ani jeden). Obecnie Kopielew jest orędownikiem współpracy ZSSR-RFN, wyrażając nadzieję, że można powrócić do wzorca stosunków niemiecko-sowieckich z lat 20-tych.

Wróćmy jednak do Katynia. Otóż komisja, która wyjaśnić ma m.in. problem Katynia, już istnieje, właśnie za sprawą Gorbaczowa, a także Jaruzelskiego — odpowiednią umowę podpisano w 1987 r. w Moskwie. Historyczne „białe plamy" zapełnić ma mieszana polsko-sowiecka komisja. Szefem delegacji PRL mianowano Jaremę Maciszewskiego, którego o rzetelność naukową trudno posądzić. Pierwszy sprawdzian jakości komisji nie dał na siebie długo czekać — była nim sprawa odkrytych w lipcu 1987 r. w Gibach grobów. Spoczywają w nich — według wszelkiego prawdopodobieństwa — ofiary NKWD[6]. Władze PRL wystąpiły najpierw z oświadczeniem, że Giby to kolejny przypadek zbrodni hitlerowskich, a gdy w obliczu oczywistych faktów wersji tej nie udało się utrzymać, zastąpiono ją nową, równie niewiarygodną: w Gibach pochowano żołnierzy niemieckich, którzy zmarli w miejscowym lazarecie (sprawę Gib starałem się naświetlić w innym miejscu[7], nie chcę się zatem powtarzać).

Przypadek Gib pokazuje, że w ramach *głasnosti* władze PRL przyjęły w dziedzinie stosunków polsko-sowieckich następującą zasadę: można mówić o tym, o czym wszyscy wiedzą (np. Katyń), wobec nowo odkrytych zbrodni sowieckich na Polakach obowiązuje urzędowe kłamstwo.

Nie wiem, które aspekty stosunków polsko-sowieckich zostaną w epoce *głasnosti* i *pieriestrojki* przedstawione zgodnie z prawdą.

---

5. Por. N. Gorbanevskaïa: „Dire la verité sur le crime de Katyn". *Continent* (1989) nr 1. s. 60.

6. Por. F. Jankowski: „Jeszcze Katyń?" *Kultura* (1987) nr 11, s. 65-69.

7. „Katyn und Deutschland". *Studien zu Nationalitätenfragen* (1987) nr 3, s. 145-150.

Nie wykluczam, że będzie to i sprawa Katynia, zwłaszcza że niektórzy sowieccy historycy w publicznych wystąpieniach na Zachodzie podawali wersję prawdziwą. Może zostanie ona ogłoszona oficjalnie lub pół-oficjalnie w ZSSR, choć wspomniany artykuł w *Moskowskich Nowostiach* wskazuje, że na obecnym etapie *głasnosti* w sprawie Katynia przyjęto — podobnie jak w wystąpieniu Gorbaczowa na temat ofiar Stalina w Związku Sowieckim — zasadę półprawdy, czyli kłamstwa. Ale *głasnost'* zaskakuje swoim rozmachem nawet największych sceptyków, do których zalicza się i niżej podpisany: nie zapominajmy wszelako o jednym, że cele całej operacji są ściśle polityczne i także ujawnianie faktów historycznych jest im podporządkowane.

Z bibliograficznego obowiązku wspomnę jeszcze, że wymieniona przez Swianiewicza książka Józefa Mackiewicza o Katyniu ukazała się już w 1949, w języku niemieckim w Szwajcarii („Katyń — ungesühntes Verbrechen", Thomas Verlag, Zürich). Wydanie angielskie, „The Katyn Wood Murders" (Hollis Carter, London 1951), podobnie jak amerykańskie (British Book Centre, New York 1952), jest ocenzurowane; usunięto z niego fragmenty świadczące o tym, że zachodni alianci już w czasie wojny znali prawdę o Katyniu[8].

Józef Mackiewicz jest również autorem dokumentacji, znanej jako „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów". Opracował ją na zlecenie Biura Studiów II Korpusu, do którego dotarł w 1945 r. Przedstawienie okoliczności publikacji pierwszego i następnych wydań tej pracy (nazwisko Zdzisława Stahla znika w późniejszych wydaniach, natomiast tłumaczenie francuskie, opublikowane w 1949 r., opatrzono nazwiskiem gen. Andersa jako autora), zajęłoby zbyt wiele miejsca, ograniczam się zatem do podania w przypisie artykułów, w których wskazywano na autorstwo Mackiewicza[9].

Tomasz MIANOWICZ

maj 89

8. Por. J. Mackiewicz: „Sprzysiężenie 'decydujących czynników'" (list do redakcji). *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza*, 5.12.1952.

9. K. Zamorski: „Katyń". *Kultura* (1951) nr 10, tenże: „I znów Katyń". *Wiadomości* (1971) nr 34, E. Dusza: „Czas na wyjaśnienie". *Gwiazda Polarna*, 24.8.1985.

LISTY DO REDAKCJI

Augsburg, 12 września 1989 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytach Historycznych* nr 89 ogłoszono stanowczy protest „przeciwko treści i formie" kilku uwag Jana Nowaka o wojennym okresie życia Józefa Mackiewicza, zawartych na paru stronach jego książki wspomnieniowej „Polska z oddali". Niechętnie zabieram głos na ten temat, nie wydaje mi się bowiem, aby rozpętana w latach osiemdziesiątych dyskusja o wojennej przeszłości wybitnie utalentowanego pisarza służyła jego imieniu. Może lepiej byłoby ograniczyć się do patrzenia w kategoriach krytyki literackiej czy historii literatury, do której wejdzie przecież co najmniej część jego książek. Nie wydaje mi się też, aby konieczne było, oceniając dzieło pisarskie Knuta Hamsuna, bronić niektórych wypowiedzi z kilku lat jego życia w okresie okupacji Norwegii przez Niemców, czy mówiąc o pozycji Ezry Pounda w poezji angielskojęzycznej angażować się w obronie jego zachowania w czasie szczególnie trudnym dla państwa, którego był obywatelem.

Znam od bardzo dawna Jana Nowaka, rozumiem — jak mi się zdaje — jego sposób myślenia i kryteria wyznawanych przez niego wartości: w pełni je podzielam. Dla ludzi, którzy świadomie i czynnie przeżyli lata wojny w okupowanej Polsce, poza dyskusją był mianowicie obowiązek lojalności wobec Rzeczypospolitej Polskiej wszystkich jej obywateli, również tych, którzy byli negatywnie czy krytycznie usposobieni do decyzji politycznych jedynego legalnego rządu polskiego w Paryżu, Angers czy Londynie, czy też jego cywilnych i wojskowych agend w kraju. Przywiązuję wagę do stwierdzenia, że podzielam w pełni, jako Polak, uczestnik walk o niepodległość i badacz najnowszych dziejów Polski, stanowisko reprezentowane przez Jana Nowaka, jak też t r e ś ć jego uwag o Józefie Mackiewiczu; po uważnej lekturze tekstu Nowaka na nowo nie dostrzegam też niczego niewłaściwego w ich f o r m i e.

Przez kilkadziesiąt lat negowano świadomie fakt i sens istnienia polskiego p a ń s t w a podziemnego, do którego kompetencji należała też jurysdykcja wobec obywateli polskich, i to oczywiście nie tylko wobec zaprzysiężonych członków wojskowych czy politycznych organizacji podziemia. Fakty są dość dokładnie znane i również przez wielu „obrońców" Józefa

Mackiewicza nie kwestionowane. Odmienna jest tylko ich wykładnia, sposób interpretacji, odmienne bywają również wnioski. To niestety należy moim zdaniem do skutków permanentnego relatywizowania wielu wartości i norm w ciągu ostatniego czterdziestokilkulecia życia w naszym kraju.

Staram się rozumieć i respektować motywacje wynikające np. z uczuć rodzinnych czy uczuć przyjaźni, ale to chyba źle, jeśli realizują się one w takich wystąpieniach jak atak na Jana Nowaka w *Zeszytach Historycznych*. Sposób argumentacji nasuwać tu może — oby fałszywie — wrażenie, że mamy do czynienia z niebezpieczną relatywizacją imponderabiliów.

Jest mi szczególnie przykro, że słowa te zmuszony jestem skierować do sygnatariuszy listu, z których kilku znam osobiście i cenię wysoko. Ale i w tym przypadku *amicus Plato sed magis amica veritas.*

Pozostaję z szacunkiem —

Władysław BARTOSZEWSKI

Paryż, 19 czerwca 1989

Szanowny Panie Redaktorze,

Badając ponownie zawartość paryskiego archiwum na Quai d'Orsay odnalazłam *dossier* autora syberyjskiego raportu, który podałam do druku w 87 numerze *Zeszytów Historycznych*. Otóż był nim Edmond Teodor Melchior de L a g r e n é — a nie, jak napisałam, odcyfrowując nazwisko z nieczytelnego rękopisu — Lafrené. Urodzony 16 lutego 1842 roku, miał podczas podróży na Syberię 35 lat. W tymże 1877 roku sprawował funkcję zarządzającego konsulatem w Kantonie. W latach 1879-1880 był konsulem w Moskwie, w 1885 roku w Kartaginie, w 1890 konsulem generalnym w La Paz, w 1897 roku urzędnikiem do specjalnych zleceń.

Nie udało mi się ustalić dalszego przebiegu jego kariery dyplomatycznej.

Proszę o opublikowanie tego uzupełnienia.

Łączę wyrazy szacunku.

Agata TUSZYŃSKA

Kraków, czerwiec 1989 r.

List do Redakcji

Od ponad 30 lat, interesując się, ze względów natury rodzinnej i naukowej, osobą śp. Marszałka Polski Edwarda Śmigłego-Rydza, zbieramwszelkie materiały (relacje wspomnienia, informacje, dokumenty, książki, fotografie, pamiątki i in.) dotyczące jego osoby.

Chodzi mi o uzyskanie obiektywnego obrazu marszałka Śmigłego-Rydza jako Człowieka, Polaka i Żołnierza — jako postaci, która w historii Polski

odegrała niemałą rolę; postaci, która wzbudza tyle kontrowersji. Tyleż diametralnie nieraz różnych uczuć, opinii i osądów. Od wyważonych i obiektywnych, oddających sprawiedliwość faktom, prawdzie historycznej i... marszałkowi Śmigłemu, do krzywdzących, czy wręcz niepoważnych.

Żyją jeszcze osoby, które osobiście znały Edwarda Śmigłego-Rydza. Żyje jeszcze wielu jego towarzyszy broni z okresu walk o wolność, niepodległość i całość Rzeczypospolitej. Żyją jeszcze osoby (lub ich rodziny), które los zetknął z marszałkiem Śmigłym w różnych okresach jego życia, w tym we Wrześniu, a szczególnie w jakże tragicznym dlań okresie po podstępnym internowaniu w Rumunii, a potem po jego ucieczce na Węgry, czy po powrocie do okupowanej Polski w październiku 1941 r. U wielu osób znajdują się zapewne jeszcze materiały: dokumenty, relacje, pisma, rękopisy, listy, rysunki, zdjęcia, portrety, popiersia, płaskorzeźby, medaliony i in. pamiątki dotyczące osoby E. Śmigłego-Rydza. Szczególnie poszukuję materiałów — zdjęć, relacji, dokumentów związanych z Marszałkiem z okresu jego dzieciństwa i młodości oraz z Września 39 r., z przekroczenia granicy polsko-rumuńskiej w dniu 18 września 39 r., i z okresu aż do śmierci w dn. 2 grudnia 1941 r. w Warszawie.

Może komuś znane są koleje losu szczególnie ważnych pamiątek po Marszałku. Każda informacja, dokument, pamiątka, stanowi niezwykle cenną pomoc w mej żmudnej pracy gromadzenia i opracowywania materiałów dot. E. Śmigłego-Rydza. Pracy niełatwej, ale koniecznej z punktu widzenia historii Polski, historii Wojska Polskiego, a także ze względów natury rodzinnej i moralnej...

Jako krewny Edwarda Śmigłego-Rydza zwracam się zatem z gorącą prośbą do wszystkich osób, które są w posiadaniu jakichkolwiek informacji czy materiałów dot. marszałka Śmigłego, wierząc, że na pewno zrozumieją intencje jakimi się kieruję i zechcą pomóc mi w pracy.

Osoby, które mogłyby — i chciałyby — w tym pomóc, proszę uprzejmie i serdecznie o skontaktowanie się ze mną (adres korespondencyjny — listy *polecone* — Polska, 30-960 Kraków 1, skr. poczt. 598).

Krystian A. WAKSMUNDZKI

Brisbane, 28 czerwca 1989

Szanowny Panie Redaktorze!

W *Zeszytach Historycznych* nr 88 ukazała się notatka pt. „Perfidny Albion", napisana przez Jana Ciechanowskiego. *Proszę o umieszczenie obrony.*

Zaraz po wyjściu mej „British Policy in Relation to Poland in the Second World War" prosiłem prof. Zawodnego, by ją omówił. Odpisał, że zabrałoby mu to z miesiąc czasu, a ponieważ ma syna w drogiej szkole i inne rodzinne obciążenia, odmawia. Wprawdzie p. Bednarczykowa, z 'Poeci i Malarze' informowała mnie, że ustalił się handlowy zwyczaj płacenia przez autora recenzentowi. W ten, czy inny sposób moich siedem książek miało pięć omówień. Norman Davies i Sword napisali mi, że nie mogą napisać swej opinii. Jasne — pióro by im trzasło, gdyby prawdę pisali. Polscy, Boże

odpuść, historycy, wody w usta nabrali, prócz uczciwego Heydenkorna, by się Anglikom nie wychylać, bo będą jakoś uderzeni, zanim się opatrzą.

J. Ciechanowski pisze nieprawdziwe zarzuty. I, że „przy pomocy z Zachodu zakończylibyśmy kampanię zwycięsko" — nonsens przeczytany u jakiegoś chwalcy Rydza i Becka. Już 5 września, w sztabie Armii „Prusy" zoczyłem linię frontu, wydętą ku Warszawie, pod pancernym ciśnieniem. Gdzie tu moje — „różowe światło"?

Niewątpliwie, że Churchill działał impulsywnie, generałowie ze Sztabu Imperialnego przepowiadali rosyjską obronę tylko na 2-3 miesiące, nie chodzi mi o „psychologiczne", churchillowskie wsparcie Stalina, tylko o zdradę Polski — trzeba uważnie, a nie po łebkach czytać „Umowę o Wzajemnej Pomocy", gdzie jest zastrzeżenie przeciwko układowi z trzecim państwem, bez zgody polskiego rządu. Ta zdrada przygotowana i wsparta przez ambasadora Crippsa, serdecznego przyjaciela Mołotowa i Majskiego.

J. Ciechanowski „nie zdaje sobie sprawy", że wojna początkowo była wielkim sukcesem Niemiec i nie groziło wycofanie się z niej Sowietów. Jako minimum chciały mieć naftę Kaukazu i Wołgę, jako granice, by w drugim skoku oprzeć się o Ural.

J. Ciechanowski powtarza angielską wersję linii Curzona. To była linia demarkacyjna w 1919-20r., przed polskim zwycięstwem. Polską granicę wschodnią uznała Rada Ambasadorów w 1922 r. Nie było „sporu terytorialnego", bo był Pakt Ryski. Jak Churchill mógł w nim być arbitrem? Jeszcze lizał ręce po „zwycięstwie w Dardanelach". Wtedy o mało nie skończył się jako polityk.

„Należy pamiętać" — poucza mnie recenzent — że „Churchill dawał Stalinowi to, co już zabrał ofensywą w polu". Powiadam: — nie powinien tego w dokumentach potwierdzać, bo bywają trwalsze, niż graniczne słupy i powtarzać, za Halifaxem w nocie do Sowietów, zwrotu o „b. Państwie polskim". Wątpię, czy J. Ciechanowski to czytał. A już stary Grydzewski — nie historyk, zalecał to robić.

Współpraca ze Stalinem nie „była nieodzowną koniecznością". Churchill bał się nieprawdopodobnej ewentualności — pokoju między obu dyktatorami. Stalina siła rosła, uderzył w dzwon Świętej Rosji, szedł bić, a nie układać się. I co za dżentelmeńskie świństwo oddawać Polskę w niewolę satrapy.

Otwarcie drugiego frontu było możliwe wg jednego z najzdolniejszych generałów USA Wedemeyera w jego „Reports", Devin-Adair, N.Y.1958. Churchill, por. huzarów z wojny 1901 chciał iść przez Bałkany, w bezdroża i bez wielkich portów.

Jałta była konsekwencją zniszczenia Atlantic Charter. Autorem tej drugiej, pisanej na kolanie, był Churchill, który tam zakazał „wzbogacenia się w wojnie terytorialnie, lub inaczej", ale potem zauważył, że uszczuplałoby Sowiety. Wycofał się z Karty i spowodował, że nie była ratyfikowana przez Kongres. Zmarła śmiercią tak dokładną, że ma trzy niepełne wersje.

Ostatnia rada recenzenta, „naukowca" w umiarkowanym stylu tych, co Anglikom z ręki jedzą. Czy po to zostali na emigracji? tylko zarobkowej.

W mojej żołnierskiej obserwacji większość sparciała, po australijsku *vegetables*. Tyle *pro memoria* panie Janie. Lepiej by było omówić przy dzbanie, ale odległość nie pozwala, a *scripta manent*.

Łączę wyrazy szacunku.

Stanisław ŻOCHOWSKI

SPIS TREŚCI

Piotr Eberhardt: *Jak kształtowała się wschodnia granica PRL* 3
Aleksander Suworow: *Obrona twierdzy brzeskiej we wrześniu 1939* 35
Kazimierz Leski: *„Muszkieterowie"* 40
Tadeusz Wyrwa: *Biskup Gawlina, generał Sikorski i Watykan* 98

WSPOMNIENIA

Juozas Urbszys: *Litwa i Związek Sowiecki w latach 1939-1940* 109
Stanisław Duzik: *Droga do Workuty* 135

DOKUMENTY

Jan Łukaszów: *Walki polsko-ukraińskie 1943-1947* 159

RECENZJE

Józef Darski: *Wspomnienia J.K. Valiunasa* 200

POLEMIKI

Nieścisłości p. Sosnkowskiej (Korespondencja gen. Kazimierza Sosnkowskiego z Jerzym Giedroyciem) 204
Jan Nowak: *Józef Mackiewicz* (Odpowiedź na List Otwarty) 210

OKRUCHY HISTORII

Antoni Skarbek: *„Szaniec" i Dowództwo Wojskowe NSZ* 213

Bogdan Grzeloński (opr.): *Europa Wschodnia w koncepcjach Departamentu Stanu w 1941 r.* 218

Leon Schiller: List do Min. Sztuki i Kultury 222

Jan Pławski: *Do syta* 226

Larysa Zajączkowska-Mitznerowa: *Pertraktacje z Żuławskim* 227

Tomasz Mianowicz: *Kilka uwag w związku z Katyniem*. 230

LISTY DO REDAKCJI

Władysław Bartoszewski: *W obronie Jana Nowaka w związku z Listem Otwartym do J. Nowaka* (Zeszyty Historyczne Nr 89) 235

Agata Tuszyńska: *Sprostowanie do jej „Raportu syberyjskiego"*, ogłoszonego w Zeszytach Historycznych Nr 87 236

Krystian A. Waksmundzki: *Apel o nadsyłanie mu materiałów i dokumentów, dotyczących marszałka Rydza-Śmigłego* 236

Stanisław Żochowski: *Polemika z artykułem Jana Ciechanowskiego pt. „Perfidny Albion"* (Zeszyty Historyczne Nr 88) 237

PHOTOCOMPOSITION: **AKTIS** S.A.R.L.
42, AVENUE DE WAGRAM, 75008 PARIS

Achevé d'imprimer le 30 novembre 1989
sur les presses de l'Imprimerie Nouvelle, 16-24, rue Soubise, 93400 Saint-Ouen
Dépôt légal : 4e trimestre 1989.
N° d'imprimeur 2151.

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

F80